

BESTSELLEROWY AUTOR „NEW YORK TIMESA”

JEFFERY DEAVER

COLTER
SHAW

OSTATNI DOWÓD

BEZ WĄTPIENIA NAJLEPSZA CZĘŚĆ SERII - BOOKLIST

Prószyński i S-ka

JEFFERY DEAVER

OSTATNI DOWÓD

Przełożył
Łukasz Praski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE FINAL TWIST

Copyright © 2021 by Gunner Publications, LLC
All Rights Reserved

Projekt okładki
Tal Goretsky

Zdjęcie na okładce
Copyright © 2021 by Gunner Publications, LLC

Redaktor prowadzący
Magdalena Gołdanowska

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8295-666-5

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla ekipy z niedzielnych popołudni:
Joan, Cleve'a, Kay, Ralpa, Gail*

W oczach ludzi potężnych i wpływowych
przestępstwa to czyny popełniane przez innych.
NOAM CHOMSKY

STALOWNIA

Colter Shaw wyjmuje broń. Zaczyna bezszelestnie schodzić po schodach do ogromnej piwnicy starego budynku, zalatującej pleśnią i olejem opałowym.

Piwnica, myśli. Wraca pamięcią do chwili, gdy ostatni raz był w takim miejscu. I co mu się tam przytrafiło.

Nad nim dudni muzyka i tupią tancerze. Rytm basu przypomina tętno biegacza. Ale tam, na górze, i tu, na dole, to dwa odrębne światy.

U stóp schodów rozgląda się, by zorientować się, gdzie jest. Zawsze trzeba to wiedzieć. Piwnica jest w połowie urządzona. Po prawej od schodów rozciąga się rozległa pusta przestrzeń. Po lewej są pomieszczenia, do których wchodzi się z korytarza mierzącego około piętnastu metrów.

Badając wzrokiem przestrzeń po prawej, nie dostrzega żadnego zagrożenia, ale i niczego, co mogłoby mu pomóc. Skręca w lewo i zmierza w stronę korytarza, mijając bojler i składziki pełne zapasów: dużych paczek papieru toaletowego, puszek z chili, plastikowych butelek z wodą, papierowych ręczników, talerzy Dixie i plastikowych sztućców. Zauważa tam też pudełko amunicji dziewięć milimetrów.

Wolno wchodzi do korytarza. Pierwsze pomieszczenie po prawej jest otwarte, rozjaśnione zimnym światłem górnej lampy i cieplejszym, migoczącym blaskiem. Pozostając w cieniu, szybko zagląda do środka. Biuro. Szafki na dokumenty, komputery, drukarka.

Przy stole siedzą dwaj zwalisci mężczyźni i na monitorze oglądają mecz baseballa. Jeden wychyla się do tyłu i bierze ostatnie piwo ze stojącego na trzecim krześle sześciopaku. Shaw wie, że są uzbrojeni, bo zna ich profesję, a tacy ludzie zawsze są uzbrojeni.

Nie jest niewidzialny, lecz w piwnicy pozbawionej górnych światel panuje półmrok, a on ma na sobie czarną kurtkę, dzinsy i wysokie buty, ponieważ przyjechał motocyklem. Obuwie nie jest tak ciche jak ecco, które zwykle nosi, ale łomot dobiegający z parkietu na górze skutecznie tłumi odgłos jego kroków. Pewnie zagłuszyłby nawet huk wystrzałów.

Mężczyźni rozmawiają i dowcipkują. W pomieszczeniu stoi pięć pustych butelek. To mogłoby mu sprzyjać: ilość wypitego alkoholu. Wydłużony czas reakcji. Zmniejszona celność.

Jeśli do tego dojdzie.

Waha się: rozbroić ich od razu?

Nie. Coś mogłoby pójść nie tak. Najwyżej siedemdziesiąt procent szans powodzenia.

Słyszysz głos ojca: Nigdy nie używaj siły, jeśli wystarczy trochę finezji.

Poza tym nie jest pewien, co tu znajdzie. Jeżeli nic, wróci tą samą drogą i tamci dwaj nawet się nie zorientują, że tu był.

Niepostrzeżenie przesuwa się obok otwartych drzwi, po czym przystaje, by oczy oślepione światłem z biura mogły się przyzwyczaić do ciemności.

Rusza dalej. Niemal wszystkie drzwi są otwarte; zagląda do kolejnych pomieszczeń. Większość z nich jest ciemna.

Muzyka i tupot nóg to broń obosieczna. Nikt nie słyszy jego kroków, ale on też mógłby nie zwrócić uwagi, że ktoś go zauważył i przycisnął się z bronią w pustym pomieszczeniu.

Dziesięć metrów, dwanaście.

Pusto, pusto. Zbliża się do końca, gdzie w prawo odchodzi drugi korytarz. Czeka tam następne pomieszczenia, które musi sprawdzić. Ile jeszcze?

Kolejne pomieszczenie. Drzwi są zamknięte na klucz.

Wyjmuje składany nóż, by końcem ostrza ostrożnie wcisnąć zasuwkę do zamka. Pociąga drzwi, by zasuwka nie wskoczyła z powrotem na miejsce, po czym znów operuje nożem. Powtarza to kilkanaście razy i wreszcie drzwi są otwarte. Chowa nóż, wyjmuje i unosi broń, pamiętając, by nie trzymać palca na spuście.

Do środka.

Czarnoskóra kobieta ma niewiele więcej niż dwadzieścia lat i włosy zaplecione w skomplikowany warkocz. Jest ubrana w dżinsy i ciemnopopielatą bluzę. Na widok pistoletu gwałtownie nabiera tchu, żeby krzyknąć. Shaw podnosi rękę i błyskawicznie chowa broń do kabury.

– Wszystko w porządku. Wyciągnę cię stąd. Jak masz na imię?

Ona przez chwilę się nie odzywa. A potem:

– Nita.

– Jestem Colter. Nic złego ci się nie stanie.

W pomieszczeniu jest brudno. Na papierowym talerzu zastygła niewielka kałuża chili con carne. Butelka wody stoi wypita do połowy. Za toaletę służy wiadro. Kobieta nie jest skrepowana, ale za to uwiązana: na rurze wodociągowej albo kanalizacyjnej zostało zatrzaśnięte zapięcie do roweru, do którego przymocowano opaskę zaciskową na jej kostce. Shaw gasi światło. Jest wystarczająco jasno.

Wygląda na korytarz. Ciągle widać migotanie monitora, bo nadal toczy się mecz baseballa. Która to zmiana? Dobrze byłoby wiedzieć.

– Jesteś ranna?

Kobieta kręci głową.

Shaw wyjmuje nóż i z trzaskiem go otwiera. Przecina plastikową opaskę, po czym pomaga dziewczynie wstać. Widzi, że ta chwieje się na nogach.

– Możesz chodzić?

Skinienie głową. Nita dygocze i płacze.

– Chcę do domu.

Shaw przypomina sobie, że zaledwie dziesięć minut temu pomyślał o grze papier, kamień, nożyce. Szkoda, że nie grał ostrzej, dużo ostrzej.

Wychodzą na korytarz. I nagle Colterowi przychodzi na myśl trzecie krzesło.

Niech to szlag!

To dodatkowe krzesło nie stało w pakamerze w charakterze stolika do stawiania piwa. W tym biurze mecz oglądał ktoś jeszcze.

W tym momencie trzeci mężczyzna schodzi po schodach z następnym sześciopakiem budweisera. Gdy stawia stopę na betonowej posadzce, zerka w głąb korytarza i widzi Shawa z Nitą. Sześciopak wypada mu z rąk. Tłucze się co najmniej jedna butelka.

– Hej! – woła. I sięga do pasa.

Światło w pomieszczeniu z monitorem przestaje migotać.

CZEŚĆ I

24 CZERWCA

MISJA

Czas pozostały do śmierci rodziny:
pięćdziesiąt dwie godziny

1

Kryjówka.

Nareszcie.

Podróż Coltera Shawa z nieodległej Doliny Krzemowej do tego chabrowego wiktoriańskiego domu przy obskurnej Alvarez Street w dzielnicy Mission w San Francisco trwała parę tygodni, ponieważ zahaczył po drodze o pasmo Sierra Nevada we wschodniej Kalifornii i stan Waszyngton. Gdy z siodelka yamaha przyglądał się budynkowi, przyszło mu na myśl, że w pewnym sensie kierował się tutaj prawie przez całe życie.

Jak to się często zdarza, kiedy człowiek przybywa na miejsce, do którego długo podążał, dom sprawił na nim wrażenie skromnego i przeciętnego. Jeśli jednak krył w sobie to, co Shaw miał nadzieję w nim znaleźć, to ten obraz okazałby się złudny. Liczył na to, że kryjówka jest kopalnią informacji, które mogą ocalić życie setkom, być może nawet tysiącom, ludzi.

Jako syn surwiwalowca zadawał sobie jednak pytanie: w jakim stopniu to schronienie jest naprawdę bezpieczne?

Z miejsca, w którym przystanął, budynek wydawał się ciemny i opuszczony. Colter wrzucił bieg i wjechał w boczną uliczkę prowadzącą za dom, gdzie znowu się zatrzymał przed zachwaszczonym ogrodem, otoczonym ogrodzeniem z kutego żelaza z gotyckimi motywami. Stąd też nie widział żadnych świateł, ruchu ani oznak, że ktoś tu mieszka. Dodał gazu i wrócił przed drzwi frontowe. Tam zahamował i na jedyńce wtoczył motocykl na chodnik.

Chwycił ciężki plecak, zabezpieczył yamahę i kask łańcuchem, po czym pokonał przylegający do domu pas zieleni szerokości jednego metra. Za bukszpanem znalazł skrzynkę z bezpiecznikami. Gdyby w środku była bomba, co wydawało się mało prawdopodobne, przypuszczalnie byłaby podłączona do instalacji; w przypadku telefonów, komputerów i ładunków wybuchowych własnej roboty poleganie na bateriach zawsze niesie ze sobą pewne ryzyko.

Otworzył drzwi kluczami, które ojciec przekazał mu w spadku, i wszedł do środka z dłonią blisko pistoletu. Powitał go szum pogrążonego w ciszy domu i zapach lawendowego odświeżacza powietrza.

Zanim poszuka dokumentów, które – jak miał nadzieję – zostawił tu ojciec, musiał się upewnić, czy dom rzeczywiście jest pusty.

Brak oznak zagrożenia nie oznacza tego samego co brak zagrożenia...

Rozejrzał się po parterze. Za pokojem dziennym znajdował się salon, z którego prowadziły schody na górę. Za tym pomieszczeniem była jadalnia, a w głębi kuchnia, skąd przez wzmocnione i pozbawione szyb drzwi wychodziło się na boczną uliczkę. Drugie drzwi w kuchni prowadziły do piwnicy, co w Kalifornii należało raczej do rzadkości. Meble były praktyczne, choć każdy z innej parafii. Ściany miały kolor starych kości, a zasłony wyblakły od słońca, które wypaliło na nich batikowe wzory.

Shaw bez pośpiechu obejrzał każde pomieszczenie na parterze, a potem na pierwszym i drugim piętrze. Nigdzie nie natrafił na ślady mieszkańców, choć na pierwszym piętrze znalazł leżącą na materacu starannie złożoną bieliznę pościelową.

Na koniec piwnica.

Włączył halogenową latarkę i kierując snop mocnego światła w dół, zszedł do pomieszczenia. Okazało się, że jest prawie całkiem puste. Kilka starych puszek farby, uszkodzony stolik. Na drugim końcu zobaczył skrzynię na węgiel, w której lśnił niewielki kopczyk czarnych bryłek. Uśmiechnął się do siebie.

Surwiwalowiec do szpiku kości, co, Ashton?

Wpatrując się w mrok, dostrzegł zwisające z belek u stropu trzy przewody. Jeden z nich, najbliżej schodów, był zakończony oprawką z małą żarówką. Dwa pozostałe, środkowy i ostatni, zostały przycięte, a ich końce zaklejono taśmą izolacyjną.

Shaw wiedział, dlaczego te dwa ktoś pozbawił końcówek: żeby nikt nie mógł wyraźnie zobaczyć przeciwległego końca piwnicy.

Oświetlił latarką ścianę w głębi i podszedł bliżej.

Jasne, Ash.

Jak w całej piwnicy, ściana od podłogi po sufit została zabudowana prostokątnymi sklejkami, przybitymi do słupków i pomalowanymi na czarno, ale przy dokładniejszych oględzinach łączy jednej z płyt zauważył różnicę. To były ukryte drzwi do tajnego pomieszczenia. Wyjął z kieszeni nóż i otworzył. Przypatrując się jeszcze chwilę powierzchni sklejki, odnalazł szczelinę tuż nad posadzką. Wcisnął do niej ostrze noża i usłyszał cichy szcęk. Drzwi odskoczyły na zewnątrz. Schował nóż, wyjął broń, po czym kucnął i skierował snop światła latarki do środka, trzymając ją wysoko i na lewo od siebie, by jasny punkt ściągnął ogień, gdyby w środku czał się uzbrojony przeciwnik.

Wsunął rękę do środka, sprawdzając, czy są jakieś linki uruchamiające pułapkę. Niczego nie namacał.

Powoli pociągnął stopą drzwi do siebie.

Nie zdążyły się uchylić na więcej niż pół metra, gdy nagle z jaskrawym blaskiem i ogłuszającym hukiem eksplodowała bomba, a jej odłamek trafił go w klatkę piersiową.

2

Detonacje zwykle nie grożą śmiercią.

Większość ofiar eksplozji improwizowanych ładunków wybuchowych zostaje oślepią, ogłuszona lub okaleczona. Współczesne materiały wybuchowe osiągają prędkość detonacji niemal dziesięciu tysięcy metrów na sekundę; fala uderzeniowa mogłaby dotrzeć z poziomu morza na szczyt Mount Everestu, zanim człowiek zdążyłby odchrząknąć.

Shaw leżał obolały na podłodze i kaszłał, nic nie widząc i nie słysząc. Dotknął miejsca, gdzie trafił go odłamek. Poczł ból, ale nie było rany. Z niewiadomego powodu skóra nie została uszkodzona. Szybko skontrolował resztę ciała. Ręce, dłonie i nogi działały bez zarzutu.

Teraz najważniejsze – znaleźć broń. Bomba często stanowi preludium do ataku.

Nic nie widział, ale ukląkł i kolistymi ruchami dotykał wilgotnego betonu, dopóki nie odnalazł pistoletu.

Przymrużył oczy, nadal jednak miał ciemno przed oczami. Nie można naprawić wzroku siłą woli.

Nie było czasu na panikę, na rozmyślanie o konsekwencjach dla jego stylu życia, gdyby został trwale oślepią lub ogłuszony. Wspinaczka skałkowa, jazda na motocyklu, podróżowanie po kraju – wszystko stało pod znakiem zapytania, ale w tym momencie nie mógł sobie tym zaprzętać głowy.

Jak mógł się zorientować, z której strony nadejdzie atak? Nisko pochylony, po omacku ruszył w kierunku skrzyni na węgiel. Przynajmniej będzie miał jakąś osłonę. Próbował nasłuchiwać, ale tylko dzwoniło mu w uszach.

Po pięciu minutach koszmaru uświadomił sobie, że na drugim końcu piwnicy majaczy jaśniejsza plama. Światło z kuchni.

Czyli nie stracił wzroku zupełnie. Został chwilowo oślepią blaskiem eksplozji. Wreszcie dojrzał jasny punkt latarki. Leżała trzy metry od niego. Podniósł ją i strumieniem światła omiótł piwnicę oraz pomieszczenie za ukrytymi drzwiami.

Żadnego napastnika.

Schował pistolet do kabury, a potem pstryknął palcami przy każdym uchu. Słuch też mu wracał.

Oceńł sytuację.

Co tu się stało?

Gdyby człowiek, który podłożył bombę, chciał zabić intruza, mógłby to zaaranżować bez trudu. Shaw oświetlił latarką ramę ukrytych drzwi i zobaczył dymiącą skorupę z szarego metalu. To był duży granat hukowo-błyskowy, wypełniony palnym materiałem, który w momencie detonacji emitował oślepiające światło i przeraźliwy huk, ale nie miał śmiertelnych odłamków; miał służyć wyłącznie jako sygnał ostrzegawczy.

Przyjrzał się uważnie, by zrozumieć, dlaczego go nie zauważył. Ciekawe. Sam ładunek był pociskiem. Został wystrzelony z półki obok ukrytych drzwi, a mniej więcej pół sekundy później eksplodował. To właśnie on trafił go w klatkę piersiową. Granat odpalił zapewne czujnik ruchu albo czujnik zbliżeniowy. Shaw nigdy nie słyszał o takim mechanizmie.

Bacznie rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając innych pułapek. Nie zauważył.

Kto ją na niego zastawił? Przypuszczał, że tajne pomieszczenie skonstruowali ojciec i jego koledzy, ale prawdopodobnie to nie oni podłożyli granat. Ashton Shaw nigdy nie tykał materiałów wybuchowych. Ich posiadanie bez pozwolenia było nielegalne, a ojciec, mimo zamiłowania do sztuki przetrwania i nieufności wobec władzy, nigdy nie łamał prawa.

Nigdy w ten sposób nie oddawaj władzom kontroli nad sobą.

Po chwili potwierdziły się jego przypuszczenia, że to nie ojciec zastawił pułapkę w piwnicy. Oglądając skorupę granatu w ostrym białym świetle latarki, dostrzegł, że pochodzi z wyposażenia wojskowego i ma nadrukowaną zeszłoroczną datę.

Włączył górne światło i schował latarkę. Pośrodku kwadratowej przestrzeni o boku około sześciu metrów stał sfatygowany stół, a obok stare drewniane krzesło. W kącie dostrzegł wojskowy worek w kolorze khaki. Na prawie pustych regałach leżały papiery i ubrania, pod ścianą też piętrzyły się sterty dokumentów, podobnie jak na stole.

Czy to było to? Ukryty skarb, z którego powodu ginęli ludzie, a wśród nich jego ojciec?

Podszedł do stołu od drugiej strony, by stanąć twarzą do drzwi tajnego pomieszczenia, i pochylił się nad papierami, aby się dowiedzieć.

3

Colter Shaw znalazł się w tym domu dzięki odkryciu, jakiego dokonał w należącej do swojej rodziny posiadłości wśród wyniosłych szczytów wschodniej Kalifornii.

Tam, na wysokim, posępnym grzbiecie Echo Ridge, gdzie zginął jego ojciec, znalazł list napisany wiele lat temu i ukryty przez Ashtona.

List, który miał odmienić życie Shawa.

Ashton pisał w nim, że w ciągu lat, gdy był wykładowcą, politologiem i historykiem amatorem, nabrał nieufności do wielkich korporacji, instytucji, polityków i zamożnych osób, wszystkich, „którzy czerpią profity z szarej strefy między prawem a bezprawiem, demokracją a dyktaturą”. Stworzył wokół siebie grupę przyjaciół i kolegów wykładowców, która postanowiła zdemaskować korupcję w tych kręgach.

Firma, którą wzięli na cel jako pierwszą, nazywała się BlackBridge Corporate Solutions i była znana z działalności w mętnej sferze wywiadu gospodarczego. Organizacja miała na koncie wiele wątpliwych praktyk, lecz Ashton i jego koledzy za najbardziej naganną uznali Plan Reformy Urbanistycznej, czyli PRU. Projekt na pozór polegał na świadczeniu pomocy deweloperom w lokalizowaniu miejsc pod nowe nieruchomości. BlackBridge w swojej roli pośrednika poszedł jednak o krok dalej. Współdziałając z miejscowymi gangami, agenci tej firmy zalewali wybrane dzielnice tanimi lub darmowymi opioidami, fentanylem i metamfetaminą. Wskaźnik uzależnień rósł skokowo. Gdy życie w dzielnicach stawało się nieznośne, do akcji wkraczali deweloperzy i wykupywali nieruchomości ze bezcen.

Ta sama taktyka przynosiła korzyści klientom ze świata polityki: komitetom działalności politycznej, lobbystom oraz samym kandydatom. Plaga narkotyków powodowała zmiany w liczbie ludności, ponieważ mieszkańcy się wyprowadzali i konieczne było wyznaczenie nowych okręgów wyborczych do Kongresu. PRU w rzeczywistości okazał się więc programem wykorzystania narkotyków do manipulowania granicami okręgów wyborczych.

Plany BlackBridge dotknęły Ashtona Shawa osobiście, gdy jego przyjaciel i były student – a potem członek rady miejskiej San Francisco – zaczął przyglądać się mechanizmom PRU. Todd Zaleski i jego żona zginęli od strażów z bliskiej odległości. Do zabójstwa, jak ustalono oficjalnie, doszło na tle rabunkowym, ale Ashton wiedział swoje.

Zaczął z kolegami szukać dowodów obciążających firmę, w nadziei że uda im się przekazać sprawę organom ścigania. Niemal żaden z pracowników BlackBridge nie chciał z nimi rozmawiać, lecz Ashtonowi udało się dowiedzieć o jednym, który uznał, że PRU

posunął się za daleko. Pracujący tam analityk, Amos Gahl, znalazł jakieś ważne dowody, wyniósł je z firmy i ukrył w okolicach San Francisco. Zanim jednak zdążył skontaktować się z ojcem Coltera albo organami ścigania, też zginął – w podejrzanym wypadku samochodowym.

Ashton zanotował w liście: *Odnalezienie tego, co ukrył Gahl, stało się moją obsesją.*

Wkrótce BlackBridge wpadł na trop ojca Coltera i tych, którzy podzielali jego stanowisko. Kilku z nich zmarło w tajemniczych okolicznościach, inni porzucili misję w obawie o własne życie. Niebawem musiał już samotnie kontynuować próby doprowadzenia do upadku firmy, która zabiła jego studenta i wiele innych osób w San Francisco – a prawdopodobnie także w innych miastach.

Nieco później, pewnej październikowej nocy, szesnastoletni Colter znalazł zwłoki ojca na dnie urwiska posępnego Echo Ridge.

Teraz już dobrze wiedział, kim są podejrzani ludzie, z którymi miał do czynienia.

Ian Helms, założyciel i prezes BlackBridge. Dziś po pięćdziesiątce, przystojny jak filmowy amant, w przeszłości zajmował jakieś stanowiska w sektorze obrony i wywiadu, angażował się też w politykę i lobbing.

Ebbitt Droon, nadworny „moderator” firmy, czyli po prostu morderca, był muskularnym mężczyzną o szczerzych rysach. Po kilku bezpośrednich starciach z tym człowiekiem, który między innymi zaatakował go koktajlem Mołotowa, Shaw nie miał wątpliwości, że Droon to stuprocentowy sadysta.

Irena Braxton, agentka BlackBridge, która otrzymała zadanie powstrzymania Ashtona – a teraz jego syna. Ashton napisał o niej:

Wygląda na poczciwą babcię, ale to tylko pozory. Jest wcieleniem bezwzględności, gotowa jest zrobić wszystko, co uzna za konieczne.

Pełniła funkcję „koordynatorki do spraw zewnętrznych”, co było doprawdy eufemistycznym określeniem zakresu jej obowiązków.

Ashton zakończył list następującymi słowami:

A teraz przechodzimy do roli czytelników niniejszego listu.

Jeżeli macie go w rękach, to znaczy, że idąc po zostawionych przeze mnie śladach, trafiliście na Echo Ridge i znacie już całą historię.

Sumienie nie pozwala mi prosić was, byście podjęli się tego niebezpiecznego zadania. Nie zrobiłby tego z własnej woli żaden rozsądny człowiek. Jeżeli jednak bylibyście skłonni się na to zdecydować, to powinniście wiedzieć, że przejmując moje poszukiwania, będziecie walczyć o sprawiedliwość dla tych, których BlackBridge i ich klienci uśmiercili

albo którym zrujnowali życie, uchronicie także tysiące innych przed tym, by w przyszłości nie spotkał ich podobny los.

Na dołączonej mapie są zaznaczone punkty w mieście, gdzie mogą się znajdować dowody ukryte przez Gahla lub wskazówki, które was do nich doprowadzą. Po złożeniu tego listu i towarzyszących mu dokumentów wróć do San Francisco z nadzieją, że odkryję więcej tropów. Znajdą się przy Alvarez Street 618 w San Francisco.

Na koniec powiem wam jedno: Nigdy nie zakładajcie, że jesteście bezpieczni.

A.S.

4

Zadanie Coltera Shawa polegało teraz na tym, by sprawdzić wszystkie miejsca zaznaczone na mapie ojca – było ich osiemnaście – i znaleźć dowody ukryte przez Amosa Gahla.

Przeglądając dokumenty w tajnym pomieszczeniu w piwnicy domu przy Alvarez Street, zorientował się, że nie mają nic wspólnego z BlackBridge. Dotyczyły projektów inżynieryjnych i spedycji. Część była napisana po angielsku, część po rosyjsku albo w innym języku, w którym pisano cyrylicą. Niektóre wydruki były po hiszpańsku, w języku, który Shaw rozumiał, i też miały związek ze spedycją i transportem. Parę dokumentów było napisanych po chińsku.

Ktoś wykorzystywał tajny pokój jako bazę. Jeden z pierwotnych członków grupy założonej przez ojca? Może przedstawiciel następnego pokolenia, jak Shaw? Mężczyzna czy kobieta? Ktoś młody? W średnim wieku? Część materiałów nosiła niedawną datę. Shaw podszedł do leżącego na podłodze worka w kolorze khaki i sprawdziwszy, czy dostępu do niego nie bronią żadne linki uruchamiające pułapkę, otworzył go.

Wewnątrz znalazł odpowiedź na pytanie o płęć. W worku były ubrania mężczyzny o ponadprzeciętnej posturze: T-shirty, robocze koszule, spodnie cargo, dżinsy, swetry, wełniane skarpety, czapki baseballowe, sportowe kurtki. Wszystko było czarne, grafitowe lub ciemnozielone.

W cieniu pod ścianą w głębi pomieszczenia zobaczył jeszcze jedną stertę papierów. No tak, to były materiały ojca. Shaw nauczył się sztuki kaligrafii właśnie od Ashtona, który miał jeszcze zgrabniejsze – i drobniejsze – pismo niż on.

Na ten widok serce zabiło mu mocniej.

Zaniósł wszystkie na górę i położył na rozchwianym stole w kuchni. Usiadł na równie chybotliwym krześle i zaczął czytać. W dokumentach znalazł kolejne szczegóły o PRU i informacje o innych projektach, w które angażowała się firma: o podejrzanych inspekcjach technicznych wysokościowców po trzęsieniu ziemi (część z nich stała ni mniej, ni więcej, tylko na uskoku San Andreas), wręczaniu łapówek za zamówienia rządowe, stosowaniu różnych sztuczek podczas opracowywania planów zagospodarowania przestrzennego, manipulacjach giełdowych, praniu brudnych pieniędzy.

W papierach znalazł się wycinek z gazety o śmierci członka Zgromadzenia Stanowego Kalifornii, z dwoma znakami zapytania obok zdjęcia ofiary. Mężczyzna zginął w wypadku samochodowym w drodze na spotkanie z prokuratorem stanowym. W pożarze, jaki wybuchł

w wyniku katastrofy, zniszczeniu uległ jego samochód i pudła akt, które wiozł. Okoliczności zdarzenia były zagadkowe, ale nie wszczęto żadnego dochodzenia w sprawie przestępstwa.

Shaw czytał też artykuły na temat Todda Zaleskiego, byłego studenta ojca i późniejszego członka rady miasta, który w przekonaniu Ashtona został zamordowany przez BlackBridge. Wszystko wskazywało na winę firmy, brakowało jednak dowodów, które byłyby wystarczające dla prokuratury. Colter miał pewne doświadczenia z prawem karnym. Po college'u pracował w kancelarii adwokackiej i zastanawiał się nawet, czy nie przystąpić do egzaminu LSAT i nie starać się o przyjęcie na prawo. Do studiowania zainspirował go profesor Sharphorn z Uniwersytetu Michigan, ostatecznie jednak niespokojna natura Coltera wygrała z siedzeniem za biurkiem, nadal jednak interesował się prawem i dużo o nim czytał, zwłaszcza że pomagało mu to w pracy łowcy nagród.

Nie, nic z tego, co odkrył ojciec, nie mogłoby zainteresować prokuratury.

Po chwili Shaw znalazł karteczkę z wiadomością, najprawdopodobniej od kolegi Amosa Gahla, adresowaną do Ashtona. Arkusik był wielokrotnie złożony. Bez wątpienia oznaczało to, że pozostawiono go w szpiegowskiej skrzynce kontaktowej – szpiedzy ukrywali meldunki pod ławkami w parkach albo w szczelinach murów, bo trudniej je było przechwycić niż korespondencję elektroniczną.

Amos nie żyje. Te rzeczy są w torbie kuriera BlackBridge. Nie wiem, gdzie ją ukrył. To moja ostatnia wiadomość. Za duże niebezpieczeństwo. Powodzenia.

Czyli „te rzeczy” – dowody – znajdowały się w firmowej torbie ukrytej w jednym z osiemnastu punktów wytypowanych przez Ashtona jako prawdopodobne skrytki. Czekala go żmudna praca, ale nie można było jej uniknąć. Będzie musiał zacząć od pierwszego punktu i przechodzić do kolejnych, dopóki nie znajdzie torby kurierskiej; najwyżej zrezygnuje, jeśli w żadnym z tych miejsc na nic się nie natknie.

Zaraz jednak dowiedział się, że nie będzie musiał badać osiemnastu miejsc. Co więcej, nie musiał sprawdzać żadnego z nich.

W pliku papierów odkrył identyczną mapę z tą, którą znalazł na Echo Ridge, choć z jedną różnicą – wszystkie osiemnaście punktów zostało przekreślonych czerwonym znakiem X.

Zostawiwszy mapę w Posiadłości, Ashton, zgodnie z tym, co napisał w liście, wrócił do San Francisco, sam po kolei przeszukał te miejsca i wszystkie wyeliminował.

Shaw westchnął. Oznaczało to, że dowody, które miały zniszczyć BlackBridge, zostały zamelinowane w nieznaną kryjówkę nad zatoką San Francisco, na terenie obejmującym tysiące kilometrów kwadratowych.

Być może jednak Ashton odkrył inne prawdopodobne miejsca. Colter wrócił do materiałów, by poszukać w nich wskazówek, ale w tym momencie coś oderwało go od pracy.

Z Alvarez Street od frontu budynku rozległ się głos kobiety.
– Na pomoc! – krzyknęła. – Niech mi ktoś pomoże!

5

Shaw wyjrzał przez wykuszowe okno i zobaczył dwoje szamoczących się ludzi przed zaniedbaną działką naprzeciwko ze szczątkami budynku, który dawno temu prawie zupełnie spłonął.

Ciemnowłosa kobieta wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat. Ubrana w wypłowiałe dżinsy, T-shirt, wytartą granatową kurtkę ze skóry, buty do biegania. Przy uchu wisiał jej biały przewód słuchawki. Rozglądała się oszalałym wzrokiem, a na jej przedramieniu zaciskała dłoń przysadzisty mężczyzna w szarej, wystrzępionej kurtce wojskowej i workowatych spodniach. Był biały i wyglądał na brudnego. Shaw przypuszczał, że to bezdomny, być może schizofrenik albo niezrównoważony emocjonalnie, jak wielu takich ludzi. Mężczyzna trzymał nóż introligatorski i ciągnął kobietę w stronę bramki. Wydawał się silny, w czym nie było nic dziwnego; życie na ulicy jest wymagające fizycznie i żeby sobie poradzić, trzeba praktykować własną wersję survivalu. Nawet patrząc z daleka, Shaw dostrzegł nabrzmiałe żyły na jego dłoniach i czole.

Szybko wybiegł z domu, pokonał betonowe schodki i ruszył w kierunku tych dwojga. Kobieta odwróciła w jego stronę zrozpaczoną twarz i szeroko otwarte oczy.

– Błagam pana! To boli!

Napastnik wbił wzrok w Shawa. Z początku miał wściekłą, zadziorną minę, która Colterowi wydała się szelmowska. Przy swoim niskim wzroście i szerokiej klatce piersiowej mężczyzna mógłby zagrać rolę jakiegoś stwora w filmie fantasy albo opartym na mitologii. Jego dłonie wyglądały na bardzo silne.

– Co jest, chudzielcu, chcesz oberwać? Wypierdalaj!

Shaw dalej szedł w ich stronę.

Mężczyzna groźnie pomachał nożem.

– Myślisz, że to żarty?

Można by się spodziewać, że w obecności świadka facet porzuci lubieżne plany, on jednak z niesłabnącym uporem zgniatał rękę kobiety, jak gdyby była wystrzeloną w trybuny piłką baseballową, której ani myślał oddać siedzącym obok kibicom. Nie rozluźniając uścisku, zrobił krok w kierunku Coltera, który dalej szedł w ich stronę.

– Jezu, głuchy jesteś, palancie?

W należącej do rodziny Shawa enklawie w Sierra Nevada, gdzie Ashton uczył dzieci sztuki przetrwania, ojciec poświęcił sporo czasu broni palnej, temu niezwykłemu wynalazkowi,

który uważał za błogosławieństwo i zarazem przekleństwo. Jedną ze swoich zasad zapożyczył wprost z podręczników ABC strzelectwa.

Nigdy nie wyciągaj broni, jeżeli nie zamierzasz jej użyć.

Shaw wyciągnął glocka i wycelował w głowę napastnika.

Mężczyzna znieruchomiał.

Colter wziął sobie do serca zasadę ojca, jak wszystkie z opasłego kodeksu zakazów. Uważał jednak, że słowo „użyć” można różnie interpretować. On rozumiał je nieco szerzej niż Ashton. W tym wypadku użycie broni nie oznaczało naciśnięcia spustu, lecz śmiertelne przerażenie przeciwnika.

Podziałało.

– O... Nie, co ty... Nie! Proszę! Nie chciałem jej nic zrobić. Po prostu sobie stałem. Poprosiłem ją o parę docłów. Od tygodnia nie jadłem. A ona zaczęła się do mnie przystawiać.

Shaw nie odezwał się ani słowem. Nie miał zwyczaju droczyć się ani negocjować. Trzymał nieruchomo pistolet i spokojnie patrzył w hultajską twarz obramowaną wilgotnymi włosami zaczesanymi do tyłu w stylu, który, jak sądził, przestał być modny w okolicach roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego.

Po krótkiej chwili napastnik puścił kobietę. Odsunęła się i oparła o ogrodzenie z siatki, ciężko oddychając. W jej szeroko otwartych oczach malowała się zgroza.

Budynek za siatką zapewne spłonął z pięć lat temu, ale w ciężkim i wilgotnym powietrzu wciąż było czuć spaleniznę.

Mężczyzna schował ostrze noża i chciał go wsunąć do kieszeni.

– Nie. Rzuć to.

– Ale...

– Rzuć.

Szare narzędzie ze stukotem wylądowało na żwirze.

– Zjeżdżaj stąd.

Facet uniósł obie ręce i cofnął się, lecz zaraz przystanął. Przechylił głowę, przymrużył oczy i z cieniem nadziei na twarzy spytał:

– Nie masz przypadkiem dwóch dych na zbyciu?

Shaw się skrzywił, a wtedy tamten wolnym krokiem oddalił się w głąb ulicy.

Colter schował glocka do kabury i się rozejrzał. Oprócz nich na ulicy była tylko jedna osoba – brodaty mężczyzna w czarnej kurtce długości trzy czwarte, wełnianej czapce i z plecakiem Oakland A. Odwrócony plecami do nich i dość daleko. Jeśli nawet widział zajście, to najwyraźniej nie zainteresował go ani jego przebieg, ani uczestnicy. Brodacz wstąpił do małej kawiarni. W San Francisco, gdzie wielu mieszkańców miało włoskie korzenie, można było znaleźć sporo takich niezależnych lokali, niezwiązanych z żadną siecią.

– O Boże – szepnęła kobieta. – Dziękuję! – Była tylko trochę niższa od Shawa, który mierzył nieco ponad metr osiemdziesiąt, miała figurę sportsmenki, a pod obcisłymi,

wytartymi dżinsami wyraźnie rysowały się mięśnie nóg. Szczupłe biodra, długie ręce. Na dłoniach, podobnie jak człowiek, który na nią napadł, miała nabrzmiące żyły. Ciemne włosy były rozpuszczone. Nieumalowana twarz wyglądała na ogorzałą od słońca i wiatru. Na skroni była widoczna blizna, której koniec znikał pod włosami.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jest pan, hm... z policji? – Zerknęła na broń na jego prawym biodrze, po czym przyjrzała mu się badawczo. Jej mina zdradzała nieufność.

Z powodu krótko ostrzyżonych blond włosów, muskularnej sylwetki i małomówności łatwo było wziąć Coltera za agenta federalnego albo detektywa zajmującego się trudnymi sprawami zabójstw czy aktów terrorystycznych. Kobieta przypuszczała zapewne, że akurat pracuje pod przykryciem i występuje w roli motocyklisty, w stosownym rynsztunku: kurtce, granatowej koszuli, czarnym swetrze, który miał ukryć broń, dżinsach i czarnych butach Nocona.

– Raczej kimś w rodzaju prywatnego detektywa.

– Jestem Tricia – powiedziała.

On nie przedstawił się jej ani prawdziwym, ani fałszywym imieniem.

Pokręciła głową, prawdopodobnie dziwiąc się swojemu zachowaniu.

– Głupota, co za głupota...

– Znajdź sobie lepszego dilerę – poradził jej Shaw. – Albo w ogóle przestań brać. – Wzruszył ramionami. – Ale łatwo mi mówić.

Tricia zacisnęła usta i spuściła wzrok.

– Wiem. Próbuję. Idę na jeden odwyk, potem na drugi. Może to właśnie jest dzwonek alarmowy. – Posłała mu blady uśmiech. – Bardzo dziękuję, naprawdę.

Odeszła w przeciwną stronę do tej, w którą oddalił się stwór ze Śródziemia.

6

Shaw z powrotem wszedł do domu, by wrócić do kuchni i dokumentów, ale zatrzymał się w salonie. Patrzył na półkę, na której stała kilkunastocentymetrowa figurka z brązu wyobrażająca bielika amerykańskiego. Ptak miał rozpostarte skrzydła, wysunięte szpony i spoglądał w dół.

Colter wziął posążek i obrócił w dłoni.

W oczach przypadkowego obserwatora figurka, którą trzymał, wyglądała na zgrabnie wyrzeźbioną pamiątkę z rezerwatu przyrody, jedną z droższych, jakie były dostępne w sklepiku z upominkami. Ale dla niego była czymś więcej.

Ostatni raz widział ją wiele lat temu na regale w swoim pokoju w Posiadłości. Potem zaginęła. Od czasu do czasu zastanawiał się, co się z nią stało. Czyżby sam gdzieś ją schował, kiedy sprzątał pokój, by zrobić miejsce na sprzęt czy broń własnej roboty albo na znaleziska, które przynosił z niezliczonych wędrówek po górach: kamienie, szyszki, grotty strzał, kości?

Odnalezienie bibelotu sprawiło mu dużą przyjemność; nareszcie poznał los figurki z brązu. Ojciec zapewne przywiózł ją tutaj, by przypominała mu o młodszym synu. Shaw cieszył się, że nie zginęła na zawsze; zdarzenie, po którym wszedł w posiadanie posążka, było dla niego ważne i niewątpliwie zadecydowało o jego obecnej pracy i stylu życia.

„Wiecznie niespokojny...”

Wizerunek drapieżnego ptaka w locie obok radości obudził w nim także smutek. Wywołał inne wspomnienia, dotyczące jego starszego brata Russella.

Wiele lat temu, podczas jednego z tych okresów, kiedy ojciec czuł się gorzej, Ashton uparł się, by trzynastoletnia wówczas Dorion w środku nocy wspięła się na trzydziestokilumetrową, prawie pionową skałę. To miała być próba. Wszystkie jego dzieci musiały do niej przystąpić, gdy stawały się nastolatkami.

Russell i Colter już tego dokonali, ale doszli do wniosku, że ta inicjacja nie ma sensu, zwłaszcza w przypadku ich siostry. Pod względem sprawności fizycznej Dorie nie ustępowała braciom, wspinała się zręczniejsz niż sam Ashton. Miała już zresztą okazję udowodnić swoje umiejętności, również w nocy.

Dorion, która już wtedy miała swój rozum, uznała po prostu, że nie musi się wspinać. Ani nie chce.

– Ash, nie. – Dziewczyna nigdy nie traciła pewności siebie.

Ojciec nie zamierzał jednak ustąpić. Był coraz bardziej rozdrażniony i natarczywy. Do starcia wmiszał się starszy z braci. On też był przeciwny próbie. Zrobiło się nieprzyjemnie. Pojawił się nóż – sięgnął po niego Ashton – a Russell, wykorzystując umiejętności, jakich nauczył ich ojciec, stanął w obronie siostry i odebrał mu broń.

Mary Dove, psychiatra i naczelną farmaceutka męża, wyjechała wtedy do rodziny w pilnej sprawie, więc w domu nie było nikogo dorosłego, by uspokoił sytuację. Po kilku pełnych strasznego napięcia chwilach ojciec dał za wygraną i wycofał się do swojego pokoju, mamrocząc coś pod nosem. Niedługo potem zginął po upadku z urwiska Echo Ridge.

Okoliczności jego śmierci były podejrzane, na domiar złego okazało się, że Russell skłamał co do miejsca swojego pobytu w chwili tego zdarzenia. W rzeczywistości znajdował się w pobliżu Posiadłości. Shaw podejrzewał, że to właśnie on zamordował ojca. Zdawał sobie sprawę, że to musiała być dla niego bolesna, okropna decyzja, ale zapewne doszedł do przekonania, że ma przed sobą alternatywę: życie Dorie albo życie Ashtona, dokonał więc wyboru. Ojciec był już wówczas zmieniony przez chorobę, w niczym nie przypominał życzliwego i błyskotliwego człowieka i nauczyciela, jakiego znali w dzieciństwie.

Colter długo był przekonany, że brat popełnił ojcobójstwo. Ta myśl dręczyła go przez wiele lat i wykopała przepaść między nimi. Zaledwie parę tygodni wcześniej poznał jednak prawdę: Russell nie miał nic wspólnego ze śmiercią Ashtona. Jej sprawcą był agent BlackBridge, który tamtej zimnej październikowej nocy szedł tropem ojca aż na Echo Ridge. Opowiedział mu o tym Ebbitt Droon we własnej osobie.

– Śmierć twojego ojca... Braxton wolała, żeby umarł, ale najpierw chciała dostać to, czego potrzebowała. Wysłała kogoś, żeby... No, żeby z nim pogadać o tych dokumentach.

„Pogadać”, czyli zmusić go torturami do wyjawienia wszystkiego, co wiedział o wykradzionych przez Amosa Gahla sekretach firmy i dowodach przestępstw.

– Na ile udało nam się ustalić – wyjaśnił Droon – twój ojciec wiedział, że człowiek od Braxton wybiera się do waszej Posiadłości. Wpadł na jego trop i wyprowadził go gdzieś w las, zamierzał go zabić. Zasadzka nie wyszła. Doszło do bójki. Ashton spadł do kanionu.

Dopóki Shaw nie poznał tej zdumiewającej wersji zdarzeń, naprawdę wierzył, że zabójcą ojca był brat. Fałszywe oskarżenia, nawet jeśli nie wypowiedano ich głośno, tak zdruzgotały Russella, że zniknął rodzinie z oczu. Od pogrzebu Ashtona, który odbył się ponad dziesięć lat temu, nikt o nim nie słyszał.

Colter Shaw zarabiał na życie, odnajdując ludzi – dobrych i złych, tych, którzy zaginęli z winy losu i okoliczności, i tych, którzy zatarli za sobą ślady z własnej woli. Nie szczędził czasu, pieniędzy ani wysiłku, by odszukać brata. Nie miał pojęcia, co mógłby mu powiedzieć, gdyby go znalazł. Układał sobie w głowie scenariusz rozmowy, w której próbował tłumaczyć, prosić o wybaczenie, szukać drogi do pojednania. Wszelkie jego wysiłki okazały się jednak daremne. Russell Shaw zniknął – i to zniknął skutecznie.

Colter przypomniał sobie, że zaledwie w zeszłym tygodniu rozmawiał z kimś właśnie na ten temat.

– Co w związku ze swoim bratem uważałeś za największy minus? – spytał jego rozmówca.
– Co najbardziej cię boli?

– Był moim przyjacielem – odpowiedział Shaw. – A ja jego. Ale to zniszczyłem.
Na widok ptaka z brązu jeszcze dotkliwiej odczuł nieobecność Russella.

Postawił posążek na kuchennym stole i wrócił do pliku materiałów ojca. Ślęczał nad dokumentami przez godzinę. Znalazł dwie notatki sporządzone drobnym pismem Ashtona. Nie odnosiły się do żadnego z osiemnastu miejsc, lecz do kolejnych, odkrytych dopiero po tym, jak sprawdził punkty oznaczone na mapie.

W jednej z notatek został wymieniony budynek przemysłowy w Embarcadero, dzielnicy wzdłuż wschodniego wybrzeża San Francisco – magazyn Hayward Brothers.

Na drugiej był adres w Burlingame, południowym przedmieściu, Camino 3884.

Shaw napisał wiadomość do swojej prywatnej detektyw z prośbą o informacje o tych obiektach. Mack McKenzie odpowiedziała, że na temat magazynu nie może ustalić nic ponad to, że jest to historyczny budynek pochodzący z końca dziewiętnastego wieku, obecnie wyłączony z użytku i wystawiony na sprzedaż. Pod adresem w Burlingame znajdował się prywatny dom należący do niejakiego Mortona T. Nadlera.

W dokumentach Shaw natrafił na wizytówkę, która być może wskazywała na trzeci punkt, mianowicie na Bibliotekę Biznesu i Handlu Uniwersytetu Stanforda. Znajdowała się nie w Palo Alto, gdzie uniwersytet miał główną siedzibę, lecz w części miasta nazywanej South of Market. Być może nie miała nic wspólnego z wykradzionymi przez Gahla dowodami; byłyby to dziwna skrytka na torbę kurierską. Ashton Shaw prawdopodobnie zbierał tam informacje. Nigdy nie miał własnego komputera i nie zgadzał się, by ktokolwiek w jego domu używał tego rodzaju urządzeń, więc być może chodził do biblioteki, by korzystać z ogólnie dostępnych terminali.

Shaw postanowił, że będzie to pierwsze miejsce, które odwiedzi. Znajdowało się najbliżej domu przy Alvarez Street. Gdyby tam na nic nie natrafił, sprawdzi dom w Burlingame, a potem magazyn.

Najpierw jednak należało zadbać o środki bezpieczeństwa.

San Francisco było terytorium BlackBridge. Prawdopodobieństwo, że firma nie wiedziała o jego obecności w mieście, wynosiło dziewięćdziesiąt procent. Pozostałe dziesięć procent nie pozwalało jednak na wyłączenie czujności.

Uruchomił w telefonie aplikację.

Jej zadanie polegało na wskazywaniu obecnego miejsca pobytu Ireny Braxton i Ebbitta Droona.

Parę dni temu Braxton, przedstawiając się fałszywym nazwiskiem, dostała się do kampera Shawa i skradła stamtąd teczkę, która, jak sądziła, zawierała mapę Ashtona z zaznaczonymi miejscami ukrycia dowodów Gahla, a także inne materiały. Colter jednak domyślił się wcześniej, kim ona jest, i podłożył jej mapę z osiemnastoma przypadkowo oznaczonymi punktami oraz egzemplarz *Waldena* Henry'ego Davida Thoreau, w którym na marginesach

roilo się od bezsensownych notatek przypominających szyfr. W grzbiecie książki ukrył nadajnik GPS.

W ciągu minionych dwóch dni lokalizator krążył między miejscami, które zaznaczył na mapie. Na dłużej zatrzymywał się w wieżowcu w centrum San Francisco przy Sutter Street, gdzie prawdopodobnie mieściło się lokalne biuro BlackBridge. Właśnie tam znajdował się w tym momencie.

Shaw włączył Google Maps i przyjrzał się okolicom biblioteki Stanforda. Nie spodziewał się raczej problemów, ale na tym polegała jego metoda działania podczas każdego zlecenia. Najlepszą bronią surwiwalowca są informacje.

Co nie oznaczało, że można zaniedbać tradycyjne narzędzia, dlatego jeszcze raz sprawdził glocka.

Nigdy nie zakładaj, że twoja broń jest załadowana i że nie została przypadkowo lub celowo uszkodzona, odkąd ostatni raz jej użyłeś.

Trzystaosiemdziesiątka była załadowana. Jeden nabój tkwił w komorze, sześć w magazynku. To był dobry, niezawodny pistolet, pod warunkiem że strzelec miał pewny chwyt. Ten model był znany z tego, że jeśli używał go ktoś z miękkim nadgarstkiem, to zamek nie wyrzucał łuski i nie dosyłał nowego naboju. Colter Shaw nigdy nie miał z tym problemu.

Wsunął broń do kabury z szarego plastiku, przypinanej do paska od wewnątrz, i sprawdził, czy jest niewidoczna. Zgodnie z zasadami, jeśli ktoś ma zezwolenie na noszenie ukrytej broni, to należy ją naprawdę ukryć, bo w przeciwnym razie jakiś odpowiedzialny obywatel mógłby zauważyć pistolet, wpaść w panikę i zadzwonić na policję.

Miał jeszcze jeden powód.

Nigdy nie zdradzaj przeciwnikowi siły swojej obrony...

7

Nowe zagrożenie.

Stojąc obok motocykla, Shaw zorientował się, że ktoś go obserwuje.

Drobna sylwetka, skórzana kurtka, czapka baseballowa.

Zdradziły go okulary przeciwsłoneczne. Tego ranka raczej niepotrzebne. Był mglisty dzień – czasem biały opar unosił się i rozpływał, czasem ospale tkwił w miejscu jak irytujący gość. W tym momencie snuł się nad ulicą, niosąc zapach wilgotnej jezdnii, spalin, śmieci i morza. W każdym miejscu San Francisco woda była niedaleko.

Po wyjściu z domu i zamknięciu drzwi Shaw dyskretnie rozejrzał się po ulicy. Z początku nie zauważył nikogo prócz tamtego mężczyzny z brodą, którego widział wcześniej, w czarnej kurtce trzy czwarte i wełnianej czapce, z plecakiem Oakland A, który stał u jego stóp. Brodacz siedział przy stoliku przed kawiarnią, popijał z kubka i pisał wiadomość w telefonie. Potem Shaw zerknął we wsteczne lustro yamahy i za najbliższą przecznicą dostrzegł szpiega.

Prawdopodobieństwo pomyłki? Pięćdziesiąt procent.

Jak gdyby nigdy nic odwrócił się i udając, że sprawdza tylne koło motocykla, spojrzął w tamtą stronę.

Mężczyzna zniknął za rogiem budynku, przy którym stał.

Tym samym prawdopodobieństwo, że go śledził, podskoczyło prawie do stu procent.

Kto to mógł być?

Miał podobną sylwetkę do Droona, ale jeśli to był ktoś z BlackBridge, to skąd firma wiedziałaby o tym domu? Zresztą gdyby znali adres, dopadliby go w chwili, gdy wyszedł za próg. Ich bojówka wepchnęłaby go z powrotem do środka, żeby „pogadać” o tym, co robi w mieście i gdzie jego zdaniem są ukryte dowody Gahla.

Podejrzewał, że to raczej ktoś, kto mieszkał w tym domu, znał chiński i rosyjski i z niezwykłą zręcznością konstruował głośne i oślepiające pułapki. Powiedzmy, że na sześćdziesiąt procent.

A prawdopodobieństwo, że ten człowiek jest niezadowolony z faktu, iż w domu pojawił się Shaw i zapewne obejrzał wszystkie wykresy i schematy, które on tak skrzętnie starał się ukryć przed światem? Chyba nie mniejsze niż dziewięćdziesiąt pięć procent.

Może to jeden z kolegów ojca? Albo spadkobierca któregoś z nich, taki jak Shaw?

Możliwe. Nie sposób jednak oszacować prawdopodobieństwa bez bliższych informacji.

Dalton Crowe? Ten zwalasty i nieokrzesany łowca nagród nieraz wchodził Shawowi w paradę i wymieniali się ciosami. Ostatnio trwał w błędnym przeświadczeniu, że Colter podstępem pozbawił go kilkudziesięciu tysięcy dolarów nagrody. Wprawdzie mieszkał daleko od San Francisco, ale słynął z brutalności i nieobliczalnego zachowania, graniczącego z psychopatią. Można się było po nim spodziewać, że będzie gotów pokonać półtora tysiąca kilometrów samochodem, żeby odzyskać dług, nawet wyimaginowany.

To prawda, że Crowe miał posturę sporej lodówki i był dwa razy potężniejszy od szpiega, którego dostrzegł Shaw. Mógł jednak zwerbować kogoś do pomocy. Kiedy jesteś głęboko przekonany, że ktoś jest ci winien pięćdziesiąt kawałków, chętnie poświęcisz trochę kasy, by je odebrać.

Ktoś chciał się zemścić z powodu jakiegoś dawnego zlecenia? Tego też nie można było wykluczyć. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Shaw narobił sobie wrogów w Dolinie Krzemowej, gdy proste zlecenie przerodziło się w znacznie mroczniejszą historię. Ludzie z przemysłu gier komputerowych, których do siebie zraził, byli wyjątkowo pomysłowi i należało zakładać, że równie zawzięci.

Pomyślał o przysadzistym facecie z szerokim torsem, przed którym obronił Tricię. Niezbyt prawdopodobne, by wrócił, ale zdarza się, że ludzie pokonani w walce zjawiają się ponownie z większą siłą i dysząc żądzą zemsty. Byłoby to głupie i bezsensowne, lecz te dwa przymiotniki opisują niemałą liczbę decyzji podejmowanych przez ogół społeczeństwa. Odrzucił jednak tę możliwość z powodu zupełnie innej budowy ciała obserwatora.

Odwrócił się z powrotem w stronę przodu motocykla i odpiął go od słupa latarni, po czym schował imponujący łańcuch i kłódkę. Gdy jeszcze raz zerknął we wsteczne lustro, zobaczył, że jego cień wrócił na punkt obserwacyjny.

Shaw włożył kask i czarne skórzane rękawiczki.

Rozpiął kurtkę i uniósł sweter, by mieć łatwy dostęp do broni, a gdy zaterkotał silnik, wbił butem jedynekę. Mocno przekręcił manetkę gazu. Tylne koło zawirowało, wzbijając kłęb dymu, motocykl wtedy wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wyjechał na ulicę.

Postać zniknęła.

Shaw przekroczył sześćdziesiątkę. Zbliżając się do skrzyżowania, na którym miał zamiar skręcić w prawo, by dopaść szpiega, zredukował bieg i zmniejszył gaz, gwałtownie hamując. Musiał zakładać, że obserwator był uzbrojony i celował w miejsce, w którym on miał się wyłonić zza rogu, więc by nie wystawiać się na ogień, przechylił yamahę w prawo i patrząc w lustro, spojrzał w głąb przecznicy.

Nie dostrzegł zagrożenia, ale... niech to szlag, zobaczył oddalający się samochód.

Znow dodał gazu i rzucił się w pościg.

Który trwał około dziesięciu metrów.

Cholera...

Mocno wcisnął tylny hamulec, a potem dźwignię przedniego, bardziej podstępnego, który mógł człowieka wysadzić z siodełka i przerzucić nad kierownicą. Udało mu się opanować

poślizg i zatrzymać motocykl tuż przed madejowym łóżem przygotowanym najprawdopodobniej przez szpiega, który rozsypał na bruku gwoździe, a potem wskoczył do wozu i pędem uciekł. Sprytna sztuczka, zaimprovizowana kolczatka, jakiej używa policja, by kończyć pościgi. Jeśli obserwator zamierzał nie tylko go śledzić, to wróciłby z bronią już w chwili, gdy Shaw zatrzymał motocykl.

Zdażył dostrzec pojazd – ciemnozieloną hondę accord na kalifornijskich numerach. Nie udało mu się ich odczytać. Samochód zniknął po lewej, mknąc w kierunku wjazdu na autostradę.

Skoro szpieg został zdemaskowany, to czy jeszcze się pojawi?

Na dziewięćdziesiąt pięć procent nie, ale Shaw nie miał żadnych faktów na poparcie tej oceny, mógł się zdać tylko na intuicję.

Zsiadł z yamahy, znalazł kawałek kartonu i zgarnął gwoździe z jezdni do kratki ściekowej – ze względu na bezpieczeństwo innych kierowców, ale także dlatego, że w razie wypadku zjechałyby się wozy ratunkowe, których syreny i światła przyciągnęłyby uwagę, a policja zaczęłaby chodzić po domach w poszukiwaniu świadków.

Nie mógł jeszcze jechać do biblioteki. Ktoś – najwyraźniej wróg – dowiedział się o kryjówce Ashtona. Shaw znowu wskoczył na motocykl i wrócił do domu na Alvarez Street. Tam sfotografował każdy z dokumentów ojca, zaszyfrował i przesłał do swojego zabezpieczonego zasobu danych w chmurze, a kopie przekazał Mack.

Wrócił na ulicę, ponownie odpalił yamahę i ruszył w kierunku głównej drogi, która miała go zaprowadzić do biblioteki Stanforda.

Nagle wszystkie myśli o tożsamości i zamiarach szpiega uleciały mu z głowy. Już po kilku metrach ogarnęło go radosne podniecenie. Wspinaczka skałkowa dawała mu coś w rodzaju intelektualnej przyjemności, a jazda na niskim biegu i wysokich obrotach, pokonywanie ostrych skrętów i stromych wzniesień ulic na śliskich oponach to był po prostu czysty, upojny trans.

Shaw widział kryminalny thriller *Bullitt* z lat sześćdziesiątych, w którym Steve McQueen – Shaw był zresztą uderzająco do niego podobny, o czym stale mu przypominano – pędzi fordem mustangiem po krętych i falistych ulicach San Francisco, goniąc dwóch zabójców uciekających dodge'em chargerem. To była najlepsza scena pościgu samochodowego nakręcona w historii kina. Gdy Shaw jechał motocyklem przez to miasto, zawsze korzystał z okazji, by spenetrować jego skomplikowaną i fascynującą topografię i jak detektyw Frank Bullitt od czasu do czasu akrobatycznie wyskakiwał w powietrze i z lubością wpadał w widowiskowe poślizgi.

Teraz pruł przez dzielnicę Mission, w której stał dom przy Alvarez Street.

Darzył ją sympatią, ponieważ przed kilku laty spędził tu parę tygodni, pracując nad pewnym zleceniem. Kiedyś dzielnica była słabo zaludniona, aż do osławionego trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset szóstym roku, które zniszczyło większą część San Francisco. W Mission było wtedy więcej otwartej przestrzeni i w związku z tym wstrząsy sejsmiczne

i pożary spowodowały mniej szkód, dlatego zaczęli tu napływać mieszkańcy, by zacząć nowe życie. Biali, przede wszystkim polskiego i niemieckiego pochodzenia, a także Latynosi i Meksykanie. Od początku do połowy lat dwudziestych w dzielnicy rządziły nieuczciwość, brutalna siła i stan bliski bezprawiu. Potem niewiele lepiej było aż do lat siedemdziesiątych, gdy wybuchła kontrkultura.

Mission stała się główną sceną muzyki punkowej w mieście i centrum społeczności gejów, lesbijek i osób transpłciowych.

Podczas poszukiwania bliźniaków Bensonów Shaw poznał jeszcze jeden ciekawy fakt na temat dzielnicy: zamieszkiwało ją wiele osób, których rodziny wywodziły się z półwyspu Jukatan. W tej części, przez którą właśnie jechał, wielu mieszkańców porozumiewało się przede wszystkim ekspresyjnym i skomplikowanym językiem maya. Minął właśnie trawiasty park In Chan Kajaal, którego nazwa w języku maya oznacza „Moje Miasteczko”.

Jadąc na północ, opuścił Mission i znalazł się w SoMa, bo tak brzmiał śmieszny wielkomijski skrót od South of Market. Wśród osób starszej daty dzielnica była znana także pod nazwą South of the Slots, czyli „na południe od szczelin”, którą zawdzięczała nieczynnej dziś linii tramwaju linowego biegnącej wzdłuż Market. Podobnie jak Mission, SoMa miała ciekawą historię, ale jej wielobarwność ustępowała przed nacierającym biznesem. W dzielnicy można było znaleźć dziesiątki biur, muzeów, galerii, sal koncertowych i widowiskowych. Co powiedzieliby na to punkowcy?

Colter dotarł do biblioteki, która znajdowała się na północnych obrzeżach SoMa, w zamożniejszej części dzielnicy, blisko centrum finansowego, siedzib firm prawniczych i korporacji, które zapewne korzystały z usług biblioteki biznesu i handlu.

Zatrzymał się przy krawężniku naprzeciwko i nie wyłączając silnika, przyjrzał się funkcjonalnemu, dwukondygnacyjnemu budynkowi z aluminium i szkła. Pod względem architektonicznym nie wydawał się ciekawy. Mimo to Shaw obserwował go uważnie. Widział wchodzących i wychodzących ludzi ubranych przede wszystkim w klasyczne garnitury. Czasem pojawiał się goniec czy kurier.

Udając, że rozmawia przez telefon, obserwował procedury obowiązujące przy wejściu.

Główne drzwi prowadziły do obszernego holu, gdzie zobaczył dwoje innych. Wejście po lewej, naprzeciwko dyżurki strażników, było przeznaczone dla gości. Drugie, po prawej – dla członków biblioteki. Goście korzystający z ogólnie dostępnego wejścia musieli przejść przez bramkę z wykrywaczem metali i wrzucić zawartość kieszeni do koszyka, aby ją zbadano. Należało też pokazać jakiś dokument strażnikowi, który wpisywał nazwisko na listę, ale nigdzie nie potwierdzał tożsamości wchodzącej osoby.

Shaw wrzucił bieg i oddalił się kawałek od biblioteki, po czym zatrzymał motocykl przy miejscu zarezerwowanym dla rowerów i skuterów. Długim łańcuchem przypiął yamahę do słupka. Do blokady doczepił też kask. Rozglądając się, wsunął kaburę z glockiem i nóż do zamykanego schowka pod siodełkiem, który skonstruował właśnie w tym celu. Sprawdził, czy jest włączony ukryty nadajnik GPS, działający podobnie jak moduł radiowy systemu

LoJack – nawet podwójne zabezpieczenie motocykla mogło nie wystarczyć, by powstrzymać zdeterminowanego złodzieja.

Colter nie lubił pozbywać się broni, ale nie miał wyboru. Pomyślał jednak, że nie może do tego stopnia ulegać paranoi ojca. W końcu co złego mogłoby go spotkać w bibliotece?

8

Miał już przygotowaną szczegółową historyjkę.

Carter Skye, pracownik kancelarii prawnej Dorion & Dove, został wysłany przez firmę, by sprawdzić w źródłach kwestię związaną z prawem ubezpieczeniowym. Ta przykrywka nie była w stu procentach wyszana z palca. Kiedy przed laty Shaw zawodowo zajmował się prawem, miał zbadać podobny temat dla jednego z partnerów kancelarii. Chodziło o złożony problem dotyczący subrogacji – gdy firma ubezpieczeniowa wypłaca odszkodowanie, a potem stara się wyegzekwować wyrównanie strat w imieniu ubezpieczonego.

Sympatycznego strażnika, Latynosa, w ogóle nie interesował cel wizyty Skye'a/Shawa, a Shaw miał liczne doświadczenia pracy pod przykryciem, więc wiedział, że nigdy nie należy z własnej inicjatywy uzupełniać całkiem niewinnej historyjki dodatkowymi szczegółami, aby nie wzbudzić podejrzeń.

– Jest jakaś opłata? – zapytał.

Strażnik odparł, że jeśli nie reprezentuje żadnej uczelni, to wejście kosztuje dziesięć dolarów, które Colter wręczył mu gotówką. Potem został poproszony o pokazanie dokumentu ze zdjęciem, a także odnotowanym wzrostem, wagą ciała i kolorem oczu. Wyjął z kieszeni dowód na nazwisko Skye'a – pod taką przykrywką występował podczas ostatniego zlecenia; Mack świetnie sobie radziła z fabrykowaniem nowych personaliów (było to zupełnie legalną praktyką, pod warunkiem że nie wiązało się z żadną próbą oszustwa ani obejścia prawa).

Zaszumiała maszyna i wypluła samoprzylepny identyfikator z jego fotografią. Shaw przykleił go na piersi.

Zastanawiał się, czy nie pokazać zdjęcia Amosa Gahla – sfotografował telefonem portret z artykułu o jego śmierci – i zapytać strażnika, czy pamięta tego człowieka. Mężczyzna był jednak młody, a jeżeli Gahl korzystał z biblioteki, to musiał tu być wiele lat temu.

– Co tam jest? – Shaw wskazał na podwójne drzwi po prawej.

TYLKO DLA CZŁONKÓW

– Przed wszystkim historyczne dokumenty.

– Prawne?

– Też. Poza tym plany zagospodarowania przestrzennego, nieruchomości, archiwa dokumentów rządowych.

– Tak? Moi partnerzy prowadzą sprawę, której wątki sięgają trzydziestu, czterdziestu lat wstecz. Szukam dawnych orzeczeń sądowych w kwestiach mieszkalnictwa. Jak mogę tam wejść?

Miał nadzieję, że zza drzwi nie wyjdzie starszy bibliotekarz, żeby go spytać, czego dokładnie sobie życzy.

– Musi się pan umówić. Proszę zadzwonić pod ten numer. – Strażnik podał mu wizytówkę, która powędrowała do kieszeni džinsów. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że ojciec lub Gahl korzystali z publicznej części biblioteki. Gdyby niczego tam nie znalazł, może zacznie wkuwać dawne kalifornijskie prawo dotyczące nieruchomości i spróbuje dostać się do części dla członków.

Podziękował strażnikowi, po czym przeszedł przez wykrywacz metalu, który nie zapiszczał, i wkroczył do przestronnej i mocno oświetlonej ogólnodostępnej części biblioteki.

Dokąd teraz?

Budynek wyglądał luksusowo, jak można się było spodziewać po obiekcie należącym do jednego z najlepiej wyposażonych uniwersytetów w kraju. Pośrodku znajdowało się stanowisko bibliotekarza z okrągłą ladą. Siedział tam czarnoskóry mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, w beżowym garniturze, i w skupieniu patrzył w monitor komputera.

Od środka promieniście rozchodziły się rzędy stołów i wygodnych stanowisk komputerowych z dużymi monitorami. Na każdym z nich przesuwiał się leniwie wygaszacz ekranu – nazwa biblioteki ułożona z dużych liter, odbijająca się od wszystkich krawędzi. Na stołach i przy boksach z terminalami użytkownik mógł skorzystać z przyborów biurowych: długopisów, bloków do pisania, samoprzylepnych karteczek, spinaczy. Tę otwartą przestrzeń otaczały regały pełne książek i czasopism. Dwie ściany pomieszczenia były przeszklone, a w głębi znajdowało się kilkanaście gabinetów czy pokoi konferencyjnych. Antresolę na piętrze otaczały rzędy regałów i pokoi, tak samo jak na dole.

W części na parterze było niewielu czytelników. Nad starymi książkami ślęczeli dwaj starsi biznesmeni, którzy dla wygody zdjęli marynarki. Przy komputerach siedzieli młoda kobieta w kraciastej sukience oraz szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli – oboje wyglądali na trzydzieści kilka lat.

Shaw rozejrzał się, instynktownie szukając dróg ewakuacji. Oczywiście nie wyczuwał tu żadnego zagrożenia, ale wyznaczenie drogi ucieczki to elementarz sztuki przetrwania. Robił to odruchowo, zawsze i wszędzie.

Nigdy nie trać orientacji...

Było główne wejście i schody prowadzące na piętro. Winda. Szklane drzwi za regałami, które prowadziły do części biblioteki przeznaczonych tylko dla członków. Zaraz za nimi znajdował się jeden z pokoi konferencyjnych, który mógł prowadzić do innych wyjść w głębi budynku, choć w tym momencie był zajęty; znajdowali się w nim bizneswoman w średnim

wieku i szczupły mężczyzna w ciemnej sportowej kurtce, zwróceniu plecami do szklanych drzwi. Po drugiej stronie stołu naprzeciwko nich siedział posępny mężczyzna o bardzo jasnych włosach. Drzwi były wyposażone w zamek, trudno było jednak zgadnąć, czy są zamknięte na klucz.

W przeszklonej ścianie po lewej znajdowały się drzwi pożarowe, zabezpieczone alarmem. Wychodziły na boczną ulicę. Prócz tego Shaw dostrzegł męską i damską toaletę oraz drzwi z tabliczką MAGAZYN.

Odnosił w pamięci wszystkie informacje i zabrał się do pracy. Przy założeniu, że jego ojciec uznał bibliotekę za miejsce, w którym być może znajdują się wykradzione przez Gahla dowody, gdzie dokładnie powinien szukać schowka?

Sądził, że Gahl nie ukrył całej torby kurierskiej, bo jak można było przypuszczać, nie była to drobna sztuka bagażu; musiała rzucać się w oczy. Prawdopodobnie opróżnił ją, a zawartość – kopie obciążających e-maili, korespondencji, arkuszy kalkulacyjnych, dyski, pamięci przenośne – wszystko jedno, co to było – schował w jakimś miejscu, do którego zaglądało mało osób. Może między stronami książki czy czasopisma, może w zakamarkach między tomami na regałach lub górnych półkach, może między szufladami przy stanowiskach komputerowych.

Przespacerował się między regałami, które wypełniały tytuły w rodzaju *Odpowiedzialność wobec roszczeń na skutek kolizji morskich: zatoki i porty; Przeciw zasłonie korporacyjnej: podręcznik rejestracji spółek non profit*. Co najmniej cztery, pięć tysięcy książek. Zauważył, że wiele z nich jest przestarzałych, na przykład *Kto jest kim na rynku handlowym San Francisco: 1948*. Czy mógł być lepszy schowek na dokumenty, płytę CD albo pendrive niż tego rodzaju tytuł? W widocznym miejscu, ale w książce, do której chyba nikt nie miał potrzeby zaglądać.

Shaw ocenił, że przejrzanie tych wszystkich tomów trwałoby miesiąc. Nie sposób też byłoby tego zrobić, nie budząc podejrzeń... Nie, Gahl nie był głupi. Ukrył dowody, bo wiedział, że grozi mu śmierć. Musiał wybrać miejsce, które ktoś – kolega czy policjant – mógł odkryć drogą dedukcji.

Zauważył, że bibliotekarz patrzy w jego stronę.

Przyjaźnie skinął głową czarnoskóremu mężczyźnie, po czym podszedł do jednego ze stanowisk komputerowych i usiadł. Poruszył myszką i wyświetliła mu się wewnętrzna baza danych zasobów biblioteki. Właśnie o to mu chodziło. Wpisał *Gahl, Amos. Nic. Potem Shaw, Ashton*. Też zero wyników.

Ale przy *BlackBridge* coś znalazł.

Program odsyłał go do książki pod tytułem *Licencje przedsiębiorstw w Kalifornii*, tom I.

Czyżby Gahl przewidział, że Ashton Shaw lub ktoś inny wpisze nazwę firmy do bibliotecznej wyszukiwarki, i ukrył dowody właśnie w tej książce?

Sprytna i prosta wskazówka.

Katalog wskazał mu regał niedaleko stanowiska bibliotekarza. Zgadza się, książka stała na półce – gruba, w ciemnoczerwonej, skóropodobnej oprawie. Wziął tom z półki i postawił na podłodze. Następnie zdjął kilka stojących obok i za nie zajrzał. Niczego nie zobaczył, sięgnął więc w głąb i dotknął chłodnego metalu. Nic. Odstawił na miejsce pozostałe książki, po czym zabrał *Licencje* do stanowiska komputerowego.

Zaczął oględziny od otwarcia pozycji i sprawdzenia, czy Gahl nie wydrążył jej, by ukryć wewnątrz pendrive albo kartę pamięci. Nie, nie wydrążył. Między stronicami nie było też żadnych złożonych dokumentów ani notatek. Księga zawierała po prostu listę przedsiębiorstw z licencjami na prowadzenie działalności w stanie. Shaw otworzył na hasło „BlackBridge”, sądząc, że logika podpowiadałaby, aby właśnie tutaj coś ukryć albo zostawić wskazówkę, gdzie szukać materiałów. Nic. Przeczytał wpis. Wymieniono tylko nazwę firmy, bez żadnych dodatkowych informacji. Przedsiębiorstwo miało siedzibę w Los Angeles, o czym już wiedział, a także biura w San Francisco i innych miastach.

Oglądał opasłe tomisko strona po stronie. Żadnych dowodów, żadnych notatek ani zapisków na marginesach. Pomacał też grzbiet.

Nic.

Niech to szlag. Odłożył księgę na regał i jeszcze raz wrócił do komputera.

Do okna wyszukiwarki wpisał następne hasło. Nazwisko radnego zamordowanego przez BlackBridge: *Zaleski, Todd*. Brak wyników. Może Gahl miał zdolności do tworzenia anagramów lub innych subtelnosci? Shaw zaznaczył w polu wyszukiwania różne warianty hasła.

Spróbował wpisać *PRU* i *Plan Reformy Urbanistycznej*.

Bez skutku.

Usunął historię wyszukiwania, a potem uśpił komputer, bo doszedł do wniosku, że biblioteka jednak nie jest miejscem, w którym Gahl ukrył materiały. Może jego poprzednia teoria była trafna. Ojciec po prostu korzystał z tutejszych komputerów w bibliotece, żeby szperać w internecie.

Czyli stracił tylko czas.

Nie, poprawił się Colter. To nie była prawda; eliminacja potencjalnego tropu nigdy nie jest stratą czasu, a wizyta w bibliotece przybliżyła go o krok do celu. Takiego nastawienia nauczyła go praca łowcy nagród. Cel osiąga się krok po kroku.

Zanim wyszedł, wyjął telefon i uruchomił aplikację odbierającą dane z urządzenia ukrytego w egzemplarzu *Waldena*, który Braxton i Droon przypuszczalnie nadal mieli ze sobą. Rozczarowany zobaczył, że lokalizator nie działa. Aplikacja pokazywała na mapie pozycję Shawa zamiast książki. Trudno, i tak nie sądził, że urządzenie będzie funkcjonować wiecznie. Po chwili zmarszczył brwi, ponieważ zauważył, że środek pulsującego kółeczka, które wskazywało położenie lokalizatora, nie znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie siedział, lecz około dziesięciu metrów od niego.

Odświeżył obraz mapy. Kółeczko pozostało dokładnie w tym samym miejscu co przed chwilą.

Nie, niemożliwe...

Oddychając szybciej i słysząc łomot krwi we własnych skroniach, wysłał wiadomość do Mack i dołączył kod, którego używali w sprawach wymagających natychmiastowej uwagi – spytał ją o bibliotekę.

Odpowiedź nadeszła w ciągu sześćdziesięciu sekund – ta kobieta chyba zawsze dyżurowała pod telefonem.

Biblioteka nie należy do Stanforda ani żadnego innego uniwersytetu. Właścicielem jest zagraniczna spółka, prezes to Ian Helms, szef BlackBridge. Jesteś tam?

Odpisał:

Tak.

Telefon zabrzączał dwie sekundy później:

SPRDL

Miał zastosować plan awaryjny, jaki przygotowują wszyscy praktycy surwiwalu na wypadek ataku przeciwnika. Radziła mu ewakuację, ujmując to w niezbyt cenzuralnej formie.

9

Biblioteka okazała się przykrywką.

Centrala BlackBridge w San Francisco nie mieściła się w wieżowcu przy Sutter Street w centrum, lecz w tym budynku, w części udającej dział przeznaczony tylko dla członków.

Shaw spojrział w stronę, gdzie lokalizator pokazał położenie książki z nadajnikiem, i uświadomił sobie, że ludzie siedzący plecami do niego za szklanymi drzwiami, które prowadziły do drugiego skrzydła budynku, to Irena Braxton i Ebbitt Droon.

Gdy zerknął tam jeszcze raz, zauważył w pokoju konferencyjnym czwartą osobę. Mężczyzna chodził po pomieszczeniu z założonymi na piersi rękami i z miną, jak gdyby się nad czymś zastanawiał. Chyba zadał jakieś pytanie – uniósł ręce, a na jego twarzy odmalowała się irytacja. Po chwili, gdy prawdopodobnie usłyszał czyjąś odpowiedź, pokiwał głową i dalej chodził, patrząc z roztargnieniem w kierunku ogólnodostępnej części biblioteki.

Prezes BlackBridge. Ian Helms, przystojny mężczyzna o sylwetce sportowca, był ubrany w doskonale skrojony garnitur, na przegubie jednej ręki nosił złotego roleksa, a na drugiej złotą bransoletę.

Colter po raz pierwszy miał okazję zobaczyć człowieka odpowiedzialnego za śmierć ojca.

Helms najprawdopodobniej nie miał pojęcia, jak Shaw wygląda, ale nie można było ryzykować. Powoli wstał od komputera i zniknął między regałami.

SPRDL...

Okrażając salę biblioteki, skierował się do drzwi wyjściowych. Szedł z opuszczoną głową, miarowym, ale niezbyt szybkim krokiem.

Tyle że zatrzymał się po pięciu metrach.

Został przyłapany.

Spod osłony rzędów książek zobaczył, jak z holu do ogólnodostępnej części biblioteki wchodzi rosły strażnik. Przechylił łysą, opaloną głowę, słuchając komunikatu przez słuchawkę, jaką noszą agenci Secret Service, ze spiralnym przewodem, którego koniec zniknął pod marynarką. Podeszedł do bibliotekarza siedzącego pośrodku sali. Wymienili parę słów, rozglądając się dookoła. Marynarka ochroniarza rozchyliła się i ukazała się rękojeść pistoletu. Dołączył do nich drugi strażnik, szczuplejszy i bledszy od pierwszego, ale też wysoki. I uzbrojony. Shaw zauważył, że trzyma dłoń blisko broni.

Jak się o nim dowiedzieli?

Zaraz dostał odpowiedź.

Wyższy ze strażników, który bardziej przypominał wykidajkę w klubie niż pracownika ochrony, zbliżył się do terminala, przy którym jeszcze przed chwilą siedział Shaw, i przyjrzał się komputerowi. Szczuplejszy stanął obok niego.

Colter wpisał właśnie cały wachlarz haseł, które musiały zmienić systemowe bity w oszalale od zapachu krwi psy gończe.

Shaw... Gahl... BlackBridge.

W sieci działał jakiś program, który zgłaszał wyszukiwanie kluczowych słów, a więc wyspał go komputer.

To jeszcze nie wszystko, pomyślał z goryczą. Zerkając między regałami, zauważył, że tuż nad książką, w której znalazł nazwę BlackBridge, jest zainstalowana kamera. Być może tam umieszczono tam właśnie z tego powodu: by uchwycić każdego, kogo zainteresowała firma. Wyższy z ochroniarzy patrzył teraz na monitor przy stanowisku bibliotekarza. Obaj strażnicy odwrócili się w stronę półki, na której stał tom *Licencji przedsiębiorstw*.

Dobra, plan ucieczki.

Rzucić jakąś książką, a kiedy strażnicy ruszą w kierunku, z którego dobiegnie hałas, pobiec sprintem do wyjścia?

Nie, to nic nie da. Do akcji wkroczyli Droon, Braxton i agent BlackBridge z tlenionymi włosami. Byli już w holu i zmierzali w kierunku ogólnodostępnej części biblioteki. Twarz Braxton wyrażała głęboki niepokój. Droon i Blondyn byli skupieni jak myśliwi podchodzący wapiti. Towarzyszył im Ian Helms.

Shaw cofnął się pod ścianę, schowany za rzędami regałów. Przesuwając się w głąb sali, zauważył, że wiele tytułów na półkach się powtarza. Dwa, trzy, kilkanaście razy. Ten szczegół potwierdzał przypuszczenie, że choć w tej części biblioteki naprawdę można było szukać informacji, to była to również pułapka.

Jej mechanizm opracowała ochrona BlackBridge. Każdy, kto interesował się firmą – detektywi, przedstawiciele konkurencji, wszyscy, którzy mieli do niej urazę albo chcieli się zemścić – mógł znaleźć wskazówki prowadzące do biblioteki. Przy wejściu nie trzeba się było poddawać prawie żadnej kontroli. Następnie intruz pytał o coś bibliotekarza albo jak Shaw wpisywał hasło do wyszukiwarki i od razu identyfikowano go jako zagrożenie. Następnie zapewne stosowano zaawansowany system rozpoznawania twarzy i inne techniki, by ustalić tożsamość podejrzanego i rodzaj niebezpieczeństwa, jakie mogło grozić z jej strony, albo – w zależności od tego, co przeglądała – uznać, że nie stanowi żadnego zagrożenia. Nie zdziwiłby się, gdyby BlackBridge miał jakieś skanery DNA na klamkach drzwi i klawiszach komputerów. Na pewno skanowano specjalistycznymi urządzeniami siatkówkę oka i odciski palców. Następnie „winowajcy” wychodzili, pozostawiając swoje nazwiska w bazie danych.

A może wścibscy klienci w ogóle stąd nie wychodzili.

Ashton mógł podejrzewać, że obiekt należy do BlackBridge, i zamierzał to sprawdzić, ale zginął, zanim zdążył się do tego zabrać. I być może stąd wzięła się wizytówka, którą Shaw

znalazł w tajnym pokoju w domu przy Alvarez Street.

Wyższy ze strażników spoglądał na Irenę Braxton i pokazywał palcem krzesło przy komputerze, gdzie jeszcze parę minut temu siedział Shaw.

On tymczasem ocenił siły przeciwników. Ian Helms wyglądał na dość sprawnego fizycznie, lecz Colter przypuszczał, że nie będzie miał ochoty brudzić sobie rąk, zwłaszcza w obecności uzbrojonych goryli. Braxton, krępa kobieta w średnim wieku, jeśli nawet była bezwzględna, to pod względem fizycznym wydawała się niezbyt groźna, chyba że w swojej wielobarwnej torebce chowała broń.

Prócz dwóch strażników zagrożenie stanowili Ebbitt Droon i jasnowłosej ponury zbir. Droon, choć drobnej postury, był umięśniony i silny. Prawdopodobnie nosił przy sobie tę samą czterdziestkę, którą poprzednio groził Shawowi. Zapewne z tłumikiem, więc głośniejszy od huk wystrzału byłby trzask kości łamanych przez pocisk.

Blondyn wyglądał na zbudowanego z samej tkanki mięśniowej i najprawdopodobniej też był uzbrojony.

Z drugiej strony na korzyść Shawa przemawiała obecność świadków: czworga czytelników – trzech mężczyzn i kobiety. Wątpił, aby byli w to zamieszani. Oznaczało to, że BlackBridge chyba nie może go zlikwidować w najprostszy sposób – jednym strzałem.

Gdyby wymknął się napastnikom szukającym go między regałami i przedarł się do przedniej części sali, może jednak udałoby się pokonać sprintem hol i uciec głównym wejściem.

Po chwili jednak tarcza Shawa rozprysła się jak bańka mydlana. Bibliotekarz podszedł do czworga potencjalnych świadków i chyba poprosił ich, by wyszli, i to jak najszybciej. Posłuchali, wynosząc się z popłochem na twarzach. Zapewne usłyszeli, że chodzi o ich bezpieczeństwo. W dzisiejszych czasach ludziom wystarczyło krótkie ostrzeżenie, by czym prędzej się ewakuowali. Uciekali, zastanawiając się: może terroryści albo uzbrojony szaleniec, albo bomba.

Patrząc ciągle na główne wejście, Shaw zwrócił uwagę, że Ian Helms szybkim krokiem kieruje się na zewnątrz; nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co miało się tu rozegrać.

Braxton zajęła miejsce przy drzwiach od frontu, natomiast Droon o szturczyj twarzy z przejęciem rozmawiał z dwoma strażnikami, którzy znacznie przewyższali go wzrostem. Podbiegli do okrągłej lady, za którą bibliotekarz wskazywał na monitor, pokazujący zapewne obraz z kamery. Przeglądali nagrania z ostatnich trzydziestu minut i niebawem zorientują się, że poszukiwany nadal jest na parterze.

Shaw dostrzegł, że zgasła lampka przy windzie. Została wyłączona.

Może po schodach na piętro, a potem na zewnątrz przez górne okna?

Odrzucił ten plan, uznając, że ma w najlepszym razie dwadzieścia procent szans powodzenia. Skok z pierwszego piętra nie jest niemożliwy do wykonania, zwłaszcza gdy ląduje się na trawie albo w śmieciach, ale on zaobserwował wcześniej, że ze wszystkich czterech stron budynek otaczają asfaltowe albo brukowane chodniki. Groziło mu skręcenie

kostki. Nie chodziło o ból – przeżył już gorsze rzeczy – ale uraz ograniczyłby możliwość ucieczki i zdał go na łaskę i niełaskę Droona i pozostałych. Trzeba wylądować idealnie, by uniknąć złamania kości, bo ból pozbawiłby go zupełnie sił. Poza tym okna na górze prawdopodobnie były szczelnie zamknięte, tak samo jak te na parterze.

Skok z dachu w ogóle nie wchodził w grę.

Wciąż chowając się pod ścianą w głębi, jeszcze raz zastanowił się nad ucieczką przez główne drzwi. Pięć do dziesięciu procent. Musiałby minąć Droona, Blondyna i dwóch uzbrojonych strażników. Nie można było wykluczyć, że bibliotekarz też ma broń. Shaw zresztą zakładał, że to wyjście i tak zostało już zamknięte.

Okna? Powodzenie tego planu ucieczki oceniał najwyżej na dziesięć procent. Szyby były grube, antywłamaniowe. Musiałby wiele razy uderzać w nie krzesłem i zanim zdołałby wybić okno, Droon i reszta na pewno by go dopadli.

Zadzwoić pod 911?

Ashton z pewnością reagował zbyt paranoicznie na wiele zagrożeń, ale Shaw przypomniał sobie wiadomość, jaką ojciec zostawił w domu przy Alvarez Street:

Nie ufać nikomu. Niektóre lokalne służby – straż pożarna i inne – są opłacane przez BlackBridge. Dowody powinny trafić do Waszyngtonu albo Sacramento.

Poza tym, nawet gdyby na miejscu zjawili się uczciwi funkcjonariusze policji, to Shaw musiałby wyjaśnić charakter swoich podejrzeń wobec firmy, bez twardych dowodów Gahla nie miał jednak niczego, co potwierdzałoby przestępczą działalność BlackBridge.

Musiałby także odpowiedzieć za telefon pod numer alarmowy, skoro nie było żadnego zagrożenia z użyciem siły, a przecież Braxton wszystkiemu by zaprzeczyła i przedstawiła go jako niebezpiecznego intruza.

Uznał telefon na policję/straż pożarną za ostateczność i postanowił ratować się w inny sposób.

Wybrał drzwi pożarowe. Oceniał powodzenie tego manewru na siedemdziesiąt procent. Drzwi wychodziły na boczną uliczkę, dlatego nie mógłby od razu ruszyć do motocykla; musiałby przebiec przed frontem budynku. Przeciwnicy zobaczyliby go i po prostu wybiegli przed główne wyjście, by go zatrzymać.

Nie, gdy znajdzie się w bocznej uliczce, skręci w prawo i oddali się od yamahy. Potem jeszcze raz skręci w prawo, w następny wąski zaułek, który zapamiętał, studiując wcześniej mapę. Gdy minie trzy czy cztery skrzyżowania, dotrze do parku otoczonego sklepami i restauracjami. Tam wmisza się w tłum i pobiegnie dalej na północ, następnie skręci na wschód i wreszcie na południe, żeby dotrzeć do zaparkowanego motocykla, nie zbliżając się do biblioteki.

Shaw był dobrym biegaczem, bo Ashton ćwiczył dzieci zarówno w sprincie, jak i w biegu długodystansowym, stawiając im za wzór słynne plemię biegaczy Tarahumara z Sierra Madre w Meksyku.

Nie miał wątpliwości, że bez trudu prześcignąłby chudzielca Droona i muskularnego Blondyna. A strażników? Wyższy nie wyglądał na biegacza; był zbyt masywny. Ten szczuplejszy? Mógł być szybki.

Oczywiście Shaw nie będzie mógł uchylać się przed kulami, a wielką niewiadomą było, czy nie zaryzykują i nie użyją broni w miejscu publicznym. Właśnie dlatego dawał ucieczkę przez drzwi pożarowe tylko siedemdziesiąt procent szans powodzenia.

Spojrzał przez szparę między rzędami książek o branży ubezpieczeniowej. Braxton stała przy drzwiach prowadzących do holu i z rękami skrzyżowanymi na piersi rozglądała się po sali. Droon i Blondyn ruszyli w stronę regałów po lewej od Shawa. Strażnicy, trzymając się razem, zaczęli go zachodzić od drugiej flanki.

Colter zbliżył się do drzwi pożarowych.

NACISNAĆ DŹWIGNIĘ. UWAGA, ALARM.

Miał nadzieję, że nie działają jak wyjścia ewakuacyjne na lotniskach; tam po naciśnięciu dźwigni rozlega się głośny alarm, ale zamek pozostaje zablokowany przez piętnaście sekund – by ochrona zdążyła podejść i sprawdzić, kto chce wyjść na płytę lotniska.

Głęboko zaczerpnął tchu, przygotowując się do biegu.

Mocno nacisnął dźwignię na drzwiach.

Bez oporu przesunęła się aż do końca. Nic się nie stało. Nie włączył się alarm, drzwi się nie otworzyły.

Mechanizm został unieruchomiony.

Shaw wysupłał z kieszeni klucze do domu przy Alvarez Street i próbował podważyć nimi zamek. Bez skutku. Spróbował cieńszym kluczykiem do yamaha. Też nic.

Wsunął się do jednego ze stanowisk komputerowych i wyjrzał spod niego. Pętla już się zaciskała. Zobaczył nogi i stopy. Czterej myśliwi za parę sekund wezmą go w kleszcze.

Pora na ostatnią deskę ratunku. Zerknął na ścianę, po czym skulony podbiegł do niej i ukląkł tuż pod skrzynką alarmu przeciwpożarowego.

Sięgnął w górę, celując w przycisk.

– Patrzcie państwo – usłyszał wysoki, melodyjny głos, którego sztucznie radosny ton mógł wywołać dreszcz grozy. – Wyłączyliśmy to piszczałko, co nie? – ciągnął Ebbitt Droon. – Wszystko to na pańską cześć, panie Colterze Shaw.

10

Do Droona i Blondyna dołączyli dwaj strażnicy.

Wstając, Shaw przyjrzał się Blondynowi, którego oczy miały barwę hebanu, co potwierdzało przypuszczenie, że jego włosy zawdzięczają swoją wściekłą żółć chemii, a nie genom. Colter widział już kiedyś takie oczy: zgarnął dwadzieścia tysięcy dolarów nagrody za wytropienie w pobliżu Tulsy seryjnego mordercy. Kiedy ten człowiek był już w kajdankach, patrzył na niego wzrokiem, który mówił: jeżeli jeszcze raz uda mi się uciec, to jesteś następny na mojej liście. Blondyn miał coś podobnego w oczach.

– Jest nasz pan Krnąbrny – powiedział Droon. – Nie posłuchałeś mojej rady, a dałem ci ją chyba parę tygodni temu, prawda? Wielki Boże, ciekawy z ciebie okaz.

Shaw posłał mu uważne spojrzenie. To nie chudy Droon – gangi nazwałyby go szkieletorem – mocował się z jego ojcem na grzbiecie Echo Ridge, ale pracował dla organizacji odpowiedzialnej za śmierć Ashtona, w oczach Coltera ponosił więc taką samą odpowiedzialność jak zabójca.

Droon popatrzył na niego spod przymrużonych powiek, a jego buta i szelmstwo nagle się ulotniły. Odwrócił wzrok.

Shaw rozejrzał się w lewo i w prawo, bez pośpiechu lustrując część pomieszczenia, w której się znajdowali. Zmierzył wzrokiem strażników i Blondyna.

Szkieletorowi wróciła pewność siebie.

– Parę tygodni – powtórzył. – Miałeś kupę czasu na przemyślenie tego, co ci powiedziałem, żebyś trzymał się z daleka od naszych spraw. Ale zdaje się, że nie dotarło. Czemuż to?

Mówił z wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu, a przy tym jak ktoś, kto jest nieźrównoważony.

– Kto komu wchodzi w drogę, Droon? Odpowiedz mi. Przecież to ty byłeś kilka dni temu w Tacomie i podpaliłeś komuś całkiem ładnego SUV-a tylko po to, by twoja szefowa mogła mnie okraść.

Pożar, który wybuchł w nissanie pathfinderze, wzniecono, aby odwrócić uwagę Shawa. Irena Braxton mogła w tym czasie ukraść fałszywą mapę i egzemplarz *Waldena* z ukrytym lokalizatorem GPS. Colter udawał teraz zirytowanego. Musiał podtrzymywać pozory, że mapa i książka nie są fałszywkami.

– W tej sprawie chyba powołałam się na Piątą Poprawkę, co nie, synu? – odparł Droon. Zmierzył wzrokiem przeciwnika od stóp do głów. – Chociaż przyznaję, przykro mi, że nie poszliśmy wtedy na solo. To byłoby bardzo sympatyczne pięć minut. – Puścił oko do Blondyna. Rosły mężczyzna obok niego milczał, nieruchomo wpatrując się w Coltera szklanymi, ciemnymi oczami. Jego potężne ramiona wisiały jak bezwładne kłody.

Strażnicy trzymali się jakieś dwa metry z tyłu.

– To ten, o którym ci mówiłem – zwrócił się Droon do Blondyna. – Nie wygląda na takiego zakapiora, co nie? Mówiłem. – Parsknął śmiechem. Znowu zachowywał się jak stuprocentowy bufon. Jeszcze raz obrzucił Shawa wzrokiem. – Słuchaj, widzę, co ci chodzi po głowie, jak kombinujesz, jak się rozglądasz. Zapomnij, tu zza wzgórz nie wyjedzie żadna kawaleria, żeby cię uratować. Jesteś sam, i tyle.

Żeby za dużo nie ujawniać – a to dobra zasada życiowa, co nie? A więc żeby za dużo nie ujawniać, powiem ci, że szukamy pewnej... rzeczy, że tak to nazwę. Rzeczy, której szukał też twój tatuś. I zanim odszedł do rajskich wrót, chyba dowiedział się, co to jest. Skoro tu przyszedłeś, to podejrzewamy, że całkiem nieźle się orientujesz, gdzie to może być.

Zjawiła się Irena Braxton, chowając telefon. Ciekawe, do kogo tak pilnie dzwoniła, żeby z triumfem poinformować o jego złapaniu.

Droon skinął jej głową i kontynuował:

– Odwiedzamy przeróżne atrakcyjne miejsca zaznaczone na mapie tatusia, ale w żadnej z tych ostryg nie ma perły. Dlatego potrzebujemy pomocy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Shaw zmarszczył brwi.

– Czego dokładnie szukacie? Jeżeli się dowiem, może będę umiał pomóc.

Tamten cmoknął z dezaprobatą.

– Wiem, ale nie powiem. Po prostu uzupełnij szczegóły. Jest druga mapa? Tatuś znalazł coś innego?

– Jak mogę wam cokolwiek powiedzieć o mapie, skoro ją ukradliście?

– Przecież zrobiłeś kopię, prawda? Na pewno, taki pedancik jak ty. Też jesteś poszukiwaczem skarbu!

Rozejrzał się po bibliotece.

– Naprawdę sądzicie, że nikt nie wie, że tu jestem?

– Nie – włączyła się Irena Braxton. – Nikt nie wie, że tu jesteś. Posłuchaj, Colter. – Mówiła protekcyjnym tonem i zwróciła się do niego po imieniu, jak gdyby weszła w rolę matki lub nauczycielki niezadowolonej z zachowania dziecka. – Skończ z tymi głupstwami. Oczywiście, że zrobiłeś kopię. Poza tym mamy twoją historię. – Ruchem głowy wskazała na terminal. – Szukałeś Amosa Gahla. Dość tych zabaw. Oboje wiemy, o co chodzi. Znalazłeś jakieś nowe wskazówki. Przecież jesteś wytrawnym myśliwym. Zwęszyłeś trop. No więc opowiedz mi o tych notatkach w książce twojego ojca. To jakiś szyfr. Nie mam wątpliwości.

Tak naprawdę zapiski były zbitką bezsensownych słów, ale Shaw odparł:

– W książce, którą ukradliście. – Przywołał na twarz wyraz oburzenia.

Zmarszczyła czoło.

– Zupełnie nic z tego nie rozumiemy. Musisz to rozszyfrować. Twój ojciec pisze samymi zagadkami.

– Teraz już nie pisze – odrzekł spokojnie Colter.

Braxton ta odpowiedź zirytowała.

– Jak cię już poinformowano, nie zamierzaliśmy go zabić. A osoby odpowiedzialnej za jego śmierć nie ma już wśród żywych. – Skrzyżowała ręce na szerokiej piersi.

– To nie przywróci mu życia.

– Dość, Colter. Na mapie zostało jeszcze kilka miejsc do sprawdzenia i pomożesz nam w tym. Amos Gahl ukradł coś, co należy do nas, więc mamy prawo to odzyskać. Był naszym pracownikiem. A ty jesteś winien współudziału w tym przestępstwie.

– Tak jest. Przyznaję się.

Przymrużyła oczy.

– Zadzwońmy pod 911. Sam oddam się w ręce policji.

Dyrektorka obdarzyła go łaskawym uśmiechem.

– Kiedy wszystkiego się dowiemy, nie będzie już żadnych awantur. A my na zawsze znikniemy z twojego życia.

Colter przyglądał się przeciwnikom jeszcze uważniej, niż przypatrywała mu się Braxton, matka przełożona.

Droon szczyrzył zęby w uśmiechu, który Shaw miał ochotę zetrzeć mu z twarzy. Blondyn stał z obojętną miną, bezwiednie zaciskał pięści; pewnie kiedyś był bokserem – na widok jego blizn Colter uznał, że prawdopodobnie lubi walkę na gołe pięści albo mieszane sztuki walki. A kiedy zabijał – nie było cienia wątpliwości, że ma przed sobą mordercę – robił to bez zbędnych słów. Wykonywał zadanie, zabierał wypłatę i wracał do domu, żeby utkwic nieruchome jamy oczu w porno w telewizji albo w internecie.

Dwaj ochroniarze w garniturach zdradzali niepokój. Nie sprawiali wrażenia żołnierzy i zapewne nigdy nie brali udziału w prawdziwej walce. Mieli broń, więc na pewno byli zagrożeniem, ale drugorzędnym.

Braxton, tak jak przypuszczał wcześniej, prawdopodobnie nie była niebezpieczna – chyba że w tej kolorowej torebce, wyplecionej techniką makramy, nosiła glocka albo smitha & wessona.

– Jutro mamy spotkanie – zwróciła się do Droona. – Chcę mu coś powiedzieć. Coś konkretnego. – Wskazała głową na Shawa.

Drobny facet odparł:

– Coś z niego wyciągnę. Teraz wydaje się mało rozmowny, ale ręczę, że to się zmieni.

Braxton przyjrzała się Shawowi.

– Opowiem ci, co zrobimy. Zejdziemy do piwnicy i...

Urwała, bo Colter przetaił oczy i wolno pokręcił głową. Skrzywił się.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Trochę źle się czuję.

– Co nas to obchodzi, synu, jak się czujesz czy nie czujesz? – mruknął Droon.

Shaw zamknął oczy i oparł się o ścianę.

– Co on robi? – odezwał się jeden ze strażników, ten wyższy.

– Pilnujcie go – poleciała Braxton.

– Zabierzmy go na dół – zaproponował Droon. Rozejrzał się. – To już za długo trwa. – Zerknął na Blondyna. – Chcesz przyłożyć rękę?

Mężczyzna o tlenionych włosach i atramentowych oczach nie odezwał się, tylko lekko skinął głową.

– Mój człowiek może się pochwalić niezłymi wynikami – powiedział Droon do Braxton.

– Zostaniemy na dole godzinę, może dwie – poinformowała strażników. – Niech nikt nam nie przeszkadza. Otwórzcie bibliotekę. Gdyby ktoś pytał, co się stało, powiedzcie, że mieliśmy nagły przypadek medyczny. Nic więcej.

– Tak jest – odrzekł wyższy. – Zajmiemy się tym.

Patrząc na Shawa, Droon spytał, nie zwracając się do nikogo:

– Co z nim, do cholery?

– Trochę... zakręciło mi się... w głowie. Nie czuję się za dobrze. – Osunął się lekko i znowu potarł oczy.

– Jezu – rzuciła ze złością Braxton. – Niedobrze mu?

– Co ty robisz? – warknął Droon. – Co on robi?

– Mam zawroty głowy.

Nie była to odpowiedź na zadane pytanie. W rzeczywistości Colter sięgnął po sztukę odwracania uwagi: starał się skupić wzrok wszystkich na swoich oczach, ramionach, tułowi, rękach.

Tylko nie na lewej stopie.

Która w tym momencie przesunęła się po ścianie w stronę gniazdka elektrycznego tuż nad podłogą.

Z obu otworów wystawały spinacze do papieru, oddalone od siebie o kilka milimetrów. Wziął je ze stanowiska komputerowego, przy którym kucnął, zanim cofnął się pod ścianę. Nie zamierzał włączać alarmu przeciwpożarowego, ponieważ zakładał, że też został wyłączony. Chciał dotrzeć do ściany, żeby wcisnąć do gniazdka dwa rozprostowane spinacze.

Droon zrobił krok w jego stronę.

Shaw, wciąż oparty o ścianę, uniósł rękę.

– Dajcie mi chwilę...

Tamten przystanął i zmarszczył czoło.

Colter górną częścią przyszwycy lewego buta przytknął jeden spinacz do drugiego.

Suchy trzask i błysk, które mogły zrobić wrażenie, przypominały wybuch petardy. W bibliotece natychmiast zapadła ciemność.

11

Droon i strażnicy ugięli kolana, gotowi do skoku. Rozglądali się, nie rozumiejąc, co się stało.

– Strzały! – wrzasnął chudzielec i zrobił unik.

Shaw, chroniony przed porażeniem prądem gumowymi podeszwami, rzucił się sprintem do wyjścia ewakuacyjnego.

– Nikt nie strzelił, idioto! – krzyknęła z wściekłością Braxton.

Colter zaryzykował, zakładając, że wobec braku zasilania system blokujący zamek w drzwiach pożarowych zostanie wyłączony.

Zanim Droon i reszta zdążyli się zorientować, co się naprawdę stało, i rzucić się w pogoń, on chwycił krzesło, po czym uderzył biodrem w dźwignię. Drzwi ewakuacyjne otworzyły się z trzaskiem. Natychmiast zamknął je za sobą i zaklinował krzesłem klamkę od zewnątrz.

Usłyszał krzyk.

– Łapać go! – Nie miał wątpliwości, że to głos Braxton.

Korciło go, by pobiec prosto do miejsca, gdzie zostawił motocykl, ale trzymając się pierwotnego planu, skręcił w prawo, w przeciwną stronę do parkingu, i pognał ile sił w nogach do przecznicy. Usłyszał huk. Pewnie wypchnęli drzwi pożarowe, a podpierające je krzesło wylądowało na ulicy.

– Shaw! – zawołał Droon.

Przyspieszył. Na skrzyżowaniu z Morrison Lane znowu skręcił w prawo.

I zorientował się, że popełnił błąd. Morrison rzeczywiście kończyła się parkiem, ale było w nim mnóstwo ludzi, którzy mogli się znaleźć na linii strzału.

Po chwili po lewej przed sobą zauważył boczną uliczkę. Z mapy pamiętał, że zaprowadzi go do kilkupiętrowych parkingów, w których miałby okazję zgubić Droona i Blondyna. Stamtąd mógł już okrężną drogą dotrzeć do motocykla – i zostawionej w nim broni.

Do skrętu zostało trzydzieści metrów.

Dwadzieścia, piętnaście...

Obejrzał się za siebie. Na razie ani śladu pościgu.

Dziesięć.

Pięć.

Zanim dobiegł do zaułka, przystanął i dał nura za pojemnik na śmieci. Spojrzał na Droona i Blondyna zmierzających w jego stronę. Byli sami; ochroniarze w czarnych garniturach pobiegli zapewne ulicą, przy której stała biblioteka.

Dobra, do zaułka...

Biegiem skręcił za róg.

I stanął jak wryty.

Zaułek był ślepy.

Zamykało go ogrodzenie budowy wysokości trzech metrów. Farba, którą pokryto sklejkę, ciemnoniebieska, wyglądała na stosunkowo niedawno położoną; jej powierzchnię szpeciło niewiele namazanych sprejem wulgaryzmów i symboli gangów. To wyjaśniało, dlaczego tej przeszkody nie pokazywała mapa, którą studiował w domu przy Alvarez Street.

Nawet nie próbował szukać alternatywnych dróg ucieczki. W zaułku nie było żadnych okien ani drzwi, same lite mury, a choć ojciec uczył go, jak wspinać się na ściany o różnej wysokości i rzeźbie, to nie było wśród nich trzymetrowej pionowej, gładkiej powierzchni – w każdym razie nie sposób było tego dokonać bez liny albo roślinności.

Ledwie się odwrócił, a u wylotu uliczki stanęli Droon i Blondyn.

Obaj ciężko dyszeli. Blondyn krzywił się z bólu, najwidoczniej z powodu kolki w boku. Nie cieszył się z przebieżki.

Nawet jeśli Droona też coś bolało, to uśmiechał się szeroko, jak gdyby podjęta przez Shawa próba ucieczki dawała temu obłąkanemu facetowi wolną rękę, by mógł się wykazać szczególnym zapalem i inwencją podczas tortur, które niebawem miały nastąpić.

12

Zauważywszy brak okien i drzwi w zaułku, Droon wystawił głowę na główną ulicę. Rozejrzył się w prawo i w lewo. Na jego twarzy pojawił się cień satysfakcji, co oznaczało, że nie dostrzegł aut ani pieszych.

Żadnych świadków.

Wrócił do Blondyna. Stali w odległości około pięciu, sześciu metrów od Shawa. Żaden z nich nie trzymał broni. Wiedzieli, że on nie jest uzbrojony, bo przechodził przez wykrywacz metalu. Wtedy Blondyn wyjął pistolet z tłumikiem, sig sauera – dużą, drogą i celną broń, na razie skierowaną w ziemię.

– Potrzebny nam wóz – powiedział Blondyn.

– Dam znać facetom w czerni – odparł Droon. – Podstawią nam coś.

– Byle szybko. Jesteśmy na widoku. Nie podoba mi się to.

Chudzielec wysłał wiadomość. Szeroko się uśmiechał.

– Ale zanim tu przyjadą, może zdecyduje się na współpracę i będzie miał z nami spokój. – Dał znak Blondynowi. Przytoczyli pojemnik na śmieci i postawili u wylotu zaułka, by odgrodzić się od ulicy. Blondyn używał tylko lewej ręki, bo w prawej wciąż trzymał pistolet i mierzył nim w stronę Shawa. Broń była odbezpieczona, palec spoczywał na kabłąku spustu. Facet znał się na rzeczy.

Shaw odniósł wrażenie, że żaden z nich nie jest podkomendnym drugiego. Blondyn, „moderator”, podobnie jak ten drugi, też podlegał Braxton.

– A teraz, synu, trochę sobie pogadamy, co nie? – Droon sięgnął pod kurtkę i wyjął nóż z pochwy w kamuflażowy wzór. Shaw poznał broń. Długie, ząbkowane ostrze. SOG SEAL Team Elite ze stałą głownią.

Rozejrzył się, by ocenić odległości i kąty.

Nie nasuwał mu się żaden pomysł na manewr defensywny, a tym bardziej ofensywny.

– Po pierwsze, ten rękopis tatusia, który tak łaskawie pokazałeś mi w Dolinie Krzemowej parę tygodni temu, był niewart papieru, na którym go spisano, prawda?

Na pewno nie dla Coltera Shawa. Liczący ponad czterysta stron plik notatek, map, rysunków i artykułów zebranych przez Ashtona w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach był zmyłką. Zawierał jednak szyfr, dzięki któremu Shaw znalazł na Echo Ridge mapę i list, które z kolei zaprowadziły go do domu przy Alvarez Street i dały początek jego misji w tym mieście.

– Nie mam pojęcia. Przecież też go ukradłeś. Nie zdążyłem go nawet przeczytać. Było w nim coś ciekawego?

Colter zastanawiał się, czy jakiś przechodzień, ktoś w oknie lub na dachu zauważy człowieka z pistoletem w ręce i zadzwoni na policję.

Droon groził mu nożem.

– Jak trafiłeś do naszej biblioteki? Tatuś o niej wiedział, prawda?

– Chyba kiedyś o niej wspominał.

– I zapamiętałeś? Po tylu latach?

Blondyn milczał. Przypominał kawał drewna – jeśli drewno może być czujne, podejrzliwe i śmiertelnie niebezpieczne.

– Mam dobrą pamięć – odparł Shaw. – Tak się szczęśliwie składa.

– Nie, nie. Masz tu jakąś metę. Tatuś pewnie miał w mieście kumpla, który cię przygarnął.

– Przyjrzał mu się uważnie. – A może zorganizował sobie własną kryjówkę. No jasne, na bank.

Ktoś przecież na pewno widział ten pościg i zadzwonił pod 911.

Ale nie słyhać było odgłosu żadnej syreny.

Nie pojawiły się błyski policyjnych kogutów.

Obserwował Blondyna. Na twarzy rosłego mężczyzny malował się całkowity spokój, jak gdyby morderca się obawiał, że pozwolenie sobie na jakiekolwiek emocje zmniejszyłoby jego zdolności obronne. Cały czas nie spuszczał z niego czarnych jak smoła oczu, które wraz ze śniadą twarzą kontrastowały z jasną jak rozbłysk słońca czupryną.

Droon był nieobliczalny. Drugi z napastników był zawodowcem.

– Dokąd go zabierzemy? – spytał Blondyn. – Do piwnicy?

– Biblioteka jest spalona. Moim zdaniem lepsza będzie Opalarnia.

Oczywiście nie miał na myśli miejsca, gdzie w promieniach ultrafioletu można się zmienić w zagorzałego miłośnika plażowania.

Chudzielec wysłał następnego SMS-a i odczytał wiadomość.

– Spotkamy się tam z Ireną – poinformował Blondyna.

Shaw nachylił się w stronę chudzielca.

– Helms też będzie? Liczę na to.

Droon przez chwilę stał bez ruchu i w milczeniu, jak gdyby starał się odgadnąć powód zainteresowania i zamiary Shawa.

– Wrócił do hotelu.

Nie brudził sobie rąk takimi rozrywkami jak tortury.

– Ale Irena nie może się doczekać naszej rozmowy. Ja zresztą też. Chyba cieszę się na nią jeszcze bardziej niż ona. Zapewniam cię, przyjacielu, że nie będziesz zachwycony tym, co cię czeka. – Pomachał nożem, pokazując pchnięcia i cięcia.

Shaw wzruszył ramionami.

Droon sprawdził kciukiem ostrze.

– Każdy prędzej czy później się łamie, co nie? Mów, czego się dowiedziałeś o Gahlu i o tym, co nam ukradł, a będziesz wolny. Pójdiesz sobie na lody.

– To mi się nie podoba – odezwał się Blondyn.

Facet o szurzej twarzy zerknął nie na swojego towarzysza, lecz na Coltera.

– Popatrz na jego oczy. Nad czymś główkuje. Nie wygląda, jakby się bardzo przejmował.

– Obczaja sytuację i tyle. Tak już ma. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz... Pamiętasz, Shaw? Bawiłem się całkiem niegroźnym koktajlem Mołotowa, a ty obcinałeś mnie z góry na dół i na boki. Na wszystkie strony.

– Coś kombinuje – mruknął Blondyn, po czym wyjął spod marynarki gruby, czarny metalowy pręt długości około ćwierci metra. – Będę cię ubezpieczał – powiedział. – Trzeba mu coś złamać. Unieszkodliwić go. – Podał pałkę Droonowi.

Ten wziął ją i wsunął nóż do pochwy. Ruchem głowy wskazał na pistolet w ręce Blondyna.

– Czemu nie tym?

– Potrzebny będzie żywy. Nie chcę ryzykować, że się wykrwawi.

Zawodowiec to zawodowiec...

Droon chyba przyznał mu rację. Zważył w dłoni metalowy pręt, a jego mina świadczyła o tym, że spodobał mu się pomysł łamania kości.

– Shaw, przykro mi, że muszę to zrobić, ale fakt faktem, nie wyglądasz mi na załamanego. Wiesz, co mam na myśli? Słowo daję, jesteś najmniej załamanym gościem, jakiego widziałem na tej planecie. Nie tracisz czasu na to, żeby się zamartwiać. Odhaczasz sobie długą listę. Co mogę zrobić tym, jak wykorzysta tamto...

Mniej więcej.

Nieuzbrojony człowiek niewiele może zrobić w starciu z dwoma przeciwnikami, z których jeden ma pistolet, a drugi ciężki metalowy pręt do gruchotania kości i nóż za pasem.

– Bądź mężczyzną – poradził pogodnym tonem Droon. – Wyciągnij rękę, załatwmy to szybko... – Przechylił głowę z dziwnym uśmiechem, który zmarszczył całą twarz. – Albo lepiej: powiesz nam wszystko, co wiesz. Inaczej będziesz związał się przez chwilę z wrednego bólu, a potem czeka cię danie główne – wyprawa do Opalarni z moim nożem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobra, dawaj rękę.

Shaw wyciągnął przed siebie prawe ramię.

– Nie. Drugą. Może będziesz musiał nam coś napisać albo ładnie narysować mapę.

Colter wykonał polecenie, ale też stopniowo przeniósł środek ciężkości ciała na prawą nogę. W momencie gdy Droon robi zamach, zamierzał zatoczyć łuk prawą ręką i zacisnąć dłoń na jego nadgarstku. Metalowy pręt ważył tyle, że ręka chudzielca opadnie na ziemię, a on sam straci równowagę. Shaw obróci go wtedy bokiem, by osłonić się nim jak tarczą przed pistoletem Blondyna, założy chudzielcowi chwyt duszący i uniemożliwi mu reakcję. Potem sięgnie prawą ręką do kieszeni kurtki po pistolet, ponieważ miał nadzieję, że tamten nadal ma go przy sobie. Nie będzie groził Blondynowi, nie każe mu rzucić sig sauera. Po

prostu strzeli. Wyceluje w rękę z bronią. Chyba pamiętał, gdzie się odbezpiecza berette Droona.

Gdyby się jednak okazało, że chudzielec nie ma broni – albo gdyby Shaw nie mógł jej od razu wyciągnąć – wówczas wyrwie mu z dłoni pręt i rzuci Blondynowi w twarz, po czym złamie nadgarstek Droonowi i wyszarpie nóż.

Ashton uczył swoje dzieci rzucania nożem. Trudno było trafić w cel czubkiem ostrza, można jednak było liczyć na to, że wirująca w powietrzu klinga zdekongcentruje przeciwnika. Kiedy Blondyn zrobi unik, Shaw rzuci się na niego i spróbuje wyszarpnąć mu z ręki sig sauera.

A gdyby to wszystko się nie udało, w ostateczności przeskoczy przez pojemnik na śmieci. Ci dwaj nie wyglądali na zdolnych do tego, by dać nad nim susa. Będą potrzebowali kilku sekund, by usunąć przeszkodę z drogi. On wtedy zawróci w kierunku biblioteki – wbrew temu, czego się spodziewali – bo tam na ulicy było najmniej postronnych osób.

Shaw zrobił przerażoną minę, a Droon postąpił w jego stronę, unosząc metalową pałkę. Wzrok zbira świadczył o tym, że już nie może się doczekać.

Był półtora metra od niego, metr...

Znowu grając, Colter powiedział:

– Słuchaj, możemy się dogadać. Chcecie pieniędzy?

Droon wziął zamach.

– Zaczekaj.

Chudzielec rozpromienił się w uśmiechu.

– Tylko mi się tu nie mazgaj, chłopczyku.

Zachowując idealną równowagę, gotów do ataku, Shaw poczuł, jak ogarnia go przyjemne podniecenie, które przychodzi tuż przed walką. Irracjonalne, szalone, upajające.

W tym momencie Blondyn rzucił:

– Stój.

Droon znieruchomiał i odwrócił się do niego.

– Cofnij się. On chce ci wyciąć numer. Zrobimy to inaczej. – Spojrzał na swój pistolet.

13

Droon zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie dostrzegł tego, co zauważył Blondyn.

– Załatwiłby cię – wyjaśnił mu jasnowłosy towarzysz.

– Nie byłbym taki pewien, przyjacielu. – Mimo to chudzielec odsunął się od Shawa.

– Ja bym zaryzykował strzał – oznajmił Blondyn. – Z podbicia nie powinien za bardzo krwawić.

Shaw westchnął.

Droon wrócił do Blondyna, a ten uniósł pistolet i wymierzył w stopę Shawa, który tym razem całkiem serio powiedział:

– Naprawdę możemy się dogadać. Chcecie informacji. Dam wam informacje.

Blondyn starannie wycelował.

Gdyby nawet przeżył Opalarnię, to co kula może zrobić z jego stopą? Roztrzaskanie skomplikowanego układu kości w tej kończynie oznaczałoby dla niespokojnego człowieka długotrwałe unieruchomienie.

Tłumiki nie wyciszają całkowicie broni. W momencie strzału słychać wyraźne fffft, a potem trzask odskakującego zamka, który wraca do pierwotnego położenia. Często rozlega się brzęk łuski spadającej na podłogę, beton albo bruk, jak ten, na którym właśnie stali trzech mężczyźni.

Colter usłyszał dwa pierwsze odgłosy – stłumiony wystrzał i szcęk pistoletu, który przeładował pocisk do następnego strzału. Nie usłyszał tylko łuski tańczącej na kamieniach.

Dobiegł go jednak inny dźwięk. Mokre i głośnie plaśnięcie pocisku, który trafił Blondyna prosto w czoło. W reakcji na uderzenie kuli nie drgnął ani jeden mięsień jego twarzy. Potężny facet po prostu runął na bruk.

Shaw przypadł do ziemi. Strzał padł z góry, zza jego pleców – strzelec był wysoko, może na jakimś rusztowaniu po drugiej stronie drewnianego ogrodzenia budowy.

W Droonie odezwał się instynkt samozachowawczy. Błyskawicznie, nie próbując analizować sytuacji, rzucił się w kierunku ulicy i bez trudu przesadził pojemnik, unaoczniając Colterowi, jak bardzo się w tej kwestii mylił. Wylądował na boku, po czym zerwał się z powrotem na nogi i sprintem pobiegł w kierunku biblioteki.

Shaw natychmiast pomyślał o zielonej hondzie accord i o człowieku, który go śledził. Kierowca dotarł za nim aż tutaj i celował w niego, ale przez pomyłkę trafił w jego

napastnika? Skoczył naprzód i przetoczył się bokiem przez brudny zaułek, chwytając po drodze sig sauera.

Stanął na ugiętych nogach i zerknął na Blondyna – facet nie żył – po czym odrobinę odciągnął zamek pistoletu, by sprawdzić, czy w komorze tkwi nabój; zawsze należało to zrobić, jeśli się miało do czynienia z cudzą bronią.

Położył się na brzuchu za zwłokami – jedyną osłoną w zaułku – i wymierzył pistolet w ogrodzenie ze sklejki.

– Nie jestem wrogiem! – zawołał męski głos. Po chwili, ku zdumieniu Shawa, nieznajomy dodał: – Colter, przechodzę przez ogrodzenie. Nie strzelaj.

Zna moje imię?

Coś spadło z hukiem na ziemię. Plecak Oakland A.

Czyli to musiał być mężczyzna, którego widział przed kawiarnią na ulicy niedaleko domu na Alvarez, brodacz w czarnej kurtce długości trzy czwarte i wełnianej czapce. Przelazł przez ogrodzenie i zwinnie zeskoczył na bruk, a lądowanie zamortyzowały niskie buty wojskowe.

Colter stłumił okrzyk. Nie zdarzyło mu się to od lat, odkąd podczas wspinaczki z powodu urwanego haka spadł kilka metrów z kilkusetmetrowej skalnej ściany, zanim zawisł na linie asekuracyjnej.

Nie był pewien, co w tym momencie bardziej go zaszokowało – fakt, że niemal w ostatniej sekundzie został ocalony przed postrzeleniem, czy raczej to, że człowiekiem, który go uratował, był jego zaginiony dawno temu brat Russell.

14

Rozumiem – powiedział Russell. – Masz dużo pytań. Ja też. Później. Najpierw to.

Wyjął telefon i zaczął z kimś rozmawiać modulowanym, ale rozkazującym tonem.

Jego brat wyglądał niemal tak samo jak wiele lat temu, gdy Shaw widział go na pogrzebie ojca. Wtedy też miał brodę, choć znacznie krótszą, nosił też krótsze włosy. Właśnie z tych dwóch powodów Colter nie poznał go w pobliżu domu na Alvarez Street. Zresztą któż mógłby się spodziewać, że jego brat samotnik znajdzie się w San Francisco dokładnie wtedy, gdy przyjechał tu Shaw?

Miał ciemniejszą i bardziej zaczerwioną skórę wokół oczu. Broda była jednolicie brązowa, bez śladu bieli czy siwizny, podobnie jak wystające spod wełnianej czapki kosmyki prostych włosów.

Zauważył jeszcze jedną różnicę między przeszłością a teraźniejszością: jego oczy były zupełnie obojętne, zimne, nieczule na fakt, że przed chwilą zabił człowieka. Trudno było w nich dojrzeć żal czy troskę, a tym bardziej wyrzuty sumienia.

– Pomóż mi. – Russell wskazał głową pojemnik na śmieci. Shaw zwrócił uwagę, że jego głos brzmi bardzo podobnie do głosu ojca. Zaskoczyło go to, choć zapewne nie powinno.

Kierując lufę sig sauera w ziemię, Shaw zabezpieczył pistolet i wsunął za pasek – Russell zerknął na niego, najwyraźniej zauważając, że młodszy brat nie zapomniał niezliczonych wykładów i ćwiczeń, jakie ojciec poświęcił obchodzeniu się z bronią.

Wypchnęli pojemnik z wylotu zaułka.

Colter zastanawiał się, dlaczego brat chce usunąć kontener; bez jego osłony każdy przechodzień mógł zobaczyć ciało Blondyna, ale gdy tylko odepchnęli pojemnik na bok, zatrzymał się przed nimi biały van, którego drzwi błyskawicznie się odsunęły.

Shaw czujnie chwycił za broń.

– Są ode mnie – uspokoił go Russell.

Z samochodu wysiadło troje ludzi.

Gdyby sytuacja była mniej napięta – i bardziej zrozumiała – Colter mógłby się uśmiechnąć. Widział już dwie osoby z tej trójki. Jedną była Tricia, kobieta przed domem na Alvarez Street, a drugą mężczyzna, który ją napastował – ten czasownik należałoby ująć w cudzysłów, bo jak teraz Shaw zrozumiał, do żadnej napaści nie doszło. Jej wołanie o pomoc było tylko sposobem, by wyciągnąć go na ulicę i sprawdzić, czy stanowi zagrożenie, czy też nie.

Mężczyzna o szerokim torsie doprowadził się już do porządku po roli Bezdomnego. Ty, bo tak przedstawił go Russell, zerknął na Shawa bez słowa komentarza czy powitania.

Trzecią osobą był Matt, szczupły i poważny mężczyzna mieszanego pochodzenia etnicznego. Uważnie obserwował zaułek i ulicę, na której zatrzymał się van.

Wszyscy troje mieli ciemnozielone stroje do joggingu i niebieskie lateksowe rękawiczki.

Kierowca, którego sylwetkę widział Shaw, nie wysiadł z samochodu.

Podczas gdy Russell i Matt rozglądali się po ulicy, trzymając dłonie w pobliżu bioder, Ty i Tricia, którą teraz przedstawiono mu jako Karin, szybko podeszli do ciała Blondyna.

– Jest jeszcze dwóch ochroniarzy z biblioteki – powiedział Shaw. – Biali. Jeden mocno zbudowany, drugi szczupły. Obaj uzbrojeni. W czarnych garniturach i...

– Wiemy – przerwała mu Karin. – Są na piętrowym parkingu na Harrison i biorą stamtąd wóz. Będą tu za dwie minuty.

Ty rozłożył worek na zwłoki i razem z Karin zabrali się do pracy. Po chwili ciało Blondyna tkwiło w środku, szczelnie zapięte.

– Raz, dwa... w górę – padła komenda. Oboje jednocześnie stęknęli, dźwignęli ciężar i szurając butami po bruku, ruszyli w stronę vana. Shaw chciał spytać, czy nie trzeba im pomóc, wyglądało jednak na to, że poradzą sobie sami. Oboje byli dość silni i chyba robili to już wcześniej. Dociągnęli worek do samochodu i wpakowali środka.

Matt wyjął z vana miotłę i butelkę jakiegoś płynu w spreju. Wrócił do miejsca, gdzie padł strzał, i spryskał plamę krwi. To musiał być pocisk grzybkujący, który odkształcił się w mózgu, powodując natychmiastowe śmiertelne uszkodzenia, ale pozostał wewnątrz czaszki. Najwięcej krwi wypływało z ran wylotowych.

Wsunął butelkę do kieszeni spodni i miotłą zgarnął ziemię i żwir na miejsce, gdzie leżały zwłoki. W jego poczynaniach wyczuwało się jakąś metodyczną precyzję, która miała zmylić techników zabezpieczających miejsce zdarzenia, choć Shaw wątpił, by policja prowadziła jakiegokolwiek śledztwo w tej sprawie. Droon i Braxton na pewno nie zadzwonili pod 911, aby zgłosić, że pracownik BlackBridge przeniósł się na tamten świat.

– Daj mi tego siga.

Shaw wyjął pistolet i podał Karin rękojeścią do przodu. Wyjęła magazynek i pocisk z komory. Zatrzasnęła z powrotem zamek, po czym włożyła broń, magazynek i nabój do plastikowej torebki. Wsunęła do środka jakąś wilgotną szmatkę i szczelnie zamknęła torebkę.

– Są na nim moje odciski – powiedział Shaw.

Odpowiedziało mu przelotne, pełne rozbawienia przymrużenie oczu, które oznaczało: nie będą tam długo. Ciekawe, cóż to za magiczny materiał.

– Za nami – odezwał się barczysty Ty. – Przeciwnik.

W ich stronę pędził SUV. Shaw nie widział nikogo za błyszczącą przednią szybą samochodu, ale przypuszczał, że dwaj ochroniarze w czarnych garniturach zabrali Droona wcześniej, niż się początkowo spodziewali. Wóz gwałtownie zahamował i wszyscy trzech wysiedli. Truchtem ruszyli naprzód, ostrożnie, z dłońmi ukrytymi pod połami marynarek.

Russell skinął głową Mattowi, który zamienił miotłę na pistolet maszynowy H&K z nałożonym tłumikiem. Odciągnął zamek, żeby przeładować. Wymierzył w stronę Droona, kiedy wszyscy trzej rozbiegli się półkolem, szukając osłony za koszami na śmieci.

– Nie w ludzi – rzucił Russell. – Tylko w wóz.

Seria zabrzmiała jak stłumiony wizg piły łańcuchowej, pociski rozpruły osłonę chłodnicy SUV-a. Matt dbał o mały rozrzut, żeby kule nie sięgnęły poza samochód i nie zagroziły nikomu w parku.

Potem wskoczył do vana, w którym siedzieli już pozostali. Shaw zasunął boczne drzwi. Były wyjątkowo ciężkie, więc pomyślał, że pewnie są kuloodporne. Kierowca, szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji, ruszył z przeraźliwym piskiem opon, skręcił w boczną ulicę, oddalając się od zaułka oraz dymiącego SUV-a, i wcisnął gaz. Colter trzymał się mocno. Russell przeszedł na przednie siedzenie pasażera. Pozostali siedzieli na ławach pod ścianami. Matt patrzył na ekran tabletu.

– Brak aktywności. Wszystko gra.

– Najpierw jego motor – rzekł Russell. – A potem do domu na Alvarez.

„Rozumiem. Masz dużo pytań...”

Wyjątkowo grube niedopowiedzenie.

15

Jak mnie namierzyłeś w bibliotece? Z góry?

Tyle pytań cisnęło mu się na usta. Shaw nie miał pojęcia, dlaczego zaczął od najmniej istotnego. Byli sami w jadalni domu przy Alvarez Street, w niezwykłym blasku, jaki sączył się przez okna, gdy słońce zdołało zepchnąć na bok bladą, pastelową mgłę. Siedzieli przy klonowym stole z odrapanym blatem i klinem wciśniętym pod jedną nogę, żeby się nie kiwał.

Czytając jakiś SMS czy e-mail na ekranie telefonu, Russell odparł z roztargnieniem:

– Czasem używamy dronów. Zwykle nie w miastach. Przez kłopoty z administracją lotniska i Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego.

– Naprawdę?

Starszy brat najwyraźniej wahał się, co może powiedzieć, a czego nie powinien.

– Złapały cię kamery uliczne i monitoring. Algorytmy, przełączenia między stacjami bazowymi. – Wzruszenie ramion. Nie chciał mówić konkretniej – albo naprawdę nie mógł.

Wysłał wiadomość i wstał, by wyrzeć przez frontowe wykuszowe okno w salonie. Potem podszedł do bocznych okien. Stąd widok był znacznie ograniczony. Owszem, wpuszczaly do środka światło, ale widać przez nie było tylko lity ceglany mur w odległości około trzech metrów. Russell okrążył pokój i stanął przy drugim wykuszowym oknie, wychodzącym na ogródek, boczny zaułek, a dalej na blok przywodzący na myśl budownictwo mieszkaniowe w sowieckim stylu. Shaw uświadomił sobie, że z domu nie widać okien w żadnym z sąsiednich budynków – frontowych, bocznych ani tylnych. To prawdopodobnie był jeden z powodów, dla których ojciec go wybrał.

Podszedł do okna od frontu i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył spokojną Alvarez Street i zgliszcza domu naprzeciwko, gdzie doszło do rzekomej napaści na Tricię... to znaczy Karin. Trochę się dziwił, że nikt nie kupił tej działki i nie postawił na niej budynku mieszkalnego. Dzielnica Mission cieszyła się ogromną popularnością i deweloperzy mogliby zarobić krocie. Z drugiej strony za kluczowe słowo należałoby uznać „mogliby”; San Francisco było jak wulkan na rynku nieruchomości. Z równym prawdopodobieństwem można było wzbogacić się o dziesięciocyfrowe kwoty, jak i pójść z torbami.

Shaw przesunął wzrok z budynku na najbliższe ulice. Wypatrywał nie tylko agentów BlackBridge, mimo zapewnień człowieka Russella, że nic im nie grozi, ale także hondy, czyli swojego ogona.

Brat wrócił do stołu. Kiedy zdjął wełnianą czapkę, okazało się, że nie ma przydługich włosów, lecz po prostu długie.

– Któryś z twoich ludzi jeździ ciemnozieloną hondą accord? – spytał Shaw.

– Nie. Dlaczego?

– Ktoś mnie śledził. Namierzył mnie tutaj.

– Nie, to nie my, nikt ode mnie. Masz numery?

– Nie.

Zapadła cisza i to była dobra pora na wyjaśnienia.

– A tam w zaułku, czemu celowali do siebie z pistoletu? – zapytał Russell.

– Nie chcieli mnie zabić. Byłem im potrzebny żywy. Przynajmniej na razie.

– To akurat widziałem. Zauważyłem kąt celowania. Ale czemu?

– Chcieli informacji. Pokażę ci.

Shaw wstał i z kuchni przyniósł materiały, które Ashton zostawił w piwnicy.

– Były w ukrytym pokoju na dole.

– Wiedziałeś o nim wcześniej?

– O tym pomieszczeniu? Nie. Miałem tylko adres. – Zerknął na salon. – Ale wiedziałem, czego szukać. Pamiętasz, Ash uczył nas, jak zrobić taki schowek, wtopić w otoczenie i przygasić światło na zewnątrz. Nazywał to „ciemnym kamuflażem”.

Russell lekko przymrużył oczy, wracając wspomnieniem do czasów dzieciństwa, zapewne do dnia, gdy ojciec uczył trójkę dzieci, jak zamaskować drzwi kryjówki w szopie za domem. „Każdy może ukryć zawiasy i zamki – mówił. – Najważniejszym elementem, który zmyli intruzów, jest kurz. Przecież zakurzone ściany się nie ruszają”. Uczył ich, jak spryskać klejem kauczukowym zamaskowane drzwi i sąsiednie deski, a potem potrząsnąć nad lepką warstwą miotełką do kurzu. Najlepiej to zadanie wykonała sześciolatnia Dorion.

– Nie zauważyłeś granatu hukowo-błyskowego – powiedział Russell. – Dostałem sygnał.

– Przez nieostrożność. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że był tu ktoś inny, a Ashton nie był fanem urządzeń wybuchowych.

– To prawda.

– Wiesz, niektórzy zabezpieczają dom wideodomofonem, nie bombą pułapką.

Russell bez cienia uśmiechu wzruszył ramionami, po czym wskazał głową materiały na stole.

– Widziałem to, gdy byłem tu parę lat temu. Nic z tego nie zrozumiałem. Przypuszczałem, że to papiery Asha, ale sam wiesz... ta cała jego gadanina, paranoja.

– Ja też nic bym nie zrozumiał bez tego. – Shaw poszperał w plecaku i wydobyl list o BlackBridge, który napisał ojciec.

Russell przeczytał.

– Czyli to firma od brudnej roboty. Nigdy wcześniej na nią nie trafiłem. – Z jego tonu wynikało, że dobrze zna biznesy tego rodzaju. – Skąd to się wzięło? – Wskazał na list.

Shaw zawahał się przez chwilę.

– Ukrył go na Echo Ridge.

W miejscu, w którym, jak wmówił sobie Shaw, Russell zamordował ich ojca.

Brat nie zareagował na tę nazwę.

– Ci wszyscy ludzie w ślepych zaułku byli z BlackBridge?

– Zgadza się. Biblioteka jest przykrywką.

– Wiem. Kiedy tam wszedłeś, sprawdziłem ją. Dowiedziałem się, że nie ma nic wspólnego z uniwersytetem, a spółki z rajów podatkowych nie mają swoich bibliotek. W każdym razie prawdziwych.

Miał chyba nie gorsze źródła informacji niż Mack. Najprawdopodobniej znacznie lepsze.

Russell jeszcze raz rzucił okiem na list.

– Zgryzoty Ashtona w połowie były urojone.

– Co najmniej.

– Ale nie to.

– Nie to.

Colter podał mu wiadomość ze skrzynki kontaktowej, napisaną do ojca przez życzliwego pracownika BlackBridge.

Amos nie żyje. Te rzeczy są w torbie kuriera BlackBridge. Nie wiem, gdzie ją ukrył. To moja ostatnia wiadomość. Za duże niebezpieczeństwo. Powodzenia.

– „Te rzeczy”? Dowody, o których pisał Ashton.

– Zgadza się. – Shaw szerokim ruchem ręki pokazał materiały, które przyniósł z piwnicy. – Nie żadne domysły i teorie. Gahl musiał wiedzieć o czymś, co wystarczyłoby na akt oskarżenia.

– Ash zawsze nam powtarzał: „Nigdy nie chodźcie na Echo Ridge. To nie jest łatwy teren”, ale wcale nie był trudniejszy niż inne górskie trasy. Może nie chciał, żebyśmy tam chodzili, bo to była skrzynka kontaktowa dla niego i jego kolegów. – Russell zerknął na Shawa, który skinął głową na znak, że zna tę szpiegowską technikę. – List był pewnie napisany do któregoś z nich. Jak go znalazłeś?

– To długa historia. Trafiłem na pewne wskazówki, które mnie tam doprowadziły.

– Ktoś z jego kręgu jeszcze żyje?

– Być może, ale większość zginęła albo się ukrywa. BlackBridge nieźle potrafi inscenizować wypadki.

Shaw nie zdradził bratu, że jego zdaniem list nie był przeznaczony dla żadnego z kolegów, lecz dla niego. To on otrzymał i rozszyfrował wskazówki, które prowadziły na Echo Ridge – i ostatecznie do domu przy Alvarez Street. Żaden z kolegów Ashtona nie potrafiłby wydedukować, gdzie są ukryte list i mapa. No i po co organizować skrzynkę kontaktową pięćset kilometrów od San Francisco, gdzie przebywała większość wspólników ojca?

– Za śmiercią Asha stoi BlackBridge? – Russell badawczo przyjrzał się Shawowi. – Na pogrzebie mówiło się o „wypadku”, ale miałem wtedy wrażenie, że w to nie wierzysz.

Czyżby usłyszał coś w tonie brata? Wiedział, że Colter w duchu oskarżał go o zabójstwo ojca? Przebiegł go zimny dreszcz.

– Nie wierzyłem. Parę rzeczy się nie zgadzało. Jego strzelba, benelli, leżała daleko od miejsca, w którym spadł z urwiska. Poza tym słyszałeś, żeby kiedykolwiek stracił równowagę na kamieniu, lido, śniegu, piasku, żwirze? – mówił szybko. Czy wyliczając niektóre z powodów swoich podejrzeń o ojcobójstwo, sprawiał wrażenie, że się broni?

Czuł na sobie wzrok Russella i postanowił spojrzeć mu w oczy.

– Parę tygodni temu dowiedziałem się, że to na pewno wina BlackBridge. – Powtórzył mu to, co usłyszał od Ebbitta Droona, że agent firmy zjawiał się w Posiadłości, by „pogadać” z ich ojcem. – Czyli chciał go zmusić torturami do wyjawienia, gdzie ukrył dowody. Ashton zorientował się, co jest grane, i zwabił go w zasadzkę, ale nie dał rady temu człowiekowi.

– Hmm.

Shaw miał wielką ochotę złapać brata za ramiona i krzyknąć mu w twarz: byłem młody, a ty miałeś same sekrety. Przy mnie wdałeś się w kłótnię z Ashem. Nie chciałeś powiedzieć, gdzie byłeś tamtej nocy, kiedy zginął. Myliłem się. Ale czy moje podejrzania to był wystarczający powód, byś zupełnie zniknął rodzinie z oczu? Wiesz, jak to przeżyła nasza matka, nasza siostra?

Jak ja to przeżyłem?

Colter oczywiście nie mógł zadać mu tego pytania, bo usłyszałyby odpowiedź, której się obawiał: nie mogę ci wybaczyć.

– Samotnik – powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język. To był podświadomy przytyk do zniknięcia brata.

– Co?

– Nie wiem, co dokładnie robisz, ale to zajęcie pasuje do twojego przezwiska.

Russell przymrużył oczy.

– Faktycznie, samotnik. Ty byłeś ten niespokojny, a Dorie inteligentna.

– Wykorzystujesz ten dom do jakiejś operacji. Jak się o nim dowiedziałeś?

– Dawno temu byłem w San Francisco na szkoleniu i Ash powiedział, że ma lokum, z którego korzysta, kiedy jest w mieście. Spotkaliśmy się tutaj. Dał mi klucz. Od czasu do czasu moja grupa prowadzi tu operacje, więc tutaj jest punkt dowodzenia.

– Grupa?

Russell nie odpowiedział.

Shaw domyślał się, że to jakaś komórka aparatu bezpieczeństwa, ale działająca poza głównym nurtem. Departament Obrony, FBI, CIA, NSA i większość pozostałych instytucji rządowych kryjących się pod mniej lub bardziej tajemniczymi skrótami nie mogłyby bezkarnie zastrzelić człowieka z pistoletu z tłumikiem, a potem pozbyć się ciała i śladów

z taką łatwością, jak sprząta się resztki rozbitego słoika z piklami, który spadł na podłogę w kuchni.

– Widziałem papiery w tajnym pokoju – powiedział Shaw. – To tajne materiały?

– Chyba już nie.

– Będą kłopoty?

Chwila milczenia.

– Nie bardzo.

– Znasz chiński, rosyjski?

Brat nie odpowiedział, ale najwyraźniej znał. Odkąd Shaw widział go po raz ostatni, minęło wiele lat, więc Russell miał okazję nauczyć się różnych rzeczy.

– W czasie akcji mamy system pełnego zabezpieczenia, ale zamknęliśmy tę sprawę dzisiaj rano. Wszystkie kamery i mikrofony spakowano i zabrano.

Shaw mógł się tylko roześmiać.

– To był świetny numer. Z tą napaścią na ulicy. Karin i Ty.

– Kiedy wybuchł granat, dostałem wiadomość, że ktoś wszedł do tajnego pomieszczenia. Musieliśmy ustalić kto.

– I zorganizowaliście tę maskaradę w parę minut? Kostiumy, charakteryzację?

Russell uniósł brew.

– To nasz chleb powszedni. Ćwiczymy takie sytuacje. Improvizujemy. Byli niedaleko. Karin miała na sobie kamerę. Zaczęła sprawdzać twoje zdjęcie w naszej bazie rozpoznawania twarzy, ale... – Wzruszył ramionami. – Ja je zobaczyłem. Potem zmontowałem cały plan obserwacji.

Po co?, pomyślał Shaw.

Po chwili Russell spytał:

– Czyli przyjechałeś tu z powodu Ashtona i BlackBridge? Nie dla żadnej nagrody?

Na twarzy Shawa chyba odmalowało się zaskoczenie.

– Czasem mówią o tobie w wiadomościach.

A więc ciekawiło go, co robię, ale nie do tego stopnia, żeby wziąć telefon i zadzwonić do mnie albo do matki.

– Nie dla nagrody. Chodzi tylko o BlackBridge.

Wzrok Russella pytał: ale dlaczego?

– Wiem, co mówił Ashton – rzekł Shaw. – „Nigdy nie szukaj zemsty. To wbrew naturze surwiwalu”.

– Tak właśnie myślałem.

– To nie jest zemsta. Zamierzam skończyć to, co zaczął. Jego misję.

Naprawdę nie było nic więcej do dodania.

16

Russell wysłał wiadomość ze swojego skomplikowanego telefonu. Shaw nigdy nie widział aparatu takiej marki.

Przyjrzał się imponującej brodzie brata. Można by przypuszczać, że przeszkadza mu w tajnych operacjach, jeżeli Russell takie prowadził. Pozwalałaby go natychmiast rozpoznać. Może jednak był znany w swojej dziedzinie, a bujny zarost był jego znakiem firmowym.

Telefon brata zabrzączał.

– W naszym systemie nie ma nic o Planie Reformy Urbanistycznej ani o Amosie Gahlu – oznajmił Russell. Odłożył telefon. – Ogólne informacje o BlackBridge, ale nie ma przy nich żadnej czerwonej noty.

Shaw przypuszczał, że brat ma dostęp do niezwykle bogatej bazy danych.

– Dzięki, że sprawdziłeś. A ta twoja grupa... możesz powiedzieć coś bliższego?

– Nie.

– Po prostu „grupa”, przez małe „g”.

– Tak o nas mówią. – Po chwili milczenia Russell spytał: – W pracy zawsze korzystasz z yamahy?

Shaw wyjaśnił, że mieszka w winnebago, ale podczas zleceń wypożycza samochody, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zadania łowcy nagród w dużej mierze polegają na obserwacji i rozmowach ze świadkami, a nic lepiej nie wtapia się w tło niż czarny samochód z Avisy czy Hertz (wybierał ten kolor, bo kojarzył się z organami ścigania, choć sam nigdy nie podawał się za ich przedstawiciela).

– Tu też mogę wypożyczyć samochód. W zależności od pogody.

Russell odebrał telefon. Słuchał przez chwilę.

– Zgadza się – powiedział. – Powiedz im, że jest zamknięte na stałe. – Zakończył połączenie.

Zapadła między nimi gęsta cisza.

– Masz rodzinę? – zapytał Shaw. – Jest ktoś w twoim życiu?

– Nie. A w twoim?

Pomyślał o Victorii.

– Nie.

– Słyszałem, że byłeś żonaty.

Pomyślał o Margot.

– Nie.

Cisza ciągnęła się dalej. Russell znowu zerknął na ekran telefonu.

– U Dorion wszystko w porządku – poinformował go Shaw.

– Wiem. Widziałem ją i dziewczynki w zeszłym miesiącu.

– Widziałeś je?! – Colter nie potrafił opanować zdumienia.

– Ja je widziałem. One mnie nie.

– Ostatnim razem, na pogrzebie, słyszałem, że mieszkasz w Los Angeles.

– Miałem tam bazę. Niedaleko od miasta.

Rozmowa przygnębiła Shawa i wyraźnie znudziła Russella.

Nie widzieli się przez tyle lat i tylko tyle mieli sobie do powiedzenia?

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Colter.

Russell uniósł brew.

– Dlaczego akurat Oakland A? – Zerknął na plecak brata.

Żartobliwy ton rozbił się o mur milczenia.

Jako dzieci często się śmiali. Prawie zupełnie pozbawieni towarzystwa innych rówieśników, sami zapewniali sobie zabawę i rozrywkę.

Znowu przepłynął między nimi obłok ciszy, po której Russell rzekł:

– Muszę zabrać stąd swój zespół.

– Czyli wyjeżdżasz. – Colter starał się zachować obojętną minę. Nie był pewien, czy z powodzeniem.

– Mamy zaplanowane zadania. Sporo pracy.

Powiedział to jak szef działu zaopatrzenia domu towarowego przed gorączką świątecznych zakupów.

– Jasne.

Russell zszedł do piwnicy i wrócił z wojskowym workiem. Słońce przegnało ostatnie strzępki mgły i butelki z wodą załamywały promienie światła, malując na otynkowanych ścianach koślawe jaskrawobiałe wzory.

Niewypowiedziana głośno wiadomość dźwięczała w przytulnym żółtym pokoju jak ryk syreny: twoja walka z BlackBridge to nie moja sprawa, nawet jeśli ta firma zabiła naszego ojca.

Shaw skinął głową.

– Chyba nie muszę mówić, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że pojawiłeś się we właściwym momencie.

Russell odwzajemnił gest.

– Dasz mi numer telefonu? – odważył się spytać Colter.

– Raz w miesiącu dostajemy numery generowane losowo.

Shaw zapisał swój numer w notesie. Nie wydarł jednak kartki i nie dał bratu. Tylko mu ją pokazał.

Russell patrzył na numer przez jakieś dziesięć sekund. Skinął głową.

Zapamiętał czy uznał, że szkoda zachodu?

Przyznaj się, pomyślał jeszcze raz Shaw. Powiedz mu, że się myliłeś, podejrzewając go o zabójstwo...

Jednak nie. Spotkanie z bratem może zakiełkuje czymś w przyszłości – jeżeli Russell rzeczywiście zanotował sobie w pamięci jego numer. Ale tu i teraz więź wydawała się jeszcze zbyt krucha. Pasma pajęczej sieci są mocniejsze niż stal tej samej grubości. Wystarczy jednak podmuch wiatru, nawet niezbyt silny, albo ruch miotły w rękach sumiennego gospodarza, by zniszczyć dom, świat, a być może całe życie małego stworzenia.

– Dobrze widzieć, że wszystko u ciebie w porządku – rzekł Shaw. – Powiem Mary Dove.

– Powiedz. – Brat podszedł do drzwi, otworzył je i opuścił dom.

17

Colter poszperał w plecaku. Zostawił w nim swojego prywatnego iPhone'a i wyjął telefon na kartę. Jeżeli się obawiał, że jego rozmowa może być podsłuchiwana, korzystał właśnie z takich aparatów – z Androidem, którego linuksowe jądro poddano pewnym modyfikacjom, by zwiększyć poziom szyfrowania i bezpieczeństwa.

Rozmowa, którą chciał przeprowadzić, nie miała nic wspólnego z BlackBridge, Planem Reformy Urbanistycznej ani Amosem Gahlem. Mimo to w tych okolicznościach wolał skorzystać z wszelkich dostępnych zabezpieczeń.

– Halo?

– To ja.

– Colt. – Jej głos jak zawsze był cichy i opanowany. – Jesteś w tym domu?

– Zgadza się. Ash urządził schowek w piwnicy. Znalazłem następne materiały na temat sprawy. Na razie nie robię wielkich postępów.

Nastąpiła chwila milczenia. Matka pytała w ten sposób: co jeszcze? Było bowiem jasne, że chodzi o coś jeszcze.

– Chciałem ci powiedzieć, że go dzisiaj widziałem. Russella.

– Boże drogi... – Szept Mary Dove rozpląnął się w ciszy. Rzadko można było jej przypisać zaskoczenie. – Wszystko u niego dobrze?

– Tak. – Colter powoli popijał kawę, łagodniejszą dzięki odrobinie mleka. Była bardzo gorąca.

– Czyli mamy odpowiedź na wielkie pytanie. Żyje.

Przez te wszystkie lata rodzina nie wiedziała, czy Russell w ogóle jeszcze chodzi po świecie.

– Jak to się stało?

Wyjaśnił, że starszy brat też wiedział o domu przy Alvarez Street i od czasu do czasu z niego korzysta.

– Rzeczywiście. Ash wspominał, że raz czy dwa razy widział się z Russellem w San Francisco.

– Wygląda na to, że pracuje w jakiejś agencji rządowej. Służbie specjalnej w rodzaju CIA, ale innej.

– Czym się tam zajmuje?

– Zdaje się, że wywiadem.

Nie zdradził matce, jaki los spotkał Blondyna.

Brak reakcji mógł świadczyć o tym, że Mary Dove przyjmuje tę odpowiedź ze szczyptą powątpiewania.

– Mówi o niej „grupa”. To nie jest oficjalna nazwa. – Znowu usłyszał ciszę. – Chyba... nieźle sobie radzi. W tym, co robi.

– A teraz...

– Poszedł. Dostał zadanie. Nie mógł powiedzieć jakie.

Rzadko słyszane westchnienie.

– Ten chłopak... nigdy sam za dobrze nie wiedział, o co mu chodzi. Pamiętasz, jak spędzał całe dni w lesie? I to wcale nie z powodu szkoleń Asha. Budziłam się, nastawiałam kawę i zabierałam się do pieczenia bułeczek, a wtedy okazywało się, że wyszedł przed świtem z prowiantem i bronią.

W jej głębokim głosie brzmiała nuta niezadowolenia i przez moment Shaw żałował, że powiedział jej o spotkaniu z bratem. Może przez chwilę robiła sobie nadzieję, że przyjedzie ją odwiedzić.

– Jest, jaki jest. Ale... mówił ci, dlaczego zniknął na tyle lat?

Colter mógł z całą szczerością odpowiedzieć matce:

– Nie, nie mówił. – Bo Russell nie wspomniał o swoim gorzkim rozczarowaniu, że młodszy brat oskarżał go w duchu o morderstwo.

– A u ciebie? Jak poszukiwania?

– W porządku.

– Matka musi poprosić: bądź ostrożny.

Shaw zachichotał.

– Cieszę się, że powiedziałaś mi o bracie – oznajmiła Mary Dove. – Pewnie się wahałeś, czy powinnam wiedzieć. Ale dobrze zrobiłeś. – Po chwili zmieniła ton. – Chciałbyś porozmawiać z kimś jeszcze?

– Prawdę mówiąc...

– Zaczekaj chwilkę.

18

Cześć.

Victoria Lesston też miała niski głos o charakterystycznym brzmieniu. Shaw zastanawiał się, do czego można go porównać. Wreszcie go olśniło – instrument muzyczny. A ściślej – wiolonczela o głębokiej i soczystej barwie, w skali wyznaczonej przez środkowe struny.

– W Tacomie działy się ciekawe rzeczy. Zostałem okradziony i mam na sumieniu spalenie do felg nissana pathfindera. Nikt nie został ranny.

– Z tobą nie można się nudzić, Colt. Co ci zabrali?

– Opowiem później. Osobiście.

Parsknęła beztroskim śmiechem.

– Mam nadzieję, że prędzej niż później.

Ujrzał w wyobraźni jej ciemnoszare oczy i pukle włosów, które przybierały kolory od błyszczącej czerni po ciemny blond, w zależności od kapryśków słońca lub księżyca.

– Mam bombę: pojawił się mój brat.

– Naprawdę? Mówiłeś, że nie jesteś pewien, czy w ogóle żyje.

– Zajmuje się jakąś tajną działalnością. Wydaje mi się, że musiał zostać w ukryciu.

– Jak agenci KGB.

– Może coś w tym rodzaju.

– Kiedy to skończysz, przyjedzie tu z tobą, żeby zobaczyć się z matką?

– Być może – odparł, myśląc, że nie.

Zniżyła głos.

– Jak sobie z tym radzisz?

Na to pytanie nie był przygotowany.

– Ciągłe jestem zaskoczony. – Po czym spytał ją, jak się czuje. Pauza świadczyła o tym, że Victoria zauważyła nagłą zmianę tematu i jest gotowa uszanować jego brak chęci do rozmowy o bracie.

– U nas wszystko w porządku. Twoja matka to naprawdę niezwykła osoba.

Shaw poznał Victorię tydzień wcześniej, podczas misji, którą prowadził w odludnej części stanu Waszyngton. Wszystko zaczęło się od zwykłego zlecenia związanego z wyznaczoną nagrodą, lecz niebawem zmieniło się w operację pod przykryciem, podjętą między innymi po to, by uratować Victorię z rąk zagadkowej organizacji, która mogła być niebezpieczną sektą.

Została ranna po upadku do jeziora z krawędzi urwiska. Kiedyś służyła w Delta Force, więc była w dobrej formie fizycznej i dzięki temu odniosła tylko drobne obrażenia; ktoś inny na skutek upadku z takiej wysokości mógłby stracić życie. Shaw zaproponował jej, by pojechała z nim do Posiadłości, gdzie jego matka, doktor nauk medycznych i psychiatra, mogła udzielić jej fachowej pomocy fizjoterapeutycznej.

Miał jeszcze jeden powód, by zaprosić ją do swojego rodzinnego domu, a Victoria najwyraźniej kierowała się podobnym motywem, przyjmując jego zaproszenie; dobrze zapamiętał ich długi pocałunek przed drzwiami jej sypialni wieczorem, tuż przed podróżą, która ostatecznie zaprowadziła go do domu przy Alvarez Street.

– Gdzie jesteś?

– Na półkuli zachodniej. Być może.

Mimo szyfrowanego połączenia nie chciał podawać bliższych szczegółów.

Nigdy nie zakładaj, że prowadziś prywatną rozmowę...

– Boki zrywać, Colter. Twoja matka mówi ci czasem „Colt”. Jak wolisz?

Ich zaloty, jeśli można to tak nazwać, były intensywne (obejmowały między innymi walkę na noże), ale w gruncie rzeczy mało się jeszcze znali.

– Wszystko jedno.

– Miałaś już jakieś przygody?

– Niewiele.

– Chcę być na bieżąco.

– Ależ oczywiście.

– Jakiego lubisz bażanta? – spytała Victoria.

– Nigdy nikt mnie o to nie pytał. – Mówił prawdę. Zastanowił się przez chwilę. – Chyba mniej wypieczonego niż bardziej.

– Ja też. Dzisiaj wieczorem gotujemy z Mary Dove. Upolowała go w zeszłym sezonie.

– A ty polujesz?

– Trochę, ale ostatni raz udało mi się ustrzelić bażanta parę lat temu.

– Jaką masz śrutówkę? – Myślał o wspaniałej strzelbie Benelli Pacific Flyway z chromowanym zamkiem, która należała do ojca. Elegancka broń.

– Nie mam żadnej.

– Strzelałaś z pożyczonej?

– W ogóle nie używałam śrutówki – odparła.

– Chyba prawo nie pozwala strzelać z karabinu do ptaków. Przynajmniej w Kalifornii.

– To nie było w Kalifornii i nie strzelałam z karabinu.

– Nie strzelałaś z karabinu?

– Colter, ile razy zamierzasz zadawać mi pytania, na które już odpowiedziałam?

– W takim razie z czego?

– Ze swojego glocka. Siedemnastki.

– W powietrze?

– Oczywiście, przecież nie ustrzelisz ptaka na ziemi. To nie były żadne popisy w stylu Annie Oakland. Miałam już pistolet w ręce.

– Ile... – urwał.

– Chciałeś spytać, ile naboji zużyłam?

Ugryzł się w język, ale rzeczywiście o to właśnie zamierzał zapytać. Magazynek glocka mieścił siedemnaście sztuk amunicji i przy dokładnym celowaniu prawdopodobnie można było wystrzelić trzy na sekundę.

Zauważył, że znowu umilkła.

– Jeden – powiedziała w końcu.

Powstrzymał się od pytania: jednym strzałem?

Shaw nieźle radził sobie z bronią krótką, nie sądził jednak, by udało mu się trafić do ptaka w locie z żadnego ze swoich pistoletów, a na pewno nie położyłby go jednym strzałem.

– Celowałam. Nie strzelałam z biodra. W każdym razie masz rację: najlepszy jest nie za mocno wypieczony. Bazanty są chude i jeśli dłużej się je piecze, wysychają. Kiedy wracasz?

– Mam nadzieję, że to nie potrwa dłużej niż parę dni.

– Gdybyś potrzebował pomocy, to czuję się już lepiej.

Victoria prowadziła własną firmę doradztwa w sprawach bezpieczeństwa w południowej Kalifornii.

– Będę pamiętał.

– Wiesz, Colt, na świecie są dwa rodzaje ludzi.

Żywi i martwi. Blondyni i bruneci. Niscy i wysocy. Liberalni i konserwatywni. Seksowni i niezbyt atrakcyjni. Oczywiście nic takiego nie powiedział.

– Tak?

– Tacy, którzy o czymś pamiętają, kiedy mówią, że będą o czymś pamiętać. I tacy, którzy nie mają zamiaru o czymś pamiętać, kiedy mówią, że o czymś pamiętają.

– Należę do pierwszej kategorii.

– Tak mi się wydawało, ale dobrze jest usłyszeć to od ciebie.

Rozmawiali jeszcze około dziesięciu minut, po których Shaw chciał już jak najprędzej ruszyć na poszukiwanie dowodów przeciwko BlackBridge. Powiedział jej, że powinien już kończyć.

– Niedługo zadzwonię.

– Wiesz, Colt, na świecie są dwa rodzaje ludzi...

Zaśmiał się, pożegnał ją i się rozłączył.

Pod wieloma względami byli do siebie podobni. Victoria też miała duszę wędrowca i tak jak on rozważnie podejmowała ryzyko. Łączyło ich ironiczne poczucie humoru i brak tolerancji dla brutalności i głupoty. W stanie Waszyngton z pewnością nawiązało się między nimi porozumienie, w dodatku nie tylko on uratował jej życie, ale i ona jemu.

No i tamten pocałunek...

Ten związek miał szansę wejść na śliską i krętą drogę, po której niepewnie kroczą uczucia, zanim padną ważne słowa i pytania.

Shaw nie miał nic przeciwko temu. Nigdzie mu się nie spieszyło. Przez nadmiernie szybkie tempo w miłości, podobnie jak na torze motocrossowym, w przeszłości czasem popadał w kłopoty.

Niespokojni ludzie powinni postępować powoli i rozważnie.

19

Oceń sytuację, powiedział do siebie Shaw.

Był w kuchni w domu przy Alvarez Street. Uzupełnił informacje zebrane przez Mack na temat dwóch prawdopodobnych miejsc ukrycia dowodów przeciwko BlackBridge, wykradzionych przez Amosa Gahla. Właściciel domu w Burlingame, Morton Nadler, który interesował ojca, był już emerytem. Większość lat pracy spędził na kierowniczym stanowisku na lotnisku w San Francisco. Co go łączyło z Gahlem? Zostawił Nadlerowi dowody na przechowanie? A może to Nadler był źródłem informacji obciążających BlackBridge, na przykład ze względu na związki z liniami lotniczymi i prywatnymi samolotami?

Drugi obiekt, magazyn Haywood Brothers w Embarcadero, przetrwał trzęsienie ziemi w San Francisco w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Od lat nie pełnił już funkcji magazynu, a to źle wróżyło misji Shawa. Budynek przypuszczalnie został opróżniony i jeśli Gahl rzeczywiście coś w nim ukrył, to dowody trafiły już zapewne w inne miejsca albo, co bardziej prawdopodobne, na wysypisko śmieci. Magazyn wystawiono na sprzedaż, co oznaczało, że na miejscu był pośrednik, od którego Shaw mógłby się czegoś dowiedzieć.

Zabrzączał telefon z Androidem. Shaw wcisnął ODBIERZ i zanim zdążył się odezwać, usłyszał:

– Interesują cię zbiegi okoliczności, Colt?

Pytanie wypowiedział tubalny baryton. Shaw zobaczył na ekranie, kto dzwoni, ale nawet gdyby nie znał numeru, rozpoznałby ten głos już po pierwszej sylabie. Teddy Bruin, były żołnierz marines, oraz jego żona Velma, która też kiedyś służyła w wojsku, zajmowali się biznesową stroną działalności Shawa. Mieszkali obok jego domu na Florydzie, ale widział się z nimi zaledwie parę dni temu, gdy przyjechali na Zachodnie Wybrzeże i spędzili kilka dni w Posiadłości z Shawem, Victorią i Mary Dove.

Telefon od Bruinów mógł oznaczać jedną z dwóch rzeczy. Albo na konto nie wpłynęła nagroda, co zdarzało się zwykle wtedy, gdy jej oferent znalazł się w trudnej sytuacji finansowej, albo właśnie dowiedzieli się o nowej ofercie.

– Zbiegi okoliczności? – spytał Shaw.

– Mniej więcej trzy tygodnie temu pojawiła się tamta oferta z Doliny Krzemowej, pamiętasz? Od ojca, który niepokoił się zniknięciem córki?

– Zgadza się.

Przy okazji tego zlecenia Shaw zanurzył się w świat przemysłu gier komputerowych. Wszystko wskazywało na to, że studentkę porwał człowiek, który odgrywał w rzeczywistości brutalną grę wideo.

– No więc wchodzimy na wyższy poziom. – Teddy zachichotał. Shaw zwrócił uwagę na aluzję do gry. Wygląd i głos Teddy’ego mogły budzić grozę, ale tak naprawdę przyjaciel miał świetne poczucie humoru.

– Cześć, Colter. – Velma miała melodyjny i ciepły głos, skrajnie odmienny od gromkiego dudnienia męża.

– Hej. Gdzie jesteście?

– W Reno. Mam dziesięć dolarów w dwudziestopięciocentówkach i nie zamierzam wracać do domu, dopóki w jednoręcznych bandytach nie odzyskam forsy za całą benzynę, którą spaliliśmy po drodze.

Bruinowie mieli winnebago takiej samej wielkości co kamper Shawa – dziesięciometrowe. Żeby ten cud się ziścił, musiałyby rozbić bank parę razy z rzędu.

– Jest święcie przekonana, że na automatach w Reno są większe szanse wygranej niż w Vegas. Żeby przyciągnąć turystów. Taki kompleks miasta drugiego wyboru.

Shaw nic o tym nie wiedział. Nie był hazardzistą.

Patrząc na dokumenty ojca, zapytał:

– Co to za następny poziom?

– Tym razem samotna matka, nie ojciec – odparł Teddy. – Ale znowu zaginęła córka. Matka jest wdową, a dziewczyna jest starsza od tamtej sprzed trzech tygodni. Dwadzieścia dwa czy trzy lata.

Bruinowie nie tylko sprawdzali ogłoszenia o wyznaczonych nagrodach w mediach społecznościowych i komunikatach organów ścigania, ale używali też specjalnego programu, który wyszukiwał w sieci takie oferty. Velma nazwała go „Algo”, od algorytmu.

– Gdzie?

– Właśnie dlatego dzwoniemy. W San Francisco.

– Mam tu sporo roboty.

– Wiem, Colt – rzekł Teddy. – Ale posłuchaj. Musisz wiedzieć o dwóch rzeczach. Wiesz, jaka jest nagroda? Tysiąc siedemset pięćdziesiąt.

– Chyba siedemnaście i pół tysiąca. Nie pomyliłeś się o jedno zero?

– Nie, czytam: tysiąc siedemset i pięćdziesiąt dolców.

Bardzo mało za odnalezienie zaginionego dziecka. Niska suma oznaczała, że matka oferowała wszystko, co miała.

– A ta druga rzecz?

– Samo ogłoszenie – włączyła się Velma. – Posłuchaj, co napisała matka. Cytuję: „Błagam, błagam, błagam o pomoc!!!” i mnóstwo wykrzykników. „Tessy, miłość mojego życia, zaginęła w San Francisco. Umieram z niepokojem. Oferuję nagrodę. Założyłam konto na

GoFundMe, żeby zebrać więcej. Błagam”. Znowu wykrzykniki. A potem jest zdjęcie. Uroczą dziewczyną.

Z doświadczeń Shawa wynikało, że rodzice rzadko zamieszczają fotografie dzieci o diabelskim wyglądzie.

– Za takie pieniądze nikomu nie będzie się chciało jej szukać.

– Otóż to.

Shaw spojrział na mapę ojca z zaznaczonymi na niej osiemnastoma czerwonymi iksami.

– Kiedy zamieściła to ogłoszenie?

– Dwa dni temu.

Zanim BlackBridge dowiedział się, że Shaw jest w mieście, czyli to nie mogła być pułapka.

Zerknął na notatkę zapisaną drobnym i doskonale czytelnym pismem:

*Magazyn Haywood Brothers, Embarcadero
Camino 3884, Burlingame*

– Przyślijcie mi tę ofertę – powiedział po chwili.

Pożegnali się i kilka sekund później telefon poinformował go o nadejściu ogłoszenia o nagrodzie wyznaczonej przez Marię Vasquez. Przeczytał je. Potem zaczął czytać drugi raz i odłożył aparat. Po co zawracać sobie tym głowę?, pomyślał. Albo masz zamiar to robić, albo nie.

Błagam, błagam, błagam o pomoc.

I mnóstwo wykrzykników.

20

Znał już odpowiedź na jedno pytanie.

Maria Vasquez, matka zaginionej kobiety, mieszkała w samym środku Tenderloin.

To tłumaczyło niską sumę, jaką oferowała za informacje o córce. Niewielu mieszkańców tej dzielnicy San Francisco byłoby stać na zebranie na tyle wysokiej nagrody, by przyciągnęła czyjaś uwagę.

Położony w centralnej części miasta Tenderloin nie cieszył się dobrą sławą. Brudna, zaniedbana dzielnica, oszpecona graffiti, z górami śmieci na ulicach i chodnikach, była siedliskiem bezdomnych, branży usług seksualnych, między innymi handlarzy żywym towarem, gangów i ludzi zaangażowanych we wszystkie fazy narkobiznesu: producentów, kurierów, dilerów i oczywiście konsumentów. Policja San Francisco podzieliła miasto na ponad sześćset niewielkich obszarów, by przeanalizować wskaźniki przestępczości. Siedem na dziesięć najbardziej niebezpiecznych części miasta znalazło się w granicach Tenderloin.

Shaw nie był tam od lat. W dawnych czasach w dzielnicy było mnóstwo hotelików z jednoosobowymi pokojami i małych nędznych mieszkań, księgarni dla dorosłych, salonów masażu, sklepików spożywczych prowadzonych przez Latynosów, Azjatów, Filipińczyków, sklepów z tytoniem i e-papierosami, kartami telefonicznymi, perukami oraz salonami manicure'u.

Taka atmosfera w dużej mierze zachowała się w Tenderloin do dziś, Shaw dostrzegł jednak kilka oznak zmian na lepsze. W parterowych lokalach przy ulicy urządzono punkty pomocy środowiskowej dla uciekinierów z domów, ofiar handlu ludźmi, uzależnionych. Rozpoczęła się też gentryfikacja, choć na skromną skalę. Naprzeciw budynku bez windy, gdzie mieszkała Maria Vasquez, postawiono dziesięciopiętrowy apartamentowiec oferujący studia i dwupokojowe mieszkania. Jak wynikało z wywieszonej na nim reklamy, nosił nazwę DE-LUXE, z niewiadomego powodu rozdzieloną dywizem. Na parterze znajdowała się kawiarnia udająca Starbucksa, a obok galeria sztuki i winiarnia. Okolica się zmieniała, lecz nie do końca – na tym odcinku ulicy okna na dwóch pierwszych kondygnacjach większości budynków chroniły grube żelazne kraty.

Przypiął motocykl i kask do słupa latarni, po czym podszedł do drzwi budynku. Wcisnął guzik domofonu, a gdy odezwał się kobiecy głos, powiedział:

- Dzwoniłem do pani wcześniej. W sprawie nagrody, którą pani wyznaczyła.
- Ach, pan...

– Colter.

Rozległ się brzęczyk. Shaw wszedł na drugie piętro, czując zapach świeżej farby, czosnku i palonej trawki. Zapukał do drzwi mieszkania 3C. Usłyszał kroki i Maria Vasquez mu otworzyła.

Przyjrzała mu się nieufnie, zatrzymując wzrok na skórzanej kurtce, džinsach i butach.

Podczas większości zleceń, kiedy spotykał się z osobami wyznaczającymi nagrodę, starał się prezentować jak profesjonalista – trochę prawnik, trochę detektyw, trochę psycholog. Ubierał się zwykle w sportową marynarkę, świeżo wyprane džinsy, wypolerowane buty i koszulę w jakimś ciemnym kolorze. Ta możliwość nie wchodziła dziś w grę, skoro poruszał się yamahą.

Kobieta musiała zaakceptować łowcę nagród na motocyklu.

W jego twarzy dostrzegła jednak coś, co ją wyraźnie uspokoiło.

– Proszę, proszę wejść.

Vasquez miała czterdzieści kilka lat, około stu siedemdziesięciu kilku centymetrów wzrostu, urodziwą twarz i szczupłą sylwetkę. Jej rysy sugerowały meksykańskie pochodzenie.

Dwupokojowe mieszkanie wyglądało ładniej, niż się spodziewał. Meble były tanie, ale ściany niedawno zostały odmalowane i ozdobiły je plakaty ze śmiałymi kwiatowymi wzorami oraz kilka artystycznych zdjęć przywodzących na myśl dzieła słynnych fotografów z Zachodniego Wybrzeża z połowy dwudziestego wieku: Ansela Adamsa, Edwarda Westona, Imogen Cunningham.

Kobieta zaproponowała mu coś do picia, ale podziękował. Kiedy usiedli, przytknęła dłoń do twarzy.

– Och, ten rok jest okropny. Okropny. Zmarł mój mąż, który nie był ubezpieczony, a ja straciłam pracę. Byłam recepcjonistką w firmie z sektora nowych technologii. – Jej usta skrzywiły się w cynicznym grymasie. – Wielkim start-upie! Mieliśmy zostać milionerami. Obiecywali wszystko. Program bonusowych akcji i tak dalej. Firma padła. Odtąd zajmuję się tym. – Pokazała różowy uniform kelnerki. – Straciliśmy dom. Przejął go bank i na dodatek pozywa nas do sądu! Przede wszystkim nigdy nie chciałam dużego domu, ale Eduardo... – Pokręciła głową, jakby wyczerpało ją odtwarzanie katastrof z ostatnich dwunastu miesięcy. – A teraz jeszcze i to.

Łzy wezbrały jej w oczach i poszukała chusteczki w sfatygowanej beżowej torebce zamykanej na staroświecki zatrzask. Osuszyła twarz.

Z kieszeni kurtki Shaw wyjął jeden ze swoich notesów, trzynaście na osiemnaście centymetrów, w których zapisywał informacje w trakcie takich rozmów jak ta. Podobnie jak ojciec miał drobny i precyzyjny charakter pisma. Mimo że na stronach notesu nie było linii, każdy rząd liter ciągnął się idealnie równo.

Pisał wiecznym piórem Delta Titanio Galassia, z czarnym zbiorniczkiem i trzema pomarańczowymi pierścieniami od strony stalówki. Od czasu do czasu jego rozmówcy zerkali na pióro, które nie należało do najtańszych, jak gdyby uważali korzystanie z takich

przyborów do pisania za przejaw pretensjonalności. Nic podobnego. Shaw wybrał pióro przede wszystkim ze względów praktycznych: zapewnianie kolejnych stron tak drobnym pismem męczyło rękę, a złota stalówka przelewała słowa na papier płynnie i wymagała mniejszego wysiłku niż nawet najlepsze długopisy. Używanie pięknego pióra sprawiało mu także przyjemność.

Ktoś spytał go kiedyś, dlaczego nie korzysta z dyktafonu albo przynajmniej nie wstukuje odpowiedzi do laptopu czy tabletu. Odparł, że podczas mówienia albo wciskania klawiszy wchodzi się tylko w przelotny związek ze słowami. Stają się twoją własnością jedynie wówczas, gdy napiszesz je ręcznie.

– Powiem pani, kim jestem i co robię – rzekł Shaw. – Może mnie pani traktować jak prywatnego detektywa, któremu płaci się dopiero po wykonaniu zadania. Spróbuję odnaleźć pani córkę. Jeżeli mi się uda, wypłaci mi pani nagrodę. Nie poniesie pani żadnych wydatków.

W oczach prawa wyznaczenie nagrody jest umową jednostronną. Oferta zostaje złożona, ale nie rodzi żadnych zobowiązań, dopóki jedna ze stron – łowca nagród – nie wywiąże się ze wskazanego zadania. Wtedy powstaje zobowiązanie wynikające z umowy.

Vasquez skinęła głową.

– Rozumiem.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Dwa dni temu, gdy wróciłam ze swojej zmiany, Tessy nie było. Miała być w pracy o szóstej, ale nie przyszła. Nie odbiera telefonów. Od razu włącza się poczta głosowa. Tamtego wieczoru nie pojawiła się w pracy. Dzwoniłam do jej znajomych... Nikt nie miał od niej żadnych wiadomości.

– Zamierzała dokądś iść przed pracą?

– Nie wiem. Czasem grała na gitarze ze znajomymi.

Spytał, czy rozmawiała z policją.

Na chwilę zamilkła.

– Jeszcze nie. Od kogoś starszego dowiedziałam się, że przez kilka dni policja w ogóle się tym nie zainteresuje.

Mogłaby się zainteresować. Tak naprawdę chciała mu powiedzieć, że obie nie miały dokumentów, więc bała się, że gliniarze zgłoszą je do Służb Imigracyjnych i Celnych. Spotykał się z takimi obawami w społeczności imigrantów; niekiedy policja przymykała oko, ale prawo federalne wymagało takiego zgłoszenia.

– Pokłóciłyście się? Tessy uciekła? – To była najczęstsza przyczyna zaginięć młodych ludzi.

– Och, nie, nie! Jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Nigdy się nie kłócimy. Nikogo tak w życiu nie kochałam!

Najpowszechniej spotykaną formą porwań były uprowadzenia rodzicielskie. Nawet w przypadku pełnoletniego dziecka, takiego jak Tessy, matka lub ojciec mogli je zmusić, by zamieszkało z którymś z nich. Dziś coraz więcej osób podejmowało decyzję o wyprowadzce

z domu rodzinnego później niż zwykle. Vasquez była wdową, ale to nie wykluczało takiego scenariusza.

– Ma pani partnera albo spotyka się pani z kimś, kto mógłby się nią zainteresować?

Parsknęła śmiechem.

– Pracuję dwanaście godzin dziennie, na dwie zmiany. To ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy.

– Czyli przypuszcza pani, że ktoś ją zmusił, żeby z nim poszła.

Wyprostowała się, mnąc w dłoniach chusteczkę.

– Powiem panu, czego się boję. Kilka lat temu Tessy miała problemy z narkotykami. Walczyła z tym i wygrała. Chodzi na mityngi. To dobra dziewczyna. Ale pojawił się pewien facet, starszy od niej. Spotykali się. Najczęściej umawiali się poza domem, bo on dostarczał jej towar. Kiedy wyszła z nałogu, jej sponsor z grupy samopomocy powiedział jej, że nie może się z tym człowiekiem więcej widywać. Zerwała z nim. Wściekł się. Zaczął ją prześladować.

– Kiedy to było?

– Pół roku temu.

– Jak się nazywa?

– Roman, tylko tyle wiem. Wydaje mi się, że to pseudonim.

– Adres?

Vasquez pokręciła głową.

– Był aresztowany?

– Prawdopodobnie. Chyba tak.

– Proszę go opisać.

– Ma około trzydziestki... nie, pewnie więcej. Niewysoki, szczupły. Ma ogoloną głowę. W każdym razie miał. Białą, ale z ciemniejszą karnacją. Na szyi nosi tatuaż w kształcie krzyża. Staroświeckiego krzyża, takiego z historycznych czasów.

Shaw potrzebował kilku chwil, by to wszystko zanotować.

– Gdzie pracuje? – zapytał.

– W klubie folkowym, w North Beach.

Zapisał nazwę.

– Za każdym razem, gdy na nie patrzę, chce mi się płakać. – Pokazała na fotografii na ścianie.

– Tessy je zrobiła? Ma talent.

Skinienie głową.

– Uczyła się w szkole artystycznej. Umie też śpiewać. Ma ładny głos.

Spojrzała przez okno. Zaciskała szczęki.

– Nie miałam dla niej tyle czasu, ile powinnam. Tu jest tak drogo... Pracowaliśmy na dwóch etatach, Eduardo i ja. Nie mieliśmy czasu... Wpadła w kłopoty. – Dotknęła palcem dolnej powieki i zerknęła na opuszkę, by sprawdzić, czy nie rozmazał się tusz. Rzeczywiście

miała pod oczami smużki mascary. Skrzywiła się, wyjęła z torebki puderniczkę z lusterkiem, obejrzała szkody spowodowane płaczem i częściowo starła czarne plamy.

Miała delikatne ręce i gładką skórą. Kiedy urodziła córkę, musiała mieć niewiele ponad dwadzieścia lat.

Shaw zadał jej kilka standardowych pytań, które opracował w ciągu lat, kiedy zajmował się między innymi poszukiwaniem zaginionych młodych ludzi, i notował jej odpowiedzi swoim drobnym charakterem pisma.

Nazwiska i numery telefonów znajomych. Tessy nie miała w telefonie aplikacji umożliwiającej jej lokalizację. Była właścicielką numeru, więc matka nie mogła polecić operatorowi namierzenia telefonu; mogłaby to zrobić jedynie policja, zresztą tylko na podstawie nakazu. Miała przy sobie kartę kredytową matki, ale z niej nie skorzystała.

– Kiedy ostatni raz się z panią kontaktowała?

– Zadzwoiła i zostawiła wiadomość. Nie mogłam odebrać. – Zadrżała jej warga. Pomyślała, że być może to była ostatnia szansa na rozmowę z córką.

– Proszę odtworzyć tę wiadomość.

Zrobiła to. Usłyszeli lekki, radosny głos, którym rzuciła kilka słów, po czym poinformowała, że zadzwoni później. Była na zewnątrz, na jakiejś głośnej ulicy.

– Może mi to pani przesłać? – spytał Shaw.

Nie zrozumiała.

– Przesłać...?

– Można zapisać wiadomość z poczty głosowej jako plik WAV.

– Wave?

– Nie, W-A-V. Format pliku dźwiękowego. Można go zapisać w telefonie. Niech pani poszuka w Google'u. To nic trudnego. Potem przyśle mi pani nagranie e-mailem. – Podał jej adres: ColterShawReward@gmail.com.

Obiecała, że to zrobi.

– Chciałbym zobaczyć jej pokój.

– Nie ma własnego pokoju. Śpi tutaj – na rozkładanej kanapie.

– Ma jakieś rzeczy osobiste? Komputer, papiery?

Vasquez szerokim gestem pokazała skromnie umeblowane mieszkanie.

– Prawie cały nasz dobytek jest w magazynie w Mountain View. Tam mieliśmy dom, który przejął bank.

– Chyba mam już wystarczająco dużo informacji, żeby zacząć. Będzie mi potrzebne zdjęcie. Trochę lepsze od tego, które zamieściła pani w internecie.

Nie miała żadnego na papierze, ale wysłała mu fotografię na telefon.

Młoda kobieta z długimi, ciemnymi włosami była uderzająco piękna. Wysokie kości policzkowe, pełne wargi i duże oczy w głębokim odcieniu brązu.

– Ktoś jeszcze dzwonił do pani w sprawie nagrody?

– Parę osób. – Zniżyła głos. – Same łobuzy. Nic nie wiedzieli. Zmyślali, że gdzieś ją widzieli, tylko po to, żeby dostać pieniądze.

– Tak się zdarza. No dobrze. Mam też inne zajęcia, ale zrobię, co będę mógł.

Serdecznie uścisnęła mu dłoń.

– Dziękuję, panie Shaw.

– Colter.

– Dziękuję. Niech cię Bóg błogosławi. – Dotknęła srebrnego krzyżyka na szyi. – Jest już więcej – dodała z ożywieniem.

– Więcej?

– Niż wyznaczyłam za jej odnalezienie. Godzinę temu zagłądałam na stronę GoFundMe. Ludzie wpłacili dwieście trzydzieści cztery dolary. Modłę się, żeby to nie był jeszcze koniec.

– Najpierw ją znajdziemy – odparł Shaw. – O to będziemy się martwić później.

21

Nigdy nie używaj siły, jeśli wystarczy trochę finezji...

Colter Shaw potrafił uciec się do podstępu. Lubił wyprowadzać w pole ściganych przestępców, planować kolejne kroki wbrew topografii terenu, żywiołom i innym siłom, które sprzysięgały się przeciwko niemu, by utrudnić mu odnalezienie zaginionej osoby.

Czasem jednak trzeba było zastąpić przebiegłość czystą siłą.

Wychodząc od Marii Vasquez na zalatującą cierpkimi zapachami ulicę, dostrzegł zieloną hondę.

W pewnym sensie musiał wykazać się odrobiną finezji, by zauważyć samochód. Kierowca nie zaparkował na ulicy, przy której mieszkała matka zaginionej, lecz za rogiem. Rozglądając się, dostrzegł odbicie hondy w świeżo umytej szybie witryny tworzącej wierzchołek trójkąta, który poza nią tworzyli Shaw i zielone auto.

Z wozu nie było widać motocykla, a to oznaczało, że kierowca nie siedział w środku, lecz był na ulicy i obserwował go bezpiecznie wtopiony w kilkudziesięcioosobowy tłum. Krył się gdzieś pośród klientów sklepików, kurierów z paczkami i przesyłkami, dostawców z restauracji, sklepikarzy, którzy starali się doszorować chodniki, kobiet i mężczyzn najprawdopodobniej świadczących usługi seksualne, kilku dilerów i amatorów ich towaru oraz osób, które po prostu stały na ulicy i rozmawiały z kimś osobiście albo przez telefon, a także paru takich, które z ożywieniem mówiły wyłącznie do siebie.

Był tylko jeden sposób, by ustalić, kto to jest.

Shaw sprawdził, czy kabura bezpiecznie tkwi za pasem, po czym skręcił w stronę skrzyżowania i szybkim krokiem ruszył w kierunku przecznicy, gdzie stała zielona honda.

W sekundę wypłoszył szpiega.

Człowiek w czarnych dżinsach, szarej wiatrówce i czarnej bejsbolówce, stojący około pięćdziesięciu metrów od Shawa, błyskawicznie się odwrócił i pobiegł w stronę samochodu. Zaczął od szybkiego marszu, by przejść do sprintu, choć zatrzymał się na moment, aby zamienić parę słów z dwoma roslymi mężczyznami w T-shirtach, z których jeden miał burzę rudych loków, a drugi czarne, tłuście włosy zebrane w kucyk. Wspólnicy? Shaw nie rozumiał, skąd mogliby się tu wziąć. Wyładowywali towar ze zdezelowanego dostawczaka zaparkowanego na skrzyżowaniu z ulicą, gdzie na rogu stała zielona honda.

Kierowca biegł dalej, a Shaw zbliżał się do niego. Przypuszczał, że zdąży go dogonić, zanim facet wskoczy do wozu i odjedzie.

I prawdopodobnie tak by się stało, gdyby nie jeden problem.

Kiedy mijał samochód dostawczy, dwaj mężczyźni zastąpili mu drogę i wyciągnęli ręce.

– Kurwa, nie tak szybko, gnoju – warknął Kędzierzawy.

Shaw próbował zrobić unik, ale Kucyk podbiegł z przodu i chwycił go za rękę.

– Z drogi. – Colter obniżył środek ciężkości ciała, przygotowując się do powalenia go na ziemię.

Kędzierzawy chwycił go za drugą rękę i przycisnęli go do samochodu. Był obezwładniony.

– Co jest, znowu chcesz połamać komuś kości? Tylko wtedy czujesz się mężczyzną?

Kucyk, który zażywał kąpieli równie rzadko, jak używał szamponu, burknął:

– Sami powinniśmy ci je połamać. Zobaczymy, czy ci się spodoba.

– Okej. Spokojnie. – Shaw nie miał pojęcia, o co chodzi, więc próbował załagodzić sytuację, a gdy Kucyk rozluźnił mięśnie, wyszarpnął prawą rękę i nałożył dźwignię na jego gruby nadgarstek, po czym powalił faceta na kolana.

– O kurwa... – Kędzierzawy wymierzył Shawowi cios w brzuch, ale po chwili też wylądował na chodniku.

Colter złapał oddech, powoli się podniósł i wycofał.

Usłyszał dobiegający z za rogu warkot uruchamianego silnika i pisk opon.

Niech to szlag...

Mężczyźni ruszyli na niego. Cofnął się jeszcze o kilka kroków i wyciągnął w ich stronę lewą rękę, a prawą rozchylił kurtkę i uniósł sweter, ukazując broń.

– Kurwa, gliniarz?

– Słuchaj pan... Nie wiedzieliśmy.

Mdłości ustąpiły.

– Co on wam powiedział? – warknął Shaw.

– Kto?

– Ten facet, którego goniłem.

Spojrzeli obaj po sobie.

– Mylisz się pan – poinformował go Kędzierzawy.

– To nie był facet, tylko dziewczyna.

– I to całkiem niezła.

Poświęcił kilka godzin na poszukiwanie Tessy Vasquez.

Klub muzyczny, w którym pracowała, nie serwował lunchu, ale Shawowi udało się porozmawiać z szefem, chudym, młodym człowiekiem w za dużym o dwa numery ubraniu, z obwisłym wąsem z epoki wojny w Wietnamie. Nosił wełnianą czapkę, podobnie jak Russell, tyle że zieloną. Nie potrafił udzielić żadnych istotnych informacji i nie widział, by ktoś o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Romana kontaktował się z Tessą, która była w klubie kelnerką i od czasu do czasu występowała.

– Pytałem pracowników, czy ktoś nie wie, gdzie ona może być – powiedział chudzielec – ale nikt. Po prostu nie przysłała do pracy. Wtedy zadzwoniłem do jej matki.

Po wyjściu z klubu Shaw zadzwonił do znajomych, których nazwiska podała mu Maria Vasquez – tych przynajmniej, których numery udało jej się znaleźć. Trzy osoby odebrały telefon, ale żadna nie miała pojęcia, gdzie może być Tessy. Jedna z młodych kobiet powiedziała mu jednak, że ostatnio dziewczyna polubiła śpiewanie na ulicach. Wspominała jej, że obawia się zbrojczyków w parkach i na skwerach, gdzie występowała, ale koleżanka nie umiała podać żadnych szczegółów.

Shaw wrócił motocyklem na Alvarez Street.

Dom, który wcześniej dzięki obecności Russella trochę ożył, teraz wydawał się zupełnie pusty. Tego wrażenia nie łagodziła mgła, która na nowo zaległa na ulicy.

Kalifornijska szaruga przełomu wiosny i lata...

Colter powiesił skórzaną kurtkę na wieszaku przy drzwiach wejściowych, po czym zdjął sweter i zostawił go w tym samym miejscu. Wszedł do kuchni, gdzie z szafki wydobył paczkę mielonej kawy z Hondurasu. Zaparzył przez filtr cały dzbanek i nalał sobie kubek. Nie przywiózł z kampera mleka, ale w lodówce znalazł zabielać w proszku. Najwyraźniej brat przyrządzał sobie kawę tak samo jak on.

Gdzie on teraz był?

Na pokładzie prywatnego odrzutowca lecącego do Singapuru?

W bunkrze w Utah?

Na tropie terrorysty w Houston?

Umiejętności surwiwalowe, jakie Ashton wpajał rodzinie, były bronią obosieczną. Mogły chronić przed intruzami, ale można je było także wykorzystać, by podejść przeciwnika, zlikwidować go, a potem wymknąć się pościgowi.

Przypomniał sobie chłodny wyraz oczu brata, kiedy zabił w zaułku Blondyna. Martwiły go tylko sprawy praktyczne – sprowadzenie zespołu, szybkie posprzątanie w miejscu zdarzenia i odwrót.

Usiadł na kanapie i wyciągnął przed siebie nogi.

Myślał o kierowcy zielonej hondy.

Dziewczyna...

I to niezła...

Ale kim była? Na czym polegało jej zadanie?

Jedna rzecz wydawała się jasna. Nie dawała się złapać i sprytnie mu przeszkadzała. Rozsypała gwoździe na drodze, a w Tenderloin wykorzystwała tych dwóch neandertalczyków, by go zatrzymali. Powiedzieli mu, że była przerażona i błagała ich o pomoc; człowieka, który ją gonił, przedstawiła jako byłego męża i powiedziała, że z powodu jego brutalności już kilkanaście razy trafiła do szpitala. Dwa razy złamał jej rękę.

– Uwierzyliście jej? – mruknął Shaw.

Kędzierzawy wzruszył ramionami.

– No pewnie. Przecież... wiesz pan, była piękna.

Ach, tak, piękna. Shaw nigdy nie słyszał o takim wykrywaczu kłamstw.

Nie wiedzieli nic więcej ani nie zwrócili uwagi na numer rejestracyjny hondy, więc dał im spokój. Wypytał jeszcze parę osób na ulicy, gdzie zaparkowała samochód. Nikt nie zwrócił uwagi na kobietę ani na auto – tak przynajmniej twierdzili.

Zastanawiał się, jaką rolę ma do odegrania w tej historii.

Z braku faktów wszystkie teorie opierały się na domysłach, a próby sformułowania jakichkolwiek wniosków były stratą czasu.

Jego wzrok zatrzymał się na przedmiocie stojącym na regale, ciemnej figurce bielika, którą wcześniej oglądał.

„Nie, Colt. Nie! To nie nasza sprawa...”

22

Zwariowali? Przecież zginą.

Mówiąc to do młodszego brata, Russell patrzy na strome zbocze zaśnieżonej góry. Colter ma czternaście lat, jego brat dwadzieścia. Russell właśnie przyjechał odwiedzić rodzinną Posiadłość w czasie przerwy semestralnej.

Mają na nogach rakiety śnieżne i są ubrani odpowiednio do styczniowej pogody, co na tej wysokości oznacza prawdziwe zimno. Szukają, na razie bez powodzenia, owiec kanadyjskich, na które sezon łowiecki przypada najpóźniej w stanie. Można na nie polować prawie do połowy lutego.

Colter podąża wzrokiem za spojrzeniem brata i widzi dwie osoby, które w raketach idą w poprzek pochyłości stoku. Jedna ma na sobie granatowy kombinezon i wełnianą czapkę, druga jest ubrana w lawendowy strój i ma białe nakrycie głowy; jej sylwetka jest drobna, dlatego domyślił się, że to kobieta. Wędrują z jednej strony urwistego zbocza na drugą, około stu metrów poniżej grzbietu wzniesienia.

Ziemia jest własnością rodziny Shawów, a to akurat miejsce znajduje się około pięciu kilometrów od rezerwatu przyrody. Ashton oznaczył większą część Posiadłości, ale na ogół nie robił problemów w przypadku przekraczania jej granic, pod warunkiem że nikt nie wnosił broni palnej, bo mógłby to być myśliwy albo – jak przekonał się Colter zaledwie rok wcześniej, podczas konfrontacji z uzbrojonym człowiekiem – groźny intruz nadmiernie zainteresowany Ashtonem Shawem i jego majątkiem.

W tym momencie Coltera nie obchodzi prawo turystów do przebywania na ich terenie. Niepokoi się, bo tym dwojgu, którzy najwyraźniej urządzili sobie fotograficzne safari, grozi poważne niebezpieczeństwo.

Idą przez sam środek pola lawinowego. Przyjechali z Fresno, Bakersfield albo z Sacramento, żeby uwiecznić na zdjęciach pobielone szczyty gór po kilku dniach intensywnych śnieżyc.

– Gogusiostwo z miasta – mruczy pod nosem Russell.

Colter rozumie to słowo, chociaż nigdy wcześniej go nie słyszał. Brat spędził dwa lata z dala od Posiadłości i liznął trochę świata, między innymi poznał nowe słowa i wyrażenia.

– Nie mają pojęcia, co robią. Trzeba ich ostrzec.

Świszczący w uszach wiatr unosi z grani biały pył i dmie w dół zbocza. Tych dwoje stoi pod wiatr, więc nie mogą ich usłyszeć.

– Musimy wejść wyżej, bliżej nich.

Russell kiwa głową.

– Ale nie wchodźmy na ten stok. To pole minowe.

Podczas szkoleń survivalowych Ashton poświęcił wiele godzin na wykłady o lawinach. Colter natychmiast orientuje się, jak niebezpieczne są warunki. Tuż po opadach, tak jak tego dnia, pokrywa śnieżna jest najslabiej związana. Szczególnie nieprzewidywalna jest na zboczach od północy, czyli takim jak to. Na południowe stoki gór pada więcej słońca, które topi i wiąże śnieg. Od północnej strony śnieg przypomina szron, jest luźny, niestabilny, śliski jak kryształki cukru. Następny czynnik: każde nachylenie terenu powyżej trzydziestu stopni zwiększa zagrożenie lawiną, a ten stok na pewno ma więcej.

Colter i Russell ruszają na tyle szybko, na ile pozwalają im rakiety na nogach i obciążone bronią plecaki.

Dwoje ludzi przystaje, balansując na zboczu pod ryzykownym kątem, i pstryka zdjęcia, które na pewno są wspaniałe, ale mogą się okazać ich ostatnimi w tym życiu.

Przyczyną śmierci ofiar lawin w siedemdziesięciu procentach jest uduszenie, w trzydziestu urazy. Z gór rzadko schodzi drobny puch; na ogół zsuwa się masa ostrych kawałków zbitego śniegu i brył lodu twardych jak betonowe płyty.

Chłopcy są około stu metrów niżej od pary fotoamatorów, w odległości dwudziestu metrów za nimi. Od wysokości i szybkiej wspinaczki brakuje im tchu.

Wreszcie Russell daje młodszemu bratu znak, by został z tyłu, a sam podchodzi jeszcze trzy metry i przystaje na wysokiej zaspie. Stoi dokładnie na krawędzi pola lawinowego, choć nie wiadomo, czy on i Colter rzeczywiście są bezpieczni. Śnieg przemieszcza się tam, gdzie mu się spodoba. Może się nawet wspiąć po stoku.

Russell przykłada do ust stulone dłonie i woła:

– Hej, ludzie! To niebezpieczne! Lawina!

Wiatr – jeszcze jeden czynnik ryzyka – porywa jego słowa i niesie do tyłu; tamci ich nie słyszą.

Krzyczą obaj.

Żadnej reakcji. Mężczyzna pokazuje w dal, po czym znowu robią zdjęcia.

Russell ponownie rusza w górę i wkracza na zagrożony teren, rozkazując bratu:

– Zostań tam.

Przystaje i jeszcze raz woła:

– To niebezpieczne! Wracajcie! Tą samą drogą!

Para przysłała na zbocze położonym wysoko skalistym szlakiem. Jeśli na niego wrócą, będą bezpieczni.

Colter dostrzega wąskie białe strumyczki sunące w dół zbocza z miejsca, w którym stoi dwoje intruzów. Jak puszyste zwierzątka umykające przed zagrożeniem, białe kłębki toczą się szybko i daleko.

Zastanawia się, czy nie strzelić w drzewo, żeby zwrócić uwagę turystów. Ashton powiedział im, że zdaniem większości ekspertów dźwięki, nawet huk wystrzału z broni dużego kalibru, nie powinny wywołać lawiny, mimo to nie zamierza ryzykować. Zresztą trudno w ten sposób wskazać swoje położenie, bo strzał zwielokrotnia echo.

Russell podchodzi jeszcze bliżej pary intruzów.

– To niebezpieczne!

– Lawina! – wrzeszczy Colter i wymachuje rękami.

Wreszcie tych dwoje spogląda w dół i macha do niego.

– Co? – Krzyk mężczyzny bez trudu niesie się z wiatrem.

– Lawina. Jesteście na polu lawinowym!

Oboje spoglądają na siebie. Mężczyzna unosi ręce i gwałtownie kręci głową na znak, że nie słyszy. Z trudem brną w niewygodnych raketach po trudnym stoku.

Russell szybko wraca do brata i wspinają się na skalną półkę na skraju pola.

– Wejdziemy na górę między drzewami.

W momencie, gdy bracia zaczynają się wspinać, Colter słyszy stłumiony krzyk. Kobieta straciła równowagę. Pada na śnieg i zaczyna się zsuwać na plecach, rozkładając szeroko ręce, by się zatrzymać. Można spowolnić zjazd, używając raket, ale ona nie zna tej techniki albo w panice o niej zapomniała.

No to zaraz się zacznie, myśli Colter.

Ale lawina nie schodzi.

Kobieta zsuwa się w chmurze sypkiego śniegu i zatrzymuje mniej więcej na wysokości braci, w odległości około dziesięciu metrów od nich. Z trudem gramoli się na nogi w białym puchu sięgającym ud, ze stopami uwięzionymi w szerokich obręczach z siatki. Sprawdza aparat fotograficzny i resztę sprzętu. Dotyka kieszeni i krzyczy w górę:

– Telefon cały! – Nawet się śmieje.

Jej towarzysz pokazuje uniesiony kciuk.

Kobieta znalazła się w zasięgu ich głosu, więc Russell wyjaśnia jej niebezpieczeństwo.

– Musicie stąd jak najszybciej uciekać! Oboje! To pole lawinowe. Zagrożenie!

– Lawinowe?

– Szybko! – woła Colter. Bał się, że jej upadek spowoduje katastrofę. Ludzie są przyczyną numer jeden lawin: narciarze, miłośnicy skuterów śnieżnych i turyści w raketach, którzy beztrudnie zapuszczają się tam, gdzie nie powinni. Na razie jednak wielki nawis trzyma się góry.

– Niech pani zejdzie ze stoku! – mówi Russell. – Odepnie rakiety i je zdejmie. A pani przyjaciel niech wejdzie między drzewa, na szlak, którym przyszłście. Musi zawrócić!

Kobieta spogląda w górę i macha do niego, po czym pokazuje w lewo, żeby wrócił na szlak. Tamten znowu unosi rękę na znak, że nie rozumie.

Turystka zdejmuje rękawiczki i sięga po telefon. Dzwoni. Colter widzi, że mężczyzna odbiera.

– Brad, kochanie, ci chłopcy mówią, że to teren lawinowy. Wracaj do lasu. Na szlak, którym szliśmy, zanim skręciliśmy na stok.

– Niech mu pani powie, żeby szedł wolno – uprzedza ją Russell. – Bardzo wolno.

Kobieta przekazuje tę informację, chowa telefon, a potem pochyla się, by zdjąć rakiety. Odpina jedną i po chwili z trudem uwalnia but z wiązania.

Nie może robić tego trochę szybciej?

Colter widzi, że mężczyzna rusza w stronę bezpiecznego szlaku.

Spoglądając w dół, zauważa, że spod jego stóp coraz szybciej zsuwają się pasma śniegu.

I coraz ich więcej.

W panice rzuca się biegiem, kłapiąc owalnymi raketami w białą powierzchnię zbocza.

– Nie! – krzyczą chórem Colter z bratem.

Mężczyzna dociera na skraj pola i gdy dosłownie ostatnim rzutem na taśmę dostaje się w bezpieczne miejsce, masa śniegu obrywa się i kaskadą zsuwa się po zboczu. Ma szerokość zaledwie trzech metrów i jest płytka, ale lawiny to reakcja łańcuchowa. Colter wie, że ten ruch wywoła znacznie większy spadek.

Kobieta najwyraźniej też słyszy pomruk zbliżającej się białej fali, unosi wzrok i widzi nacierającą ścianę. Wydaje krótki krzyk. Od bezpiecznej wyżej położonej półki, na której stoją chłopcy, wciąż dzieli ją ponad dziesięć metrów. Tkwi uwięziona przez drugą raketę. Pochyla się w białym puchu i gorączkowo usiłuje rozpiąć wiązanie.

Colter ocenia sytuację:

Prawdopodobieństwo, że oberwie się całe pole? Osiemdziesiąt procent.

Szanse przeżycia człowieka, który nie przeszedł szkolenia lawinowego? Pięć procent.

A kogoś, kto co nieco wie, jak się zachować w głębokim śniegu? Nie wiadomo, ale na pewno większe.

Zrzuca plecak i broń.

Russell wpatruje się w młodszego brata.

– Nie, Colt. Nie! To nie nasza sprawa.

Nie ma czasu na dyskusję. Chłopak zeskakuje ze skalnego grzbietu i biegnie przez stok, sadząc niezgrabne susy w raketach.

Kiedy dociera do kobiety, odrywa się ogromny pas śniegu szerokości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu metrów, który obsuwa się i spada, nabierając impetu. Taka masa może z łatwością przekroczyć prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Odpina wiązania, wyskakuje z raket i widzi przerażenie na zalanej łzami twarzy turystki. Kobieta ma wielkie ciemne oczy, zadarty nos i szminkę albo krem z filtrem w kolorze dopasowanym do fioletowego kombinezonu.

– Druga rakietka?

– Co się stanie? – krzyczy.

– Rakietka?! – ryczy Colter.

– Odpięta. – Kobieta prostuje się i próbuje ją zdjąć. Patrzy na niego zdumiona, być może dopiero wtedy zdając sobie sprawę, jaki jest młody.

– Zostaw rakieta! – rozkazuje Colter.

Zabiera jej aparat fotograficzny i odrzuca. W chaosie lawiny nawet drobne twarde przedmioty mogą skaleczyć albo zabić.

Spogląda w stronę szczytu. Zostało im trzydzieści sekund.

– Posłuchaj. Kiedy lawina uderzy, nie broń się przed nią. Udawaj, że pływasz, poruszaj rękami i nogami. Płyn z nią, jak z falą na morzu. Rozumiesz?

Ona nie odpowiada.

– Rozumiesz? – powtarza z uporem.

– Tak, płynąć.

Dwadzieścia sekund do zderzenia z białą falą.

– Kiedy poczujesz, że zwalniasz, skul się i głęboko nabierz powietrza, jak najwięcej. Jedną ręką zrób sobie miejsce wokół ust na powietrze. Drugą rękę unieś jak najwyżej, żeby ratownicy wiedzieli, gdzie jesteś. Zrób dużo miejsca przy ustach. Powietrza powinno wystarczyć na pół godziny.

– Boję się!

Dziesięć sekund. Fala ma dwa metry wysokości, po chwili już dwa i pół i nabiera rozpędu. Unosi się za nią pióropusz pyłu gęsty jak dym pożaru w lesie.

– Dasz sobie radę. Płyn, dłoń przy ustach, ręka w górę.

To lawina pyłowa, z przewagą sypkiego śniegu nad zlodowaciałymi płytami. Gdyby mieli w niej zginać, to raczej z braku powietrza niż od uderzenia w głowę. Colter nie wie, co jest gorsze. Pewnie uduszenie.

Kobieta wpatruje się w nacierającą falę. Colter odwraca ją w drugą stronę.

Pięć sekund.

On odchodzi na bok, żeby ich ciała nie stały się zagrożeniem dla siebie nawzajem.

– Płyn!

Słucha go. On też rzuca się w białą toń i nabiera tchu.

W chwili, gdy napęlnia powietrzem płuca, świat pogrąża się w ciemności.

23

Mary Dove kończy opatrywać rany na szyi i policzku swojego czternastoletniego syna.

Choć to była lawina pyłowa i w przeważającej części składała się z ziarnistego śniegu, to Colterowi nie udało się uniknąć zderzenia z ostrym kawałkiem lodu. A może kamieniem.

Obrażenia nie są jednak poważne.

Matka zajmuje się nim w swoim domowym gabinecie, który nie różni się od typowych pokoi w poradniach lekarskich, z wyjątkiem ścian, które, jak w całej chacie, są z ręcznie ciosanych bali.

– Gdzieś jeszcze? – pyta.

– Nie. Tylko wszystko mnie trochę boli.

– Jak daleko cię zniosło?

– Na długość boiska futbolowego – odpowiada, choć zna je tylko ze zdjęć w gazetach i czasopismach. Nigdy nie oglądał meczu. Mieszkaniec domu bez telewizji czy internetu nie ma okazji oglądania transmisji z widowisk sportowych, a najbliższe kluby są w college'ach i szkołach średnich w okolicach Fresno. Kiedy rodzina jeździła do miasta, zawsze miała jakieś sprawy do załatwienia albo zaplanowane spotkania ze znajomymi czy krewnymi. Zresztą żadne z dzieci nie przejawiało takich zainteresowań. Jeśli rodzice nie są kibicami, to ich potomstwo prawdopodobnie też nie będzie pasjonować się sportem.

Mary Dove przeprowadza kilka badań ruchomości stawów rąk i nóg, które chyba wypadają pomyślnie. Mniej więcej.

Colter idzie do łazienki i bierze długi gorący prysznic, pamiętając o zasadzie, by nie moczyć opatrunków. Wyciera się, ubiera i kładzie na brązowym kocu we wzory, jakie tkają rdzenni Amerykanie.

Na chwilę przymyka oczy, wracając myślą do momentu, gdy porwał go rwący śnieżny nurt.

Zastosował się do tych samych rad, których udzielił kobiecie.

Kiedy zwolnił, zorientował się jednak, że wyciągnięcie ręki w górę, by wskazać swoją lokalizację, nie ma sensu. Znalazł się zbyt głęboko pod powierzchnią, więc opuścił ramię, znowu głęboko zaczerpnął tchu i obiema dłońmi zrobił przed twarzą duży zbiornik na powietrze.

W końcu przestał się zsuwać i nie tracąc ani chwili, próbował się wyswobodzić, używając kolan, pięści i łokci. Przestrzeń, którą przed sobą utworzył, była zupełnie czarna, więc nie

wiedział, gdzie jest powierzchnia. Przypomnił sobie lekcję ojca: ulepił małe śnieżki i upuszczał je przy twarzy, by sprawdzić, gdzie lądują, i zorientować się, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Nigdy nie powątpiewaj w siłę grawitacji...

Potem zabrał się do kopania – wygarniał śnieg rękami, ubijał i parł w górę nogami i rękami. Centymetr po centymetrze.

Wreszcie nad głową błysnęło słabe światło i przebił się na zewnątrz, po czym wciągnął do płuc powietrze, które, jak to na zaśnieżonym terenie, miało lekko elektryczny posmak.

Wygramolił się i padł na białą powierzchnię, z trudem łapiąc oddech. Zawołał do brata, który niedaleko sondował śnieg długą gałęzią. Rzucił ją i podbiegł do Coltera, żeby pomóc mu wstać.

– Co z nią? – spytał Colter. – Cała?

Russell wskazał ręką.

Towarzyszający jej mężczyzna, Brad, wyciągał ją właśnie z głębokiego kopca śniegu blisko czoła lawiniska. Zniosło ją znacznie dalej niż Coltera. Żył i starała się pomóc Bradowi. Nie odniosła żadnych widocznych obrażeń.

Młodszy brat z pomocą Russella dźwignął się na nogi. Tamten spojrzał w stronę szczytu góry.

– Nie zeszła cała pokrywa. Leży jeszcze masa niezwiązanego śniegu, wielka masa. Powinniśmy ich stąd zabrać między drzewa.

Podeszli do turystów.

– Zauważyliśmy jej rękę – dodał Russell. – Dzięki temu ją znaleźliśmy. Ty jej to kazałeś zrobić?

Shaw skinął głową, po czym wszyscy czworo odeszli w bezpieczne miejsce.

Teraz, w drewnianej chacie w Posiadłości, Colterowi wreszcie robi się ciepło – ciepło do szpiku kości – a ponieważ ból staje się znośny, chłopak podnosi się z łóżka i idzie do salonu, gdzie Russell i Dorion siedzą przy kamiennym kominku, w którym kojąco skaczą płomienie. Oboje czytają. Gdy Colter wchodzi do pokoju, jedenastoletnia Dorion zrywa się, żeby go przytulić. Chłopak każe sobie nie reagować na ból i wytrzymuje. Siostra przygląda się jego opatrunkom nieruchomym wzrokiem, który u niej oznacza zaniepokojenie.

– Nic mi nie jest. Parę zadrapań.

– To dobrze.

– Hej – wita go Russell i wraca do lektury.

– Hej.

Dorion siada z powrotem.

– Wiesz, jaki był największy na świecie?

Pewnie mówi o parowozach z dawnych czasów, które z niewiadomego powodu stały się jej pasją.

– Nie mam pojęcia.

– Big Boy Union Pacific. Patrz, Colter! – Pokazuje mu książkę. Według podpisu ilustracja przedstawia lokomotywę numer 4014, która była imponującą maszyną. Miała układ osi 4-8-8-4, co, jak kilka lat temu tłumaczyła mu Dorion, oznaczało liczbę kół, począwszy od przodu parowozu; w ten sposób klasyfikuje się te maszyny.

– Nigdy nie zbudowano większej lokomotywy parowej. Ważyła ponad pięćset ton. Stoi w muzeum w Los Angeles. Chcę ją kiedyś zobaczyć.

– Na pewno się uda.

– Ty też pojedziesz, Russell? – pyta siostra.

– Jasne. – Starszy brat nie unosi wzroku znad książki. Coltera ciekawi, co takiego czyta. Ostatnio Russell zainteresował się thrillerami szpiegowskimi.

Mary Dove przygotowuje w kuchni kolację, Ashton natomiast siedzi za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu, gdzie zniknął przed godziną, kiedy się dowiedział, że synom nic się nie stało.

Colter przeciąga się i spogląda na gzyms nad kominkiem. Stoją tam oprawione w ramki trzy portrety – dwa dzieła artystów oraz jedna fotografia. Po lewej jest rysunkowy portret kobiety o rysach rdzennej Amerykanki – ładna twarz, czarne włosy przedzielone pośrodku równiutkim przedziałkiem i opadające na ramiona. To Marie Aioe Dorion, pierwsza kobieta gór w kraju. Pochodziła ze społeczności Metysów, rdzennych mieszkańców środkowej części Stanów Zjednoczonych i południa Kanady. Wcześniej owdowiała i z dwojgiem małych dzieci przetrwała długie miesiące w ciężkich warunkach na terytorium nieprzyjaciela.

Pośrodku stoi reprodukcja portretu mężczyzny o surowej urodzie, w skórach i czapce z szopa okrywającej prawie całą głowę. John Colter, uczestnik wyprawy badawczej Lewisa i Clarka.

Zdjęcie po prawej przedstawia Osborne’a Russella, odkrywcę, polityka i sędziego, jednego z twórców Terytorium Oregonu. Jest najmłodszy z tej trójki i dożył końca dziewiętnastego wieku, dlatego udało się uwiecznić jego twarz na fotografii.

Na cześć tych trzech osób dano imiona dzieciom Shawów.

Otwierają się drzwi gabinetu i do salonu wchodzi Ashton. Colter zauważa, że bardzo się zmienił, odkąd wyprowadzili się spod San Francisco, by uciec przed zagrożeniami, których się obawiał, ale o których niewiele mówił dzieciom; ostrzegał je tylko, żeby miały się na baczności przed nieznajomymi na terenie Posiadłości. Włosy prawie zupełnie mu posiwiały i często bywały w nieładzie, tak jak teraz. Ma na sobie dżinsy, białą koszulę z perłowymi guzikami, uszytą przez Mary Dove, oraz skórzaną kamizelkę. Chodzi w butach taktycznych, jakie znajdują się w rynsztunku żołnierza.

Trzyma przed sobą kartonowe pudło.

– Słuchajcie – mówi.

Wszyscy troje unoszą wzrok. Mary Dove nie wychodzi z kuchni. Ton Ashtona sugeruje, że zwraca się tylko do dzieci.

Siadają, a on spogląda na każde z nich po kolei. Wreszcie mówi:

– Nigdy nie podważajcie mocy rytuałów. Wiecie, o co mi chodzi?

– O coś takiego jak ceremonie w Hogwarcie? – Oględnie mówiąc, Dorie jest zagorzałą fanką Harry’ego Pottera.

Colter myśli o trylogii *Władcy Pierścieni*, ale się nie odzywa.

Russell chyba nie zamierza odpowiadać. Patrzy tylko na ojca i na pudło w jego rękach.

– Ogólna zasada sztuki przetrwania mówi: „nigdy nie narażajcie samych siebie dla nieznajomych”, ale ja akurat w nią nie wierzę. Jaki sens ma nabywanie tych wszystkich umiejętności, jeżeli nie możemy ich wykorzystać, by pomóc komuś innemu?

Troje jego dzieci i zarazem uczniów siedzi w bezruchu na kanapie i w fotelu, wpatrując się w poważne oczy ojca.

– Dzisiaj Colter uratował komuś życie, dlatego pomyślałem, że powinniśmy uczcić to pewnym rytuałem.

Chłopiec czuje, że płonie mu twarz, i jest pewien, że poczerwieniała. Dorion natomiast rozpromienia się ze szczęścia, gdy na niego spogląda. On uśmiecha się do siostry. Russell wpatruje się teraz w kominek, gdzie niebieskawy żywy ogień przybrał spokojniejszy pomarańczowy odcień.

Ashton sięga do pudła i wyjmuje niewielką figurkę orła w locie. Wręcza ją Colterowi. Statuetka jest ciężka, metalowa. Chłopiec boi się, że ojciec będzie oczekiwał od niego jakiegoś przemówienia. W wieku czternastu lat zdążył już opuszczać się na linie z kilkudziesięciometrowych urwisk i pożyczyć motocykl od kolegi z White Sulphur Springs, najbliższego miasta, a potem gnać sto pięćdziesiąt na godzinę po nierównej asfaltowej drodze. Groził też pistoletem intruzowi, który rok temu wszedł na teren Posiadłości – i wypłoszył go z ich ziemi.

Teraz wolałyby zrobić każdą z tych rzeczy jeszcze raz, niż przemawiać, nawet dla tak szczupłego grona słuchaczy.

– Ale nie zrobiliby tego bez miłości i wsparcia swojego rodzeństwa. Dlatego nasz rytuał obejmie też was dwoje. – Ashton ponownie sięga do pudła, wyciąga posążek lisa i podaje Dorion. Jej oczy rozbłyskują radością. Bardziej od parowozów lubi tylko zwierzęta.

– A to dla ciebie. – Russell dostaje od niego figurkę niedźwiedzia. Brat nie mówi ani słowa, ale ogląda statuetkę z brązu i waży ją w dłoni.

Nagle Shaw doznaje olśnienia. Posążki odzwierciedlają przydomki dzieci. Dorie jest tą inteligentną. Russell samotnikiem. A Colter tym niespokojnym.

Rytuał dobiega końca. Nikt nie musi przemawiać, za to Mary Dove oznajmia, że pora siadać do stołu.

Po kolacji, na którą mieli zjeść upolowaną owcę, ale składała się z mięsa wapiti, Colter zabiera figurkę do swojego pokoju i stawia na regale obok *Władcy Pierścieni*, opowiadań Raya Bradbury’ego i kilku książek prawniczych, które nie wiadomo dlaczego bardzo lubi czytać.

Dziś, po latach, w kuchni domu przy Alvarez Street, Colter Shaw przyglądał się statuetce z taką samą uwagą jak tamtego wieczoru po zejściu lawiny.

Przypomniawszy sobie, że gdy wyjeżdżał z domu na Uniwersytet Michigan i przed podróżą pakował swój wojskowy worek, zorientował się, że figurki bielika nie ma w pokoju.

A teraz się znalazła.

Ten fakt można było wyjaśnić tylko w jeden sposób. Kiedy ojciec wyjechał do domu w San Francisco, zabrał ze sobą statuetkę. Może chciał ją mieć przy sobie, żeby przypominała mu syna, by dzięki temu czuł mniejszą tęsknotę za domem.

Całkowicie logiczne i miłe sercu wytłumaczenie.

Shaw uważał jednak, że był drugi, ważniejszy powód, dla którego Ashton przywiózł tutaj figurkę. To był najbardziej jasny z dotychczasowych sygnałów, że ojciec chciał, aby spośród trojga dzieci to właśnie Colter kontynuował jego misję.

24

Telefon Shawa zaszyfrował nadejście wiadomości. Pochodziła od jego prywatnej detektyw z Waszyngtonu, której wysłał zaszyfrowany e-mail, zanim wrócił motocyklem z Tenderloin.

Charlotte „Mack” McKenzie mogłaby zostać modelką. Miała stalowoszare oczy, jasną cerę, długie brązowe włosy i równe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Wygląd przeszkadzał jej w pracy w terenie. Prywatny detektyw, jak szpieg, nie powinien rzucać się w oczy na ulicy, a nikt na świecie nie mógłby uznać Mack McKenzie za niepozorną postać. Czasy, w których śledziła ludzi, miała już jednak dawno za sobą. Założyła firmę, która świetnie prosperowała, i od żmudnej roboty detektywistycznej i ochroniarskiej miała zespół zdolnych pracowników i zleceniobiorców.

Maria i Tessy Vasquez. Nie figurują prawie w żadnym systemie – przypuszczalnie bez dokumentów – ale social media i jedna urzędowa ewidencja potwierdzają ich tożsamość. Nienotowane. Prawdopodobnie czyste. Według stanowych i federalnych baz informacji kryminalnych w okolicach San Francisco brak osób o pseudonimie „Roman”.

Mack była bratnią duszą Shawa. Miała takie samo podejście do życia jak on, więc prawie niczego definitywnie nie oceniała na zero czy sto procent, nawet jeśli w tych ocenach nie była tak precyzyjna jak on.

Prawdopodobnie czyste...

Na koniec napisała:

Analiza, o którą prosiłeś, jest w toku.

Podziękował jej i przejrzał notatki, które zrobił u Marii Vasquez, w porządnym mieszkaniu w skromnym budynku, otoczonym przez dzielnicę Tenderloin o wielu twarzach. Niepokoił go los młodej kobiety, utalentowanej piosenkarki i fotografki.

Porwanie dla okupu? Blisko zero procent.

Prawdopodobieństwo, że została zamordowana, a sprawca pozbył się zwłok? Niewielkie. Dziesięć procent. To nie zdarza się tak często, jak wmawiają nam telewizje kablowe.

Może wróciła do prochów i leżała zamoczona w jakiejś melinie ćpunów? Trzydzieści procent. Chyba udało się jej wyjść na prostą i zacząć od nowa. Ale jeśli dodać do kompletu Romana, to prawdopodobieństwo wzrastało do sześćdziesięciu procent.

Nagle pomyślał o swoim zadaniu związanym z BlackBridge jako o przeszkodzie w zleceniu, bo przecież jego głównym zajęciem było zdobywanie nagród. Uznał jednak, że da sobie radę. Zrobi wszystko, co będzie konieczne, żeby odnaleźć dziewczynę albo przynajmniej dać odpowiedź matce, co się z nią stało.

W tym momencie odezwał się telefon. Dzwoniła jedna z koleżanek Tessy. Młoda kobieta nie umiała udzielić mu żadnych informacji o zaginionej, ale na pytanie o Romana powiedziała:

- Jest w to zamieszany? Niech to szlag.
- Nie wiem. Jej matka przypuszcza, że to możliwe.
- Przez niego są same problemy. Wydaje mi się, że to wariat. Ale prawdziwy, w sensie – psychopata.

Shaw spytał ją o bliższe szczegóły na jego temat.

– Nie, właściwie prawie go nie znam. Nie chciał, żeby Tessy się z nami spotykała. Chciał ją tylko dla siebie. To niebezpieczny typ. Zadaje się ze złymi ludźmi. Z gangów i tak dalej. Słyszałam, że zabił człowieka. Jezu, mam nadzieję, że do niego nie wróciła.

Jeszcze raz próbował dzwonić do osób, z którymi wcześniej nie udało mu się skontaktować, a jeśli nie odbierały telefonu, zostawiał wiadomość. W tym momencie nie mógł zrobić nic więcej w sprawie zlecenia, dopóki Mack nie podeśle mu informacji, o które ją poprosił.

Wrócił do gry w podchody w poszukiwaniu dowodów wykradzonych przez Amosa Gahla.

Otworzył w telefonie aplikację śledzącą położenie lokalizatora. Sfatygowany egzemplarz *Waldena* nadal znajdował się w bibliotece.

Ciekawe, co Helms, Braxton i Droon myślą o śmierci Blondyna. Tajemniczy brodaty wybawca Shawa był ich zdaniem jego znajomym, czy może incydent był po prostu zbiegiem okoliczności? A może Blondyn, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na płatnego mordercę, został zastrzelony w odwecie za jakieś dawne przewinienie?

Shaw odchylił się na oparcie, wbił wzrok w sufit i w duchu spytał Amosa Gahla: co znalazłeś?

I gdzie schowałeś tę torbę kurierską?

Pora przyjrzeć się dwóm tropom, które mogły prowadzić do odpowiedzi na te pytania: domowi przy Camino w Burlingame i magazynowi w Embarcadero.

Dłoń z kubkiem kawy zastęła w połowie drogi do ust Shawa, bo rozległ się dzwonek u drzwi.

Odwrócił się z dłonią na pistolecie. Wstał.

– To ja! – usłyszał czyjś głos. – Wchodzę.

Otworzyły się drzwi i wszedł Russell. Wciąż w czarnej czapce, wciąż w ciemnej kurtce trzy czwarte i wojskowych butach.

Wkroczył do kuchni.

– Jest problem. – Zdjął kurtkę, spod której ukazał się zielony T-shirt. Rysowały się pod nim mięśnie ramion. Dżinsy podtrzymywały ciemnoczerwone szelki. Usiadł. – Chodzi o tego faceta w zaułku.

– Droona czy tego drugiego?

– Tego martwego. Karin zajęła się usunięciem zwłok. Znalazła ręcznie napisaną wiadomość. W kieszeni.

Brat pokazał w telefonie zdjęcie karteczki.

Potwierdzenie od załogi z Hunters Point.

26/6, g. 19.00 SP i rodzina. Wszyscy ↓

Russell zachował kamienną twarz, a brat patrzył przez chwilę w ekran, po czym odchylił się do tyłu.

– Czy słowo „wszyscy” i ta strzałka oznaczają to, co myślę? – spytał Shaw.

Brat skinął głową.

– Zlecenie zabójstwa. Na kogoś o inicjałach SP i jego rodzinę. Albo jej rodzinę.

Colter zwrócił uwagę, że kartka została wielokrotnie złożona, jak wiadomości, które kolega Amosa Gahla zostawił ich ojcu.

– Skrzynka kontaktowa – powiedział.

– Niektórych wiadomości nie wysyła się drogą elektroniczną, nawet najlepiej zaszyfrowaną. Też tak robimy.

Używali skrzynek kontaktowych?

Czy chodziło o zlecenia zabójstwa?

– Karin znalazła przy nim jakiś dokument? Coś oprócz tego?

– Jeszcze nie. Sprawdzamy odciski palców, DNA i bazę rozpoznawania twarzy. Wyniki mogą być zaraz, a może trochę to potrwa. Albo nigdy się nie dowiemy. Ludzie w tej branży nieźle zacierają za sobą ślady.

– Skoro Blondyn zniknął, to nie odwołają tego zabójstwa? – zapytał Shaw.

– Kto zniknął?

– Tak nazwałem tego faceta z zaułka.

– Musimy zakładać, że nie. Ręcznie napisane zlecenie, skrzynka kontaktowa, strzałka na całą rodzinę. Będą przypuszczać, że przepadł z powodu, który nie ma z tym związku. Braxton po prostu znajdzie innego cyngla.

– Dzięki, że mi powiedziałeś. Ale nie mogę iść na policję. Ashton jej nie ufał.

– Tak czy inaczej lepiej nie iść.

No jasne. Zaraz padłoby pytanie, jak ta wiadomość trafiła do rąk Shawa. I policja ze zgrozą usłyszałaby odpowiedź: Mój brat strzelił temu człowiekowi w głowę.

Russell spojrział na zegarek – analogowy, z kopertą ze szcztokowanej stali albo tytanu.

– Do śmierci tej rodziny zostały dwa dni. Musimy ułożyć jakiś plan.

Czy Colter się nie przesłyszał?

– „Musimy”? Lepiej się w to nie mieszać.

Starszy brat najwyraźniej nie był zadowolony z odpowiedzi.

– Fakt, nie chcę. Ale robi się z tego sprawa, na której się nie znasz. Tu nie chodzi o nagrodę, Colt. Nie możesz pakować się w to sam. – Ruszył po schodach na górę. – Muszę złożyć raporty. Rano pogadamy o strategii.

STAŁOWNIA

Gdy trzeci ze strażników wyciąga broń i strzela, Shaw odpowiada ogniem, ale chyba i razem z Nitą chowają się w jednym z pustych pomieszczeń w piwnicy. Od czasu do czasu wychyla się, trzymając glocka w pogotowiu. Dwaj pozostali z biura też będą do niego strzelać, ale na oślep, bez celowania, żeby osłoną ogniową zatrzymać ich w środku.

Tak to zazwyczaj wygląda.

Shaw zadzwonił pod 911 i zgłosił strzelaninę.

Tylko dlaczego oni nie atakują? Dlaczego nie ruszają naprzód, nie strzelają? Bez trudu obezwładniliby Shawa i młodą kobietę. Nita płacze i dygocze.

Papier, kamień, nożyce...

Wciąż nie nadchodzą. Shaw ostrożnie wygląda na korytarz i widzi dlaczego.

Po schodach schodzi mężczyzna, który ugina się pod ciężarem dwudziestolitrowego kanistra z benzyną. Wnosi go do pomieszczenia z telewizorem.

Shaw ma broń, więc pewnie zakładają, że jest tajniakiem z policji albo przynajmniej wezwał policję, dlatego przyszło polecenie od właściciela budynku, żeby zniszczyli dowody rzeczowe, pliki w komputerze.

Wszystko musi zniknąć.

Łącznie ze świadkami.

A jednocześnie można uniknąć strzałów z pistoletu Shawa.

Słychać suchy trzask, a potem biuro wypełnia ogromna kula ognia, która wypełza na korytarz. Pulsująca, pomarańczowo-czarno-żółta. Kotłuje się, niepowstrzymywana przez nikogo, hipnotyzująca, gdyby nie była tak śmiertelnie groźna. Mężczyźni błyskawicznie się ulatniają.

Shaw zauważa, że na dole nie ma tryskaczy przeciwpożarowych.

Znowu dzwoni pod 911 i tym razem zgłasza pożar.

Tylko czy to coś da? W ciągu dwudziestu minut cały budynek zmieni się w kupę popiołu.

Na górze wybucha popłoch, słychać szalony tupot i stłumione wrzaski. Do Shawa docierają krzyki: „Musimy się wydostać! Pomóżcie nam!”. Nad parkietem pewnie snuje się już dym.

Płomienie oświetlają wnętrze piwnicy. Shaw ma nadzieję, że uda się znaleźć inne wyjście. Rzeczywiście jest, ale zabezpieczone łańcuchem, a on nie jest aż takim fachowcem od otwierania zamków.

Czyli jest tylko jedno wyjście.

– Chodź. – Łapie Nitę za rękę i prowadzi prosto w stronę pożaru.

– Nie! – krzyczy młoda kobieta.

Ciągnie ją bardziej stanowczo.

– To nasza jedyna szansa.

Przestaje się opierać.

Zbliżają się do szalejących płomieni i czują, jak żar pełźnie im po skórze. Zanim staje się nie do zniesienia, Shaw skręca w prawo, do pomieszczenia naprzeciwko biura. Płomienie liżą zewnętrzną ścianę, ale jeszcze jej nie napoczęły.

Podchodzi do ściany od strony schodów i zaczyna kopać w płytę gipsowo-kartonową. Jego wysiłki zdałyby się na nic, gdyby miał swoje ecco na gumie, ale skórzane podeszwy wysokich butów, a zwłaszcza obcasy, zostawiają na powierzchni ściany wyraźne wgłębienia. Znowu ją atakuje. W końcu wybija niewielką dziurę. Pochyla się i patrzy przez nią. Tak, u stóp schodów – zaledwie trzy metry od niego – nie ma żadnych przeciwników. Ale to miejsce niebawem wypełni ogień.

Dalej kopie w ścianę. Dziura powoli się powiększa.

Nita mu pomaga. Jest silna. Gdy Shaw odłamuje fragment kartonu z gipsem, ona go wrywa. Otwór ma już około pół metra średnicy. Prawie tyle, by można się przez niego przecisnąć.

Kopniak, szarpnięcie.

Oboje kaszlą. Pieką go zażawione oczy. Ogień zabiera im tlen. Shawowi kręci się w głowie.

Kopniak, szarpnięcie...

Wreszcie dziura w ścianie jest na tyle duża, że mogą się w niej zmieścić.

– Idź.

Nita przepycha się i pada po drugiej stronie.

Łomot stóp na parkiecie nad nimi już ucichł. Wszyscy się ewakuowali. Jedyнным odgłosem jest huk płomieni.

Shaw odwraca się do dziury wybitej w płycie i mówi do Nity:

– Teraz szybko na górę. Na pewno jest tam już policja.

– Ale... co z tobą?

Uśmiecha się do niej.

– Jeszcze nie.

Robi w tył zwrot i biegnie na drugi koniec korytarza.

CZEŚĆ II

25 CZERWCA

WIELKIE TRZĘSIENIE ZIEMI

Czas pozostały do śmierci rodziny:
trzydzieści dwie godziny

25

Misje braci Shawów przeplatały się ze sobą jak sznury w węźle gordyjskim.

Pierwsza – ocalenie rodziny SP przed zabójcą, który zastąpi Blondyna; druga, doprowadzenie do upadku BlackBridge. Ratując rodzinę, mogli znaleźć twarde dowody łączące zlecenie z Braxton, Droonem, może nawet samym Ianem Helmsem. A może odwrotnie – odnalezienie dowodów pozwoli im zidentyfikować i ocalić rodzinę.

Pierwsze zadanie polegało na ustaleniu tożsamości Blondyna, więc z domu pojechali najpierw do Hunters Point, wcinającej się w Zatokę jednej ze wschodnich dzielnic. Wraz z sąsiednim Bayview należała do najniebezpieczniejszych części miasta i najliczniej opanowanych przez gangi.

Potwierdzenie od załogi z Hunters Point.

26/6, g. 19.00 SP i rodzina. Wszyscy ↓

Którego gangu dotyczyło zlecenie zabójstwa?

Shaw rano postanowił poszukać pomocy i wysłał SMS-a do swojego przyjaciela i towarzysza podczas wspinaczek górskich, Toma Peppera, byłego agenta FBI, który zajmował się terroryzmem i przestępczością zorganizowaną.

Gdy należący do Russella SUV, lincoln navigator, stał na parkingu z pracującym silnikiem, zabrzączał telefon Shawa.

– Słucham, Tom.

– Hej, Colt.

– Mówisz przez głośnik i jest ze mną mój brat, Russell.

Chwila ciszy. Shaw zastanawiał się, co pomyślał przyjaciel. Wiedział o zniknięciu brata, choć nie znał jego przyczyny.

– Cześć, Russell.

– Cześć.

– No więc posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia. W Hunters Point i Bayview działają dwa największe gangi. Jeden biały, Bayneck. Wicie coś o *peckerwoodach*?

– Trochę – odparł Shaw. – Biali supremacjoniści, subkultura więzienna, narkotyki. Ten ruch zaczął się na Południu, zgadza się?

– W latach trzydziestych. Potem rozlał się na inne stany, wielu członków trafiło do Kalifornii. Owszem, to skinheadzi, ale trzymają sztamę z paroma gangami latynoskimi. Z formalnego punktu widzenia Bayneck nie są *peckerwoodami* – doszło tam do jakichś tarć – ale są ulepieni z tej samej gliny.

Drugi największy gang w tej dzielnicy to czarni. Hudson Kings. Raperstwo, podobnie jak Westmob i ich rywal, Big Block. Dobra, posłuchajcie. Wszyscy to głównie biznesmeni – branża narkotykowa i handel bronią – ale to nie znaczy, że nie są agresywni, nie bronią swojego terytorium i nie są gotowi od razu likwidować zagrożenia. Chodzi mi po prostu o to, że nie będą skłonni do współpracy.

– Zamierzam odwołać się do dobrej strony ich natury – powiedział Shaw.

Pepper zachichotał.

– Nie wiem, jakie macie plany, ale realizujcie je w biały dzień.

– Jesteśmy już na miejscu – odezwał się Russell. – Mają jakąś metę, miejsce spotkań?

– Kings mieli kwaterę główną w lokalu przy Northridge. Chyba niedaleko Harbor Road. Bayneck urządzili sobie siedzibę w barze dla motocyklistów przy Ingalls. Granice między Bayview a Hunters Point są dość skomplikowane, więc nie jestem pewien, w której są dzielnicy. Nie znam nikogo w Bayneck, ale u Kingsów był taki jeden wysoko postawiony gość, Kevin Miller. Miał swój honor. Wprawdzie nie chciał za bardzo współpracować, ale dbał o spokój. Nikt nie zarobił kulki. A to już coś znaczy.

Russell sprawdzał GPS w telefonie.

– Mam nadzieję, że chodzi o cholernie wielką nagrodę – dodał Pepper.

– Nie ma nagrody.

– Aha. W zeszłym tygodniu o mało nie zabiła cię sekta i nic nie zgarnąłeś, a teraz tańczysz z gangsterami w Hunters Point i też nie masz nagrody na widoku.

– Właśnie tak to wygląda – zgodził się Shaw.

– Powodzenia. Miło było cię poznać, Russell.

– Wzajemnie.

Colter się rozłączył.

– Dokąd najpierw?

– Hmm. Motocykliści są bliżej.

26

Shaw rozglądał się, kiedy jechali mieszkalnymi i handlowymi ulicami. Dzielnica Hunters Point zawsze brała na siebie ciężar działalności firm niepożądanych w innych częściach miasta. Dawniej całe akry zajmowały tu rzeźnie, elektrownie, garbarnie i stocznie, a wszystkie wypływały swoje odpady w ziemię, powietrze i wodę zachodniej części zatoki.

Nieprzyjazna, brudna i wyniszczona Hunters Point obecnie tylko trochę podreperowała swoje dziewiętnastowieczne wcielenie. Częściowo zachował się jej przemysłowy charakter, gdzieś wyłaniała się zmodernizowana zabudowa handlowa i mieszkalna, ale spore tereny zajmowały zarosnięte chwastami labirynty fundamentów pozostałych po wyburzeniu nadziemnych części budynków. Niezła mieszanka: mijali szereg pustych działek i spalony dom, obok którego stała niewielka wiktoriańska opera, pomalowana na jasną zieleń. Zaraz za nią zobaczyli sporą budowę z tablicą informacyjną, która głosiła, że powstaje tu biurowiec znanej firmy internetowej z główną siedzibą znajdującą się dwadzieścia pięć kilometrów na południe stąd, na wschodnich obrzeżach Doliny Krzemowej.

Niebawem dostrzegli cel swojej wyprawy. Bar nazywał się Lou's i wyglądał jak żywcem wyjęty ze scenografii filmu z lat sześćdziesiątych, którego bohaterowie jeździli chopperami. Odpadająca płatami farba, lepkie od brudu okna, kilka rozchwianych stolików z jeszcze bardziej rozchwianymi krzesłami, w tym momencie wolnymi. Przy krawężniku stały dwa harleye i moto guzzi.

Russell zaparkował, po czym obaj wysiedli, poprawiając kurtki, by dobrze zasłonić pistolety.

Wewnątrz panował półmrok i unosił się zapach lizolu i dymu papierosowego. Jediną dekorację, oprócz powszechnie ignorowanej tabliczki PALENIE WZBRONIONE, stanowiły stary, upstrzony przez muchy plakat z surferami, z przewagą kobiet, a także zrobiony z drewna nazistowski Krzyż Żelazny i fotografia górskiej rezydencji Hitlera w Berchtesgaden.

Przy trzech stolikach siedziało sześciu członków Bayneck. Przerwali rozmowę i odwrócili się jak jeden mąż, by utkwic spojrzenia w dwóch nowych gościach. Odrapany blat zastawiały butelki piwa na śniadanie i kubki kawy. Czterech z nich wyglądało na klasycznych motocyklistów: zwaliste sylwetki, tatuaże, długie, kręcone brody i włosy do ramion albo ściągnięte w kucyki. Ich ulubioną tkaniną był džins. Dwaj pozostali, szczuplejsi, mieli ogolone głowy. Jeden był ubrany we flanelową koszulę Pendleton, drugi w T-shirt i kurtkę

bomberkę. Obaj nosili martensy. U stóp jednego z nich stała deskorolka. Shaw wiedział, że w kulturze tego gangu popularne są sporty ekstremalne w rodzaju skateboardingu i motocrossu, jego hobby.

Najdrobniejszy z brodaczy – i zdaniem Shawa nieznacznie starszy od pozostałych – przyjrzał im się i powiedział chropawym głosem:

– Nie przyszlście tu bez powodu. FBI ani policja nie pozwalają nosić takiego zarostu, czyli chodzi o coś innego. Może jesteście z organizacji... – przeciągnął to słowo, dodając do niego dwie sylaby – ...która ma zupełnie inne interesy niż my.

Shaw zauważył, że barman, krępy i łysiejący mężczyzna, opuścił ręce i schował je za barem, a jeden z ogolonych na zero niby przypadkiem położył dłoń na udzie.

– To prywatny klub. Bądźcie tak uprzejmi i wypierdalajcie.

Russell rozpiął kurtkę.

– Czyj jest ten MGX-21? – zapytał Shaw.

To był najwyższej klasy model Moto Guzzi, piękna maszyna. Czarna, z jasnoczerwonymi głowicami cylindrów i zaciskiem przedniego hamulca.

Szef gangu posłał spojrzenie barmanowi, który ponownie unióśł ręce nad kontuar.

– Mój – odezwał się najwyższy z motocyklistów.

– Sto koni? – ciągnął Shaw.

– Prawie. Też jeździsz?

– Tak.

– Czym?

– Yamahą – odparł Shaw.

– XV1900?

To był największy z produkowanych modeli.

– Mniejszą.

– Tak myślałem – skwitował dryblas, jednocześnie rechocząc i prychnając z pogardą.

– No dobra, skończyliście już konkurs, kto ma większego – powiedział szef – więc może skorzystacie z rady mojego młodszego kolegi. – Głową pokazał drzwi.

– Szukamy kogoś – oznajmił Russell. – Opłaci się wam, jeśli nam pomożecie.

– Jaśniej.

– Wyciągam telefon – powiedział starszy z braci Shaw i zrobił to bardzo powoli. Pokazał zdjęcie Blondyna.

Szef nie mógł się zorientować, że patrzy na fotografię nieboszczyka. Okazało się, że Karin miała jeszcze jeden talent: mistrzowsko obsługiwała Photoshopa. Usunęła dziurę po kuli i odrobinę skorygowała wygląd oczu. Russell wyjaśnił, że program ma filtr o nazwie „formowanie”, dzięki któremu na twarzy trupa pojawił się nieznaczny uśmiech. Obraz był groteskowy tylko dla kogoś, kto znał prawdę.

– Rąbnął naszą matkę na dwadzieścia tysięcy – dodał Russell.

Bracia przygotowali wiarygodną historyjkę, którą prawie w całości to właśnie on ułożył. W końcu był też reżyserem przedstawienia pod tytułem „Napad”, które odbyło się wczoraj rano przed domem przy Alvarez Street.

Szef zmarszczył brwi. Gang z pewnością nie zarabiał uczciwie, ale okradanie matek chyba nie należało do repertuaru.

– Wiemy, że ma związki z jakąś załogą stąd – włączył się Shaw. – Jeżeli podacie nam jego prawdziwe nazwisko i powiecie, z kim się zadaje, odpalimy wam tysiąc. To co, gra w waszej drużynie?

Sześciu mężczyzn jeszcze raz przyjrzało się zdjęciu, a potem spojrzało po sobie.

– Nie jest od nas – oświadczył szef. – Nigdy go nie widziałem.

Pozostali przytaknęli. Colter wierzył, że mówią prawdę. W żadnym oku nie pojawił się błysk na widok znajomej twarzy.

Russell schował telefon.

Nerwowy członek Bayneck we flanelowej koszuli powiedział:

– Za popatrzenie też coś się chyba należy. – To był ten, który wcześniej położył dłoń na udzie, a teraz jego palce przesunęły się bliżej miejsca, gdzie prawdopodobnie tkwiła broń.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszał.

Wreszcie najwyższy z motocyklistów stwierdził:

– E, daj spokój. Za wcześnie na takie numery. Jeszcze nawet nie skończyłem pierwszego piwa. Nie jestem w nastroju.

– Dziwię się tylko, dlaczego nie przypilnowaliście matki – dorzucił szef. – Dwaj dorośli faceci. To smutne. A teraz zjeżdżajcie.

SUV jechał przez inną część dzielnicy.

Zmierzali do siedziby Hudson Kings.

Byli blisko nabrzeża i Shaw spojrział na ciemną wodę, w stronę zlikwidowanej stoczni marynarki wojennej Hunters Point, z górującą nad nią potężną suwnicą bramową o sylwetce trochę przypominającej okręty, na których unosiła wieżyczki artyleryjskie, aby można było szybko wymienić działa. Wielki zakład, gdzie przez ponad sto lat budowano i remontowano statki cywilne i wojskowe, został zamknięty, a parcele wydzielone z jego terenu sprzedawano pod zabudowę wielorodzinną i handlową – po oczyszczeniu z niebezpiecznych substancji. Stocznię objęto programem Superfund jako składowisko toksycznych odpadów i duża jej część nadal była skażona, między innymi materiałami radioaktywnymi. To stąd wypłynął na Maryany krążownik USS Indianapolis, żeby dostarczyć części do bomb atomowych Little Boy i Fat Man, zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Usuwanie zanieczyszczeń było tu intratnym biznesem. Małe łodzie firmy o nazwie BayPoint Enviro-Sure Solutions zbierały beczki z wymalowanymi na bokach napisami ostrzegawczymi. Pracownicy mieli na sobie tyle warstw odzieży ochronnej, że przypominali astronautów pracujących na powierzchni Księżyca.

Russell skręcił, oddalając się od brzegu. Po chwili pokazał lokal.

– To tutaj.

Nigdzie w pobliżu nie było miejsca do zaparkowania, więc przejechali następne skrzyżowanie i zatrzymali się przy krawężniku. Wysiedli, po czym pieszo ruszyli w stronę klubu Kingsów.

Z opuszczonego magazynu wyłoniły się trzy szczury, nonszalancko przedfilowały przed nimi i zniknęły w studziencie ściekowej.

– Kupujesz, gościu?

Głos należał do chudego młodego człowieka, siedzącego na rozchwianym krześle przed podejrzanym sklepem z telefonami na kartę i doładowaniami oraz akcesoriami do elektrycznych papierosów. W środku dwie osoby rozmawiały przez stare komórki z klapką.

Bracia minęli sklepik, nie reagując na zaczepkę.

Na rogu, pomiędzy nimi a klubem gangu, stała gromada dzieciaków w wieku od kilkunastu do dwudziestu kilku lat. Palili skręty, niektórzy papierosy. W bluzach z kapturami, T-shirtach

i szerokich spodniach. Mieli ładne sportowe buty i różne fryzury, od ogolonej na zero głowy po skomplikowane dzieła sztuki. Kilku z nich nosiło wisiorki, łańcuchy i inne błyskotki. Przyjrzeni się białym mężczyznom, którzy minęli ich wolnym krokiem, i ożywili się, szepcząc i chichocząc między sobą. Uznali ich za łatwy cel: jeden z brodą, drugi szczupły.

Trzech odłączyło się od grupy, podbiegło chodnikiem i zastąpiło drogę Colterowi i jego bratu.

– Pokazać wam drogę? Pokażę wam. Jarzycie, co nie? Dacie stówkę i pokażę wam drogę.

– Zgubiliście się? Zgubili się.

– Czego tu chcecie, gościu? – Twarz młodego człowieka pojawiła się tuż przed nosem Coltera.

Bracia nie mieli czasu na bójki.

Nigdy nie uciekaj się do przemocy, chyba że nie masz innej możliwości.

Zwłaszcza gdy masz do czynienia z głupkowatymi nastolatkami, mógłby dodać Ashton.

Do tej trójki dołączyli pozostali. Przybrali groźne pozy, szeroko gestykulowali kościstymi rękami. Uśmiechali się z lekceważeniem.

Odwaga w przewadze liczebnej nie jest odwagą.

– Mówię do was, a wy macie mnie gdzieś. To niegrzeczne.

– Jest tu gdzieś Kevin Miller? – spytał Russell.

Umilkli.

– Bez obaw, mamy dla niego kasę – powiedział Shaw.

Najchudszy z nich, chłopak w wieku piętnastu, najwyżej szesnastu lat, odparł:

– Ja mu mogę zanieść. Oszczędzicie sobie fatygi, co nie?

W tym momencie do grupy dołączył ktoś jeszcze. Trzydziestokilkuletni mężczyzna, wysoki i tyczkowaty. Miał pomarszczoną twarz, a tuż pod oczami tatuaże w kształcie łez – mogły oznaczać, że ma na koncie albo długą odsiadkę, albo morderstwo.

Chłopcy zerknęli na niego z respektem.

– Yo, Kevin!

– Co jest, Kevin?

Wymieniono gesty, przybito żółwiki.

A więc to był człowiek Toma Peppera, który przed wielu laty zasłużył sobie na uznanie gangu i udało mu się przetrwać na ulicy.

– Siemasz.

– Strzała.

Shaw i Russell popatrzyli na niego, spokojnie wytrzymując jego spojrzenie. Żaden z braci się nie odezwał. Nie odrywając oczu od intruzów, Kevin zwrócił się do grupki chłopaków:

– Okej. Spadać stąd, wszyscy.

– Ale... – próbował protestować jeden z nich.

Wystarczyło jedno krótkie spojrzenie. Dzieciaki zmierzyły Shawa i Russella morderczym wzrokiem, lecz posłusznie oddaliły się chodnikiem.

– Chcieliście mnie spotkać i spotkaliście. – Kevin odwrócił się, żeby ich zlustrować. – Gliniarze, agenci?

– Nie jesteśmy z żadnej policji.

Taksujący wzrok spod przymrużonych powiek.

– Nie wyglądacie na psy. Skąd znacie moje nazwisko?

– Tom Pepper za ciebie poręczył.

Kevin skinął głową. Łza pod okiem została wytatuowana bardzo pomysłowo. Przez jej czerń przebijała skóra, dając efekt trójwymiarowości.

Russell pokazał mu wyretuszowane zdjęcie Blondyna.

– Próbuje znaleźć tego człowieka. Ma związki z jakąś załogą z Hunters Point albo Bayview.

– Te włosy nie są normalne.

Po śmierci cera Blondyna przybladła, ale fryzura miała ten sam jaskrawy odcień żółci co przedtem.

– Jeżeli nam pomożecie, dam tysiąc.

– Czemu tutaj? Jest biały.

– Przecież robicie interesy z różnymi ludźmi – zauważył Shaw – wszystko jedno, jakiej rasy, wyznania i tak dalej.

Kevin zachichotał.

– Pogadajcie z naziolami.

– Już gadaliśmy. Nie znają go.

– Pokaż jeszcze raz to zdjęcie.

Russell obrócił do niego ekran telefonu.

Gangster w zamyśleniu pokiwał głową.

– Przykro mi, bracie. Nie mam pojęcia. A tu nie spotkasz nikogo, kto ma lepsze znajomości.

– Działają tu inne ekipy? – zapytał Russell.

– Nikt poważniejszy. Jakieś odpryski z Salinas robią podchody na północnym brzegu. Pojawiają się, my ich przeganiamy, oni wracają. Wiecie, o co chodzi. No dobra. Mam do załatwienia parę spraw. – Spojrzał na Shawa. – Tom Pepper. Był w porządku. Uczciwy gość. Dobrze, że o nas nie zapomniał.

Kevin wrócił do klubu, a bracia do samochodu.

– Moglibyśmy wypytywać tu ludzi przez tydzień i od nikogo nie usłyszelibyśmy innej odpowiedzi – zauważył Shaw. – Musi być jakiś lepszy sposób.

– Aha. Znaleźć torbę kurierską. Wykorzystać ją, żeby zatrzymać BlackBridge. – Russell uruchomił potężny silnik.

Colter wyjrzał przez szybę. Zobaczył jednego z chłopaków, którzy zastąpili im drogę – chudszy, z ogoloną głową. Dzieciak stał na kupie gruzu w odległości około dziesięciu

metrów od nich. Patrząc na ich samochód z pogardliwym uśmiechem, sięgnął pod bordową bluzę.

Shaw zastygł, a jego dłoń powędrowała do biodra.

Russell zerknął na brata.

Chłopak błyskawicznym ruchem wyszarpnął rękę spod bluzy, wycelował w Coltera palcami ułożonymi w kształt pistoletu i na niby strzelił, szarpiąc dłonią pod wpływem siły „odrzutu”. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Dłoń zacisnęła się w pięść, a w następnym geście główną rolę grał środkowy palec. Wreszcie młody gangster zszedł z gruzu i zniknął.

– Sprawdźmy tropy Ashtona – zaproponował Shaw. – Najpierw Burlingame.

– Wpisz do GPS-u.

Colter wyjął telefon, ale zawahał się, gdy spojrzął na ekran.

– Jeszcze nie. Braxton i Droon dokądś się wybierają.

Lokalizator GPS ukryty w grzbiecie książki, w której Henry David Thoreau snuł refleksje na temat samowystarczalności, zaprowadził ich z powrotem do Tenderloin. Znaleźli się niedaleko miejsca, gdzie Shaw otrzymał nieoczekiwane zlecenie – odnalezienia Tessy Vasquez.

Russell zaparkował wóz przed zaniedbanym, nieczynnym sklepikiem. Ogłoszenia w witrynie kusiły nowych najemców. W bramie spał bezdomny, owinięty w szary pled. Spod przykrycia wystawało kilka jednodolarowych banknotów. Russell ukląkł i wsunął pieniądze pod koc, by nie były widoczne. Shaw zamierzał zrobić to samo, gdyby brat go nie ubiegł.

Rozejrzał się po okolicy, zerknął na wskazania aplikacji GPS, po czym wskazał jakąś uliczkę.

Obaj odrzucili niedwuznaczną propozycję bladej dwudziestoparoletniej kobiety i przekroczyli ciało mężczyzny w podobnym wieku, który leżał nieprzytomny u wylotu zaułka. Też prawdopodobnie był bezdomny, choć ubrany dość czysto i bez typowego ekwipunku, jakim zwykle otaczają się bezdomni: wózka na zakupy, koców, dodatkowych ubrań. Czyżby martwy?

Russellowi najwyraźniej przyszła do głowy ta sama myśl. Czubkiem buta trącił mężczyznę w ramię, a ten zareagował. Trzy lokale dalej był miejscowy punkt pomocy środowiskowej. Shaw wszedł tam i zobaczył szczupłego pięćdziesięciolatka w koloratce, który uniósł wzrok i powitał go uprzejmym uśmiechem.

– Słucham pana.

– Na ulicy leżą dwaj nieprzytomni mężczyźni. Może ktoś mógłby im pomóc. Jeden chyba pijany, ale drugi zdaje się przedawkował. Zaraz po prawej.

Mężczyzna wstał i zawołał w stronę zaplecza:

– Rosie, chodź i weź ze sobą torbę. Okropne – dodał, zwracając się do Shawa. – W ciągu paru miesięcy o pięćdziesiąt procent wzrosła liczba przypadków przedawkowania, a mamy tu sądowy zakaz działalności gangów. Nie wiem, co się dzieje.

Po prostu realizuje się Plan Reformy Urbanistycznej.

Shaw wrócił do brata i ruszyli dalej uliczką. Russell szedł jako drugi i ochraniał tyły, podczas gdy Colter sprawdzał, czy przed nimi nie czai się żadne niebezpieczeństwo. Robili to instynktownie.

Nigdy nie zakładaj, że nie ściga cię przeciwnik.

Na końcu wilgotnego i brudnego przejścia zobaczyli rozległą przestrzeń o powierzchni kilku kwartałów, gdzie trwała rozbiórka. W północnej części rumowiska stały puste koparki i buldożery ze śladami błota na żółtym i czarnym lakierze. Częściowo wyburzone budynki sąsiadowały z pustym terenem. Krajobraz urozmaicały zagłębienia w ziemi wypełnione połyskującą, oleistą wodą i niewielkie kopczyki złomu ze zburzonych budynków. Ziemia miała jasny, prawie beżowy kolor. Zapewne glina.

Pośrodku zrównanego z ziemią terenu stał czarny SUV, cadillac escalade. GPS wskazywał, że właśnie stąd pochodzi sygnał. Braxton prawdopodobnie miała przy sobie aktówkę czy plecak z materiałami, które parę dni temu skradła z kampera Shawa, między innymi książkę z pluskwą.

Otworzyły się drzwi czarnego samochodu i wysiedli z niego Braxton i Droon, który kierował samochodem. Rozejrzeli się – Russell i Shaw przycupnęli za stertą drewnianych odpadów i kawałków płyt kartonowo-gipsowych. Kiedy się unieśli, by spojrzeć jeszcze raz, para z BlackBridge rozmawiała z pochylonymi głowami. Droon potakiwał.

Pojawił się drugi samochód i oboje unieśli wzrok. To był ciemnoczerwony rolls-royce. Elegancki wóz pokonał wolno fragment nierównego gruntu i zaparkował obok cadillaca.

Nie otworzyły się żadne drzwi.

Braxton odebrała telefon.

Droon przeciągnął się i zapalił papierosa.

Russell wyjął telefon, pstryknął parę zdjęć.

– Patrz na numery.

Tablice rejestracyjne rolls-royce'a zasłaniał prostokątny kawałek białego kartonu albo plastiku. Nielegalne zamaskowanie numerów miało zapewne tymczasowy charakter; zaraz po wyjeździe na ulicę kierowca zatrzyma się i zdejmie osłonę.

Kim był tajemniczy gość?

Braxton rozłączyła się, a z rolls-royce'a wysiadł kierowca, potężnie zbudowany Azjata w czarnym garniturze. Rozejrzał się dookoła, wobec czego bracia znowu musieli się ukryć. Następnie otworzył tylne drzwi po stronie pasażera. Mężczyzna, który wyłonił się z samochodu, miał jasną cerę i łysinę, był niski i krągły. Miał na sobie granatowy garnitur w prążki, różową koszulę i szeroki krawat w kolorze czerwonego wina. Z kieszonki marynarki, jak biały pióropusz, wystawała poszetka. Okulary w białych oprawkach były za duże, a szkła kwadratowe – może to kwestia stylu, może konieczności, ze względu na poważną wadę wzroku. Jego mina wskazywała na irytację i zniecierpliwienie.

W ręce Russella znowu pojawił się telefon i nowa postać też została sfotografowana.

Braxton i Droon podeszli do mężczyzny, nie on do nich, co oznaczało, że jest klientem BlackBridge, i jak można było sądzić po samochodzie, raczej cennym.

Shaw przypomniał sobie, co Braxton mówiła do swojego adiutanta w bibliotece „Stanforda”.

„Jutro mamy spotkanie. Chcę mu coś powiedzieć. Coś konkretnego...”

Najprawdopodobniej miała na myśli to, co zamierzali wycisnąć torturami z Coltera – miejsce ukrycia dowodów Gahla. Shaw przypuszczał, że lokalizacja, w której się znaleźli, jest dobrym przykładem na to, jak działa Plan Reformy Urbanistycznej. Pomyślał o nieszczęsnych nałogowcach na ulicy, którą przed chwilą szli, i o rozbiórcze budynków na tym placu. Mężczyzna z rolls-royce'a był zapewne deweloperem i kupił tę ziemię za grosze.

Braxton i Droon musieli mu teraz zakomunikować, że Shaw niestety nie doprowadził ich do dowodów, które przypuszczalnie obciążały także i tego pana. Spotkanie przebiegało chyba w chłodnej atmosferze. Język ciała pary z BlackBridge sugerował, że odczuwa ona przed zamożnym klientem coś więcej niż respekt. Shaw miał przed sobą dwoje zastraszonych ludzi, a widok zaleknionej Ireny Braxton – istnej Królowej Śniegu – budził u niego dziwny niepokój. Gdy mężczyzna w granatowym garniturze rozmawiał z nimi z poważną miną, często podkreślając słowa szerokimi gestami pulchnych rąk, kiwała głową i z uwagą marszczyła czoło jak uczennica, która narobiła masę błędów w zadaniu domowym. Colter nie miał wątpliwości, że taka postawa jest tej kobiecie zupełnie obca. Prawdopodobnie jednak jej gorliwe wysiłki przyniosły wreszcie skutek, bo udało jej się udobruchać klienta. Posłał im uśmiech, jakim obdarza się bezdomnego, wręczając mu dolara, i przestał tak gwałtownie machać rękami.

Przeszli do innych spraw. Droon rozłożył mapę i przytrzymał ją na boku cadillaca. Dlaczego nie na masce? – pomyślał Shaw. Aha, bo klient był za niski. Wszyscy przyjrzeni się łopoczącemu na wietrze arkuszowi.

– Kto używa papierowej mapy zamiast komputera albo tabletu? – mruknął Russell.

Shaw skwitował retoryczne pytanie skinieniem głowy. Ktoś, kto nie chce zostawiać po sobie elektronicznych śladów. Papier można spalić i znika na zawsze, w odróżnieniu od cyfrowych danych, które mogą przetrwać tak długo jak kości z okresu jurajskiego. Russell wyjął dalmierz. Popatrzył przez okular i podał przyrząd bratu.

Po pięciominutowej rozmowie korpulentny mężczyzna pokazał na mapie kilka miejsc, a Droon zaznaczył je markerem. Wreszcie podali sobie ręce. Braxton i Droon zostali na miejscu, klient natomiast podszedł do drzwi rolls-royce'a, które otworzył przed nim kierowca. Shaw dojrzał w środku parę opalonych nóg w krótkiej czerwonej spódniczce. I w imponująco wysokich obcasach. To dziwne, że kobieta wybiera obuwie tego rodzaju, jeśli towarzyszy takiemu niskiemu facetowi, który, na co wskazywał samochód i strój, cierpiał na przerost ego, ale o gustach się nie dyskutuje, podobnie jak o żądzach.

Zanim mężczyzna wszedł do rolls-royce'a, odwrócił się i już bez uśmiechu rzucił jeszcze kilka słów, akcentując je zagadkowym potrząsaniem dłoni. W odpowiedzi Braxton i Droon pokiwali głowami z minami zbitego psa. Facet wszedł do swojego luksusowego wozu, który lekko ugiął się pod jego ciężarem, a potem odjechał, kołyszając się na ubitej ziemi na placu rozbiórki.

29

Stojąca przy czarnym cadillacu Irena Braxton wyjęła telefon i znowu do kogoś zadzwoniła.

Jej torebka w żywych, jaskrawych kolorach była podobna do tej, jaką miała Margot, kiedy była z Shawem. Tamta została wykonana przez rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej. Nie była tania, ale większa część kwoty, jaką Margot za nią zapłaciła, trafiła do organizacji non profit sprzeciwiającej się wypalaniu puszczy amazońskiej. Czyżby Braxton, znana morderczyni, kupiła swoją u tego samego sprzedawcy, z takich samych pobudek? Dzięki pracy łowcy nagród Shaw przekonał się, że w systemach wartości, jakie wyznają ludzie, kryje się nieskończenie wiele zagadek i sprzeczności.

Kobieta schowała telefon i razem z Droonem umilkli. Niecałą minutę później nadjechała biała furgonetka bez żadnych oznakowań. Wysiedli z niej dwaj biali, wysportowani mężczyźni. Byli podobnie ubrani: w popielate spodnie i kurtki zapinane na suwak. Wyższy z nich, z gołą głową, miał krótko ostrzyżone włosy, niższy nosił czarną bejsbolówkę. Nie uśmiechali się. Byli czujni i poważni, ale nie rozglądali się po okolicy, być może zakładając, że jeśli są tu Braxton i Droon, to nic im nie grozi. Mimo to ich prawe dłonie krążyły jak żyroskopy na wysokości bioder, gdzie prawdopodobnie spoczywała broń.

Kiedy podeszli do SUV-a, Droon rozłożył na masce cadillaca tę samą mapę, którą wcześniej studiowali z klientem. Na koniec krótkiej rozmowy mężczyźni skinęli głowami, a jeden z nich zatrzymał mapę. Następnie Braxton i Droon wsiedli do samochodu i odjechali.

Bracia zostali na placu rozbiórki. Dwaj agenci BlackBridge na coś czekali i Shaw z Russellem chcieli zobaczyć, co to może być.

Poznali odpowiedź już po pięciu minutach: pojawili się dwaj szczupli mężczyźni w krótkich spodenkach i T-shirtach, jeden w jaskrawoczerwonym, drugi w białym. Nosili koszulki na wierzch, co mogło oznaczać, że zasłaniały broń. Obaj mieli jasnoniebieskie winylowe torby na ramię, takie same ogolone głowy i ciemną karnację. Tenderloin był siedzibą kilku panazjatyckich gangów, wśród których szczególną pozycję zajmował osławiony filipiński Bahala Na, podobno bardziej bezwzględny niż Cosa Nostra i meksykańskie kartele. Złote lata Bahala Na przypadły na koniec ubiegłego wieku, ale na Zachodnim Wybrzeżu do dziś aktywnie działało wielu okrutnych członków tej organizacji. Ich głównym rejonem było San Francisco.

– Pośrednicy – powiedział Russell. – Ci z białego vana. Odizolowują ich od faceta z rolls-royce'a, Braxton i Droona. Ci tutaj nie wiedzą, dla kogo naprawdę pracują. Profesjonalny

układ.

Między mężczyznami na placu wywiązała się rozmowa. Jeden z tych z furgonetki otworzył boczne drzwi wozu i wyjął dwie przezroczyste foliowe torby, z których każda musiała ważyć mniej więcej kilogram. Russell znowu spojrzął przez dalmierz. Podał go Shawowi, który skierował okular w stronę mężczyzn. Zobaczył, że torby zawierają małe opakowania tabletek. Zostały przekazane gangsterom. Facet z furgonetki, który miał przy sobie mapę, rozłożył ją.

– PRU – powiedział Shaw. – Pamiętasz list Ashtona, który ci pokazałem?

Brat skinął głową na znak, że zaczyna pojmować. Przypomniał sobie Plan Reformy Urbanistycznej, przewrotną nazwę, którą BlackBridge nadał operacji zalania ulic setkami kilogramów narkotyków, by wyniszczyć całe dzielnice.

– Włożymy kij w szprychy – oznajmił Colter i zadzwonił pod 911.

– Proszę podać rodzaj zgłoszenia – odezwał się opanowany kobiecy głos.

– Na placu budowy za Turk Street przy Simpson odbywa się transakcja handlarzy narkotyków. Chyba mogą być uzbrojeni... Chwileczkę... tak, są! – Starał się, by w jego głosie brzmiała nuta przerażenia, jak u porządnego obywatela, którego zdenerwowała scenka z udziałem dilerów. Podał rysopis obu mężczyzn i rozłączył się, gdy dyspozytorka zapytała go o personalia. Dyżurni w centrali numeru alarmowego często podchodzili sceptycznie do anonimowych telefonów, ale w przypadku poważnej transakcji narkotykowej na pewno wysyłali patrol.

I tak się rzeczywiście stało. Niemal natychmiast po rozmowie Shaw usłyszał chrzęst opon na żwirze. Radiowóz policji San Francisco z dwoma funkcjonariuszami.

– Szybko – zauważył Russell, podejrzliwie marszcząc brwi.

Wóz podjechał aż do furgonetki i wysiedli z niego dwaj gliniarze. Kierowcą był Latynos w mundurze, a towarzyszył mu detektyw w jasnopopielatym garniturze, biały i wysoki, z odznaką przypiętą do paska. Obrzucili krótkim spojrzeniem facetów z furgonetki i dwóch Filipińczyków. Shaw uświadomił sobie, że w napięciu czeka na strzelaninę. Nie mieli ochoty się w nią mieszać, ale opuścił dłoń blisko glocka, na wypadek gdyby jeden z gangsterów z bronią w ręku rzucił się do ucieczki w stronę ich kryjówek.

Wszyscy czterej odwrócili głowy w kierunku policjantów. Jeden z tych, którzy przyjechali furgonetką, powitał ich skinieniem głowy. Detektyw odpowiedział uśmiechem.

– Cholera – szepnął Shaw.

Cywil ze złotą odznaką zamienił parę słów z dwójką z furgonetki. Potem cała szóstka rozejrzała się po placu rozbiórki, więc Colter z bratem znowu musieli staranniej się schować za stertą odpadów.

– To dlatego tak szybko przyjechali – powiedział Russell. – Stali na czatach, niedaleko stąd.

– Będą nas szukać?

Okazało się jednak, że nie. Mężczyźni stojący pośrodku pustego placu przestali się rozglądać; najwidoczniej doszli do wniosku, że osoba, która doniosła na nich pod 911, związała jak większość zaniepokojonych obywateli. Gliniarze pożegnali się, być może dodając radę: następnym razem wybierzcie miejsce nie na widoku. Wyższy z facetów z furgonetki dał znak jednemu z Filipińczyków, który wysupłał z torby parę opakowań oksykodonu albo fentanylu i podał funkcjonariuszom, a oni podziękowali skinieniem głowy i odjechali.

Gangsterzy i dwójka z BlackBridge znowu pochyliłi się nad mapą, żeby dystrybutorzy wiedzieli, którą dzielnicę mają tego dnia zatruć.

– Ile? – spytał Shaw.

– Pytasz o wartość prochów? W grupie raczej się tym nie zajmujemy. Pewnie ze sto tysięcy.

Wszystko rozprowadzane na ulicach za darmo albo po okazyjnej cenie. Ale Pan Rolls-Royce miał na zakupie nieruchomości zarobić tysiąc razy więcej.

Transakcja dobiegła końca – Filipińczycy otrzymali grube koperty, które razem z partią tabletek powędrowały do nylonowych toreb. Faceci w kurtkach wrócili do furgonetki, by chwilę później zostawić po sobie tylko tuman pyłu.

Dopiero wtedy Shaw zdał sobie sprawę, że jest zwykły dzień roboczy i choć na placu rozbiórki stały maszyny, to nie było ani jednego robotnika. Wszystko wskazywało na to, że właściciel, zapewne Pan Rolls-Royce, polecił opuścić im miejsce pracy na czas spotkania.

Kim jesteś?, zapytał go w duchu Colter. Słyszałeś kiedyś imię i nazwisko Ashton Shaw? Drgnęła ci dłoń i uśmiechnąłeś się, kiedy Irena Braxton powiedziała, że ktoś od niej wybiera się do Posiadłości Shawów, żeby „pogadać” o jego odkryciu?

Nie znali numeru rejestracyjnego, ale może Karin uda się zidentyfikować faceta w systemie rozpoznawania twarzy.

Filipińczycy włożyli szpanerskie panoramiczne okulary przeciwsłoneczne z pomarańczowymi szklami i zbierali się do opuszczenia placu rozbiórki.

Bracia wstali zza osłony.

Gdy Shaw ruszył za gangsterami, Russell skręcił w przeciwną stronę, w kierunku uliczki, gdzie zaparkowali samochód.

Obaj odwrócili się, by na siebie spojrzeć.

– Musimy ich zatrzymać – szepnął Shaw. – Tędy. – Wskazał głową oddalających się Filipińczyków.

– Nie.

Colterowi natychmiast stanęło w pamięci pole lawinowe sprzed lat, gdy pognał ile sił w nogach, by ocalić życie kobiecie, która robiła zdjęcia na stromym i niebezpiecznym stoku, podczas gdy Russell nie ruszył się z miejsca.

„To nie nasza sprawa...”

Zamierzał go zawzięcie przekonywać, że za wszelką cenę muszą zatrzymać gangsterów, ale brat rzucił:

– Myślałeś, że chcę cię zostawić?

Colter nie odpowiedział.

– Hawker's Pass – mruknął Russell z wyraźną irytacją i odszedł w przeciwną stronę.

– Aha – odrzekł Shaw.

30

Shaw posuwał się wzdłuż ceglanych murów, podążając ciemnym brukowanym zaułkiem za dwoma szczupłymi Azjatami, którzy oddalali się od placu rozbiórki. Przekroczył nad kilkoma zdechłymi szczurami i dwoma leżącymi na boku mężczyznami. Oddychali.

Zastanawiał się, czy Filipińczycy rozsieją swój towar jak farmerzy ziarno kukurydzy wiosną. Jaką nieruchomość miał na oku Pan Rolls-Royce?

Przyspieszył kroku, by nadążyć za maszerującymi w ostrym tempie gangsterami.

Kiedy zbliżali się do końca uliczki, jeden z nich spojrzął na ziemię i dotknął ramienia towarzysza. Przystanęli, zdjęli tandetne okulary i przyjrzeni się portfelowi leżącemu na bruku. Rozejrzeli się po zaułku i dostrzegli Shawa. Szedł w tym samym kierunku co oni, nie zwracając na nich uwagi i udając, że prowadzi z kimś przez telefon sympatyczną pogawędkę, być może nawet flirtuje. Ich spojrzenia mówiły, że nie widzą w nim zagrożenia.

Ten w czerwonym T-shircie wyjął z torby opakowanie tabletek. Skoro płacono im za rozprowadzanie towaru na chodnikach i w bocznych zaułkach, to dlaczego nie mogliby części sprzedać? Przecież nikomu nic się nie stanie, jeżeli dorobią sobie na boku. Kiedy Biały T-shirt pochylił się, podniósł portfel i zaczął przeglądać jego zawartość, Czerwony wyciągnął torebkę w stronę Shawa.

– Zadzwoń później – powiedział Colter do telefonu i go schował.

Z zaintrygowanym uśmiechem przyjrzał się narkotykom. Podszedł bliżej i zatrzymał się dwa metry od nich. Członkowie Bahala Na często z wprawą posługiwali się zabójczo skutecznymi formami sztuk walki, suntukan i sikaran, które polegały na zadawaniu ciosów rękami i nogami. Filipiny były też kolebką kilku stylów walk zapaśniczych.

Być może gangster zamierzał zwabić Shawa bliżej i zaatakować. Bo po co sprzedawać towar, jeżeli udałoby się zatrzymać i kasę, i prochy?

– Co to jest? – spytał Shaw.

– Oxy.

– Ile? – Uważnie przyglądał się torebce.

– Dwie dychy.

– Ile jest pigułek? Nie widzę.

Filipińczyk uniósł torebkę wyżej.

W tym momencie u wylotu alejki za plecami Białego T-shirta pojawił się Russell i strzelił mu w nerkę elektrodami tasera. Facet jęknął, zadygotał i padł na bruk.

Czerwony T-shirt obrócił się błyskawicznie i sięgnął po broń, ale Shaw rzucił się naprzód i złapał ją lewą ręką, jednocześnie wciskając mu w ucho lufę glocka.

– *Mapanganib ito...* To, co robisz, jest niebezpieczne!

Wyrwał mu z dłoni srebrny rewolwer. Jego kolega miał glocka i sprężynowiec, które powędrowały do kieszeni Russella. Odebrali im też telefony.

Biały T-shirt wstał na chwiejnych nogach i krzywiąc się z bólu, powiedział z silnym akcentem:

– Ty, skurwiel, zginiesz. Nawet nie wie kiedy.

Russell wziął swój portfel – bez żadnych dokumentów, tylko z gotówką – i wsunął z powrotem do tylnej kieszeni spodni. Shaw ubezpieczał brata, gdy ten wyjmował elektrody ze skóry Białego T-shirta i zabierał mu nylonową torbę, po czym sam chwycił za pasek torby Czerwonego T-shirta, ale gangster mocno ją trzymał, mierząc go wściekłym wzrokiem.

– Ty głupi. Groźne dla was. Wam załatwią.

Russell naładował paralizator i wycelował. Czerwony przestał się opierać, a wtedy Shaw zdjął mu z ramienia torbę.

– Jazda stąd! – rozkazał Shaw szeptem.

Gangster jeszcze raz posłał mu rozwścieczone spojrzenie, a gdy jego towarzysz podniósł z ziemi okulary – zadrapane szkła rozjuszyły go nie mniej niż kradzież narkotyków i pieniędzy – odeszli, oglądając się za siebie. Po raz drugi tego dnia bracia zobaczyli salut w formie uniesionego środkowego palca.

– Za pięć minut ukradną telefon na kartę i kogoś zawiadomią. Musimy przyskać. – Russell wskazał głową na zaułek. Podeszli do samochodu i wsiedli. Ciężki pojazd wyjechał na ulicę i szybko opuścił Tenderloin.

Hawker's Pass...

Bitwa między osadnikami a szajką bandytów, którzy siłą zajmowali cudze działki w północnej Kalifornii w czasach gorączki srebra. Na bocznej drodze prowadzącej do obozu osadnicy podrzucili szkatułę i przysypali ją ziemią. Gdy rabusie zaczęli ją wykopywać, jedna grupa osadników nadeszła od północy, a druga od południa i bez trudu poradzili sobie z zaaferowanymi opryszkami. Shaw pamiętał, jak siedział obok ojca i brata, podczas gdy Ashton rysował mapę bitwy, objaśniając chłopcom taktykę.

Nigdy nie atakuj przeciwnika od frontu, jeśli możesz zaskoczyć go z flanki...

Nie, Russell nie zamierzał go zostawiać. Chciał powstrzymać Filipińczyków tak samo jak Shaw i zastosował sprytny manewr, żeby to zrobić bez rozlewu krwi.

Po wyjeździe z Tenderloin skierowali się nad brzeg zatoki w Hunters Point, gdzie wrzucili do wody narkotyki oraz broń, nóż i telefony gangsterów.

Wrócili do domu przy Alvarez Street. Russell sprawdził numery furgonetki – nie były zamaskowane jak tablice cadillaca i rolls-royce'a – i ustalił, że wóz jest zarejestrowany na firmę, której właścicielem była niewątpliwie jakaś spółka z siedzibą za granicą. Wysłał komuś zdjęcie Pana Rolls-Royce'a, prawdopodobnie Karin. Niebawem dostał odpowiedź.

- Za daleko, nie da się rozpoznać twarzy.
- W takim razie jedźmy do Burlingame. Do Nadlera.

Robotnicze miasteczko leżało na południe od San Francisco, a jego mieszkańcy dojeżdżali do metropolii do pracy. W jego granicach znajdowało się lotnisko San Francisco. Shaw widział zdjęcie domu, które przysłała mu Mack. Ładny parterowy budynek, pomalowany na żółto i otoczony niewielkim, lecz zadbanym ogrodem.

Właśnie wpisywał adres do GPS-u, gdy telefon wydał sygnał oznaczający nadejście e-maila.

Przeczytał wiadomość od Mack McKenzie.

- Po drodze będziemy musieli się jeszcze gdzieś zatrzymać.

31

Ghiradelli Square – w przyciągającej jak magnes turystów dzielnicy Fisherman's Wharf o tej porze dnia panował niewielki ruch. Zanosiło się na deszcz.

Shaw z Russellem siedzieli w samochodzie zaparkowanym niedaleko rogu, na którym jakiś mężczyzna brzdąkał na gitarze. Miał przed sobą otwarty futerał i ludzie od czasu do czasu wrzucali do niego monety i banknoty. Był wysoki i szczupły, a spod kowbojskiego kapelusza z wywiniętym rondem spływały długie blond włosy.

Wyczuwało się zapach czekolady, który przypadkiem lub celowo dochodził z budynku Ghirardelli. Shaw wyjaśnił bratu, w jaki sposób dostał zlecenie odnalezienia zaginionej Tessy Vasquez. Powiedział mu też, że jego prywatna detektyw wśród swoich współpracowników ma analityka dźwięku, któremu wysłała wiadomość nagraną przez Tessy. Ekspert odfiltrował z nagrania głos młodej kobiety i zbadał każdy dźwięk słyszany w tle.

E-mail, który Shaw odebrał w Tenderloin, relacjonował wyniki przeprowadzonej analizy. Otworzył tekst i obaj pochylili się, by go przeczytać.

Muzyka: nastrojowa muzyka z kawiarni na świeżym powietrzu, nagrana.

Muzyka: wykonywana na żywo, gitara, perkusja, rap i oklaski, prawdopodobnie towarzyszące tańcowi hiphopowemu. Od czasu do czasu wokaliści przerywają śpiew, żeby podziękować, przypuszczalnie za napiwki. Wniosek: artyści uliczni.

Odgłosy dzieci, które śmieją się i czasem milkną dla nabrania tchu: plac zabaw.

Sygnaly mgłowe: poziom decybeli wskazuje odległość od pięciu do siedmiu kilometrów. Dźwięk odbija się echem od wysokiej budowli w pobliżu. Prawdopodobnie Avnet Tower przy California Street.

Syrena statku nr 1: odpowiada brzmieniem syrenie „Marin Express”, promu kursującego z pirsu 41 w Embarcadero do Sausalito; odległość około półtora kilometra.

Syrena statku numer 2: odpowiada brzmieniem syrenie „Alcatraz Cruiser”, statku należącego do Bay Cruise Tours; odległość około półtora kilometra.

Syrena statku numer 3: odpowiada brzmieniem syrenie „Sea Maid III”, statku należącego do Cruise Tours Unlimited, przycumowanego przy promenadzie Eureka, w odległości około stu metrów.

Dzwonki tramwajów linowych z przeciwnych kierunków, prawdopodobnie północny przystanek końcowy linii Powell – Mason na wschodzie i linii Powell – Hyde na zachodzie. Linia Powell – Mason jest bliżej.

Po zestawieniu tych danych sędzę, że lokalizacja to południowo-zachodnia część Fisherman’s Wharf, prawdopodobnie Ghirardelli Square.

– Nie wiem, kto to jest, ale zna się na rzeczy – stwierdził Russell.

Shaw się rozejrzył.

– Zaraz wracam. – Wysiadł z samochodu i podszedł do gitarzysty. Wyjął z kieszeni dwadzieścia dolarów i wrzucił banknot do otwartego futerału.

– Hej, dzięki. – Muzyk ze zdziwienia szeroko otworzył oczy.

– Mam pytanie.

– Jasne. – Może miał nadzieję, że usłyszy: Masz czas, żeby podpisać kontrakt płytowy na parę milionów dolarów?

– Znasz tę dziewczynę? Zaginęła. Pomagam matce ją odnaleźć.

– A, tak. To Tessy. Jezu, zaginęła?

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

– Niedawno przyjechałem z Portland. Jakiś tydzień temu.

– Dobrze ją znałeś?

– Nie. Gadaliśmy trochę o muzyce. Przede wszystkim jak się podzielić rogami placu, żeby siebie nawzajem nie zagłuszać, kiedy śpiewamy. Co za kicha. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

– Nie wiesz, czy miała problemy z czyjegoś powodu?

– Nie widziałem. Czasem faceci próbowali ją podrywać. Wiesz, jak to jest. Radziła sobie.

– Był z nią kiedyś facet o imieniu Roman? – Shaw podał jego rysopis.

– Nie wydaje mi się, żebym go poznał.

Colter mu podziękował. Przyjrzał się zabudowie, obracając się wolno wokół własnej osi. Zatrzymał wzrok na sklepie z pamiątkami specjalizującym się w słono-słodkich cukierkach oraz artystycznych bibelotach z motywem tramwajów linowych, mostu Golden Gate i więzienia Alcatraz.

Zwrócił na siebie uwagę brata i wskazał głową sklepik. Russell podszedł do niego.

– Wideo? – spytał.

– Kamera obejmuje cały plac. Taką mam nadzieję.

Mężczyźni przywitani kierownika sklepu, z niewiadomych powodów ubranego jak sprzedawca z Dzikiego Zachodu: słomkowy kapelusz, koszula w wąskie paski i podwiązki rękawów. Gdy wyjaśnili powód wizyty, odrzekł:

– Och, to straszne. – Dodał, że zna Tessy. Od czasu do czasu zaglądała do sklepu i wymieniała zarobione monety na banknoty.

Polecił pracownikowi stanąć za ladą i zaprowadził braci na zaplecze.

Zalogował się do serwera w chmurze, po czym wpisał datę i godzinę, o której Tessy nagrała wiadomość matce. Przewijał nagranie w przyspieszonym tempie do przodu i do tyłu, w końcu zobaczyli, jak młoda kobieta pojawia się w kadrze, wyjmując gitarę z futerału, stawia go przed sobą, by ludzie mogli wrzucać napiwki, i wiesza instrument na szyi. Była ubrana w czerwoną bluzkę i czarną, szeroką spódnicę do kostek. Ciemne włosy miała rozpuszczone.

Zacząła śpiewać, uśmiechając się do przechodniów. Sprawnie przechodziła między akordami. Nie grała żadnych skomplikowanych jazzowych riffów. Shaw kiedyś się dowiedział, że gitara nigdy nie miała być instrumentem prowadzącym, tylko rytmicznym. Ta informacja pochodziła z odległej przeszłości, od Margot, skarbnicy wiedzy o kulturze popularnej. „Ale powiedz to Jimiemu Hendriksowi”, dodawała.

Ulubionym gitarzystą Shawa był Australijczyk Tommy Emmanuel, który ze skromnych sześciu strun potrafił wyczarować całą orkiestrę.

Z rozbawieniem zauważył, że Tessy gra na gitarze Yamaha, tej samej marki co jego motocykl. Trudno byłoby znaleźć inne przedsiębiorstwo o równie zróżnicowanej produkcji.

– Może pan przewinąć do miejsca, kiedy dziewczyna odchodzi z placu?

Kierownik spełnił prośbę. Zobaczyli, jak Tessy pakuje gitarę i wyjmując z kieszeni telefon. Mówiła do niego przez krótką chwilę – prawdopodobnie dzwoniła do matki. Potem podniosła futerał z gitarą, zarzuciła na ramię torebkę i ruszyła ulicą, oddalając się od sklepu. Doszła do rogu i skręciła w prawo.

– Zauważyłeś? – spytał Shaw brata.

– Wóz – powiedział Russell.

Kiedy Tessy minęła szarego minivana zaparkowanego po tej samej stronie ulicy, którą szła, samochód ruszył i toczył się powoli, jak gdyby ją śledził. Potem skręcił w tę samą stronę, co ona.

– Chryste, myślicie panowie, że ktoś... że coś jej zrobili? – Na twarzy kierownika sklepu malował się niepokój.

– Niech pan przewinie do momentu, gdy wóz przyjeżdża.

Pojawił się około dwudziestu minut przed jej odejściem.

– Odtwórzmy to w normalnym tempie.

Zgadza się, wyglądało to podejrzanie. Gdy minivan zaparkował, nikt z niego nie wysiadł ani do niego nie wsiadł; po nikogo nie przyjechał. Po jakimś czasie otworzyły się drzwi po stronie pasażera i ukazali się dwaj mężczyźni. Biali, o gęstych, ciemnych włosach – jeden

nosił je zaczesane do tyłu, drugi miał rozwichrzoną czuprynę. Byli w eleganckich koszulach i spodniach. Ten, który wysiadł z przodu, wyjął z kieszeni telefon, zrobił zdjęcie placu, po czym zaczął manipulować palcami po ekranie.

– Wysłała zdjęcie.

Po chwili, w której prawdopodobnie nastąpiła wymiana SMS-ów, Zaczesany schował telefon. Zapalił papierosa i razem z kolegą wrócili do samochodu.

– Powinniśmy zawiadomić policję.

– Zawiadomimy – odezwał się Russell. – Moglibyśmy dostać kopię tego nagrania?

– Oczywiście. – Kierownik poszperał w biurku i znalazł kartę SD. – Od momentu, gdy dziewczyna przychodzi?

– Jeśli można.

Wstukał kilka poleceń i po minucie wideo w formacie MP4 znalazło się na karcie.

– Zapłacimy panu za to – zaproponował Shaw.

– Nie, nie. Ale jak najszybciej idźcie z tym na policję. Boże, mam nadzieję, że dziewczyna jest cała i zdrowa.

Colter opisał Romana, byłego chłopaka Tessy.

– Był tu kiedyś z nią ktoś, kto tak wyglądał?

– Nie przypominam sobie.

Podziękowali mu. Kierownik sklepu podał im wizytówkę.

– Proszę dać mi znać, jak to się skończyło.

Russell obiecał, że na pewno go poinformują, a potem wrócili do samochodu.

Gdy brat uruchamiał silnik, Shaw wysłał wiadomość do Mack z kodem oznaczającym pilną sprawę i poprosił o dane szarego minivana. Zapamiętał kalifornijski numer rejestracyjny.

– Zajrzyjmy na przecznicę. – Starszy z braci wyjechał na ulicę i skręcił w tę samą stronę co samochód z nagrania. Był tam wąski zaułek biegnący na tyłach budynków i ramp załadunkowych. Nie zauważyli żadnych sklepów ani mieszkań.

– Gdybyśmy planowali z wyprzedzeniem – powiedział Russell – nie moglibyśmy wybrać lepszego miejsca na porwanie.

Shaw usłyszał sygnał odebranej wiadomości.

Szary van jest zarejestrowany na firmę w Kalifornii, Specialty Services. Brak fizycznego adresu. Tylko skrytka pocztowa. Właścicielem Specialty Services jest spółka zagraniczna. Poprosiłam prawników na Saint Kitts i w Sacramento, żeby ustalili, kto jest rzeczywistym właścicielem.

Shaw przeczytał to w drodze do Burlingame bratu, który siedział za kierownicą lincolna.

– Dobrze to nie wygląda. Idziemy na policję? To nie jest numer BlackBridge.
– Tessy i jej matka nie mają dokumentów. Zostaną deportowane. Albo sama Maria, jeżeli nie uda mi się znaleźć córki. W każdym razie na podstawie tego, co mamy, policja nie kiwnie palcem.

Nie umiał zinterpretować reakcji brata.

Po piętnastu minutach ciszy Russell zapytał:

– To wygląda jak robota prywatnego detektywa?
– Moja praca? Bardzo podobnie. Szukasz uciekinierów, podejrzanych. Czasem nagrodę wyznacza prywatna osoba, jak w przypadku Tessy.

– Pracujesz dla poręczycieli?

– Nie. – Pracownicy biura poręczycieli ścigali ludzi, którzy po zapłaceniu kaucji nie stawili się przed sądem. Poszukiwani przez poręczycieli na ogół byli gówniarzami albo pijaczkami i zlokalizowanie ich wymagało minimum wysiłku umysłowego – odnajdywali się w piwnicach u swoich rodziców, u dziewczyn albo w tym samym barze, do którego poszli się zalać po popełnieniu przestępstwa, za które zostali przymknięci. Wyjaśnił to wszystko bratu.

– Zależy ci na poszukiwaniu lepszej jakości.

– Raczej na bardziej wymagającym.

Znowu milczenie.

– Jakie to są nagrody?

– Pytasz o kwoty?

Russell skinął głową.

– Od paru tysięcy. Do mniej więcej dwudziestu milionów.

– Milionów?

– To na ogół nie moja półka. Taką nagrodę wyznacza Departament Stanu. Rzecz polega na tym, że ktoś z organizacji poszukiwanego przekazuje CIA informację o miejscu jego pobytu. Potem do akcji wkracza Oddział Szósty SEAL.

– Za kogo dają te dwadzieścia milionów?

– Za niejakiego Idreesa Ayubi... To jest... – Shaw urwał, widząc, jak brat potakująco kiwa głową. Biorąc pod uwagę jego profesję, nie powinien się dziwić, że Russell zna nazwisko terrorysty, za którego rząd federalny wyznaczył najwyższą nagrodę.

Po chwili Colter dodał:

– Ale tu nie chodzi o pieniądze. W tej pracy najbardziej lubię wyzwania. Problemy, których nikt nie potrafi rozwiązać. No wiesz, nigdy się nie nudź.

– To też zasada Asha? Tej akurat nie pamiętam.

– Nie.

Chłopcy spytali kiedyś ojca, którego Russell nazywał Królem Nigdy, dlaczego każda ze sformułowanych przez niego zasad zaczyna się od przeczenia. „Żebyście bardziej uważali”, odparł.

Russell znowu zamilkł. Shaw zastanawiał się, czy nadal jest zły z powodu sugestii, że chciał uciec przed konfrontacją z filipińskimi gangsterami.

– Co to za sekta, o której wspomniał Tom Pepper?

– Sprawa z zeszłego tygodnia. W stanie Waszyngton.

– Ktoś wyznaczył nagrodę za wyciągnięcie jednego z wyznawców?

Shaw wyjaśnił, że nie, dowiedział się o sekcje przy okazji zlecenia i zaniepokoiły go sadystyczne i agresywne skłonności jej przywódcy.

– Wszedłem tam pod przykryciem i znalazłem bezbronnych ludzi – w sumie było ich około setki. Zrobiłem, co się dało, żeby ocalić część z nich. Przy okazji narobiłem sobie wrogów.

Colter uświadomił sobie dwie rzeczy: po pierwsze, gadał jak nakręcony i robił to celowo, żeby wciągnąć do rozmowy brata i sięgnąć głębiej pod powierzchnię tematów, jakie porusza się z gośćmi na koktajlu.

Po drugie, Russell po prostu wypełniał niezręczne chwile ciszy; wyraźnie nie interesowały go opowieści brata.

W końcu Shaw zapytał:

– Martwisz się czymś? – Nie przypuszczał, że kiedykolwiek zada mu takie pytanie.

Po chwili wahania tamten odrzekł:

– Zadaniem, które mam wykonać.

– Tutaj?

– Nie. Nie mogę powiedzieć gdzie.

– Czyli nie masz ochoty się w to włączyć? – Shaw wskazał na ładną ulicę w Burlingame, którą właśnie jechali, ale miał na myśli polowanie na BlackBridge.

– To po prostu trzeba zrobić.

Rozmowę zakończył ktoś inny: GPS kobiecym głosem poinformował ich, że miejsce docelowe znajduje się po lewej stronie.

– Czy byłaby pani tak miła i zgodziła się nam pomóc? – zapytał Shaw.

Oceniał kobietę stojącą w drzwiach na niewiele ponad siedemdziesiąt lat. Uśmiechała się, ale przyglądała im się nieruchomym wzrokiem, jak patrzy się na uprzejmych, lecz niespodziewanych gości, którzy ni stąd, ni zowąd zjawiają się na progu. Wyglądali tym bardziej zagadkowo, że byli do siebie odrobinę podobni. Kobieta miała na sobie fartuch, choć nie w rodzaju profesjonalnych pancerzy, jakie wkładają kucharze, lecz cienki, jasnoniebieski, z falbankami i koronką. Fatałaszek z minionej epoki.

– Niedługo wróci mąż.

Powiedziała to, by usprawiedliwić swoje obiekcje – do kompletu brakowało jednej osoby. Prócz tego była to forma obrony: lada chwila przybędą posiłki.

Dzięki Mack wiedzieli, że ma na imię Eleanor.

Shaw przedstawił siebie i Russella, a potem oznajmił:

– Mój brat i ja badamy pewną rodzinną historię.

Ten fakt był bezdyskusyjny. Nie mówił całej prawdy, ale czy faktycznie zawsze jest potrzebna cała prawda?

– Przeglądaliśmy stare papiery i odkryliśmy, że nasz ojciec interesował się tym domem albo kimś z jego mieszkańców.

– Dawno temu – uściślił Russell.

– Hm, to dom rodzinny mojego męża. Mieszka tu od trzydziestu lat. Kim jest panów ojciec? Ach, powiedzieliście „interesował się”. Czy to znaczy, że już go nie ma wśród nas?

– Nie ma – potwierdził Shaw.

– Przykro mi. – Jej twarz wyrażała szczere współczucie. Ta kobieta z pewnością sama doświadczyła bolesnej straty. – Jak się nazywał panów ojciec?

– Ashton Shaw.

Przymrużyła oczy i na upudrowanej twarzy zaznaczyły się zmarszczki.

– Chyba nie słyszałam tego nazwiska. Może Mort je zna. Mają panowie zdjęcie? To by mogło odświeżyć mi pamięć. – Była już wyraźnie spokojniejsza, ponieważ mężczyźni za drzwiami nie zamierzali wprasać się do środka ani sprzedawać jej polisy ubezpieczeniowej czy sidingu z aluminium.

Shaw był na siebie zły, że nie pomyślał, by wziąć ze sobą zdjęcie ojca. Z zaskoczeniem przekonał się jednak, że Russell ma małą fotografię – nie w telefonie, ale tam, gdzie kiedyś noszono zdjęcia rodziny, czyli w portfelu. Poczł jeszcze boleśniejsze wyrzuty sumienia, że oskarżał go – nawet w duchu – o zabójstwo człowieka, którego podobiznę po tylu latach wciąż nosił przy sobie.

Spoglądając na wyblakły kartonik, zdziwił się jeszcze bardziej, bo zdjęcie nie przedstawiało samego Ashtona, ale wszystkich trzech Shawów – ojca i synów. Ojciec stał z tyłu, chłopcy

na pierwszym planie. Colter miał chyba dwanaście lat. Byli w górskim rynsztunku, gotowi do zjazdu z urwiska na linie.

Popatrzył na Eleanor, spodziewając się usłyszeć od niej: „Och, ależ podobieństwo” czy coś w tym rodzaju.

Kobieta stała jednak jak wryta, wpatrując się w fotografię.

– Proszę pani? – odezwał się Russell.

– Rzeczywiście go znam.

Shaw poczuł, jak przyspiesza mu puls.

– Skąd?

– Lata temu, całe wieki. Był wtedy starszy niż na tym zdjęciu i miał bardziej potargane włosy. I bardziej siwe. Ale dobrze go pamiętam. To było na pogrzebie. Wyglądał na załamanego. Oczywiście wszyscy byliśmy przygnębieni, ale on jakoś szczególnie. Pomyśleliśmy, że to dziwne, bo nikt z rodziny nie miał pojęcia, kto to jest.

– Czyj to był pogrzeb? – spytał Shaw.

– Mojego syna, Amosa.

– Amosa Gahla?

– Zgadza się. Nazywam się Eleanor Nadler. Po śmierci pierwszego męża drugi raz wyszłam za mąż.

Przechyliła głowę i obrzuciła każdego z nich porozumiewawczym, konspiracyjnym spojrzeniem.

– Może wejdziecie, chłopcy? Zaparzę kawy, a wy powiecie mi, po co naprawdę przyszliście.

33

Wnętrze pachniało naftaliną, która większości ludzi przywodzi na myśl dom dziadków i stare, śmiesznie skrojone ubrania w dziwnych kolorach, odwieszane na wieczność do szaf. Shaw pomyślał jednak o węzach – któregoś roku, podczas długiej suszy, Ashton i dzieci rozsypali w domu i ogrodzie białe kulki o ostrym zapachu, by odstraszyć natrętne grzechotniki, które szukały wody i myszy.

Eleanor wskazała im głową kanapę w kwiaty, a gdy bracia usiedli, zniknęła w kuchni. Ze względu na dzieciństwo Shaw nie miał skojarzeń z telewizyjnymi sitcomami, choć kiedyś, w trakcie badań archeologicznych prowadzonych przez Margot, bywało, że kładli się na dmuchanych materacach i na ekranie tabletu czy laptopa oglądali seriale, które uwielbiali jej rodzice i dziadkowie. To było surrealistyczne doświadczenie: kochać się ze zmysłową kobietą na pustkowiu Arizony, z pistoletem pod ręką, na wypadek gdyby za bardzo zainteresowały się nimi kojoty, i jednocześnie oglądać *Andy Griffith Show* (całkiem zabawny serial) i *Ożeniłem się z czarownicą* (nie w jego guście).

Dom wyglądał schludnie, był utrzymany w pastelowych kolorach, starannie odkurzony. W wielu miejscach stały różne bibeloty. Więcej niż porcelanowych figurek było tylko zdjęć rodzinnych.

Pięć minut później wróciła gospodyni ze srebrną tacą, na której stały trzy filiżanki z cienkiej porcelany na talerzykach, cukiernica i dzbanuszek pełen gęstej śmietanki, nie mleka. Obok leżały trzy łyżeczki i trzy serwetki złożone w trójkąt. Eleanor podała gościom filiżanki z kawą, a trzecią sama wzięła do ręki. Bracia poczęstowali się śmietanką. Kawa była aromatyczna, afrykańska. Shaw był prawie pewien, że kenijska.

– Mam wrażenie, że nie chodzi o żadną sprawę genealogiczną? – spytała cichym głosem kobieta.

– Nie, pani Nadler... – zaczął Russell.

– Eleanor – poprawiła go. – Mam wrażenie, że łączy nas coś ważnego. Lepiej mówmy sobie po imieniu.

– Eleanor – Shaw wypił łyk kawy i odstawił filiżankę; brzęknęła wyjątkowo głośno – badamy zagadkę śmierci naszego ojca. – Po czym dodał: – Podejrzewamy, że zginął w podobnych okolicznościach jak twój syn.

– To nie był wypadek – odrzekła półgłosem. – Wiem na pewno.

– Niedługo przed śmiercią – włączył się Russell – ojciec kontaktował się ze współpracownikami Amosa.

– Z BlackBridge. – Zacisnęła usta.

Russell skinął głową.

– Ich zdaniem Amos wyniósł z firmy jakieś materiały. Dowody przestępstw popełnionych przez to przedsiębiorstwo.

Shaw wyjaśnił jej, na czym polega Plan Reformy Urbanistycznej, i powiedział o innego rodzaju nielegalnej działalności firmy: manipulacjach przy kursach akcji, łapówkach, fałszywych inspekcjach technicznych po trzęsieniach ziemi.

Nie wiedziała o PRU ani o pozostałych machinacjach – Colter przypuszczał, że syn celowo nie zdradzał jej szczegółów, by ją chronić – ale powiedziała:

– Zawsze wydawało mi się, że z tą firmą jest coś nie tak. Nie czuł się tam dobrze. – Jej wzrok powędrował do zdjęcia na ścianie. Przedstawiało Gahla w wieku dwudziestu kilku lat. Był w stroju do piłki nożnej. Ciemne kręcone włosy, pociągła twarz. – Był takim dobrym chłopcem. Takim byстрыm. I przystojnym... Och, ależ z niego była świetna partia. Myślałam, że przyprowadzi do domu najpiękniejszą dziewczynę z college'u. – Zaśmiała się. – A on przyprowadzał tylko ładnych chłopców. Tak mu się ułożyło. Pogodziłam się z tym. – Westchnęła. – Mój syn był szczęśliwy. Uwielbiał akademickie życie.

– Gdzie się uczył? – spytał Russell.

– Na Stanowym w San Francisco. Tam był szczęśliwy. – Twarz jej stężała. – A potem zaczął pracować w tej firmie. To nie było dobre miejsce. Mroczne. Ale nie mógł się oprzeć pokusie. Gdzie człowiek z dyplomem z historii mógłby zarobić takie pieniądze, jakie mu zaproponowali?

– Powiesz nam coś więcej o jego śmierci? – poprosił Shaw. – Jeżeli możesz o tym mówić.

Przez długą chwilę milczała ze wzrokiem utkwionym w stojącą na stoliku ceramiczną figurkę ptaka, gołębia karolińskiego.

– Oficjalnie to był wypadek samochodowy. Amos zjechał z autostrady numer jeden. Wicie, jakie to może być niebezpieczne na południe od miasta?

Obaj pokiwali głową, a Colter pomyślał o artykule znalezionym w ukrytym pokoju Ashtona, gdzie pisano o wypadku członka zgromadzenia stanowego i o pożarze samochodu, w którym zniszczeniu uległy wiezione przez niego akta.

– To było niedaleko Mavericks. Plaży.

Wiedział, że tę plażę uznawano za stanową stolicę ekstremalnego surfingu.

– Tyle że nie miał żadnego powodu, by tamtędy jechać. Po odejściu z BlackBridge cały czas pracował nad jakimś projektem w mieście. To było dziwne – dlaczego znalazł się osiemdziesiąt kilometrów na południe od miasta? A potem... – Potrzebowała chwili, by się uspokoić. – Potem ten przedsiębiorca pogrzebowy...

Shaw skinieniem głowy zachęcił ją, by mówiła dalej.

– Zapytał mnie, czy policja ustaliła, kto go napadł. Oszupiałam. Napadł? Co on wygadywał? Biedak był w szoku. Myślał, że wiem. Ciało było mocno poparzone, ale gdy przygotowywał je do spopielenia, zauważył głębokie rany kłute. Ktoś... – Znowu zrobiła pauzę, by się opanować. Kilka razy zaczerpnęła tchu. – Jakby ktoś wbił w niego nóż i przekręcił ostrze. Żeby zadać większy ból.

Shawowi pojawił się przed oczami nóż SOG i Droon wymachujący nim wczoraj rano.

Cios, obrót...

Jego ulubiona metoda tortur.

– Powiedział mi, że Amos dostał nożem w nogę – szepnęła przez zaciśnięte zęby – i ostrze trafiło w tętnicę udową. To rzeczywiście mógł być wypadek. Nie chcieli, żeby umarł, tylko żeby powiedział, co to były za dowody, o których wspominaliście.

Gdyby wczoraj złapali go w bibliotece, Colter też zostałby skrępowany, a w jego nodze albo ręce zatopiłaby się klinga noża SOG SEAL Team Elite.

I obracałaby się po każdym pytaniu.

– Czy Amos coś tu zostawił? Dokumenty, akta, komputery, twarde dyski? Może jakąś aktówkę? Nazywał ją torbą kurierską.

Wypiła łyk kawy, zastanawiając się przez chwilę.

– Nie. Zresztą pod koniec życia bardzo rzadko tu zaglądał. Zachowywał się trochę jak paranoik. Podejrzewał, że ktoś go śledzi. Ale spotykał się tu z przyjacielem. Z początku uważałam, że to urocze; że przyprowadził swojego chłopaka do domu, aby mama i ojczym mogli go poznać. Byli... hm... Można powiedzieć, że byli ze sobą blisko. Też pracował w BlackBridge, chociaż kiedy się tu pojawił, to chyba już nie. Te spotkania, jak sądzę, nie były jednak czysto towarzyskie. Kiedy kończyliśmy jeść, wstawali od stołu i schodzili do piwnicy, żeby porozmawiać. Chyba potrzebowali całkiem prywatnego i bezpiecznego miejsca. – Jej oczy spochmurniały. – Może Amos i jego przyjaciel myśleli, że mają w domach podsłuch.

– Pamiętasz, jak się nazywał ten przyjaciel?

– Pamiętam, bo to rzadkie nazwisko. I ładne. La Fleur. Po francusku „kwiat”. Imienia sobie nie przypominam.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– W hrabstwie Marin. Tylko tyle powiedział. Może też miał paranoję. Nawet wobec nas.

– I przypuszczasz, że La Fleur odszedł z BlackBridge?

– Raczej na pewno. – Zaśmiała się pogardliwie. – Jeśli miał sumienie.

– Amos spotykał się z kimś jeszcze z firmy?

– Pamiętam tylko La Fleura. – Zachichotała. – Jeżeli wydawało mi się, że syn ma paranoję, to szkoda, że nie widzieliście tego człowieka. Podczas kolacji spytał, z jakiego rodzaju szyfrowania korzystamy podczas rozmów telefonicznych. Mort i ja się zaśmialiśmy. Boże drogi! Myśleliśmy, że to żart. Ale on pytał serio. Kiedy powiedzieliśmy, że nie mamy

pojęcia, Amos kazał nam wyłączyć telefony. Myśleliśmy, że chce ustąpić przyjacielowi. Chyba jednak nie. Czasem to nie jest paranoja, prawda?

Bracia znowu spojrzeli po sobie.

Wstali i podziękowali za poświęcony im czas. Shaw obiecał, że skontaktuje się z nią, jeśli dowiedzą się czegoś jeszcze.

Odprowadziła ich do drzwi. Spojrzała na ładny ogródek przed frontem. Jego najważniejszym elementem był klon palmowy. Na świeżo okrytych ściółką grządkach pyszniły się fioletowe i niebieskie kwiaty. Shaw, jak wszyscy surwiwalowcy, dobrze znał się na niektórych roślinach – wiedział, które są jadalne, które toksyczne, które można wykorzystać jako lekarstwo albo środek odkażający. Na kwiatkach mających wyłącznie walor dekoracyjny raczej nie znał się zbyt dobrze.

– Amos nie był głupi – powiedziała Eleanor. – Musiał wiedzieć, że prawdopodobnie dowiedzą się, co zrobił. A to znaczy, że nie ukrywałby dowodów, tej torby, w jakimś niedostępnym miejscu, żeby po jego śmierci ktoś inny nie mógł jej znaleźć.

To samo pomyślał Shaw, gdy wczoraj rano szukał torby w bibliotece „Stanforda”.

– Tym kimś jesteście wy – dodała.

Spojrzała na obu braci, po czym zawiązała mocniej tasiemki fartuszka z falbankami, na którym nie było ani jednej plamki. Łagodne rysy babci z sitcomu przybrały surowy wygląd. Utkwiła wzrok w oczach Shawa.

– Znajdźcie to. I załatwcie tych sukinsynów.

34

Sausalito to urocze peryferia na klifach nad zatoką, na północ od mostu Golden Gate.

Mieszkają tu przede wszystkim artyści i rzemieślnicy; ze względu na piękne widoki działają w tej okolicy liczne piekarnie z wysmienitymi bułeczkami i muffinkami dla zwiedzających, a z racji szybkich promów kursujących do centrum miasta wybierają to miejsce także zamożni specjaliści.

Bracia jechali lincolnem Russella kołyszającym się na krętych i stromych uliczkach wysadzanych gęstą roślinnością.

Nieźródlna Karin wytropiła La Fleura – Earnesta, bo tak nieszablonowo pisało się jego imię – i znalazła jego adres, ale, co ciekawe, w należącej do grupy bazy danych nie było o nim prawie żadnych informacji.

Facet trzymał się zupełnie na uboczu. Nie miał telefonu, konta w mediach społecznościowych. Matka Amosa Gahla twierdziła, że La Fleur był kiedyś pracownikiem BlackBridge, ale nawet tego faktu nie sposób było zweryfikować, choć Shaw miał wszelkie powody, by w to wierzyć. Podejrzewał, że wszystkie ślady jego tożsamości zostały wymazane.

Kiedy dowiedział się tego wszystkiego o La Fleurze, przyszło mu na myśl, że ojciec wpadł na pomysł chyba najlepszego z istniejących sposobów zacierania swoich śladów – nigdy nie powierzył cyfrowemu światu ani jednego faktu na temat siebie, swojej pracy ani rodziny.

– To tutaj. – Russell wskazał głową na ślepy zaułek przed nimi.

Wąska uliczka bez chodników była okolona starymi drzewami, które oplatał gąszcz niższej roślinności. W tej części miasteczka stało niewiele domów, przed każdym znajdował się niski płot obrośnięty zielenią. Posesja La Fleura wyglądała inaczej. Otaczała ją solidna, sztucznie postarzona palisada z impregnowanego ciśnieniowo drewna, wysokości dwóch i pół metra. Wieńczył ją drut kolczasty.

Russell zaparkował i podeszli do bramy, która była zamknięta.

– Nie ma domofonu – zauważył.

Shaw ukląkł i zajrzał do środka przez wycięty w drewnie trzydziestocentymetrowy otwór na listy. Zobaczył tylko gęstwę liści.

Russell wyjął z kieszeni niewielki płaski przedmiot przypominający czarny pilnik do paznokci, obejrzał szparę między skrzydłem bramy a ogrodzeniem, po czym szybkim ruchem wcisnął zasuwę do zamka i popchnął bramę. Weszli do środka i przyjrżeli się

domowi La Fleura. Nieforemna budowla w staloszarym kolorze, architektoniczny miszmasz, stała na stromym zboczu wsparta na palach, kilkanaście metrów nad skałami w dole. Cały teren był narażony na wstrząsy o różnej sile i Shaw za żadne skarby nie chciałby tu mieszkać, bez względu na widoki z okien.

Z drugiej strony budynek miał co najmniej siedemdziesiąt lat i najwyraźniej przetrwał wiele trzęsień ziemi, być może doznając drobnych uszkodzeń, ale nie śmiertelnych obrażeń.

Bracia ruszyli w jego stronę krętą ścieżką, ze zdziwieniem patrząc na ustawione co kilka metrów wypełnione betonem beczki po ropie. Wyglądały jak tutejsza wersja barier przed ambasadami i zagranicznymi oddziałami instytucji bezpieczeństwa, takich które miały uniemożliwić zamachowcom samobójcom wjazd pod same drzwi pick-upem wyładowanym materiałami wybuchowymi.

– Hmm – mruknął Russell.

Gdy zbliżali się do ostatniej beczki, nagle Shaw przechylił głowę na bok. Russell zrobił to samo.

Obaj błyskawicznie padli na ziemię, kryjąc się za jedną z barykad.

Nie ma bardziej charakterystycznego dźwięku niż skrzypnięcie napinanego łuku domowej roboty.

Strzała świsnęła im nad głowami i utkwiała w pniu drzewa po lewej. Została wystrzelona przez postać stojącą w drzwiach domu. Nie widzieli jej wyraźnie, ale człowiek miał na sobie rodzaj nocnego kamuflażu – w różnych odcieniach granatu i czerni. Dostrzegli też ciemnobrązowe skórzane rękawiczki.

Strzała była dość prymitywna, też własnej roboty, mimo to mknęła z typową dla takiego pocisku prędkością – około sześćdziesięciu metrów na sekundę – i gładko wbiła się w eukaliptus, który nie należy do najbardziej miękkich drzew.

– To ostrzeżenie. Wynocha stąd! – W ochrypłym głosie brzmiała nuta szaleństwa.

– Panie La Fleur! – zawołał Shaw. – Chcemy tylko porozmawiać!

– Weszliście na prywatny teren!

– Nie ma pan interkomu – powiedział Russell.

– Ani telefonu! – dodał Shaw.

– A skąd to, kurwa, wiecie?

Następna strzała brzęknęła o stalową beczkę po prawej.

Bracia przyjrzeni się polu ostrzału. Shaw ocenił: pięć metrów do dolnego stopnia, potem metr w górę na wąską werandę i jeszcze jeden do drzwi.

Próbował oszacować szanse. Gdyby to była kusza, której naciągnięcie i umieszczenie bełtu w łożu wymagało wysiłku i czasu, nie byłoby problemu. Mogliby bez trudu pokonać tę odległość, zanim napastnik zdążyłby załadować broń drugi raz. Ale klasyczny łuk? Można z niego wystrzelić około ośmiu strzał na minutę, jeżeli łucznik celuje starannie.

Ale wprawny łucznik. Wszystko wskazywało na to, że La Fleur takim nie jest. Kiedy próbował założyć następną strzałę, upuścił ją na ziemię. Po chwili napiął cięciwę. Shaw

zauważył, że drżą mu ręce.

– Nic panu nie grozi! – krzyknął Russell. – Chcieliśmy tylko porozmawiać o...

Brzdęk!

Tym razem strzała trafiła w beczkę, za którą się kryli.

Coltera ogarnęła irytacja.

– Hej, przestań, człowieku! Zrobisz krzywdę komuś przypadkowemu!

– Wam zrobię krzywdę!

Bracia popatrzyli po sobie i skinęli głową.

Następna strzała świsnęła w ich stronę. Ledwie przeleciała, obaj natychmiast zerwali się na nogi i sprintem pomknęli do drzwi. Colter uderzył ramieniem w ciężkie skrzydło, które z impetem przewróciło faceta na podłogę.

La Fleur zawył, upuścił broń i uniósł ręce.

Russell wpadł do korytarza tuż za bratem, z pistoletem w ręku, na wypadek gdyby La Fleur postanowił zaatakować ich nożem albo... kto wie, pałaszem czy berdyszem.

Potyczka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła.

Pełznąąc po deskach podłogi, facet czmychnął do kąta, skulił się i krzyknął:

– Gnoje!

Miał długie siwe włosy, podobnie jak Ashton pod koniec życia, tyle że ściągał je w niedbały kucyk. Krzaczaste, zbielejące brwi. Był wychudzony. Pod kamuflażem nosił czerwoną koszulę w kwiaty, a na nogach miał sandały z farbowanymi paskami. W jego uszach kołysały się brązowe kolczyki. To był gotowy do walki hipis.

– Naziści! Faszyści! Mam swoje prawa!

– Spokojnie. – Shaw zdjął mu rękawiczki i plastikowymi opaskami skrepował mu ręce z tyłu. Zauważył, że facet od dawna nie obcinał paznokci. Były żółte.

– Nie!

– Robię to tylko dla bezpieczeństwa nas wszystkich – uspokoił go. – Nie zrobimy ci nic złego.

– Już zrobiliście. Tyłek mnie boli!

– Uspokój się. No już.

Jęki trochę przycichły i La Fleur kiwnął głową, jak gdyby bał się konsekwencji wypowiedzenia choć słowa do intruzów.

Shaw pozamykał liczne zamki w drzwiach.

– W domu jest ktoś jeszcze?

Przeczący ruch szyi i głowy.

Mimo to bracia z pistoletami w rękach ruszyli, by to sprawdzić. Choć nie widzieli się od dzieciństwa – a tym bardziej nie ćwiczyli ze sobą – natychmiast przyjęli taktykę, której uczył ich Ashton.

– Drzwi po lewej zamknięte. Łazienka po prawej – uchylone... Czysto. Przeciąg z drugiej sypialni, otwarte okno... Okratowane. Zero przeciwników. Czysto! Nie ma piwnicy. Strych

zamknięty na głucho.

Wrócili do salonu. Shaw rozejrzał się po pokoju, w którym czuć było trzy charakterystyczne zapachy: wilgotnego popiołu w kominku, trawki i oceanu. Dwa okna wychodziły na wschód, w kierunku zatoki San Francisco. Roztaczały się z nich fantastyczny widok, gdyby nie grube, metalowe rolety. Shaw znał tę markę i model. Były kuloodporne, drogie i upodobali je sobie bossowie karteli. Znał ich jakość dzięki zleceniu sprzed kilku lat. Mógł też zaświadczyć, że gdy trafią w nie kule z broni automatycznej, huk jest taki, jak gdyby eksplodowała sama lufa.

Dom wyglądał na wyposażony przez surwiwalowca. Pod ścianami piętrzyły się warstwy worków z piaskiem, sięgające połowy ich wysokości i tworzące barierę zdolną powstrzymać grad kul. W ścianie były wybite otwory strzelnicze, przez które gospodarz mógł razić horde najezdźców swoimi prymitywnymi strzałami. La Fleur miał też bogaty ekwipunek medyczny, między innymi torbę z napisem PODRĘCZNY ZESTAW CHIRURGICZNY.

Były tu także dwustulitrowe beczki z wodą pitną i setki kilogramów wojskowych racji żywnościowych, podstawa wyżywienia żołnierzy w warunkach polowych i naiwnych pseudosurwiwalowców, którzy słuchali nawiedzonych ludzi sprzedających paranoję przez radio.

Ashton Shaw uczył dzieci, że prawdziwy surwiwal wymaga nauki, jak hodować, zbierać i upolować własne pożywienie.

Jedyna różnica między tym domem na klifie a Posiadłością Shawów: La Fleur miał komputer i telewizor, podczas gdy w Posiadłości nie było żadnej elektroniki oprócz awaryjnego telefonu komórkowego. Był stale naładowany, ale wyłączony. Shaw pamiętał, że telefonu użył tylko raz, w zimny październikowy poranek, gdy poszedł na Echo Ridge szukać ojca, który nie wrócił do domu.

35

Obaj bracia pomogli La Fleurowi usiąść w wygniecionym fotelu obitym wypłowiałą zieloną tkaniną. Colter rozciął plastikowe opaski na jego przegubach. Siwowłosy gospodarz próbował zmienić taktykę – udawał skruszonego.

– To wszystko pomyłka. Fakt, strzelałem do was, ale wziąłem was za złodziei. Naprawdę. Mieliliśmy serię włamań w okolicy. Mam wycinki z gazet. Chcecie zobaczyć? Gdybym wiedział, że nie jesteście złodziejami, w życiu bym do was nie strzelał. Nie róbcie mi nic złego!

Russell zmarszczył brwi.

– Złodzieje? Hmm.

– Za kogo nas naprawdę wziąłeś? – spytał Shaw.

– Za ludzi z BlackBridge? – dorzucił starszy z braci.

Mężczyzna znieruchomiał, a potem spuścił wzrok. Wydawało się, jak gdyby sama nazwa firmy podziałała na niego paraliżująco. Ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Nie jesteśmy od nich – uspokoił go Colter.

Russell stuknął palcem w rękojeść swojego sig sauera.

– Gdybyśmy byli z BlackBridge, już byś nie żył. Zgadza się?

La Fleur rozmasował nadgarstki. Sięgnął do stojącego przy stole krzesła po fajkę wodną i zapalniczkę.

– Nie – powstrzymał go Russell.

– Poczęstujecie się? – Wyciągnął w ich stronę poplamione szklane bongo, oni jednak zignorowali propozycję. Odłożył fajkę.

– Powiedziała nam o tobie matka Amosa Gahla.

Twarz mu złagodniała.

– Eleanor! Co u niej?

– W porządku.

– A jak jej mąż? Mort?

– Chyba też dobrze – odparł Shaw. – Nie było go w domu. Earnest, potrzebujemy twojej pomocy. Amos znalazł jakieś dowody przeciwko BlackBridge. Przypuszczamy, że chodzi o Plan Reformy Urbanistycznej. Wiesz coś o tym?

Mężczyzna zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nadal miał w oczach nieufność.

– Kim jesteście?

– Naszego ojca zabili Irena Braxton i Ebbitt Droon – odparł Shaw. – I Ian Helms.

– Waszego ojca?

– Ashtona Shawa. Znałeś go?

– Nazwiska nie pamiętam, ale był ktoś... z obłądem w oczach, przypominał kowboja.

Russell pokazał zdjęcie.

– To on. Zatrzymał mnie kiedyś przed domem, w którym dawniej mieszkałem. Powiedział, że jest profesorem i jeden z jego studentów został zamordowany przez BlackBridge.

– Todd Zaleski, członek rady miasta.

La Fleur przymrużył oczy.

– Zgadza się, tak! Podobno to był napad rabunkowy, ale wasz ojciec w to nie wierzył. Tak jak wy, szukał czegoś, co Ame wyniósł z firmy. Powiedziałem, że nie umiem mu pomóc. Dał mi spokój i już nigdy się do mnie nie odezwał.

– Byliście blisko z Amosem. Tak twierdzi jego matka.

Skinął głową i zacisnął spękane usta.

– Pomożesz nam? Chodzi nam o to, co Amos znalazł w torbie kurierskiej. I ukrył gdzieś w okolicach San Francisco.

La Fleur znowu wbił wzrok w podłogę i mruknął:

– Nic nie wiem. Jak Boga kocham.

W swojej pracy łowcy nagród Shaw dość często wykorzystywał analizę kinezyczną – zwracał uwagę na mowę ciała, by wykryć kłamstwo. Elementem tej sztuki była między innymi umiejętność czytania sygnałów werbalnych. Każdy, kto kończy zdanie zapewnieniem, że mówi prawdę, przypuszczalnie kłamie, a powołanie się na istotę boską rzucało na niego podwójne podejrzenie.

Shaw patrzył na La Fleura, dopóki tamten nie szepnął:

– BlackBridge to szatani – cała firma. Wszyscy. Nie tylko Helms i Braxton. Zło jest w budynkach, w ścianach... Są potwornie groźni. Jak myślicie, dlaczego tak mieszkam?

– Nie chcesz, żeby Helms trafił do pułda za to, co zrobili twojemu przyjacielowi? – spytał Colter.

La Fleur odwrócił wzrok.

Shaw poczuł bezsilność. Zdawał sobie sprawę, że facet coś wie.

– Jutro Droon i Braxton chcą zabić jakąś rodzinę – powiedział.

Przez twarz La Fleura przemknął cień niepokoju.

– Dlaczego?

– Nie wiemy – odparł Russell.

– Znajdziemy dowody ukryte przez Amosa i pójdziemy z nimi do FBI. Aresztujmy Iana Helmsa, Braxton i Droona. Nie dopuścimy do tego zabójstwa. Pomóż nam uratować tych ludzi.

Russell drgnął zniecierpliwiony. Shaw dzięki swoim doświadczeniom zawodowym udoskonalił umiejętności przesłuchiwania. Choć potrafił być stanowczy, to zwykle wolał zyskiwać przewagę nad rozmówcą, sięgając po logikę, empatię i żart. Przypuszczał, że brat ma w tej kwestii nieco inne podejście.

– Kilka razy spotykałeś się z Amosem w domu Eleanor – nie ustępował Shaw. – A spotykaliście się właśnie tam, bo od lat nie nazywała się już Gahl. Drugi raz wyszła za mąż i zmieniła nazwisko, dlatego Braxton i Droon nie mogli o niej wiedzieć.

Przyglądał się cierpliwie La Fleurowi, który doszedł do wniosku, że odpowiedź na to pytanie raczej go nie pogrąży.

– Zgadza się.

– Co Amos ci mówił, kiedy ostatnim razem spotkaliście się u jego matki?

Earnest kręcił się nerwowo i bawił się fajką wodną.

– Nic. Naprawdę! Po prostu gadaliśmy. O jednej części Maryni. – Mina krętacza ustąpiła miejsca uśmiechowi. – Moja babcia tak mówiła. Kiedy byłem mały, nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, ale...

– Co powiedział ci Amos? – warknął Russell.

Shaw cierpliwym, choć stanowczym głosem powiedział:

– Zamierzają zamordować całą rodzinę. Znaleźliśmy taką notatkę, zlecenie zabójstwa. Nie było w nim mowy o „obiekcie” ani o „parze”. Mężu i żonie. Napisano tam „rodzina”. Czyli łącznie z dziećmi. Nie mamy pojęcia, kim są, a zostały tylko dwadzieścia cztery godziny, żeby ich znaleźć i uratować.

Russell nie powiedział nic więcej. Utkwił w mężczyźnie ponure, groźne spojrzenie.

Dobry glina i zły glina.

– Dowody – ciągnął Shaw. – Amos chciał je ukryć. Wydaje mi się, że wiesz gdzie.

La Fleur energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie! Nie rozmawialiśmy o niczym takim. Rozmawialiśmy o roślinach, nawozach.

– O północy?

– Skąd wiecie, że spotkaliśmy się o tej godzinie? – W jego oczach pojawił się popłoch.

Shaw nie wiedział, ale taki był logiczny wniosek.

– Jestem ogrodnikiem. Popatrzcie za okno! – Parsknął sztucznym śmiechem. – Nawet mam odpowiednie nazwisko. Po francusku „kwiat”. Amos też interesował się uprawą roślin. Gadaliśmy sobie przy winie o ogrodnictwie. – Ponownie pogrążył się w smutku.

Russell zerknął na młodszego brata, który przekazał mu pałeczkę i zamilkł, oddając mu prowadzenie dalszej części przesłuchania.

Kiedy nachylił się bliżej, La Fleur wzdrygnął się i zaczął na przemian zaciskać dłonie w pięści i rozprostowywać palce. Bez końca.

– Wyślę anonimową wiadomość do BlackBridge, do wiadomości Braxton i Droona. Będzie się składać tylko z dwóch elementów. Pierwszy to twoje imię i nazwisko. Drugi – twój

adres?

– Co?! – wyszeptał ze zgrozą La Fleur.

– Kiedy się u ciebie zjawia z karabinkami szturmowymi M4, twoje strzały tylko ich wkurzą.

Zły glina właśnie stał się jeszcze gorszy.

Hipis zgarbił się i westchnął.

– Pewnie i tak mam przechlapane. Namierzyli was przez komórki.

– Mamy zabezpieczone telefony na kartę z szyfrowanymi połączeniami – odparł Shaw, ale on najwyraźniej nie był skłonny im wierzyć.

– Tak? Jakiego algorytmu używacie?

– AES, Twofish i Scorpion.

Zerkając na niego z ukosa, Russell rzekł:

– U mnie te same. – Ciekawe, że bracia niezależnie od siebie wybrali ten sam pakiet algorytmów.

– Pokażcie – warknął La Fleur.

Russell podał mu telefon. Facet chwycił go i obejrzał, a potem z niewiadomego powodu potrząsnął aparatem, jak gdyby chciał sprawdzić, jakie dane z niego wypadną. Jeszcze raz przyjrzał się ekranowi i oddał telefon. Chyba odrobinę się uspokoił i nie zamierzał już przeprowadzać inspekcji urządzenia Shawa.

Jego rozbiegane oczy zatrzymały się na podłodze z sękatych desek sosnowych. Wstał i podszedł do zasłoniętego roletami okna. Uchylił jedną na parę centymetrów i zrobił unik, jakby chciał umknąć przed celownikiem snajpera. Po chwili ostrożnie unióś głowę i skulony wyjrzał na zewnątrz.

Upewniwszy się, że za oknem nie ma żadnych urządzeń obserwacyjnych ani wycelowanych w niego karabinów, opuścił i zamknął roletę. Podeszedł do przeciwległego rogu pokoju, włączył gramofon i włożywszy lateksowe rękawiczki, wyjął z koperty staroświecki longplay. Ostrożnie nałożył czarny krążek na talerz i z ogromną delikatnością opuścił igłę do rowka pierwszego utworu.

Salon wypełniła głośna muzyka rockowa. Było w niej słychać tylko jazgoczącą gitarę i łomot perkusji.

La Fleur zdjął rękawiczki i odłożył do pudełka. Przyjrzał się intruzom.

– Wy dwaj naprawdę nie macie pojęcia, o co tu chodzi.

I rzucając zaczepne spojrzenie Russellowi, złapał wodną fajkę, zapalił i głęboko się zaciągnął.

36

Wstęgi dymu uniosły się leniwie i rozwiały się pod sufitem.

Shawowi, choć nigdy nie interesowało go rekreacyjne używanie narkotyków, spodobał się intensywny aromat trawki. Zaczekał, aż La Fleur wydmucha dym i rozsiądzie się wygodnie na fotelu. Gospodarz przechylił głowę jak wiewiórka taksująca wzrokiem drzewo. Odłożył niebieskie bongo.

– To prawda, Amos coś znalazł i ukrył. Ale to nie miało nic wspólnego z Planem Reformy Urbanistycznej. Nie mam pojęcia, dlaczego w kółko o tym gadacie. Wasz ojciec się mylił: nie ma żadnych dowodów przeciwko firmie. Gdyby były, Ame na pewno by je znalazł. Szukał cierpliwie, ale Helms i jego ludzie są zbyt inteligentni, żeby zostawić po sobie coś, co by ich mogło obciążać. Używali łańcuchów pośredników, kodowania, anonimowych serwerów, lipnych firm, szyfrów. CIA powinno się uczyć od BlackBridge.

– Konkretnie – przerwał mu Russell. – Bez melodramatów.

La Fleur posłał mu spojrzenie, jednocześnie urażone i buńczuczne.

– Mój biedny Ame... Wplątał się w coś, co go przerosło, prawda? Postanowił przerwać program PRU. Helms miał coś, na czym bardzo zależało jego głównemu klientowi. Nadano temu kryptonim „Przełomowa Sankcja”. Znaleźli to w Embarcadero – Braxton i któryś z tych drani, może Droon. Facet wygląda jak szczur, prawda?

– W Magazynie Hayward Brothers? – odezwał się Shaw.

– Nie wiem. W każdym razie znaleźli i to było jak... jak pierścień władzy. Ten klient zawsze chciał to zdobyć, płacił miliony zaliczek za poszukiwania. – Zachichotał. – I nie zgadniecie, co zrobił Ame. Usłyszał, jak Helms mówi, że to najważniejsza rzecz na świecie, sens wszystkiego, i kiedy szefa nie było w biurze, nasz Ame po prostu wparował do środka i to rąbnął! Wrzucił do swojej torby kurierskiej i jak gdyby nigdy nic wyszedł z budynku, życząc strażnikom dobrej nocy.

– Dlaczego?

– Chciał to wykorzystać, zaszachować firmę, żeby przerwała program PRU. A może przypuszczał, że kiedy to skradnie, to klient wywali Helmsa i BlackBridge wypadnie z gry. Nie sądzę, żeby miał konkretny plan. Po prostu nie chciał już dłużej pracować u takich podłych ludzi.

– Co to była za rzecz?

– Nie zdążył mi powiedzieć. – La Fleur zniżył głos. – Wykradł to około piątej po południu. Ukrył godzinę później. O dziesiątej wieczorem tego samego dnia zadzwonił do mnie. Nigdy nie słyszałem w jego głosie takiej paniki. Powiedział, że szukał informacji na temat tej Sankcji i że trzeba ją zniszczyć. Że to straszliwa rzecz. Nigdy nie powinna trafić do rąk tego klienta, nikogo. Sam zamierzał ją zniszczyć, ale nie mógł wrócić tam, gdzie ją ukrył. Wiedział, że agenci BlackBridge go szukają. Gdyby coś mu się stało, miałem ją znaleźć i się jej pozbyć.

Shaw spojrział na brata, który zmarszczył brwi. Cóż to takiego mogło być?

– I zginął podczas tortur, gdy chcieli z niego wyciągnąć, gdzie ją ukrył? – domyślił się Shaw.

– Na pewno.

Zaczął się następny utwór, jeszcze głośniejszy. Musieli podejść bliżej siebie, żeby się nawzajem słyszeć.

– Gdzie on to ukrył? – zapytał Russell.

– Bał się powiedzieć przez telefon, więc dał mi dwie wskazówki. Jedna brzmiała „psi park”. Miał na myśli Quigley Square. Mieszkała tam nasza przyjaciółka i kiedy wyjeżdżała, wyprowadzaliśmy jej psa na spacer.

Shaw znał to miejsce – dzielnica przechodziła właśnie proces rewitalizacji.

– Druga wskazówka: „Jest schowane pod ziemią tam, gdzie możesz mieć nadzieję”.

Świetnie, pomyślał Shaw. Następne podchody.

La Fleur znowu zaciągnął się dymem.

– Potem dobiegł mnie krzyk. I hałas, jakby upuścił telefon. A później odgłosy przepychanki. – Milczał przez chwilę. – Wtedy jego głos słyszałem po raz ostatni.

– Domyślasz się, o co mu chodziło?

– Nie.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby pojechać na Quigley Square i spełnić jego prośbę? – spytał Russell. – Zniszczyć to?

La Fleur wbił w sfatygowaną podłogę oczy, w których zalśniły łzy.

– Przyszło, ale nie zrobiłem tego. Jestem tchórzem! Helms, Irena i Droon... nie wiedzieli, że jeszcze istnieję. Zatarłem wszystkie ślady po sobie. Myślałem o tym, żeby to znaleźć, zrobić to, czego chciał Amos, ale ostatecznie dałem ciała. Oni tyle mogą, są tacy niebezpieczni... Mają po swojej stronie całą policję i CIA! – W jego oczach błysnęło szaleństwo, jakie czasem widzieli u ojca. – Nie macie pojęcia... Poza tym zginął, zanim zdążył im powiedzieć, więc jeżeli to jest ukryte, to niech tak zostanie. Na zawsze. Przecież to tak, jakby zostało zniszczone.

– Tyle że wciąż tego szukają – zauważył Shaw. – I musimy to znaleźć pierwsi.

– Żeby uratować tę rodzinę – dokończył głuchym głosem La Fleur.

– Zgadza się. – Russell otworzył w telefonie mapę San Francisco i powiększył Quigley Square. Park okalały dziesiątki budynków. Prawdopodobnie wszystkie miały jakąś część

podziemną – piwnice, jakieś korytarze.

– Może ukrył to w domu tej przyjaciółki, która ma psa? – zasugerował Shaw.

– Amos nigdy nie naraziłby nikogo na niebezpieczeństwo. Zresztą i tak wyprowadziła się lata temu.

– Kanały ściekowe? – zastanawiał się głośno Shaw. – Tunele metra?

– Nie ma tam stacji kolejki BART – zauważył Russell. – Gdzie można mieć nadzieję to znaleźć, skoro nie wiemy nawet, co to jest? – mruknął.

– Może włożył to do książki i schował w piwnicy biblioteki albo w księgarni – podsunął Shaw. – A jeżeli to płyta CD albo taśma, to ukrył ją w suterenie sklepu muzycznego. Dysk komputerowy mógłby schować w piwnicy jakiejś szkoły, gdzie jest pracownia informatyczna. – Pokręcił głową. – Nie możemy rzucać pomysłami. *Nigdy nie spekuluj.*

– *Podejmuj decyzje na podstawie faktów* – dokończył zasadę ojca Russell.

– Kim jest klient, któremu tak zależało na Sankcji? – zapytał Shaw.

– To firma Banyan Tree – odparł La Fleur. – Wielki, międzynarodowy konglomerat. Działa w różnych dziedzinach: ochrona zdrowia, sprzęt medyczny, transport, łączność, ekologia, nieruchomości...

– Nieruchomości – podchwycił Shaw. – PRU.

Russell skinął głową.

Shaw spytał, gdzie Banyan ma siedzibę.

– Tu, w mieście. W którymś wieżowcu w centrum.

– Sutter Street czterysta?

– Możliwe. Chyba tak.

– Ten adres podał lokalizator, który podrzuciłem Braxton – wyjaśnił bratu. Coś mu przyszło do głowy. – Kto stoi na czele Banyan Tree?

– Jonathan Stuart Devereux.

Russell wyjął telefon i pokazał zdjęcie okrągłego, łysiejącego mężczyzny o niespokojnych rękach, właściciela luksusowego brytyjskiego samochodu, zrobione w Tenderloin, gdzie doszło do przekazania narkotyków.

La Fleur przyjrzał się ekranowi.

– Aha, to Devereux. Co za sukinsyn. Bezwzględny gość. Właśnie doprowadził do bankructwa konkurencję. Szpiedzy Devereux – pewnie BlackBridge – dowiedzieli się, że firma narusza jakieś przepisy, i donieśli federalnym. To ich załamało. Prezes popełnił samobójstwo.

La Fleur ze złością wydmuchał kłęb dymu.

– Wiecie, co znaczy „banyan tree”?

– Banian, figowiec bengalski – odrzekł Shaw. – Dusi każde drzewo, które chce mu zabrać trochę światła.

La Fleur skinął głową.

– I ma największą łączną długość korzeni ze wszystkich drzew na świecie. Macie jakieś wątpliwości, dlaczego Devereux wybrał taką nazwę dla swojej firmy?

– Przełomowa Sankcja... – powiedział Russell. – Ciekawe, w jakim sensie.

Słowo „sankcja” ma sprzeczne znaczenia: może oznaczać zezwolenie, na przykład nadanie mocy prawnej jakiemuś aktowi, albo karę, czyli konsekwencje, jakie musi ponieść osoba naruszająca przepisy.

– Może w żadnym sensie – powiedział La Fleur. – BlackBridge często używa kryptonimów. – Zamyślił się. Pociągnął się za kucyk, po czym znowu wziął bongo i zapalniczkę.

Shaw chciał już jechać na Quigley Square i jak najszybciej zacząć poszukiwania. Wstał. Russell też się podniósł.

La Fleur zaciągnął się głęboko i otworzył usta, by dym swobodnie wypłynął na zewnątrz. Następnie wstał, wyłączył muzykę i razem z gośćmi podszedł do drzwi. Zaczął otwierać zestaw zamków i zasuw.

– Dałem Amosowi radę. Banalną, ale prawdziwą. Kiedy celujesz do cesarza, lepiej nie spudłuj. A on wycelował i spudłował. Chyba to samo spotkało waszego ojca. A wy dwaj? Możecie jeszcze żyć.

Uchylił drzwi, wyjrzał na zewnątrz, po czym otworzył je na oścież.

Russell zmierzył go surowym spojrzeniem.

– La Fleur, ja też dam ci radę. – Na widok wściekłości w jego oczach gospodarz cofnął się z niepokojem.

– Po pierwsze, nigdy nie funduj przeciwnikowi osłony. – Wskazał głową beczki rozstawione wzdłuż ścieżki prowadzącej na ulicę. – Wyrzuć je albo przenieś gdzie indziej. Po drugie, kiedy budujesz broń, nigdy nie używaj kiepskich materiałów. Zrób sobie nowy łuk. Do łączyska użyj drewna z robinii, cytrynowca albo cisu. Powinno być o ćwierć metra dłuższe. I zmień lotki strzał na krótkie pióra. Przy takim krótkim polu ostrzału nie potrzebujesz celności. Potrzebujesz szybkości. No i zamów linkę spadochronową na cięciwę. Zapamiętałeś?

– Tak – wyszeptał La Fleur. – Zaraz się do tego zabiorę.

37

Przełomowa Sankcja. Jak myślisz, co to może być? – Russell prowadził SUV-a przez ulice San Francisco przypominające kolejkę górską. Jechali w stronę Quigley Square.

Shaw bez słowa pokręcił głową. Odebrał mail od Mack McKenzie. Wcześniej poprosił ją o informacje na temat Devereux i firmy Banyan Tree. Przeczytał wiadomość bratu:

– „Jonathan Stuart Devereux. Majątek szacowany na 1,4 miliarda dolarów. Dyrektor generalny i główny udziałowiec Banyan Tree Inc. BT to holding. W świecie biznesu Devereux jest nazywany królem spółek zależnych, które prowadzą wszystkie interesy jego firmy. Taka organizacja chroni Banyan Tree i Devereux przed odpowiedzialnością. Jakiś dziennikarz powiedział: »Nikt lepiej niż Jonathan Devereux nie potrafi się ukryć za korporacyjną tarczą«”.

Shaw spojrzał na brata.

– Mack podaje nam listę wszystkich branż, w których działa Devereux. La Fleur je wymienił, ale są jeszcze inne: zbieranie danych, przetwarzanie informacji, media.

Wrócił do maila.

– „Ostatnio było głośno o pewnych incydentach: spółkę z Wielkiej Brytanii, Southampton Analytics, wziął pod lupę MI5, wydział śledczy do spraw przestępczości krajowej, z powodu włamań do sieci komputerowych i ingerencji w wyborach w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech i w Stanach. Jednym z członków zarządu jest Rosjanin, były oficer wywiadu wojskowego. Nie znaleziono dowodów na bezpośredni udział Banyan Tree. Ani Devereux.

Drugie zdarzenie: policja w Nowym Delhi aresztowała dyrektorów wielkiego call center, po tym jak dwudziestu czterech pracowników zginęło w pożarze. Postawiono im zarzut niewywiązania się z obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa na stanowiskach pracy. Firma należała do sieci spółek wydmuszek założonych przez Banyan Tree. I tym razem Devereux i firma nie byli w to zamieszani.

Naliczyłam co najmniej sześć podobnych incydentów. Daj znać, jeżeli będziesz potrzebował szczegółów.

O Banyan Tree mówiło się w Kalifornii. Według »Pacific Business Review« w ciągu kilku ostatnich lat przejęli sto czterdzieści siedem małych firm w całym stanie. Devereux wyrzucił wszystkich pracowników, ale zachował spółki jako wydmuszki. W dokumentach zadeklarował, że celem ich działalności jest, cytując: »angażowanie się w różne usługi użyteczności publicznej«”.

„Król spółek zależnych...”

– Mack ma też coś na temat życia osobistego Devereux: „Urodził się w Anglii, teraz jest obywatelem amerykańskim. Ma pięćdziesiąt jeden lat. Żonaty. Żona ma pięćdziesiąt sześć lat”. Mam wrażenie, że to nie ona była tą kobietą w minispódnicy, która siedziała w rollsie na tym placu w Tenderloin.

– Hmm.

Shaw streścił pozostałe szczegóły: Devereux ma dwóch nastoletnich synów. Jest właścicielem domów w San Francisco, Los Angeles, Miami Beach, Londynie, Nicei i Singapurze. Określa się go jako człowieka zawziętego, obsesyjnie upartego i wyjątkowo aktywnego.

Przypomniał sobie jego ręce, które bez przerwy były w ruchu, gdy obserwowali go w miejscu przekazania narkotyków.

– Ma coś o związkach BlackBridge? – spytał Russell.

– Nie.

Shaw czytał dalej:

– „Genealogowie to kwestionują, ale Devereux twierdzi, że jest potomkiem Roberta Devereux, drugiego hrabiego Essex, który żył w latach panowania Elżbiety I w szesnastym wieku. Był jej faworytem. A potem wzniecił bunt przeciwko tronowi”.

– Przypuszczam, że to nie był najlepszy pomysł.

– Został ścięty w Tower of London. Kat nie popisał się profesjonalizmem. Udało mu się wykonać zadanie dopiero za trzecim razem.

Pod ziemią, gdzie możesz mieć nadzieję”.

Niezwykłe wyczerpująca wskazówka.

– Myśl – poradził Russell. Z roztargnieniem gładził brodę.

Bracia rozejrzeli się po skromnym Quigley Square z ładnym parkiem pośrodku – w połowie składał się z betonowych ścieżek z ławkami, a w połowie z przystrzyżonych trawników, krzewów i drzew. Otaczające go ulice przypominały San Francisco z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sklepy z akcesoriami do zażywania miękkich narkotyków, z płytami winylowymi, pamiątkowymi koszulkami farbowanymi techniką tie-dye i nakręcanymi tramwajami linowymi. Można tu było nawet kupić kasety z klasycznymi filmami dla dorosłych z tamtej epoki, nakręconymi na taśmie trzydzieści pięć milimetrów.

Shaw spojrzał na ekran telefonu.

– Lokalizator padł.

– Ten w książce?

Skinął głową.

– Miał małą baterię, żeby zmieścić się w grzbiecie. I tak wytrzymała dłużej, niż przypuszczałem. Albo go znaleźli.

– Czyli zero namiarów na przeciwnika – stwierdził Russell. – Trzeba to wziąć pod uwagę.

Shaw schował telefon i skupił uwagę na okolicy.

Starając się domyślić znaczenia wskazówki Amosa Gahla – „pod ziemią, gdzie możesz mieć nadzieję” – bracia przyglądali się sklepikom z pamiątkami, a także staremu szpitalowi z czerwonej cegły, klasycznemu barowi, latynoskim sklepom spożywczym, restauracji sushi, rozsypującym się budynkom przemysłowym, warsztatom samochodowym.

– Gdzie można mieć nadzieję znaleźć coś ukrytego?

– I pod ziemią. – Shaw pokazał niewielką siedzibę banku regionalnego. – Skrytka bankowa? Skarbiec na dole?

– Musiałbyś mieć klucz i dokument.

Gdy przeszli kawałek ulicą, zobaczyli jakiś magazyn. Budynek był ogromny, a zaglądając przez zakratowane okna i drzwi, zobaczyli sprzęt budowlany. Gdyby Amos Gahl ukrył Przełomową Sankcję w piwnicy, jej odnalezienie trwałoby wieki.

Poza tym dlaczego mieliby mieć nadzieję, że została ukryta właśnie tutaj?

– Pod ziemią – powtórzył z roztargnieniem Shaw, patrząc na napis na betonie u swoich stóp.

ZAKAZ WRZUCANIA ŚMIECI UJŚCIE DO ZATOKI

Słowa namalowano przy kratce kanału burzowego. Były ich tu dziesiątki, ale po tylu latach nic nie mogło tam przetrwać. Często słyszało się o suszach w Kalifornii, a on dobrze pamiętał lekcje ojca o destylowaniu słonej wody, żeby nadawała się do picia, ale zimą na miasto spadają miliardy litrów wody. Wszystko w kanałach już wiele lat temu musiałyby się rozpaść i spłynąć do zatoki. A w ogóle jak można się dostać do kanału burzowego?

– Gdzie możesz mieć nadzieję...

Bracia obeszli wszystkie strony placu. Wszędzie widzieli bezdomnych – tu zawsze spotykało się ich całą masę. Shaw wcale im się nie dziwił, że ściągali do San Francisco. Po co ktoś miałby mieszkać na ulicy w Minnesocie czy Anchorage? Lepiej było przyjechać do miasta, gdzie panował cieplejszy klimat i spotykało się zamożnych menedżerów gotowych wrzucić monetę czy banknot do leżącej na chodniku odwróconej bejsbolówki.

Zauważył, że żaden z mieszkańców ulicy nie wygląda na naćpanego, w odróżnieniu od ludzi, których rano widzieli w Tenderloin. Widocznie BlackBridge nie zaczął jeszcze realizować Planu Reformy Urbanistycznej na Quigley Square. Przynajmniej na razie. Ale można było dostrzec pierwsze jaskółki: dwa skrzyżowania dalej błyszczał szereg oszklonych wieżowców. Może jakiś deweloper stał na niebotycznym dachu, spoglądał na Quigley Square i myślał: to mój następny cel. Niech Bahala Na bierze się do roboty.

Rozglądali się dalej.

Nagle Shaw znieruchomiał i uniósł wzrok.

Nie, niemożliwe.

Zerknął w prawo. Nie zdziwił się, że Russell patrzy dokładnie na to samo co on.

– Myślisz? – spytał brat.

„Gdzie możesz mieć nadzieję...”

Patrzyli na szpital.

CENTRUM GINEKOLOGICZNO-POŁOŻNICZE BETH ISRAEL

Z pewnością o sporej części pacjentek w tym budynku można było powiedzieć, że są przy nadziei...

– Hmm. – Russell znowu prawie się uśmiechnął. Kiedy ruszyli w stronę wysokiego budynku, wyjął telefon i wysłał SMS-a.

W recepcji w holu wysunął się przed brata i powiedział:

– Przyszliśmy odwiedzić pacjentkę. Abigail Hanson. Miała cesarkę.

Sprawdzono dane na ekranie komputera.

– Sala siedem cztery dwa – poinformowała ich recepcjonistka.

– Dzięki – rzucił Shaw.

A więc tego dotyczyła wysłana wiadomość. W drodze do windy Colter spytał:

– Karin?

– Mhm.

Była niezła.

W piwnicy spodziewał się zobaczyć zamknięte na klucz drzwi albo okratowane bramki. Ale się mylił. W podziemiu urządzono dostępny dla wszystkich magazyn. Okazało się jednak, że jest problem ze światłem. Działały tylko dwie z dwudziestu żarówek. Shaw nie wziął ze sobą latarki. Po bezskutecznych poszukiwaniach wyłączników Russell przechylił głowę, spojrzął w górę, a potem ujął palcami jedną z ciemnych kul i przekręcił. Rozjarzyła się blaskiem. Prawdopodobnie polecono personelowi technicznemu wykręcić część żarówek, aby obniżyć koszty utrzymania.

Bracia powtórzyli tę czynność kilkanaście razy i po chwili pomieszczenie załało mocne światło.

Shaw stwierdził, że niewielkie rozmiary magazynu wcale nie ułatwiają im zadania. Piwnica była zastawiona szafkami, kartonami, drewnianymi skrzynkami, paczkami z jakimiś przestarzalami narzędziami medycznymi. Z rozbawieniem zauważył też takie same czterystulitrowe beczki z wodą z zapasów obrony cywilnej, jakie widzieli w azylu La Fleura. Regały były szczelnie wypełnione książkami, dokumentami oraz nieco upiorną kolekcją organów i tkanek zatopionych w słoikach z formaliną. Szczególną popularnością cieszyły się serca i nerki.

Bracia zamarli w bezruchu. Gdzieś niedaleko rozległ się odgłos kroków. I skrzypienie, jak gdyby kółek wózka do sprzątaniny, które należałoby naoliwić. Dźwięki ucichły.

A oni wrócili do poszukiwań.

Gdzie Amos Gahl mógłby ukryć swoją torbę kurierską?

Russell zaczął od szafek z dokumentami – bez trudu otwierał proste zamki – Shaw natomiast cofnął się pod ścianę i rozejrzał się po całym pomieszczeniu.

Sztuka odnalezienia przedmiotu, który schowano w widocznym miejscu, polega na tym, żeby szukać jakiegoś nietypowego szczegółu. Jak w łamigłówkach w czasopiśmie, które czytał z rodzeństwem w dzieciństwie: wyteż wzrok i znajdź różnicę między dwoma rysunkami. Co było nie tak z tym obrazkiem?

Co nie pasowało do tej sali z dawnymi narzędziami, zimnymi, napęczniałymi od płynu organami, zakurzonymi i wyblakłymi opracowaniami naukowymi na temat procedur medycznych, które najprawdopodobniej zestarzały się rok po publikacji?

Powoli obrócił się wokół własnej osi.

Co jest nie tak z tym obrazkiem?

Nagle znieruchomiał.

– Russell.

Brat spojrział na niego, a potem na to, co Shaw wskazywał.

Wysoko na solidnym szarym regale, zapchanym dziesiątkami medycznych rozpraw naukowych, w oczy rzucał się jeden przedmiot. Wyglądał jak grzbiet książki, lecz był szerszy i wyższy od pozostałych. Na brązowej skórze nie było jednak żadnego tytułu, nazwiska autora czy jakiegokolwiek innej informacji.

Russell, który był wyższy, zdjął przedmiot z półki.

Czyżby natrafili na poszukiwany skarb?

Okazało się, że to duża, otwierana od góry aktówka.

– Torba kurierska? – spytał Shaw.

– Hmm.

Zaczął ją otwierać, ale brat dotknął jego ramienia.

– Nie. – Znowu usłyszeli skrzypienie wózka. – Nie tutaj.

39

Zaraz po wyjściu ze szpitala bracia skierowali się do pobliskiej knajpki, Quigley Square Diner. Chwilę później siedzieli naprzeciwko siebie w boksie. Zamówili kanapki, których żaden z nich nie miał ochoty jeść – potraktowali je jako czynsz za wynajęcie boksu.

W pustej części sali w głębi baru Russell sprawdził aktówkę ręcznym wykrywaczem materiałów wybuchowych.

Nigdy nie zakładaj, że przedmiot, który był w posiadaniu twojego przeciwnika, jest nieszkodliwy.

Substancji niestabilnych nie było.

Następnie sprawdził, czy w torbie nie kryją się żadne nadajniki. W tym wypadku też wynik kontroli był negatywny.

W ciągu pięciu sekund poradził sobie z zamkiem górnej klapy i ją otworzył.

Wewnątrz przytwierdzona była zalaminowana plakietka.

Własność BlackBridge Corporate Solutions.

Pod spodem wydrukowano numer telefonu oraz prośbę do znalazcy o zwrot przedmiotu.

Bracia wymienili spojrzenia.

I zaczęli wydobywać zawartość.

Górne warstwy stanowiły złożone numery „San Francisco Chronicles”, „People” i „Timesa” sprzed wielu lat.

Dalej, jak na stanowiskach archeologicznych, które z taką wprawą badała Margot Keller, im głębiej sięgali, tym ciekawsze stawały się znaleziska.

Pod niewinnymi czasopismami tkwiły setki dokumentów, zarówno kserokopii, jak i oryginałów. Większość dotyczyła spraw biznesowych i finansów: sprawozdania, zestawienia bilansowe, umowy sprzedaży towarów i usług, mapy, potwierdzenia wykonanych przelewów, plany nieruchomości, harmonogramy transportów, dane o należnościach oraz różne umowy.

Znaleźli szereg projektów ustaw przedkładanych jakiejś legislaturze. Shaw przypuszczał, że Gahl, historyk, odkrył je jako analityk BlackBridge. Prawdopodobnie przygotowano je dla jakiegoś klienta z kręgów rządowych, który – jak wywnioskowali z lektury papierów – opowiadał się za likwidacją regulacji prawnych obejmujących ochronę środowiska, produkcję przemysłową i bankowość. Shaw przeczytał projekt redefinicji „uzasadnionej przyczyny” w prawie karnym, która miałyby znacznie ułatwić policji uzyskiwanie nakazów

sądowych i zatrzymywanie podejrzanych. W innym proponowano zniesienie przepisów, które wymagały uzyskania pozwolenia na inwigilację. Autorytarny charakter tych dokumentów mógł budzić niepokój.

Dalej penetrowali zawartość aktówki, przeglądając pobieżnie każdy papier: znowu jakieś zestawienia, stare dokumenty, z których jeden miał ponad sto lat.

Wreszcie Shaw dotarł do dna torby kurierskiej.

Nigdzie nie znaleźli żadnej wzmianki o Przełomowej Sankcji.

Zauważył jednak wyrzuczenie wewnątrz aktówki – była tu chyba ukryta przegródka, zapięta na rzep. Zerknął na brata, który skinął głową.

Colter szarpnął klapkę, odkleił głośno rzep i zajrzał do środka.

Bingo...

Wyjął staroświecki magnetofon kasetowy. Wewnątrz tkwiła taśma tego rodzaju, jakie odtwarzało się w walkmanach i podobnych urządzeniach z lat osiemdziesiątych. W środku na szczęście nie było baterii. Po tylu latach mogłyby skorodować, a wyciek chemikaliów uszkodziłby taśmę.

Russell zostawił Coltera przy stole i wyszedł do sklepiku naprzeciwko. Wrócił z opakowaniem baterii AA. Shaw włożył je do magnetofonu i zerkając na brata, uruchomił przewijanie do tyłu. Urządzenie działało.

No więc nadeszła ta chwila.

Co było na taśmie? Sama Przełomowa Sankcja? Nagranie tajnego spotkania na jej temat? Zawartość taśmy mogła nadać inny kontekst dokumentom z torby, przynieść odpowiedzi, wszystko ze sobą powiązać.

„Straszliwa rzecz...”

Gdy taśma przewinęła się na sam początek i zwolnił się przycisk, Russell po krótkim wahaniu wcisnął ODTWÓRZ.

40

Nagle gruchnęła muzyka rockowa. Głośna, brzęcząca metalicznie w małym głośniku.

Kilku klientów spojrzło w ich stronę.

Russell ściszył magnetofon.

– Black Eyed Peas – powiedział.

– Tak się nazywa zespół?

Skinął głową.

Przewinął do przodu.

– Beyoncé.

Znowu do przodu.

– Ludacris.

– Lude Chris?

Russell przyjrzał się bratu.

– Rzadko dokądś wychodzisz, co?

Do przodu.

– Mariah Carey.

– Ją akurat znam – stwierdził Shaw. – Śpiewała jakąś piosenkę świąteczną, zgadza się?

I tak dalej. Po zakończeniu każdego utworu nasłuchiwali głosu, który wyjaśniłby, co to jest Przełomowa Sankcja i dlaczego oddanie jej w ręce Jonathana Devereux byłoby katastrofą.

Nic podobnego. Po krótkiej pauzie wypełnionej szumem rozpoczynała się następna piosenka.

Russell nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w odtwarzacz.

Przesłuchali całą kasetę, jedną i drugą stronę. Russell zaczekał, aż nagranie dobiegnie końca i urządzenie z trzaskiem się wyłączy.

– Hmm.

– Jak się nazywa technika ukrywania informacji w obrazach i muzyce? – spytał Shaw.

– Steganografia. – Brat gładził brodę. – Ale działa tylko w przypadku nośników cyfrowych. Bajtów danych. A w analogowych? – Wskazał głową magnetofon. – Nie.

– A nagranie wielościeżkowe? Może dodano coś z większą albo mniejszą częstotliwością niż muzyka? Dźwięk, którego nie słyszymy, jak gwizdek na psa. Da się coś takiego zrobić?

Russell zastanowił się nad tym.

– Nie wiem. Sprawdzę. – Znalazł w telefonie numer i zadzwonił. – To ja – powiedział do słuchawki. – Jesteś wolna? Odtworzę ci parę fragmentów muzyki. Powiedz, czy jest coś poza zakresem słyszalnych częstotliwości. – Zamilkł na moment. – Nie, to nie do żadnego projektu... Wiem, później coś wykombinuję.

Być może chodziło o fakt, że korzysta z zaplecza grupy do celu, który nie ma nic wspólnego z grupową operacją.

Położył telefon obok głośnika i wcisnął ODTWÓRZ. Rozległa się piosenka country. Po minucie zatrzymał taśmę i przewinął do przodu. Następnie odtworzył mniej więcej sześćdziesiąt sekund innego utworu. Powtarzał to jeszcze kilka razy.

– Masz? – spytał Russell. Słuchał przez chwilę osoby po drugiej stronie. – Okej. – Rozłączył się. – Odezwie się do nas.

Pięć minut później, kiedy bracia jeszcze raz przejrzeni zawartość torby kurierskiej i nie znaleźli nic, co wskazywałoby na słowa „sankcja” ani „przełom”, zabrzączał telefon starszego z braci. Ten odebrał, ale podczas rozmowy jego twarz jak zwykle niczego nie zdradzała. Potem poinformował brata:

– Nic nie wychyciła. Spróbuje zrobić dokładniejszą analizę. Ale to mało prawdopodobne. Wysoka częstotliwość na analogowym nośniku to nie jest popularna technika.

Shaw przypuszczał, że grupa Russella jest niezłe zorientowana we wszystkich popularnych technikach.

– Karin?

– Nie.

– Może z nazw zespołów można coś ułożyć? – wpadł na pomysł Shaw. – Albo z tytułów piosenek.

Sama sugestia wydawała się kiepska. Mimo to próbowali. Russell znał większość nazw, ale tytułów tylko połowę. Po pięciu minutach zabawy w anagramy dali sobie spokój.

– Podszewka?

Skinął głową.

Shaw położył sobie torbę na kolanach i kiedy sprawdził, czy w pobliżu nikogo nie ma, otworzył swój ostry jak brzytwa nóż i wbił go w tkaninę podszewki. Schował narzędzie i sięgnął do środka. Na próżno tam jednak szperał.

– Mikrochip? – zapytał brata.

– Hmm. Mogę polecić skan. Ale wątpię.

Zorientowali się, że obaj patrzą na plakietkę z prośbą o telefon do firmy i zwrot jej własności.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Może. – Russell wydobyl nóż. Okazało się, że obaj wybrali markę Benchmade, jedną z najlepszych na rynku. Shaw nosił model Bugout, a Russell droższy o trzysta dolarów Anthem.

Starszy z braci rozciął ostrzem plakietkę i ostrożnie odgiął warstwę laminatu od kartonika.

Nic nie znalazł.

Wrzucił zniszczoną plaketkę do torby kurierskiej, po czym złożył i schował nóż.

– Gazety i czasopisma? – podsunął Shaw. Wyjaśnił, że może w jakimś artykule albo kilku tekstach zaznaczono coś, co naprowadzi ich na trop zagadki.

– Niewykluczone.

– Ale to już w domu – powiedział Colter, rozglądając się po sali. – Za długo tu siedzimy.

– Zgoda.

Zabrali swój łup i wyszli z baru.

W drodze do samochodu Shaw powiedział głośno to, co tłuło mu się po głowie od chwili, gdy świsnęły obok nich pierwsze strzały wystrzelone z łuku Earnesta La Fleura:

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że Gahl był niezrównoważony i miał paranoję? Że nigdy nie miał żadnej Sankcji. Ash – tak samo jak Braxton i Droon – tylko przypuszczał, że ją ma.

Russell nie podał procentu, ale odpowiedział słowem, o którym Shaw właśnie myślał:

– Duże. Za duże.

Co oznaczało, że ojciec nie poświęcił życia dla dowodów, które miały doprowadzić do upadku jedną z najbardziej bezwzględnych korporacji na świecie, ani dla Przełomowej Sankcji.

Ashton Shaw zginął z powodu kasety ze składanką przebojów.

41

Czyżby to ten wóz? Zielona honda?

– Skręć w lewo. Szybko.

Prowadzący wielkiego SUV-a Russell najwyraźniej ufał intuicji brata. Gwałtownie skręcił kierownicą, lekko wciskając hamulec. Colter zrobiłby to szybciej.

Dwa skrzyżowania przed sobą zobaczyli zielony samochód, który tyłem wjeżdżał do bocznego zaułka.

– Jest. Wydaje mi się, że to ona. Musimy ją złapać.

– Ona? – zdziwił się Russell.

Shaw nie powiedział mu, że kierowcą, który go śledził, była jasnowłosa kobieta. Wspomnił o tym teraz, przemilczając tylko informację, że podobno jest „całkiem niezła”.

Lincoln nabrał szybkości i zbliżył się do uliczki, w którą skręciła honda.

– Kiedy będziemy przy wylocie, skręć, ale nie wjeżdżaj.

– Dlaczego?

– Mogła zastawić pułapkę.

– Mamy kulo odporne szyby.

– A opony? – Shaw wyjaśnił, że kobieta przedtem rozsypała na jezdni gwoździe.

Russell uniósł brew i raptownie zatrzymał wóz.

Owszem, przed uliczką leżała warstwa gwoździ. Parę skrzyżowań przed nimi zielony samochód zniknął w gęstym ruchu.

– Mają szerokie łby – zauważył Russell.

Shaw popatrzył na brata.

– Gwoździe. To są gwoździe dekarские. Jak najedziesz na zwykłe, będą dalej leżeć na jezdni. Ale kiedy opona trafi na taki, ostrze odwróci się w górę i wbije się w bieżnik. – Wrzucił wsteczny. – Domyślasz się, kim ona jest?

– Może ma jakiś związek z moim zleceniem w Dolinie Krzemowej parę tygodni temu. Mam teraz wrogów w biznesie komputerowym.

Russell wycofał i skręcił w kierunku Alvarez Street.

– Uważaj, kiedy będziesz jechał yamahą. Jeżeli rzuci ci je przed koło, to przy dużej prędkości położysz maszynę. I nie będzie dobrze.

– Będę pamiętał.

Zaparkowali dwa skrzyżowania dalej, niedaleko kawiarni, gdzie Shaw pierwszy raz zobaczył Russella, choć wtedy nie miał jeszcze pojęcia, że to on. Zostawił tu też przypięty motocykl, na wypadek gdyby ktoś zwrócił uwagę na jeden z pojazdów i go namierzył.

W domu postawił torbę kurierską Amosa Gahla na stole w kuchni i podzielił jej zawartość na dwie części. Jedną przysunął Russellowi, drugą zostawił sobie. Znowu zaczęli z uwagą czytać wszystko, strona po stronie. Czy były jakieś notatki na marginesach? Zakreślone fragmenty? Może jakieś czasopismo będzie otwarte na konkretnym artykule albo gazeta złożona w szczególny sposób?

Czy Amos Gahl, który najwidoczniej uwielbiał łamigłówki, w tym wypadku też wolał zachować ostrożność i ujawnić, czym jest Sankcja, za pomocą tych publikacji i dokumentów?

Shaw pomyślał o słowie „sankcja”.

Zezwolenie. Kara.

A może pod kryptonimem nie kryło się żadne znaczenie?

Mimo ślęczenia nad zawartością torby nie natrafili na żadną wskazówkę, żaden szyfr, żaden mniej czy bardziej subtelny sekret.

Po godzinie obaj unieśli głowy znad papierów.

– Może po prostu lubił czytać wiadomości – stwierdził Shaw.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Colter wpatrywał się w magnetofon. W końcu przyniósł zestaw narzędzi i odkręcił tylną pokrywę obudowy. W środku nie było nic prócz półprzewodnikowej elektroniki. Obejrzał przez szkło powiększające samą kasetę, nie zauważył jednak żadnego napisu ani kodu. Puste nalepki z obu stron były mocno przyklejone do plastiku; nie sposób było sprawdzić, czy pod spodem ukryto jakąś wiadomość, nie rozdzierając papieru.

Wskazując głową na stertę dokumentów i gazet, powiedział:

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. – Russell zerknął na niego. – Że to tylko wymysł. Ta Sankcja naprawdę istnieje. I gdzieś tu jest. – Pokazał na materiały na stole.

– Tak zakładasz?

– Można to tak określić.

Po krótkim wahaniu starszy brat odparł:

– Zgadzam się.

– Czyli będziemy musieli przejrzeć wszystko jeszcze...

W tym momencie telefon Russella wydał przenikliwy, natarczywy sygnał.

On sam natychmiast zerwał się z krzesła. Jego dłoń powędrowała w pobliże broni.

– Czujnik w drzwiach wejściowych. Ktoś grzebie wytrychem w zamku.

Shaw wyciągnął Glocka i podkradł się do najbliższego okna.

– Droon i zespół szturmowy, pięć... sześć osób. Długa broń. Jak nas znaleźli?

Brat pokręcił głową.

Shaw zobaczył jednego z napastników, który stał przy otwartej tylnej klapie SUV-a. Reszta rozglądała się po ulicy. Mężczyzna wyjął coś z samochodu, odwrócił się i przyjrzał się frontowi domu. Popatrzył spod przymrużonych powiek prosto na Shawa. Potem oparł o ramię coś w rodzaju długiego karabinu, z lufy wystawał jakiś tępy przedmiot. Nacisnął spust.

– Granat! – krzyknął Shaw.

Bracia rzucili się na podłogę.

42

Irena Braxton w nobliwym popielatym kostiumie stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i rozglądała się po wnętrzu domu przy Alvarez Street, jak gdyby czekała na dorosłego syna, synową i czeredę wnuków, którzy mieli przyjść na niedzielną kolację.

Inni pracownicy BlackBridge – szczupła, jasnowłosa kobieta o posępnej minie, w czarnym stroju taktycznym, oraz mocno zbudowany Latynos – przetrząsali salon i jadalnię. Nie było jednak mowy o żadnym niechlujstwie. Działali z niezwykłą skrupulatnością, uważając, żeby niczego nie zniszczyć i nie rozbić. Otwierali szuflady, przeszukiwali szafki, lodówkę, zamrażarkę, kuchenkę mikrofalową, szafy, zaglądali pod siedziska mebli, pod kanapy, pod fotele.

Inny mężczyzna z oddziału penetrował pustą torbę kurierską. To on strzelał z granatnika. Teraz odłożył broń, ale podobnie jak reszta – oprócz Braxton – nosił przy pasie pistolet, drogiego sig sauera.

Jedna z operatorek oddziału, wysoka brunetka, oparła dłonie na biodrach i zawołała z salonu:

– Nic! Sankcji tu nie ma!

– Co? – warknęła Braxton i odwróciła się do niej. – Skończyliście rewizję? Skąd możesz wiedzieć, że jej nie ma, skoro nie skończyliście?

– Tak jest. Torba była pusta, zakładam, że zabrali to ze sobą.

– A może ukryli tutaj? Bierzesz pod uwagę taką możliwość?

Kobieta biegiem wróciła do pracy.

Pozostali bez słowa kontynuowali swoje zadania.

Z góry zszedł Ebbitt Droon.

– Tamtędy nie uciekli. Okna są zamknięte od środka. Ubrania, amunicja. Żadnych wskazówek.

Ta scena rozgrywała się na podzielonym na cztery części ekranie laptopa Russella. Oglądali ją zdalnie, z kawiarni przecnicę dalej, gdzie Shaw pierwszy raz zobaczył mężczyznę w wełnianej czapce i kurtce długości trzy czwarte, z plecakiem Oakland A – esemesującego klienta, który okazał się jego bratem.

Napastnicy nie zaatakowali domu śmiertelnie niebezpiecznym granatem odłamkowym, lecz dużym modelem hukowo-błyskowym, który oślepił i ogłuszał ofiary, podobnym do tego, który Russell wykorzystał jako alarm w drzwiach ukrytego pokoju w piwnicy. Pocisk został

wystrzelony celnie, ale oddział szturmowy BlackBridge nie wiedział – Russell i Colter zresztą też nie – że przed laty podczas wyposażania domu Ashton wstawił szyby odporne na pociski. Granat uderzył w pleksiglasową szybę z prędkością około stu dwudziestu metrów na sekundę, na tyle niską, by po prostu się od niej odbić. Dzięki temu bracia zyskali trochę czasu, ponieważ sytuacja się odwróciła i granat eksplodował na zewnątrz.

Gdy się zorientowali, że zostali zaatakowani, od razu wiedzieli, że nie mają szans w starciu z czterema uzbrojonymi po zęby operatorami zespołu szturmowego. Postanowili uciec. Shaw wrzucił do plecaka całą zawartość torby kurierskiej, Russell chwycił komputery.

– Na dół – rzucił, a Shaw równocześnie z nim powiedział:

– Do piwnicy.

Czyli brat też zwrócił uwagę na skrzynię na węgiel. Shaw natychmiast zdał sobie sprawę, że to atrapa; dom miał najwyżej pięćdziesiąt lat. Żaden miejski budynek mieszkalny w takim wieku nie mógł być ogrzewany węglem.

– Surwiwalowiec do szpiku kości, co, Ashton?

Słyszając nad sobą kroki, odsunęli skrzynię i wśliznęli się do tunelu szerokości ponad metra, po czym przystawili skrzynię na poprzednie miejsce.

Nigdy nie korzystaj z kryjówki, jeżeli nie ma ukrytego wyjścia...

Chwilę później usłyszeli: „Piwnica czysta!”, i łomot butów wbiegających po schodach.

Bracia ruszyli tunelem, a po około dziesięciu metrach zobaczyli przed sobą drewnianą płytę. Odepchnęli ją na bok i z bronią gotową do strzału weszli do suterenu bloku mieszkalnego w sowieckim stylu, który stał po drugiej stronie bocznej uliczki. Obszerne, załatujące stęchlizną pomieszczenie było puste. Wydostali się stamtąd wejściem służbowym, a po pięciu minutach siedzieli w kawiarni przy niepotrzebnych porcjach jedzenia, które zamówili, by nie wyróżniać się spośród innych klientów, i oglądali poczynania Braxton, Droona oraz pozostałych.

Gdy Russell wrócił do domu przy Alvarez Street z wiadomością o znalezieniu kartki ze zleceniem zabójstwa rodziny SP, przyniósł ze sobą sprzęt monitorujący. Cztery kamery wyposażone w czułe mikrofony zostały umieszczone w różnych przedmiotach w domu – lampach, zegarze, ramie obrazu. Były bezprzewodowe, ale nadawały na tej samej częstotliwości co router internetowy Russella w szafie w korytarzu przy wejściu, więc każdy, kto próbowałby wykryć w domu monitoring, jak zrobił to Droon, zobaczyłby na odczycie skanera tylko sygnał wewnętrznej sieci, a nie kamer szpiegowskich.

Shaw stwierdził, że jest pod wrażeniem, na co Russell odparł, że w jego grupie parę osób miewa „sprytnie pomysły”.

Na ekranie komputera wyraźnie widzieli, że Braxton coraz bardziej się złości.

– Mieliliśmy ich na oku. Byli tu. Jak się wydostali?

– Oknem z tyłu? – podsunął jeden z jej ludzi.

– A dlaczego z tyłu nie było nikogo z was?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć i kontynuowano przeszukiwanie.

– Patrz – powiedział Shaw.

Chodziło mu o Droona, którego prawie w ogóle nie zainteresował magnetofon. Wcisnął przycisk, posłuchał przez kilka sekund piosenki, potem przewinął taśmę do przodu, znowu słuchał przez moment i powtórzył to kilka razy. Wreszcie wyłączył urządzenie, spojrzął na Braxton, wzruszył ramionami i wrócił do przeszukiwania pokoju, zostawiając odtwarzacz na stole.

– Musieliby mieć dźwiękowców, jak twoja grupa – ciągnął Shaw. – A to znaczy, że Sankcja nie jest w formie elektronicznej.

– Hmm.

Droon zaczął badać torbę kurierską. Robił to tak szczegółowo, jak wcześniej Shaw i Russell. Zauważył, że podszewka jest rozcięta, ale wolał nie ryzykować. Może szukał tak dokładnie, bo to leżało w jego naturze. Może wynikało to z instynktu samozachowawczego, ponieważ lokaje Devereux za wszelką cenę pragnęli zadowolić swojego klienta.

– Dobrze by było, gdyby powiedzieli, czego szukają – zauważył Russell. – To by nam pomogło ograniczyć opcje.

Gdyby ktoś z BlackBridge wymienił kluczowe słowo, być może dzięki temu bracia potrafiliby zidentyfikować Przełomową Sankcję w stercie materiałów w plecaku Shawa.

Russell wcisnął kilka klawiszy. Kamera przesunęła się w lewo, ukazując blondynkę, potem obróciła się w prawo.

– Widzisz jakąś regularność? – zapytał Shaw.

Russell skinął głową.

– Zależy im tylko na papierach. Kasety ich nie obchodzi. Każdy plik rozkładają w wachlarz, więc to musi być na jednej kartce.

Pięć minut później Droon mruknął:

– Sukinsyny wzięły to ze sobą, co nie?

Braxton najwyraźniej dopuszczała już taką możliwość, bo kiwnęła głową.

– Raz już to znaleźliśmy. Znajdziemy jeszcze raz. Od Devereux mamy dziesięć milionów rocznie. Wiesz, jaka będzie premia, kiedy na to trafimy?

Odwróciła się w stronę okna. Rozległ się dzwonek i jeden z członków oddziału podszedł do wnęki przy drzwiach.

Po chwili mikrofony wychwyciły ledwie słyszalne skrzypnięcie podłogi, a w kadrze pojawił się potężny mężczyzna w czarnym garniturze. Shaw rozpoznał w nim ochroniarza i kierowcę Devereux. Widzieli go na placu rozbiórki w Tenderloin, gdzie filipińscy gangsterzy dostali torby z narkotykami, którymi mieli obsiać żyzną ziemię dzielnicy w ramach programu PRU.

Mężczyzna rozejrzał się, by sprawdzić, czy jest bezpiecznie, po czym cofnął się z powrotem w głąb wnęki.

Do salonu wkroczył Jonathan Stuart Devereux.

– Wszystko w porządku? – zapytał radosnym tonem premiera.

Braxton odpowiedziała skinieniem głowy.

Devereux westchnął.

– Widzę twoje spojrzenie. I twarz. Twarze wyrażają wszystko, nieprawdaż? Nie potrzebujemy słów. Słowa kłamią, ludzie kłamią. Twarze nie. Nie znaleźliście tego, prawda?

– Jesteśmy na tropie. Jesteśmy coraz bliżej. Znaleźliśmy torbę kurierską, którą ukradł Gahl – dodała.

– Tyle lat temu.

– W środku był ten magnetofon. – Ruchem głowy wskazała urządzenie.

– Magnetofony raczej mnie nie interesują.

Devereux sprawdził torbę, otworzył ją, dokładnie obejrzał wnętrze. Potem zaczął się przechadzać po domu i rozglądać. Nie próbował szukać Sankcji, po prostu taksował kryjówkę nieprzyjaciół. W kuchni otworzył lodówkę, wyjął butelkę wody i wypił połowę. Po powrocie do salonu brał do ręki niektóre przedmioty, które zespół wcześniej sprawdził. Przyjrzał się czasopismom leżącym w domu od czasów Ashtona.

– O, artykuł o młodej nieznannej gwiazdce, Taylor Swift. – Rzucił magazyn na stolik. – I o księciu Karolu. Ale oczywiście jesteście coraz bliżej celu – dodał z nutą szyderstwa w głosie.

Braxton posłała nerwowe spojrzenie Droonowi.

W korytarzu pojawiła się rudowłosa kobieta, młodsza od Devereux o dwadzieścia lat i wyższa o piętnaście centymetrów. Ta sama, która wcześniej siedziała w rolls-royse? Miała inne buty i strój. Ta tutaj była ubrana w obcisłą i krótką białą sukienkę odsłaniającą ramiona. Z pewnością nie była jego pięćdziesięciosześcioletnią żoną.

Ze spojrzenia, jakie posłała jej Braxton, nie można było nic wyczytać, ale zapewne nie była zadowolona, że klient zabrał tę kobietę na spotkanie w sprawach biznesowych. Devereux obejrzał się i z grymasem niezadowolenia wygonił ją machnięciem ręki, która cały czas pracowicie się poruszała. Kobieta zniknęła.

Prezes Banyan Tree powoli zatoczył koło. Stanął przy regale i zdjął z niego parę figurek, oglądając je po kolei.

– Urocza, prawda? Kot. To chyba kot? Ale czy na pewno? Może pies z nieudanymi uszami. Tak, wydaje mi się, że pies.

Odstawił figurkę na miejsce, a jego dłonie wróciły do dynamicznych ćwiczeń.

Mężczyzna, który strzelił z granatnika, kontynuował poszukiwania, zaglądając pod meble, dopóki Braxton nie powstrzymała go gestem.

– W torbie było coś jeszcze?

– Kiedy weszliśmy, była pusta.

– A oni byli w domu, gdy zapukaliście do drzwi?

– Zgadza się, widzieliśmy ich.

– Powinnaś do tego dodać jeszcze jedno zdanie: ale nie wiemy, jak się stąd wydostali.

– To prawda.

– Z moją nagrodą, z moją cenną nagrodą... Co jest w magnetofonie? Och, to strasznie stary sprzęt, prawda? Dzisiaj można takie zobaczyć tylko na filmach.

– To muzyka.

– Gahl był melomanem?

– Na to wygląda – przytaknęła Braxton.

– I spenetrowaliście każde miejsce, z którym był w jakiś sposób związany, zajrzeliście wszędzie, gdzie mógł to ukryć?

– Tak.

Devereux ze zdziwioną miną rzekł jadowitym tonem:

– Chwileczkę. Zaraz. Coś mi się tu nie zgadza.

Spojrzała na niego z zaciśniętymi ustami.

– Wygląda na to, że nie spenetrowaliście jednego miejsca. Tego, w którym znalazł to pan Colter Shaw, a nie wy. – Patrzył kobiecie prosto w oczy. Byli tego samego wzrostu. – Nie sądzisz, że cię ograł, Ireno? Ta mapa, którą skradłaś, chyba nie była prawdziwa.

Patrzyła na niego ze stężoną twarzą. Nie odpowiedziała.

– Co jest dla nas najważniejszą sprawą? Dla mnie, dla ciebie i Iana?

– Przełomowa Sankcja.

– O-tóż to – przytaknął czułym tonem.

– Znajdziemy ją, panie Devereux.

Widział, jaką trudność sprawia jej zwracanie się do niego per pan. Kiedy został klientem BlackBridge, prawdopodobnie surowo domagał się przestrzegania etykiety. Chciał, by oddawano mu cześć, był przecież spadkobiercą arystokraty, którego jakże nieudolnie stracono. Jego firma była w lepszej sytuacji finansowej niż Hiszpania. A ponieważ sładzy nie dostarczyli mu cennej Sankcji, mógł im dokręcać śrubę, ilekroć mu się podobało.

– To tylko drobna komplikacja – dodała. – Większość pracy wykonał za nas Shaw. Znalazł torbę kurierską. Teraz musimy tylko zabrać mu Sankcję.

Ręce Devereux wykonały niecierpliwy gest.

– Ale stąd się wam wymknął.

– Tak. Nie pewno jednak nie wie, co to jest. Nie umiałby nawet tego rozpoznać.

Shaw pokręcił głową. Liczył na to, że powiedzą coś więcej, by można było zidentyfikować Sankcję w zawartości torby kurierskiej – albo upewnić się, że jej tam nie ma, i rozpocząć nowe poszukiwania.

Devereux zerknął w stronę ulicy, gdzie zapewne czekała na niego kobieta w białej sukience. Potem przeniósł wzrok na jasnowłosą operatorkę BlackBridge i przyjrzał się jej od stóp do głów. Miał podobny wyraz oczu co siostrzenice Shawa tuż przed pochłonięciem deseru lodowego.

– Kim jest ten drugi. Ten z brodą?

– Nie wiemy. Może synem jednego z kolegów Ashtona.

Devereux obejrzał następną ceramiczną figurkę.

– Jak proponujesz go znaleźć?

– Och, sam się do nas zgłosi.

Pretensjonalny brytyjski akcent zabrzmiał teraz wyraźniej niż przedtem, gdy zapytał:

– A jak miałyby się to stać?

Braxton zdjęła pyłek ze swetra i pozwoliła mu opaść na podłogę. Zamiast odpowiedzieć Devereux, zwróciła się do Droona:

– Wyślij ludzi do Bethesdy. I znajdź kogoś we Fresno. Kogoś dobrego.

– Zaraz się tym zajmę.

Shaw z łomotem serca spojrzał na Russella, którego twarz zakrzepła w nieruchomą maskę.

W Bethesdzie w stanie Maryland mieszkała ich siostra, Dorion.

A Fresno było dużym miastem położonym najbliżej Posiadłości, gdzie w tym momencie przebywała ich matka, Mary Dove Shaw.

43

Halo? – odezwała się kobieta w słuchawce. Miała melodyjny głos.

– Przywieziono róże – powiedział Colter. – Ładnie wyglądają.

Tak jak się spodziewała, zapadła cisza. Znaczenie słów musiało dotrzeć do Dorion Shaw.

– Powinam wiedzieć o nich coś więcej?

– Tym razem nie będzie szczegółów.

– Dzięki. Miło było cię słyszeć. – Dorion odłożyła słuchawkę.

Ten komunikat uruchomił Plan B, który polegał na tym, że odbiorca hasła musiał rzucić wszystko i natychmiast opuścić miejsce pobytu – razem z całą rodziną. W przypadku Dorion dotyczyło to jej męża oraz córek, fanek lodów.

Zanim Dorion wyszła za mąż, powiedziała narzeczonemu o pewnych anomaliach w jej dzieciństwie oraz młodości i uprzedziła, że od czasu do czasu może im grozić mniej lub bardziej poważne niebezpieczeństwo. Plan B oznaczał bezpośrednie zagrożenie. Był to jeden z dwóch najpilniejszych alarmów Ashtona, których nikt z rodziny nigdy nie kwestionował.

Ta silna, dobiegająca trzydziestki kobieta zapewne wyprowadzała już z domu męża i dzieci i zabierała z piwnicy torby ewakuacyjne, by potem okrężną trasą, zmieniając po drodze samochód, dotrzeć do „domku letniskowego”, bo tak pewnie pomyśla dziewczynki. Rok szkolny już się skończył i być może będą fukać, że nie pojedą na obóz fotograficzny albo trening piłki nożnej. One jednak też najprawdopodobniej dostały parę lekcji o tym, jakie może być życie, jeśli należy się do rodziny Shawów.

Potem zadzwonił do matki. Wiadomość przeznaczona dla Mary Dove brzmiała inaczej.

– Kolacja będzie dziś później.

– Przykro mi to słyszeć.

– Ale goście powinni niedługo dotrzeć.

– Będę ich wyglądać.

Oboje rozłączyli się w tym samym momencie.

Ten komunikat był sygnałem do Planu A. Wezwaniem do obrony, nie do ucieczki. Dorion mieszkała na przedmieściu, w miejscu łatwo dostępnym dla każdego, Mary Dove natomiast w Posiadłości, skąd nikt nie mógłby jej wyrzucić siłą, a zwłaszcza intruzi odpowiedzialni za śmierć jej męża. W sztuce przetrwania, którą wpajał im Ashton, chodziło właśnie o to, by przygotować się na takie zagrożenia. Jego matka była najlepszym strzelcem w rodzinie i miała przygotowany bagaż ewakuacyjny, na wypadek gdyby musiała tymczasowo wycofać

się w głąb dziczy – i biada każdemu z ludzi BlackBridge, który który odważyłby się za nią ruszyć.

Wobec tej ekipy rozsądniej jednak było poszukać sojuszników. Stąd zapowiedź Shawa, że przyjadą „goście”. Oczywiście matka miała sprzymierzeńca w osobie Victorii Lesston, odznaczonej byłej żołnierki Delta Force, która potrafiła trafić ptaka w locie jednym strzałem z broni krótkiej. Shaw chciał jednak większego wsparcia, zadzwonił więc do Toma Peppera i przedstawił sprawę byłemu agentowi FBI. Pepper obiecał, że za pół godziny w Posiadłości zameldują się dwaj byli członkowie brygady specjalnej.

– Czy Mary Dove będzie miała coś przeciwko temu, żeby za jej domem wylądował helikopter? – zapytał.

Shaw zastanawiał się przez chwilę.

– Powiedz im tylko, żeby w miarę możliwości nie siadali w ogrodzie. Właśnie wschodzą warzywa korzeniowe, a ona ma do nich szczególną słabość.

Embarcadero.

Tę nazwę nosiła zarówno długa droga biegnąca wzdłuż północno-wschodniego nabrzeża San Francisco, jak i dzielnica, której osią była autostrada.

Od lat ów trzykilometrowy przybrzeżny pas ziemi kojarzono z transportem – biegły tędy droga, linia kolejowa Belt, którą wożono towary i produkty na północ i południe, imponująca kładka dla pieszych, a także druga droga, podziemna.

Wizytówką Embarcadero był jednak transport morski – liniowce, statki towarowe, promy. Jednostki cumujące w środkowej części, przy pirsach o numerach jeden, jeden i jedna druga, trzy oraz pięć, codziennie transportowały tysiące pasażerów i niezliczone tony ładunków do portów w kraju i za granicą, między innymi malowniczym kanałem do Sacramento. Podczas drugiej wojny światowej nabrzeże stało się de facto bazą marynarki wojennej.

Potem połączono San Francisco z Oakland mostem Bay Bridge.

I niemal natychmiast Embarcadero zaczęło obumierać. Na życie dzielnicy niekorzystnie wpłynęło również zastąpienie dawnych statków drobnicowych gigantycznymi kontenerowcami, które potrzebowały wielkich pirsów, dźwigów i magazynów, a na to miejsce – i tolerancję estetyczną – miało tylko Oakland.

Upadek Embarcadero nie trwał jednak wiecznie. Duża jego część graniczyła od północy z ekskluzywnym Telegraph Hill, a od zachodu z prężnie rozwijającą się dzielnicą finansową, dlatego było tylko kwestią czasu, kiedy zaczniesz odzyskiwać wigor. Teraz okolica w znacznym stopniu została zrewitalizowana, zapełniła się bazarami z produktami prosto od farmerów, choć w południowych rejonach można jeszcze było znaleźć ślady dawnego zaniedbania.

Właśnie w jednej z takich okolic Russell zaparkował lincolna – niedaleko Rincon Park, gdzie stała rzeźba Cupid's Span – ogromny, odwrócony łuk boga miłości ze strzałą, której grot był pograżony w ziemi. Podobno konstrukcja miała nawiązywać do reputacji San Francisco jako miasta Erosa. Shaw nie był pewien, czy dobrze zrozumiał przesłanie, a rzeźba, zamiast ze sztuką, kojarzyła mu się teraz z ostrymi grotami, jakimi powitał ich w Sausalito Earnest La Fleur.

Bracia wysiedli z wozu i podeszli ulicą do wiekowego, dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły. Nad łukiem bramy w piaskowcu wykuto napis: USŁUGI MAGAZYNOWE HAYWOOD BROTHERS.

– Optymistyczne – zauważył Shaw.

Russell spojrział na niego spod zmarszczonych brwi. Colter wskazał głową nadproże nad wejściem.

– Usługi magazynowe. Dosłownie wykuli swój biznesplan w kamieniu. Nie sądzili, że będą musieli poszerzyć zakres działalności.

– Hm.

Najwyraźniej brat nie zamierzał popadać w wesołkowatość.

Weszli do holu wyłożonego mocno porysowanymi płytkami w szachownicę. Ściany pokrywała żółta sztukateria zwieńczona wizerunkami niedźwiedzi grizzly, symbolu stanu Kalifornia, co oczywiście przypomniało Shawowi figurkę, którą ojciec przed laty wręczył jego bratu po zdarzeniu na polu lawinowym.

Samotnikowi...

Podwójne drzwi w głębi holu były zamknięte na łańcuch i kłódkę. Po prawej zobaczyli przeszklone drzwi opatrzone napisem ADMINISTRATOR.

Siedział za nimi pochylony nad komputerem pulchny mężczyzna w białej koszuli z krótkim rękawem. Shaw zauważył, że kiedy weszli, prawa dłoń mężczyzny powędrowała w stronę szuflady – Embarcadero nie było jeszcze całkiem ujarzmione – najwyraźniej jednak administrator ostatecznie stwierdził, że para gości nie stanowi poważnego zagrożenia.

– Słucham.

Mieli przygotowaną historyjkę podobną do tej, którą na początku opowiedzieli Eleanor Nadler, matce Amosa Gahla. Byli braćmi badającymi przeszłość nieżyjącej ciotki, znanej wykładowczyni na Berkeley, i zamierzali własnym sumptem wydać o niej książkę. To miał być gwiazdkowy prezent dla matki, siostry zmarłej.

– Mamie na pewno się spodoba – dodał Shaw.

– Kobiety rzeczywiście lubią te rodzinne historie, prawda? – zgodził się pracownik magazynu. – Moim zdaniem bardziej niż my, faceci.

– Ma pan rację – zgodził się Russell z cichym śmiechem, kompletnie nie w jego stylu. Naprawdę niezły był z niego aktor.

– W jednym z jej dzienników znaleźliśmy wzmiankę o tym magazynie – wyjaśnił Shaw. – Ciekawi nas, jaki miała z nim związek. W tym budynku zawsze działał magazyn?

– Już nie działa. Zamknęli. – Wskazał na komputer. – Umawiam właśnie spotkania z potencjalnymi kupcami. Spółka, która jest właścicielem, wystawia go na sprzedaż. Jak panowie widzą, dzielnica się zmienia, pewnie postawią tu budynki wielorodzinne i sklepy.

W pokoiku było duszno i gorąco, chyba z winy zbuntowanego ogrzewania, i administrator wyjął z kieszeni chusteczkę, rozłożył, otarł pot z czoła, po czym schował ją z powrotem.

– Rzecz w tym, że jeżeli wasza ciotka nie miała żadnych związków z jakąś instytucją rządową, to wątpię, by kiedykolwiek pojawiła się w tym magazynie.

– Zgadza się, współpracowała z jakimś urzędem – odparł Shaw.

– Sporadycznie – wtrącił Russell, patrząc w stronę zamkniętych drzwi, które prowadziły chyba do właściwej części magazynowej. – Co tam przechowywano?

– Wiecie, panowie, o trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset szóstym? – spytał administrator.

Bracia przytaknęli. W wyniku wstrząsów o magnitudzie 7,8 czy 7,9 uległo zniszczeniu około osiemdziesięciu procent miasta i zginęło trzy tysiące osób.

– Trzęsienie było straszne, ale większość zniszczeń spowodowały pożary. Proszę mi przerwać, jeżeli będę mówił coś, o czym już wiecie.

– Proszę. – Shaw dał mu znak, żeby kontynuował. Ich wizyta sprawiła wyraźną przyjemność administratorowi, zresztą na monitorze nie miał otwartego żadnego kalendarza spotkań, tylko pasjansa.

– Już w pierwszych wstrząsach zginął komendant straży pożarnej, a wtedy nikt nie wiedział, jak opanować wielkie pożary, w których pękają instalacje gazowe i tak dalej. Ludzie wysadzali budynki dynamitem, żeby ogień nie rozprzestrzenił się dalej, ale to nie pomagało. Wybuchowało jeszcze więcej pożarów. Najgorsze było to, że firmy ubezpieczeniowe nie wystawiały polis chroniących przed skutkami trzęsień ziemi, ale przed pożarami już tak. No więc ludzie dla odszkodowania zaczęli podpalać własne domy, a że większość była drewniana, to można sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

W każdym razie w Embarcadero sporo budynków poszło z dymem, ale te kwartały już nie, więc pracownicy różnych instytucji załadowali wszystkie urzędowe dokumenty i rejestry i przywieźli tu na przechowanie. Pędzili na złamanie karku, bo ogień dosłownie parzył im pięty. W ciągu następnego dziesięciu lat władze miasta i stanu zabrały sporą część tego majdanu. Papiery trafiły do nowego ratusza, do budynków stanowych i federalnych. Mimo to magazyn jest ciągle do połowy pełny. Są tu miliony dokumentów.

Shaw spojrzał na Russella.

– Czyli na pewno tym się zajmowała. Prowadziła jakieś badania w archiwach.

Colter ocenił ich aktorstwo jako całkiem niezłe. Nie na poziomie Broadwayu, ale przyzwoitego teatru amatorskiego.

– Była profesorem historii – poinformował administratora.

– Tak?

– Możemy pokazać panu jej zdjęcie? – zapytał Russell.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Bywała tu w ciągu ostatnich dwóch lat? Bo tyle tu pracuję.

– Nie, znacznie dawniej.

– Przejąłem obowiązki po facecie, który siedział przy tym biurku przez dwadzieścia lat. Nazywa się Jimmy Spilt.

– Ma pan z nim jakiś kontakt? – spytał Shaw.

– Rozmawiamy ze sobą od czasu do czasu.

– Jak się pan nazywa?

– Barney Mellon.

Russell podał mu rękę.

– Jestem Peter, a to Joe.

Shaw też uściśnął administratorowi dłoń.

– Barney, może moglibyśmy wysłać panu Spiltowi zdjęcie i sprawdzić, czy ją poznaje?

– Wiem, sprawiamy ci kłopot, ale bylibyśmy wdzięczni – dodał Russell.

– Musicie naprawdę kochać matkę, chłopaki.

– To prawda – przyznał Shaw.

Russell spytał Barneya o numer telefonu, po czym wysłał mu zdjęcie, które przedstawiało Irenę Braxton. Owca

Colter Shaw miał za mało informacji, by ocenić prawdopodobieństwo powodzenia. W najlepszym razie mógłby to ująć tak: szanse są małe, ale nie trzeba od razu tracić nadziei.

Barney przesłał zdjęcie do byłego administratora i minęło zaledwie pół minuty, gdy jego telefon zabrzęczał. Spojrzał na ekran i odebrał:

– Hej, Jimmy, co słyszać? (...) Ciągłe jeździsz w góry? (...) Mhm... Słyszałem, poważna sprawa, prawie dziesięć tysięcy hektarów poszło z dymem... Słuchaj, jeżeli chodzi o to zdjęcie... Ci dwaj goście są teraz u mnie, chcą zrobić coś miłego dla matki. – Przez parę chwil słuchał, kiwając głową. – Jasne, powiem im. Słuchaj, a co robisz w środę? (...) Dobrze, dobrze... – Miał przyklejony do ust szeroki uśmiech. Odchylił się na krześle i jeszcze raz wydobyl zużyta chusteczkę, żeby otrzeć czoło.

Russell i Colter wymienili spojrzenia. Wzrok Russella padł na szufladę, a potem zatrzymał się na telefonie w ręce administratora. Shaw lekko skinął głową.

Brat zrobił szybki krok naprzód i przycisnął ręką szufladę, uprzedzając o ułamek sekundy mężczyznę, który do niej sięgał. Równocześnie Colter wyrwał mu z ręki telefon i zakończył połączenie.

Krzesło Barneya odsunęło się o metr i uderzyło w ścianę.

– Błagam, nie róbcie mi nic złego!

Russell otworzył szufladę i wyjął z niej małą samopowtarzalną dwudziestkępiątkę. Wysunął nabój z komory, wyłuskał z magazynka pozostałe i wsunął sobie do kieszeni.

– Co on ci powiedział? – spytał mężczyznę ostrym tonem.

Kiedy Barney nie zareagował, wyjął swoją broń.

Administrator przyjrzał się sig sauerowi i z przerażeniem, a zarazem z wściekłością wyrzucił z siebie na jednym oddechu:

– Nie powiedzieliście mi, że wasza ciotka jest pieprzoną psychopatką. Czego naprawdę ode mnie chcecie, do cholery?

45

Awieć Spilt rozpoznał zdjęcie – stwierdził Shaw.

– Jasne, że rozpoznał. A ty nie zapamiętałbyś kogoś, kto skuwa ci ręce, zaciąga do archiwum i grozi pistoletem, jeżeli nie zechcesz współpracować?

– Czego ona szukała? – zapytał Russell.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Oddzwoń do niego – polecił Shaw.

– Co?

– Dzwoń do Spilta. – Shaw podkreślił to zniecierpliwionym ruchem głowy i Barney posłusznie spełnił rozkaz.

Shaw zabrał mu telefon.

– Barney – odezwał się w słuchawce rozgorączkowany głos. – Nic ci się nie stało? Co się tam dzieje?

– Jimmy, posłuchaj mnie – warknął Shaw. – Barney jest cały i zdrowy. Na razie.

– Jezu... – jęknął administrator.

Russell dotknął ucha, Shaw w tym samym momencie usłyszał dobiegające z oddali wycie syreny.

Niech to szlag!

– Jimmy, musisz zrobić dwie rzeczy.

– Kurwa, kim ty jesteś? Siostrzeńcem tej suki, która...

Shaw przełączył telefon na głośnik i zerknął na administratora.

– Dwie rzeczy, Jimmy, jeżeli chcesz, żeby twój kumpel pozostał cały i zdrowy.

– Proszę cię, Jimmy! – zawołał Barney. – Zrób wszystko, czego będzie chciał.

– W porządku, w porządku – odpowiedział głos z telefonu.

– Po pierwsze, rozłączę się, a ty jeszcze raz zadzwonisz pod 911 i powiesz, że to była pomyłka. Ktoś ci zrobił kawał. Coś w tym rodzaju. Postaraj się, żeby to zabrzmiało przekonująco.

Russell patrzył we własny telefon. Uniósł go w stronę Shawa.

– Jimmy – ciągnął Shaw – mamy tu skaner, policyjny skaner. Jeżeli tego nie zrobisz, od razu się dowiemy. A to oznacza, że możesz się pożegnać z Barneyem, a potem odwiedzimy ciebie.

– Jezu, nie, nie, nie! Zrobię to. Zrobię!

– Dzwon na policję. – Shaw się rozłączył.

Russell prawdopodobnie nie pokazywał mu aplikacji skanera policyjnego. Zapewne rozmawiał z Karin, ale ona mogła być podłączona do częstotliwości miejskich służb ratowniczych.

Piętnaście, dwadzieścia sekund później syreny ucichły, a Russell z telefonem przy uchu pokiwał głową.

Zaraz potem odezwał się telefon Barneya.

Shaw odebrał i znowu przełączył aparat na głośnik.

– Okej, Jimmy, dobra robota. Teraz twoje drugie zadanie. Odpowiedz mi na kilka pytań. Wtedy damy spokój tobie i twojemu kumplowi. Może być?

– Tak, tak, wszystko, co chcecie.

– Powiedz nam, co dokładnie stało się tego dnia, gdy do magazynu przysłała nasza ciotka.

– Kim wy jesteście, do cholery?

– Jezu, Jimmy! – wrzasnął Barney. – Odpowiedz mu, on ma broń! Zupełnie ci odwaliło?

– Dobrze, spokojnie. To było rano w zwykły dzień tygodnia, tylko ja byłem w pracy. Od pięćdziesięciu lat to po prostu przechowalnia. Nikt niczego nie przywozi ani nie zabiera. No więc przychodzi wasza ciotka i prosi o jakieś dokumenty. Mówię jej, że to nie biblioteka. Bardzo grzecznie. Byłem naprawdę uprzejmy. Zanim jej coś wydaję, muszę dostać wypełniony formularz z ratusza. Ona na to, że nie ma czasu. Jest z nią facet, który dziwnie się zachowuje, jakby miał jakieś tiki nerwowe. Oboje mnie przestraszyli.

– Ten człowiek był trochę podobny do szczura? – spytał Shaw.

– Aha, można tak powiedzieć.

– Czego chciała? – odezwał się Russell.

– Mówiła, że chce czegoś z rejestrów sądowych. Z akt. Powtarzam jej, że nie mogę nic zrobić bez prawidłowo wypełnionego formularza z ratusza albo urzędu stanowego. Każę jej wyjść, a wtedy ona wyciąga pistolet. Facet, który z nią przyszedł, skuwa mnie kajdankami.

Mówię, że nie wiem, gdzie są dokumenty sądowe. Pyta, jak są ułożone, więc odpowiadam, że według roku. Ona na to, że tyle jej wystarczy. No więc wchodzimy na magazyn i pokazuję rok, o który jej chodzi, tysiąc dziewięćset szósty. Oboje zaczynają przeglądać wszystko po kolei, rozrzucają papiery po podłodze. To trwa z godzinę, może trochę mniej, ale wydawało się, jakby minęła godzina. Wreszcie ona coś znajduje i mówi coś w rodzaju „Cholera, nareszcie”.

Patrzają na mnie, jakby się zastanawiali, czy mnie zabić, czy nie... Jezu... Błagam ich, żeby mi darowali życie. Kobieta mówi: „Nigdy nas tu nie było”, a ja tylko kiwam głową. Nie mogę wydusić ani słowa. Potem wychodzą.

– Co takiego znalazła? – wrócił do przesłuchania Shaw.

– Nie mam pojęcia. Nie pytałem. O mało mnie nie zastrzelili!

– To była pojedyncza kartka czy oprawiony albo spięty dokument?

– Jedna strona.

– Rejestry sądowe. Czyli to było orzeczenie sądowe?
– Nie, nie mamy ich w magazynie. I tak są publikowane. Można je znaleźć w bibliotece prawniczej albo w internecie. Chodziło jej o korespondencję, notatki, osobiste dokumenty sędziów.

– Zadzwoń na policję? – zapytał Russell.

– Jasne, że nie. Wiedzieli, gdzie pracuję. Mogli wrócić.

– Posłuchaj, Jimmy – rzekł Shaw. – Zapomnij, że w ogóle z tobą rozmawialiśmy.

– Kurwa, to macie jak w banku.

Shaw rozłączył się i położył telefon Barneya na biurku.

Russell podniósł przypominający zabawkę pistolecik administratora, wcisnął przycisk i ściągnął zamek.

– Znajdziesz go w jednym koszu na śmieci przed budynkiem, a magazynek w drugim.

Colter uśmiechnął się w duchu. Może taka była procedura obowiązująca w niektórych kręgach. To samo Ebbitt Droon zrobił z jego bronią w Dolinie Krzemowej niecałe trzy tygodnie temu.

Kiedy bracia ruszyli do wyjścia, Colter jeszcze obejrzał się przez ramię.

Barney unosił ręce jak poddający się żołnierz.

– Rozumiem, jasne. Nigdy was tu nie było, jak waszej ciotki.

46

Nowy dom nie wyglądał źle; z pewnością był w lepszej dzielnicy niż kryjówka w Mission.

Budynek z piaskowca stał w malowniczej okolicy, w Pacific Heights, i z frontowych okien apartamentu z dwiema sypialniami rozciągał się widok na zatokę, Alcatraz, most Golden Gate i Sausalito z widoczną plamą zieleni, która mogła być ogrodem Earnesta La Fleura.

Dom miał trzy kondygnacje i reprezentował klasyczny styl architektury lat sześćdziesiątych, bez zbędnych wodotrysków, funkcjonalny, nierzucający się w oczy.

Z apartamentu mieli trzy drogi ewakuacyjne – schodami od frontu, schodami z tyłu i przez okna wychodzące na dach parterowego sklepu rowerowego tuż obok. Ani Shaw, ani jego brat nie uczyli się parkouru, czyli polegającego na biegach i skokach pokonywania dachów i ogrodzeń, ale ćwiczyli upadki i bezpieczne lądowanie z dużej wysokości. Shaw właśnie oglądał to wyjście: patrząc przez otwarte okno, dwa i pół metra niżej widział dach pokryty papą.

Mieszkanie spełniało wymóg zawarty w zasadzie Ashtona: *Nigdy nie pozwól sobie na brak planu ucieczki*. O towarzyszącą jej maksymę – *Nigdy nie pozwól sobie na brak dostępu do broni* – nie musieli się martwić, ponieważ dysponowali odpowiednią siłą ognia.

– Masz. – Shaw podał bratu pudełko amunicji dziewięć milimetrów.

Russell zerknął na nie.

Były to bezpieczne naboje, skonstruowane specjalnie po to, by penetrowały ciało, ale nie przeszywały go na wylot i nie raniły rykoszetem przypadkowych osób. Gdyby strzelec nie trafił w człowieka, pocisk mógłby przebić na przykład płytę kartonowo-gipsową, ale wtedy wytraciłby śmiertelnoścą prędkość wylotową. Amunicja tego rodzaju była konieczna w miejscach, gdzie za drzwiami i ścianami mogło się znajdować wiele osób niebiorących udziału w zdarzeniu. Russell patrzył jednak na nią sceptycznie. Może uważał się za takiego dobrego strzelca, że nie mógłby spudłować i zagrozić przypadkowej osobie, a może wychodził z założenia, że czasem warto mieć możliwość przebicia strzałem ściany lub drzwi, wbrew zakazowi Ashtona:

Nigdy nie strzelaj z broni, jeżeli nie widzisz wyraźnie celu...

– Musimy – nalegał Shaw.

– Nie pasuje mi takie rozwiązanie. To nie jest standardowa procedura. – Nie zdecydował się na bezpieczne naboje.

– Jak chcesz. – Colter opróżnił magazynek i wypełnił go amunicją z niebieskimi wierzchołkami. Do tej pory współpraca przy śledztwie układała się dobrze, myślał, zwłaszcza podczas akcji zaaranżowanej w magazynie, teraz jednak znowu pojawiło się między nimi napięcie.

„Czyli nie masz ochoty się w to włączyć?”

„To po prostu trzeba zrobić...”

Shaw zastanawiał się, czy nie odezwał się w Russellu żal z powodu niewypowiedzianego głośno oskarżenia o jego udział w śmierci Ashtona.

A jeśli tak, to dokąd nas to zaprowadzi?

Otworzył plecak i wysypał na stół zawartość torby kurierskiej BlackBridge. Znowu podzielili się materiałami i zaczęli je przeglądać, wiedząc już, że Przełomowa Sankcja jest dokumentem z sądu i pochodzi z tysiąc dziewięćset szóstego roku.

– Mam – powiedział Shaw. – Widziałem to wcześniej, ale nie zwróciłem uwagi.

Położył na stole wiekowy arkusz.

A więc w końcu mieli ją przed sobą – Przełomową Sankcję.

W sprawie wyników referendum w Dwunastym Okręgu Wyborczym w związku z Propozycją 06 poddaną pod głosowanie Obywatelom Stanu Kalifornia ja, Selmer P. Clarke, sędzia sądu okręgowego, stwierdzam, co następuje:

Ogłoszone wstępne rezultaty głosowania były obarczone błędem. Właściwy rozkład głosów to: 1244 głosy za Propozycją, 1043 przeciw.

Wobec powyższego nakazuję, aby przedstawione w niniejszym orzeczeniu poprawione wyniki głosowania, odzwierciedlające rzeczywisty rozkład głosów za i przeciw Propozycji 06, zostały odnotowane w protokole Zgromadzenia Stanowego oraz Senatu z datą 17 kwietnia 1906 roku.

Pod tekstem widniał kunsztowny podpis.

Russell odwrócił kartkę. Z drugiej strony była pusta. Uniósł ją do światła, by poszukać ukrytej albo niewidocznej wiadomości.

– Nic. – Przesunął palcami po odwrotnej stronie kartki. – To oryginał, nie kopia.

Dokument napisano na maszynie i można było wyczuć wgłębienia pozostawione przez czcionki.

Shaw jeszcze raz przeczytał orzeczenie.

– Nie rozumiem, dlaczego to ma być „sankcja”.

– La Fleur mówił, że to może być po prostu kryptonim. Może Helms i Devereux nie chcieli, żeby ktokolwiek publicznie używał słów „orzeczenie” albo „wyniki”. Chcieli to utrzymać w tajemnicy.

Shaw pokręcił głową.

– Devereux zrobi wszystko, żeby to znaleźć. – Przypomniał sobie słowa La Fleura, że gdyby Sankcja została odnaleziona, konsekwencje mogłyby się okazać tragiczne.

– Co to jest Propozycja Zero Sześć? – spytał Russell.

Shaw włączył komputer i zalogował się do szyfrowanego serwera. Wpisał pytanie do Google'a. W Wikipedii nic nie było na ten temat, ale znalazł wzmiankę w archiwum środków konstytucyjnych i legislacyjnych stanu Kalifornia.

– To było referendum w tysiąc dziewięćset szóstym w sprawie poprawki do konstytucji stanowej. – Odwrócił ekran della, żeby obaj z Russellem mogli przeczytać informacje. Przewijali akapit po akapicie prawniczego żargonu dotyczącego przede wszystkim opodatkowania, imigracji i handlu.

Dlaczego Gahl pragnął zniszczyć ten dokument tak samo rozpaczliwie, jak Devereux usiłował go zdobyć?

Nagle Shawowi zaświtał pewien pomysł. Wyjął swój telefon z Androidem i zadzwonił do osoby, która miała tak samo szczelnie chronione urządzenie.

Mary Dove odebrała po drugim dzwonku.

– Co u was?

– Dobrze. Są tu ludzie Toma Peppera. Wyznaczyli strefę chronioną. Na granicach rozstawili czujniki. Elektroniczny system ostrzegawczy. Wiesz, Colt, mają karabin maszynowy. Duży, na dwójnogu. Wyobrażasz sobie?

– To dobrze. Nie sądzę, żeby musiał się przydać.

– Mam nadzieję. Lepiej nie zakłócać spokoju niedźwiedziom, są w środku okresu godowego. U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, u Russella też.

– U Russella?

– Wrócił, żeby mi pomóc wykonać zadanie Ashtona.

– Hm.

– Mam tylko chwilę, ale chciałbym cię o coś spytać. Jesteś jedyną osobą, która może mi coś podpowiedzieć.

Jadąc okrężną, skomplikowaną trasą, by mieć pewność, że nikt ich nie śledzi – a dzięki pomysłowej Karin wiedzieli, że w okolicy nie krążą żadne drony – dotarli do Berkeley po drugiej stronie zatoki, na północ od Oakland.

Przyjechali spotkać się z jednym z kolegów Ashtona Shawa, nauczycielem akademickim, który mieszkał niedaleko kampusu. Steven Field był emerytowanym, ale pracującym jeszcze na uczelni profesorem historii politycznej. Kiedy pół godziny wcześniej Colter zadzwonił do matki, spytał ją, czy zna jakiegoś współpracownika ojca, który specjalizuje się w tej dziedzinie. Mary Dove natychmiast wspomniała o Fieldzie.

Shaw mgliście pamiętał, że przed laty kilka razy widział tego człowieka. Field odwiedzał ich w Posiadłości. To były czasy, gdy Ashton był w najlepszej formie. Colter przypominał sobie wprawdzie kilka jego dziwnych wyskoków, ale wtedy Mary Dove wchodziła w rolę psychiatry i pilnowała, by przyjmował odpowiednie leki, a także monitorowała jego zachowanie, więc szybko wracał mu dowcip i się ożywiał.

Jedną z najtrudniejszych do zaakceptowania konsekwencji przeprowadzki znad zatoki do Posiadłości było zerwanie kontaktów towarzyskich. Bolesnie odczuł to Colter, ale bardziej jego starszy brat; Dorion była wtedy jeszcze mała. Spoglądając wstecz, Shaw nie miał wątpliwości, że Ashton i jego żona też ciężko to przeżyli. Oboje byli wykładowcami, a Mary Dove miała dodatkowe zajęcia jako główny koordynator badań na uniwersytecie. Ta praca wiązała się z codziennym kontaktem z kolegami, administracją, dyrektorami firm, studentami. Wszystko to raptownie się skończyło, gdy Ashton zabrał rodzinę na pogórze Sierra Nevada.

Zapraszał jednak kilku wybranych kolegów znad zatoki, by odwiedzali go w Posiadłości. Młody Colter pamiętał kobiety i mężczyzn siedzących w salonie przy wielkim kominku i toczących długie rozmowy do późnej nocy. Jak wszystkie dzieci nie zwracał szczególnej uwagi na treść, lecz od czasu do czasu zauważał ożywienie dorosłych i ich rozbawienie. Nie wychwytywał wszystkich niuansów, ale lubił słuchać dyskusji na tematy dotyczące politologii, prawa, władzy, historii Ameryki, a także – ze względu na dziwne hobby Ashtona – zaawansowanej fizyki.

Gdy zapadała noc, niespokojnego chłopca w końcu jednak ogarniała nuda, a wtedy wychodził z domu, by posłuchać sów i wilków czy popatrzeć na rozjarzony gwiazdami nieboskłon.

Czasami wypuszczał się na krótką nocną wycieczkę.

Często w towarzystwie Russella.

– Myślisz, że Field należał do kręgu Asha? – zapytał teraz starszy brat. – Też chciał walczyć z BlackBridge?

Shaw zastanawiał się nad tym wcześniej.

– Wątpię – odparł. – Wszyscy już nie żyją. Moim zdaniem byli po prostu kolegami z uczelni.

Przed przyjazdem Shaw zadzwonił do Fielda i umówił się na spotkanie w zaciszu jego domu.

Choć z pewnym zastrzeżeniem.

– Wolelibyśmy wejść tylnymi drzwiami, od strony bocznej uliczki.

– Rzeczywiście, prawdziwy z pana Shaw – odpowiedział wesoło profesor. – Mówi pan dokładnie jak ojciec. Zawsze powtarzał, że go śledzą. – Po chwili parsknął śmiechem. – Chciałem podać panu adres, ale skoro pan wie, że za domem jest boczna uliczka, to nie pytam nawet, jak się pan tego dowiedział, to chyba zbyteczne.

Colter zdawał sobie sprawę, że czas nagli – do ataku na rodzinę SP pozostało trochę ponad dwadzieścia cztery godziny. Musieli jednak zachować ostrożność, więc pojechali do Fielda dłuższą drogą, rozglądając się za Braxton i Droonem, a także tajemniczą zieloną hondą.

Nie zauważyli żadnych zagrożeń i Russell skręcił wreszcie w ulicę, która miała ich zaprowadzić do domu profesora.

Okazało się jednak, że muszą pojechać okrężną drogą. Ulica była zablokowana przez akcję protestacyjną.

W Posiadłości Ashton czytał dzieciom przed snem dużo beletrystyki, ale też poznali w ten sposób bogatą historię demonstracji na uniwersytecie i w samym mieście. Głównymi motywami w latach sześćdziesiątych były prawa obywatelskie, wojna w Wietnamie i wolność słowa. Ostatnio znowu doszło do szeregu ostrych starć na tle politycznym, dotyczących właśnie wolności słowa.

Shaw dostrzegł jeden z transparentów.

NIE KORPORACYJNYM ZAPRZEDAŃCOM!

To był chyba temat przewodni kilku ostatnich dni.

Russell zaparkował lincolna na ulicy dwa skrzyżowania od domu Fielda, najprawdopodobniej zgodnie ze standardową procedurą swojej grupy. Wielki SUV pasował do tej okolicy jak kwiatek do kożucha. Większość tutejszych środków transportu stanowiły pojazdy hybrydowe, elektryczne albo napędzane ludzkimi mięśniami. Colter dostrzegł nawet kilka małych smartów, które przestano już produkować.

Berkeley. I wszystko jasne.

Bracia skręcili w boczną uliczkę. Szli kamienistą nawierzchnią jakieś pięćdziesiąt metrów, a potem przez furtkę w płocie weszli do ogrodu za domem Fielda i ruszyli w kierunku tylnych drzwi lekko krętą ścieżką z porośniętych mchem płyt chodnikowych. Dom wyglądał jak przeniesiony z małej wioski w środkowej Anglii. Brązowy siding, ciemnozielone okna, obramowania i drzwi. Ogród był bujniejszy i bardziej zadbane niż u Eleanor Nadler, matki Amosa Gahla.

Steven Field, pan z kozią bródką, zaprosił ich do kuchni pachnącej wypiekami. Był szczupły, miał łysinę i szarawą, bladą cerę, choć nie wyglądał na chorego. Prawdopodobnie niezbyt często wychodził z domu. Miał tu czym się zajmować – regały we wszystkich pomieszczeniach widocznych z kuchni, nie wyłączając sypialni, mieściły nie mniej niż pięć tysięcy starannie i równo ustawionych książek. Nawet w kuchni można było znaleźć sporo do czytania.

Kolega ojca miał na sobie wyprasowane szare, wełniane spodnie, białą koszulę, krawat i szary kardigan. Shaw odniósł wrażenie, że profesor ubiera się tak codziennie, bez względu na to, czy ma wykłady, czy też zostaje w domu.

Przeprosił ich, że nie mogą poznać jego żony; miała zajęcia ze studentami.

– Gertie też uczy na Berkeley. – Przymrużył oczy. – W zeszłym roku się ożeniłem. Z młodszą... o miesiąc! – Zachichotał.

Wszyscy trzej usiedli na wyściełanych fotelach w bibliotece; Field na tle wyłożonej ciemnym drewnem ściany udekorowanej fajansowymi talerzami z namalowanymi niebieską farbą widokami holenderskich domów, wiatraków i równinnych krajobrazów wiejskich.

Shaw i Russell podziękowali za napoje. Field pił herbatę z kubka, w którym nadal tkwiły dwie torebki; unosił się z niego ziołowy aromat.

Przyjrzał się gościom. Znowu usłyszeli, że są podobni do ojca i u każdego z nich można dostrzec niektóre cechy Ashtona, choć pod pewnymi względami się różnią.

– Wiadomość o śmierci Asha była bardzo przykra. To był jakiś wypadek?

– Zgadza się. – Nie było czasu wdawać się w szczegóły. Opowieść o tym, co się zdarzyło na Echo Ridge, mogłaby trwać parę godzin, a zegar odliczał czas pozostały rodzinie SP.

– Co za nieszczęście... A co u Mary Dove i Dorion?

– Wszystko w porządku.

O ile można tak powiedzieć w sytuacji, gdy obie musiały właśnie skorzystać ze swoich umiejętności survivalowych.

– Dorion wyszła za mąż i ma dwie córki.

– Och, cudownie. – Profesor obrzucił ich uważnym spojrzeniem. – Czym mogę wam służyć, panowie?

Shaw wyjaśnił, że odnaleźli stary dokument.

– Wielu ludzi chce go dostać w swoje ręce. Pamiętam, że całymi godzinami rozmawiał pan z Ashtonem na tematy z zakresu politologii, prawa i sprawowania władzy. Pomyśleliśmy, że może pomógłby nam pan zrozumieć, co to jest i dlaczego ten papier jest taki ważny.

– Ash chyba nie wykładał politologii, ale to była jedna z jego pasji, a u waszego ojca to zawsze oznaczało pasję przez duże P.

Shaw wyjął z plecaka orzeczenie sędziego i podał profesorowi.

Zanim Field zaczął czytać, obrócił kartkę w rękach i uniósł do światła.

– Oryginał.

– Zgadza się. Tysiąc dziewięćset szósty rok.

– Napisany na maszynie. Wtedy sporządzano tak większość urzędowych dokumentów. Ludzie uważali maszyny do pisania za nowoczesny wynalazek. – Profesor wyjął okulary i odsunął kubek z herbatą, żeby nie doszło do żadnego wypadku. Czytając, mówił z roztargnieniem: – Wiedzieliście, że pierwszą elektryczną maszynę do pisania zbudował Edison w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku? Zastosowano ją jako automat taśmowy do informowania o notowaniach giełdowych i...

Nagle urwał i wpatrywał się w kartkę szeroko otwartymi oczami.

– Panie profesorze? – odezwał się Shaw.

Field chyba go nie słyszał. Zerwał się na nogi, po czym zdjął z półki starą książkę oprawioną w skórę. Otworzył ją i w najwyższym skupieniu przeczytał jakiś fragment. Następnie zamknął tom i wziął drugi. Przerzucił kilka stron i nadal stojąc, wodził palcem po kartce.

Wreszcie stłumił okrzyk zdumienia i wstrząśnięty szepnął:

– Jezu Chryste...

Field zaprowadził braci do kuchni.

– Potrzebny będzie większy stół.

Uprzątnął okrągły blat z kwiatów i książek kucharskich, po czym zaczął znosić tomy ze swojej biblioteki i układać w stertę na stole.

– Może panu pomożemy? – zaproponował Shaw.

Profesor nie odpowiedział. Był pogrążony w myślach – i wyraźnie poruszony.

Russell przejechał dłonią po brodzie i razem z bratem przyjrzał się tytułom książek, które Field przynosił z regałów. Wszystkie traktowały o historii Kalifornii.

W ostatniej partii znalazły się księgi prawnicze, zbiory orzeczeń sądów w tym stanie, a także Sądu Najwyższego, *Supreme Court Reporter*.

Field nie odzywał się ani słowem. Przeglądał kolejne fragmenty, niektóre zaznaczał samoprzylepnymi kartkami, inne chyba streszczał, zapisując coś w żółtym notatniku. W końcu odchylił się na krześle i mruknął pod nosem:

– To prawda. Niemożliwe, a jednak...

– Panie profesorze? – Shaw zaczynał się niecierpliwić i czuł, że Russell też.

Patrząc na poświadczenie wyniku głosowania jak na tykającą bombę, Field powiedział:

– Kalifornia zawsze miała system demokracji bezpośredniej, w którym to sami obywatele przyjmują albo odrzucają prawa, łącznie z poprawkami do stanowej konstytucji. Gubernator i legislatura zatwierdzają przedmiot referendum i sprawa od razu trafia pod głosowanie. Jeśli większość jest za, zmianę wprowadza się do konstytucji. Żadne inne kroki nie są konieczne.

Na scenę wkracza Roland C.T. Briggs. W tysiąc dziewięćset szóstym – Field stuknął palcem w oprawiony w skórę tom, na którego grzbiecie i okładce złotymi literami było wytłoczone to nazwisko – osobiście zamówił tę biografię. Nie okazała się bestsellerem. Ze względu na, powiedzmy, mało atrakcyjną tematykę. Jako współautora powinien był wpisać własne ego. Briggs był baronem kolei i nieruchomości. Typowy przedstawiciel swoich czasów: ukradł ziemię rdzennym Amerykanom, kazał pracownikom harować do upadłego, nielegalnie doprowadzał konkurentów do upadku, monopolizował branżę. Nie zamierzam nawet wspominać o jego grzeszkach w życiu osobistym.

Shaw natychmiast pomyślał o Devereux.

– Jego prawnicy przygotowali projekt Propozycji Zero Sześć. Była pełna niejasnych zmian w przepisach dotyczących handlu i podatków. Briggsowi i jego współpracownikom prośbą

i groźbą tudzież łapówkami udało się skłonić zgromadzenie stanowe i gubernatora do zarządzenia referendum. I tak sprawa trafiła pod głosowanie. Na tym jednak nie poprzestał. Wykorzystał swoją machinę polityczną, żeby zmuszać ludzi do głosowania za Propozycją – i prawie mu się udało, ale przegrał o włos. Wszyscy sądzili, że to koniec sprawy. Okazuje się jednak – według tego, co znaleźliście – że nie, że poprawka przeszła. – Wskazał głową na orzeczenie o wyniku głosowania. – Przypuszczam, że ktoś zauważył jakieś nieprawidłowości w dwunastym okręgu. To San Francisco. Może trafiono na nowe karty do głosowania albo znaleziono duplikaty czy dowody na fałszerstwo. W każdym razie ktoś musiał złożyć skargę, więc sąd okręgowy nakazał ponowne przeliczenie i zatwierdził nowe wyniki, a to wystarczyło do przyjęcia poprawki konstytucji. Tyle że nigdy nie weszła w życie.

– Dlaczego?

– Z powodu trzęsienia ziemi. Spójrzcie na datę orzeczenia o wynikach referendum. Siedemnasty kwietnia. Ziemia zatrzęsała się nazajutrz o piątej rano. Zniszczeniu uległo wiele budynków administracji i dokumentów, zginęły dziesiątki urzędników. Jedną z ofiar był sędzia Selmer Clarke. W chaosie i ruinach nikt nie myślał o ponownym przeliczeniu głosów, więc nikt nie wiedział, że Propozycja przeszła. Briggs prawdopodobnie chciał jeszcze raz zgłosić wniosek o przeprowadzenie referendum, ale niedługo potem zmarł – podobno na syfilis – i kwestia poprawki konstytucyjnej przepadła.

– Wobec tego skąd ta reakcja „Jezu Chryste!”? – spytał Shaw.

– Propozycja Zero Sześć zawierała kilkadziesiąt stron, ale Briggsa nie obchodziło dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych regulacji. To była jedynie zasłona dymna, żeby nikt nie skupił uwagi na jedynym warunku, na którym mu zależało. Na ustępie piętnastym.

Field otworzył jedną z książek i przerzucił zalatujące stęchlizną kartki.

– Tutaj. – Podsunął tom braciom.

Propozycja 06

Ustęp 15. Do artykułu Konstytucji Stanu Kalifornia, który wskazuje wymagania dla osób sprawujących urzędy w Stanie, wprowadza się następujące zmiany:

Aby sprawować urząd publiczny w Stanie, każda osoba:

- 1. musi być mieszkańcem Kalifornii od lat pięciu przed wyborem lub mianowaniem,*
- 2. musi mieć ukończone lat 21 oraz*
- 3. musi posiadać obywatelstwo Stanów Zjednoczonych od lat dziesięciu, jeśli jest osobą fizyczną.*

Shaw i Russell przeczytali fragment, po czym obaj spojrzeli pytającym wzrokiem na profesora.

– Wyjaśnię. Jak wszyscy potentaci biznesowi w tamtych czasach Briggs nie cierpiał marksizmu i rozwijającego się ruchu komunistycznego, które wszystkie nieszczęścia tego świata wiązały z uciskającymi klasę robotniczą posiadaczami środków produkcji. Lenin miał wywołać rewolucję w Rosji dopiero dziesięć lat później, ale już wcześniej pojawiło się mnóstwo sygnałów, że nadchodzi nowa forma władzy w postaci komunizmu.

Briggs – i spora grupa jego „towarzyszy”, że użyję tego słowa – chciał zawiązać przeciwstawny ruch, a mianowicie powiązać władzę z kapitalizmem, i stąd ta inicjatywa. – Znowu postukał palcem w książkę, w której zawarto tekst Propozycji Zero Sześć. – Nie zauważyliście w tych słowach niczego dziwnego? – spytał szeptem Field. – Niczego osobliwego? Rewolucyjnego?

Russell posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Może w trzecim wymogu? – podpowiedział profesor.

Nagle Shaw zrozumiał.

– Nie wierzę – szepnął.

– Ależ tak – odparł Field. – Ta poprawka daje korporacjom prawo kandydowania na urząd i sprawowania władzy w Kalifornii.

49

Nieemożliwe – powiedział Russell.

– Jak najbardziej możliwe – odparł profesor. – To jeden z najsprytniejszych zamachów stanu w historii. I najbardziej wywrotowych.

Przesunął palcem po orzeczeniu o wyniku referendum, ale szybko cofnął rękę, prawdopodobnie uświadamiając sobie, że to oryginalny historyczny dokument.

– Przecież tu nie ma mowy o korporacjach – zauważył Russell.

Dzięki swojemu doświadczeniu prawniczemu Shaw mniej więcej rozumiał konsekwencje, jakie ma proponowana zmiana prawa.

– Owszem, jest.

Field skinął głową.

– Masz rację, Colter. Wyjaśnię. – W oczach profesora dostrzegli lęk, a jednocześnie podziw dla autorów pomysłu. – Przeczytajcie to jeszcze raz.

Bracia spełnili prośbę.

– Po pierwsze, aby sprawować urząd, osoba musi mieszkać w Kalifornii przez pięć lat. Zgodnie z utrwalonym orzecznictwem mieszkańcami stanów mogą być spółki, a nawet muszą – do celów podatkowych. Po drugie, osoba musi ukończyć dwadzieścia jeden lat. Łatwo obronić tezę, że wiek spółki należy liczyć od daty jej zarejestrowania. Och, a punkt trzeci... – Field powiedział to, jak gdyby chodziło o magiczne zaklęcie. – Punkt trzeci jest kluczowy. Aby sprawować urząd publiczny, osoba musi być obywatelem Stanów Zjednoczonych od dziesięciu lat, ale tylko jeśli jest osobą fizyczną, nie prawną. Korporacji ten warunek nie dotyczy. Czyli żeby sprawować urząd w Kalifornii, korporacja musi być mieszkańcem Kalifornii od pięciu lat i być zarejestrowana co najmniej dwadzieścia jeden lat wcześniej.

Patrząc na kartkę z orzeczeniem sędziego, Russell stwierdził:

– Przecież ten papier ma ponad sto lat. Nie może nabrać mocy prawnej.

– Może – odrzekł Field. – To już jest prawo.

Shaw zmarszczył brwi. Przekraczało to jego kompetencje prawnicze.

– Te zmiany wprowadzono do konstytucji w tysiąc dziewięćset szóstym, w chwili przyjęcia propozycji w głosowaniu. Gubernator i zgromadzenie stanowe nie muszą niczego zatwierdzać. Poprawka ma moc prawną od stu dziesięciu lat. Tylko nikt o tym nie wie.

Russell z kamienną twarzą patrzył przez okno.

– To jeszcze nie wszystko. – Wyraz twarzy profesora zdradzał jego zdenerwowanie.
– Niech pan mówi – poprosił Shaw.
– Dzisiaj każdy obywatel Stanów Zjednoczonych może kandydować na urząd w Kalifornii, chyba że został skazany za przestępstwo albo wyklucza go limit kadencyjności. Prawo nie wymaga od kandydata obywatelstwa przez żaden okres. – Stuknął palcem obok kartki z orzeczeniem. – Tu jednak jest mowa o dziesięciu latach.
– Czyli to by skutkowało dymisją... setek ludzi, którzy teraz pełnią funkcje publiczne? – domyślił się Shaw.

Field pokiwał głową.

– Trzeba będzie rozpisać wybory wyjątkowe albo mianować nowych ludzi na te wszystkie stanowiska.

Shaw spojrział na brata, który najwyraźniej pomyślał o tym samym co on.

– Szuka tego pewien człowiek – zwrócił się do Fielda Colter. – Jonathan Stuart Devereux.

Mina profesora świadczyła o tym, że doskonale wie, o kogo chodzi.

– Devereux, no oczywiście, mózg międzynarodowych konglomeratów i mistrz przejmowania spółek. Jak się nazywa jego firma? Nie pamiętam.

– Banyan Tree.

– Tak, rzeczywiście. Czyli to nasz dzisiejszy Roland C.T. Briggs. Naturalnie, że chce zdobyć to orzeczenie. Devereux może stanąć ze swoją firmą do każdego wyborów w stanie i zaangażować w kampanię wszystkie środki firmy. Na własną kampanię wyborczą można wydać, ile się tylko chce i może, ograniczenia dotyczą tylko darowizn osób trzecich. Jak można wygrać z kontrkandydatem, którego stać na wydanie miliarda dolarów? – Profesor pokręcił głową. – Zwróćcie uwagę na to sformułowanie w Propozycji Zero Sześć: mowa o „sprawowaniu” urzędu, nie o kandydowaniu w wyborach. Spółka może być mianowana na stanowisko szefa stanowej agencji ochrony środowiska, urzędu podatkowego, urzędu imigracyjnego, komisji planowania przestrzennego, nadzoru finansowego, szeryfa, sędziego. Boże, Devereux mógłby wydzielić spółki córki i każda z nich ubiegałaby się o urząd. Ostatecznie mógłby kontrolować legislaturę, stanowiska sędziowskie, stanowy sąd najwyższy. Gdyby nawet jego firmy nie ubiegały się o urzędy, to mógłby grozić innym kandydatom, zmusić ich do przyjęcia stanowisk, jakich będzie sobie życzył, w zamian za to, że nie zmiażdży ich w wyborach.

– Obawiam się, że chodzi o coś jeszcze – odezwał się Russell.

Field westchnął i przygotował się psychicznie na ciąg dalszy.

Wiadomość przekazał mu Shaw:

– Przez kilka ostatnich lat Devereux jak szalony kupował firmy. Przejął prawie sto pięćdziesiąt spółek w Kalifornii. Na pewno powstały ponad dwadzieścia jeden lat temu, żeby spełniały warunek odpowiedniego wieku.

– Boże... Wie, że członkowie zgromadzenia i senatorowie stracą fotele. Na ich miejsca będą kandydować jego firmy, uzbrojone w cały majątek Banyan Tree. Ze względu na

warunek posiadania obywatelstwa z urzędów zostaną usunięci przedstawiciele mniejszości – Azjaci, Latynosi, ludzie, którzy walczyli o równość praw w tym stanie. Kiedy ich nie będzie, a warunki zaczną dyktować Devereux... Nie wyobrażam sobie, co się stanie. To będzie powrót do czasów sprzed ustawy o prawach obywatelskich.

Shawowi przyszło na myśl, że nazwa „Przełomowa Sankcja” wcale nie musi być przypadkowo wybranym kryptonimem. Pierwsze słowo mogło dotyczyć dojścia do władzy spółek należących do Devereux. A „sankcję” paradoksalnie można było rozumieć w obu znaczeniach. Banyan Tree dostałoby zezwolenie na pełną swobodę działania i... prawo do wymierzania kar.

– Tylko jak to by miało wyglądać? Kto właściwie zasiadałby w zgromadzeniu stanowym?

– Owszem, są pewne problemy praktyczne – odrzekł Field. – Ale do rozwiązania. Prezes albo udziałowcy mogliby wyznaczyć swojego reprezentanta.

– Przecież to trafi do sądu – zauważył Shaw.

Russell odchylił się na krześle.

– To musi zostać uchylone.

Field patrzył przez okno na jakiś intensywnie czerwony kwiat. Cała okolica zatoki San Francisco była wieczną cieplarnią.

– Życzyłbym sobie tego, ale wcale nie mam pewności, czy to by się udało. Był w naszej historii okres, gdy taki porządek mógł zaistnieć. Twórcy państwa w swojej mądrości wyraźnie jednak oddzielili korporacje, które zarządzają miastami i wypełniają obowiązki wobec obywateli, od korporacji nastawianych wyłącznie na zysk, którym przypisywali skłonności drapieżcze. Brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską uważali za *imperium in imperio*, czyli imperium wewnątrz imperium. Do takich rozwiązań odnosili się nieufnie.

Korporacje zaczęły jednak rosnąć w siłę, a ich właściciele ze swoimi prawnikami uznali, że korzystnie będzie, cytuję, „odgrywać rolę” ludzi, żeby we własnym imieniu wnosić sprawy do sądu. W końcu rząd federalny i wszystkie stany uchwaliły, że w oczach prawa pojęcie „osoba” obejmuje także korporacje.

Ta ekspansja wcale się nie kończy. Kilka lat temu mieliśmy sprawę Citizens United. Sąd Najwyższy orzekł, że korporacjom, tak jak ludziom, przysługuje prawo wynikające z Pierwszej Poprawki do finansowania kampanii wyborczych. Zdaniem niektórych ta decyzja może otworzyć im drzwi do czegoś więcej niż korzystanie z wolności słowa. – Field znalazł duży tom w twardej żółtej oprawie, *Supreme Court Reporter*, i przekartkował gęsto zapisane strony. – Coś wam przeczytam. To fragment zdania odrębnego zgłoszonego przez sędziego Stevensa w sprawie Citizens United.

„Korporacje nie mają sumienia, przekonań, uczuć, myśli ani pragnień... Nie są członkami narodu, przez który i dla którego została uchwalona Konstytucja... Opinia Sądu stanowi w gruncie rzeczy odrzucenie zdrowego rozsądku narodu amerykańskiego, który od powstania państwa dostrzegał potrzebę powstrzymania korporacji przed podważaniem zasad

samorządności i który od czasów Theodore'a Roosevelta walczy ze skłonnościami korupcyjnymi korporacji angażujących się w agitację wyborczą”.

Field zamknął księgę.

– Czyli jakiś sprytny prawnik mógłby twierdzić, że sprawowanie publicznego urzędu jest formą korzystania z wolności słowa i praw wynikających z Pierwszej Poprawki – powiedział Shaw.

– Och, bez trudu potrafię sobie wyobrazić taką tezę. Pojawią się też inne. – Profesor spojrzął na Russella. – A więc czy to prawo może zostać uchylone? Któż to wie? Ale ręczę, że Devereux wpompuje ogromne kwoty w lobbing na rzecz korzystnych dla siebie rozwiązań. Nie zdziwiłbym się też, gdyby sięgnął po groźby i przekupstwo, żeby ta poprawka obowiązywała.

Idealne zadanie dla BlackBridge.

– A to dopiero początek. Devereux na pewno ma plany opanowania innych stanów.

– Człowiek, który chce być królem – stwierdził Shaw. Russell dostrzegł jego spojrzenie i skinął głową.

Przed przeprowadzką do wolnej od mediów elektronicznych Posiadłości bracia oglądali telewizję. Pewnego wieczoru widzieli stary film pod tytułem *Człowiek, który chciał być królem* na podstawie opowiadania Rudyarda Kiplinga. Była to historia dwóch byłych żołnierzy armii brytyjskiej, którzy wyruszają do Indii i Afganistanu z ambicjami sugerowanymi w tytule.

– To właśnie Devereux – mruknął Field.

– Znamy już jego plan – stwierdził Russell. – Chce, żeby jego firma wygrała wybory.

Shaw przypomniał sobie notatki znalezione w torbie kurierskiej: projekty likwidujące przepisy o ochronie środowiska, plany deregulacji bankowości, zmiany zapisów o warunkach pracy, prawach obywatelskich. Wtedy niewiele z tego rozumiał. Teraz ich sens stał się przerażająco jasny. Powiedział o nich Fieldowi, który przyjął tę wiadomość z grymasem obrzydzenia.

– Nasz kraj ma dwieście pięćdziesiąt lat. Pod pewnym względem to dużo, ale żadne państwo nie istnieje wiecznie, a więcej rządów obalono w wyniku wewnętrznego przewrotu niż inwazji. – Z pogardą spojrzął na kartkę z orzeczeniem o wynikach referendum.

Shaw wsunął ją do koperty i schował w plecaku.

– Co... – Field odchrząknął. – Co zamierzacie z tym zrobić?

Colter jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Zerknął na brata, który wzruszył ramionami.

Profesor odprowadził ich do tylnego wyjścia. Zanim otworzył drzwi, obrzucił uważnym spojrzeniem obu braci. Miał poważny wzrok i nastroszone brwi.

– Czy Devereux wie, że to macie?

– Tylko się domyśla.

– Wobec tego moim zdaniem macie dwa wyjścia. Jedno: przekonać go, że tego nie odnaleźliście. Ukryjcie to gdzieś. I módlcie się, żeby przestał szukać i nigdy nie znalazł.

- A drugie?
- Owszem, ta poprawka została przyjęta, ale przypuszczam, że gdyby ludzie znali prawdę, to nie głosowaliby za nią, dlatego posłuchajcie: jako Amerykanie i zwolennicy demokracji powinniście rozpalić ognisko i wrzucić do niego ten przekłety papier.

North Beach.

Perła w koronie miasta wznosząca się nad Chinatown, zamieszkiwana głównie przez Amerykanów włoskiego pochodzenia. Ze względu na bliskość portu na jej południowym krańcu działała niegdyś chyba najbardziej osławiona dzielnica czerwonych latarni spośród wszystkich miast na wybrzeżu Pacyfiku, Barbary Coast.

Trwalsze ślady pozostawiła tu bohema, kwitnąca w dzielnicy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. North Beach to była muzyka folkowa grana w klubie Hungry, trawka, humor rodem z magazynu „Mad”, działająca od ponad pół wieku księgarnia City Lights, założona i prowadzona przez poetę Lawrence’a Ferlinghettiego, który uczynił z niej epicentrum ruchu bitników. Dzielnica miała też swój frywolny, choć gustowny akcent – w North Beach znajdował się Condor Club, lokal dla panów, który wiele razy zmieniał profil i zyskał międzynarodowy rozgłos jako miejsce występów słynnej Carol Dody.

Shaw przystanął na szczycie wzniesienia, by złapać oddech. Grant nie była najbardziej stromą ulicą w San Francisco, ale należała do tych szczególnie pochyłych. Skręcił w prawo i szedł dalej, dopóki nie dotarł do witryny antykwariatu Davis & Sons Rare Books and Antiquities.

Gdy wszedł do środka, zaanonsowany dźwiękiem staroświeckiego dzwonka, przywitał go zapach, który natychmiast przeniósł go do chaty w głębi puszczy, gdzie dorastał ze swoim rodzeństwem. Uciekając znad zatoki na pogórze Sierra Nevada, Ashton i Mary Dove zabrali ze sobą dosłownie tonę wszelkiego rodzaju książek, przede wszystkim w twardych oprawach. Trudno było zapomnieć tę woń papieru, kartonu, skóry, kleju i stęchlizny, równie intensywną, jak ta, która go teraz zewsząd otoczyła.

Rozejrzał się po dużym, szczelnie wypełnionym książkami sklepie. Wszystkie półki wypełniały woluminy uporządkowane według przedziwnych kategorii.

Beletrystyka szkocka, 1700–1725

Literatura faktu, brytyjska krytyka literacka, 1800–1810

Poezja karaibska, 1850–1875

I tak dalej.

Młody mężczyzna za ladą rozmawiał przez telefon i na widok Shawa uśmiechnął się i uniósł palec na znak, że za momencik skończy.

Colter skinął głową i rozejrzył się po antykwariacie. Prócz książek można tu było kupić przybory i materiały do pisania i rysowania pochodzące sprzed setek lat. Podeszedł do gabloty z piórami wiecznymi, a nawet gęsimi. Zobaczył też zabytkowe notatniki, dawne wersje tego, w którym robił notatki podczas spotkania z Marią Vasquez, gdy podjął się odnalezienia Tessy.

Sprzedawca zakończył rozmowę i podeszedł do niego.

– Dzień dobry.

Shaw odpowiedział skinieniem głowy. Sklep niewątpliwie wyglądał jak z epoki Dickensa, ale sprzedawca nie przypominał Olivera Twista ani Pipa. Miał modnie ułożone i usztywnione pianką włosy, nosił kolczyk, a jeśli dochody sklepu pozwoliły mu na kupno tej białej koszuli, krawatu w kwiaty i czarnych spodni, to Shaw miał przed sobą jasny dowód, że branża antykwaryczna doskonale prosperuje.

– Interesuje pana coś z gabloty? – Młody człowiek wy dobył klucz.

– Być może. Ale przede wszystkim interesuje mnie oprawa.

Wyjął z plecaka szarą kopertę. Wewnątrz był narysowany przez niego szkic przedstawiający szczyty gór Sierra Nevada widziane z Echo Ridge. Odziedziczył po ojcu charakter pisma i umiejętności kartograficzne, był więc całkiem niezłym artystą.

Sprzedawca włożył białe płócienne rękawiczki i wziął rysunek.

– Nieźle.

Odwrócił kartkę, zerkając na fragment maszynopisu na odwrocie.

W sprawie wyników referendum w Dwunastym Okręgu Wyborczym w związku z Propozycją 06 poddaną pod głosowanie Obywatelom Stanu Kalifornia, ja, Selmer P. Clarke, sędzia sądu okręgowego, stwierdzam, co następuje:

– Och, to nic ważnego. Mój ojciec znalazł tę kartkę w jakiejś stercie makulatury w pracy i zrobił na niej ten szkic.

Mężczyzna, który być może nazywał się Davis, odwrócił ją z powrotem, nie doczytując do końca dokumentu o rewolucyjnym znaczeniu. Następnie wziął lupę i obejrzał arkusz. Wreszcie go odłożył.

– Chce pan to oprawić, ale też ochronić.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Otóż do połowy dziewiętnastego wieku papier wytwarzano głównie ze szmat, zwykle sposobem mechanicznym. To oznaczało, że składał się z długich włókien, był mocny i wolny od chemikaliów. Później zaczęto produkować ścier metodami chemicznymi, przy użyciu kleju kalafoniowego z ałunem, a potem oczywiście pojawił się kwas siarkowy.

Do tego ma pan jeszcze tlenki azotu, kwas mrówkowy, octowy, mlekowy i szczawiowy. Powstają z samej celulozy. Boże, nie wspomnieliśmy nawet o zanieczyszczeniach powietrza i wody w wytwórni.

Shaw słuchał, nie mając pojęcia, jaki może być cel tego wykładu.

– Innymi słowy, jeśli mam to oprawić, to mogę też zrobić coś, żeby zabezpieczyć tę kartkę, bo zwykły plastik nie uchroni jej przed degradacją. Wymagałoby to pełnej redukcji i usunięcia kwasów.

– Ile miałbym czasu?

– Słucham?

– Śpieszę się, więc gdyby pan włożył ten rysunek w normalną oprawę, to kiedy ulegnie degradacji?

Młody człowiek skrzywił twarz, jak gdyby właśnie miał mu przekazać złą wiadomość. Zaczerpnął tchu.

– W najlepszym razie? Na moje oko za jakieś dwieście lat.

Shaw przypuszczał, że w antykwarycznym świecie ta diagnoza jest odpowiednikiem sytuacji, w której lekarz unosi wzrok znad ekranu rezonansu magnetycznego i mówi: „We wtorek nie będzie pan już żył”.

– Wobec tego wybieram plastik.

– Aha. Hm. Klient ma zawsze rację.

Chociaż w rzeczywistości mówił: to jest pański pogrzeb.

51

O dwudziestej pierwszej piętnaście Colter Shaw zatrzymał yamahę w samym środku Haight-Ashbury. Na głęboką ironię zakrawał fakt, że dzielnica nazwana na cześć dwóch żarliwych dziewiętnastowiecznych kapitalistów była kolebką Diggerów, jednego z najbardziej wpływowych lewicowych ruchów w historii kraju. Właśnie tu objawili się światu hipisi i wybuchło Lato Miłości tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku.

Niedaleko stąd był supermarket Whole Foods, ale ten ostatni przejaw oświecenia estetyczno-ekonomicznego nie dotarł jeszcze na ulicę, na której Shaw zaparkował. Tu królowały zamknięte na głucho metalowe żaluzje z warstwami farby grubymi jak na płótnie Leonarda da Vinci, chroniące studio tatuażu, salon manicure'u i pedicure'u, sklepik spożywczy oraz – nie do wiary – staroświecki zakład szewski. Nad wejściem wisiał namalowany w sepii damski botek na guziki.

Shaw przypiął motocykl łańcuchem. Przez chwilę stał i oglądał wielki, stary budynek z czerwonej cegły z nową metalową tablicą zawieszoną na froncie.

Klub mieścił się w dwupiętrowej dawnej fabryce. W mury z brudnej cegły wstawiono okna, które zostały zamalowane. Jak wyjaśniała nazwa, na początku dwudziestego wieku produkowano tu wyroby ze stali. Jedynymi oznakami tego, co działo się wewnątrz, była kolejka ludzi czekających przed wejściem i rytmiczny łomot basu, atakujący uszy każdego przechodnia w promieniu dwudziestu metrów od budynku. Colter Shaw przyjrzał mu się chłodnym okiem i doszedł do wniosku, że to istne piekło.

W czasach, gdy mógłby włączyć się po klubach, trenował zapasy na Uniwersytecie Michigan, uczył się do zajęć i brał udział w biegach na orientację na Półwyspie Górnym albo jeździł pod namiot z jedną ze swoich dziewczyn, które podzielały jego zamiłowanie do spędzania czasu na świeżym powietrzu.

Zapiął skórzaną kurtkę, po czym minął tłum czekający na wpuszczenie do środka i podszedł do wejścia, gdzie na taborecie siedział chudy, tyczkowaty mężczyzna z szopą rudych włosów.

Niektórzy z trzydziesto- czy czterdziestoosobowej kolejki rzucali mu wściekłe spojrzenia. Większość z nich miała po dwadzieścia kilka lat. Obowiązujący strój składał się z dżinsów albo spodni bojówek, bluz dresowych, bluzek bez rękawów, spłowiałych mokasynów lub glanów. Tu i ówdzie pojawiała się imponująca broda, ale w odróżnieniu od zarostu Russella wszystkie wyglądały na wymodelowane. Na ozdobieniu tego tłumu barwnymi dziarami

tatażyści musieli zarobić tysiące dolarów. Shaw wyczuł, że woda i mydło nie należą tu do artykułów pierwszej potrzeby.

– Muszę tam kogoś znaleźć – poinformował bramkarza.

– Musisz czekać. Mamy komplet.

Shaw parsknął śmiechem.

Chudzielec zmierzył go pytającym wzrokiem.

– Nie. Macie nadkomplet. Ile tu jest drzwi ewakuacyjnych?

Wyjścia mają zasadnicze znaczenie dla survivalowca, zwłaszcza ewakuacyjne. Prawdopodobieństwo, że trzeba będzie uciekać przed mordercami, terrorystami, porywaczami albo niedźwiedziem, było nikłe, należało się jednak liczyć z ewentualnością ratowania się przed wysoką falą płomieni o temperaturze tysiąca stopni.

– Kim ty niby jesteś?

– To nie potrwa długo. – Shaw ruszył do środka. Mężczyzna, który stał następny w kolejce przed wejściem, krzyknął:

– Ej, tu jest kolejka! Nie ryc się!

Rzucił się naprzód, usiłując złapać Shawa za rękę. Colter zatrzymał się i utkwiał w nim wzrok. Facet znieruchomiał.

– Naprawdę powiedziałeś „nie ryc się”? – Odwrócił się do jego dziewczyny. – Naprawdę powiedział „nie ryc się”? Jesteśmy w szkolnej stołówce?

Mężczyzna zaczerwienił się i wycofał się z grymasem na twarzy. Dziewczyna mruknęła do niego cierpkim tonem:

– Mówiłam, żebyś nie zachowywał się jak dupek.

Obronę zamku wziął na siebie bramkarz.

– Nie możesz wejść. Już mówiłem. – Podniósł się z taboretu. Nosił na biodrze pałkę teleskopową. Shaw kiedyś taką dostał. Naprawdę bolało.

Przyjrzał się chudemu mężczyźnie.

– Chcę tylko zabrać swoją siostrzenicę i zaraz wyjdziemy. Ma szesnaście lat.

Bramkarz się zawahał. Omiótł wzrokiem chodnik.

– Ile?!

Starając się opanować szok, zajrzał do środka. Potem odwrócił się do Shawa.

– No dobra. Właż, zabierz ją. Tylko szybko.

Colter zanurzył się w gęstym, spoconym tłumie. Nie bardzo wiedział, jaki jest sens istnienia takiego miejsca. Grał disc jockey i niektórzy tańczyli albo wirowali na szerokim parkiecie. Wiele osób siedziało na krzesłach nie do kompletu, kanapach albo schodach czy drewnianych skrzynkach. Krzyczeli, pili, dmuchali dymem z papierosów elektronicznych, palili trawę. Parę osób leżało bez życia. Ktoś już zdążył zwymiotować; Shaw ostrożnie stawiał każdy krok.

Nie, pomyślał, to nie jest po prostu piekło, to dziewiąty krąg piekieł z Dantego – metafora wydała mu się tym bardziej trafna, że właścicielem klubu był niejaki Dante Mładić.

Okrążył salę obłąkanych, idąc pomiędzy spoconymi ciałami, starając się nie przepychać i robiąc uniki przed kilkoma pijanymi kobietami i jednym mężczyzną, którzy próbowali się do niego przystawiać.

Wreszcie w głębi dostrzegł dwoje drzwi.

Jego celem były te po prawej, bo na krześle siedział przy nich strażnik. Szczupły, mniej więcej trzydziestoletni, z kręconymi blond włosami i ostrymi jak brzytwa rysami twarzy. Garbił się nad telefonem, czytając coś na ekranie.

Colter chwiejnym krokiem zbliżył się do drzwi i nacisnął klamkę. Były otwarte, ale strażnik natychmiast zerwał się z krzesła i zatrzasnął je z powrotem.

– Co ty wyrabiasz?

– Muszę do kibla... – wybełkotał Shaw. Uznał, że całkiem dobrze mu to wychodzi. Jako łowca nagród musiał od czasu do czasu zagrać jakąś rolę.

– Tam. – Dryblas wskazał kciukiem.

– Nie, zepsuty. Coś się zepsuło. Chyba rura.

– Spierdalaj stąd. Każę cię wywalić. – Facet mówił tylko z lekkim bałkańskim akcentem.

– Do kibla – powtórzył Shaw, podszedł do drugich drzwi i znalazł się w pomieszczeniu biurowym, które było ciemne i puste.

– Co jest, kurwa... – Mężczyzna ruszył za nim.

– Do kibla – ciągnął swoją kwestię Shaw.

Gdy pięść strażnika wystrzeliła w kierunku jego splotu słonecznego, on z łatwością zrobił zwód i obniżył środek ciężkości ciała. Wykonał całkiem niezły rzut i sprowadził przeciwnika do parteru, prawą ręką sięgając mu między nogami do kręgosłupa. Na studiach trener mówił: „W tym sporcie nie ma miejsca na nieśmiałość. Jak jesteś za delikatny, żeby złapać gościa za klejnoty, to spróbuj raczej szermierki”.

Colter ugiął nogi, chwycił ochroniarza lewą ręką za kołnierz, uniósł go nad podłogę i mocno nim rzucił na dębowe deski; głowa uderzyła w twardą podłogę z hukiem, który wybrzmiał głośniejsz niż muzyka. Musiał obezwładnić przeciwnika, wpakował mu więc pięść w brzuch. Mocno, ale nic nie chrupnęło.

Zdążył się usunąć na bok, by wymiociny nie chlusnęły prosto na niego.

Z pewnością sięgającą stu procent właśnie dopuścił się nieuzasadnionej napaści (obawa przed atakiem) i pobicia (naruszenie nietykalności cielesnej oraz – w tym wypadku – rąbniecie głową o twarde podłoże i cios w brzuch).

Pozostawało pytanie: czy mógł to usprawiedliwić?

Uważał, że tak.

Znalazł się tu, ponieważ Mack w końcu namierzyła szarego minivana, w którym prawdopodobnie zniknęła Tessy Vasquez przy Ghirardelli Square. Idąc długim łańcuchem spółek zarejestrowanych za granicą, dowiedziała się, że samochód w rzeczywistości należy do firmy kierowanej przez Mladicia, właściciela klubu w San Francisco, podejrzanego o handel ludźmi i dystrybucję narkotyków.

Jego bazą operacyjną był właśnie ten klub, Stalownia.

Jeżeli leżący przed nim człowiek, który w tym momencie łapał oddech, nie był zamieszany w przestępstwa, to Shawowi groziły pewne konsekwencje. Nie miał jednak wyboru.

Przeszukał strażnika.

I odkrył dwie rzeczy. Pierwszą był glock 17, który wsunął za swój pasek. Drugą – informacja. W prawie jazdy widniało nazwisko Grego Mladić, a więc był to przypuszczalnie syn albo bratanek Dantego.

Właściwie to były trzy rzeczy.

W tylnej kieszeni spodni miał paczkę plastikowych opasek.

Shaw skorzystał z dwóch, by skrępować mu ręce i nogi.

Teraz do drzwi po prawej.

Otworzył je.

Wyjął broń i zaczął bezszelestnie schodzić po schodach do ogromnej piwnicy starego budynku, zalatującej pleśnią i olejem opałowym.

Łomot stóp na parkiecie nad nimi już ucichł. Wszyscy się ewakuowali. Jedynym odgłosem wokół nich był huk płomieni.

Shaw odwrócił się do dziury wybitej w gipsowej płycie i powiedział do Nity:

– Teraz szybko na górę. Na pewno jest tam już policja.

– A co z tobą?

Uśmiechnął się do niej.

– Jeszcze nie.

Zrobił w tył zwrot i pobiegł na drugi koniec korytarza.

Odkąd zszedł do piwnicy klubu Stalownia, do której prowadziły drzwi po prawej, minęło dwadzieścia minut, a ogień z każdą chwilą się wzmacniał – wzniecony przez ludzi z pomieszczenia z telewizorem, zapewne na rozkaz Dantego Mladicia, by zniszczyć obciążające ich dowody w biurze.

Mężczyzn z pomieszczenia z telewizorem już nie było, nie było też Nity.

Colter Shaw wiedział jednak, że nie jest tam sam.

Krztusząc się i zasłaniając usta brzegiem koszuli, przedarł się na drugi koniec głównego korytarza.

Wydawało mu się, że z daleka dobiega ryk syren, chociaż przez szalejący pożar trudno było cokolwiek usłyszeć.

Na końcu korytarza skręcił w odnogę po prawej. Wyjął latarkę i pobiegł naprzód. Dzięki temu, że tupot na górze ustał, a on oddalił się od płomieni, wyraźnie usłyszał głucho uderzenia i stłumiony krzyk:

– Pomocy! Zabierzcie mnie stąd! Błagam!

Nie mógł wyważyć drzwi kopniakiem – otwierały się na zewnątrz – jeszcze raz zastosował więc sztuczkę z nożem. Spieszył się i po trzydziestu sekundach drzwi były otwarte.

Uniósł latarkę, by oświetlić twarz Tessy Vasquez. Krzyknęła i skulona odsunęła się w głąb pomieszczenia. Wciąż miała na sobie to samo, co na wideo nakręconym przed sklepem z pamiątkami – czerwoną bluzkę i szeroką, długą spódnicę.

– Tessy, nie bój się. Przysłała mnie twoja matka.

– Matka?

Miał otwarty nóż, więc przeciął nim opaskę na jej kostkach.

– Tędy, chodź.

Pochylając głowy i kaszłąc, oboje wyszli z pomieszczenia.

– Tu są ludzie z bronią!

– Już ich nie ma.

Zataczała się lekko na nogach, które z powodu długiego siedzenia w piwnicy odwykły od ruchu.

Doszli do skrzyżowania i znaleźli się w głównym korytarzu.

Shaw zobaczył, że droga ewakuacyjna przestała istnieć.

Ogień szalał już od ściany do ściany. Stali naprzeciw gigantycznej, sięgającej od posadzki do sufitu zapory ogniowej, która wolno sunęła w ich stronę.

Wkrótce z braku tlenu stracą przytomność.

Shaw zerknął na Tessy, która płakała.

Wskazał na pomieszczenie, które wcześniej było celą Nity.

– Znajdź tam jakąś szmatę albo papierowe ręczniki, zmocz wodą z butelki i zakryj twarz. Schyl się.

Ashton uczył dzieci, że mokra szmata dobrze chroni przed dymem, ale to mit, że lepszym płynem do nasączenia szmaty jest mocz. Ten pomaga się uchronić, choć tylko nieznacznie, przed gazowym chlorem.

– Umrzemy!

– Zrób, co mówię.

Powlokła się do pomieszczenia, spazmatycznie kaszłąc.

Shaw podszedł jak najbliżej płomieni, tam, gdzie jeszcze mógł wytrzymać żar. Wyjął zza paska glocka, którego odebrał strażnikowi na górze. To był pistolet większego kalibru, z dłuższą lufą, a w magazynku tkwiło więcej naboji.

Spojrzał w ogień i strzelił.

Potem drugi raz, trzeci.

Czwarty, piąty, szósty.

Dopiero siódmy pocisk trafił w cel: główny bojler w budynku. Piwnicą wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja, której towarzyszył potępiący wizg uciekającej pary.

Shaw dał nura do celi Nity. Od eksplozji dzieliła ich pewna odległość, mimo to uderzyła w nich gorąca i wilgotna fala, która wypełniła korytarz i wszystkie pomieszczenia. Przegrzana para w zamkniętym zbiorniku może osiągnąć wyjątkowo wysoką temperaturę, rzędu pięciuset stopni. Gdyby tak było, para mogłaby stopić płyty gipsowe jak papier gazetowy, a Shaw i Tessy zostaliby śmiertelnie poparzeni. On był jednak na dziewięćdziesiąt procent pewien, że stary bojler ogrzewa parę do standardowych stu stopni.

Colter podniósł się i wyjrzał na korytarz. Tańczyło jeszcze kilka płomieni, ale droga była wolna.

– Chodźmy. – Pomógł młodej kobiecie wstać. Ruszył przodem, a wcześniej zamienił broń strażnika na własną, na wypadek gdyby porywacze wrócili, chociaż wątpił, by tak się stało. Niedługo powinny się tu zjawić policja i straż pożarna, jeżeli jeszcze nie przyjechały.

Zerknął do biura i zauważył, że nie wszystko uległo zniszczeniu. Technicy kryminalistyki powinni zabezpieczyć wystarczająco dużo dowodów, by doprowadzić do skazania Mladicia.

Doszli do schodów i przystanęli. Usłyszeli kroki. Shaw uniósł pistolet.

Załawionymi oczami wpatrywał się w wypełniający piwnicę dym.

Ciężkie kroki były coraz bliżej.

Zdążył schować broń, zanim na schodach pojawili się strażacy, którzy stąpali wolno, obciążeni bojowym rynsztunkiem.

Jeden z nich zdjął maskę tlenową.

– Jest tu ktoś jeszcze?

– Nie. W pomieszczeniu biurowym jeszcze się pali. Pierwsze drzwi po prawej.

Inny strażak rozglądał się po piwnicy.

– Co tu się stało?

– Bojler wybuchł. I zgasił pożar.

– To się nazywa szczęście.

Kiedy ruszyli w głąb korytarza, Shaw dodał:

– Trzeba uratować komputer i papiery. Będzie je chciał zobaczyć prokurator okręgowy. – Zauważył jeszcze, jak strażak odwraca głowę w jego stronę, a potem razem z Tessy zaczął wchodzić po schodach.

Siedzieli na kanapie w mieszkaniu w Pacific Heights.

Colter i Tessy byli sami. Russell obserwował dom przy Alvarez Street, starając się namierzyć i zidentyfikować blondynkę w zielonej hondzie. Poinformował, że na razie niczego nie widział. Shaw wysłał do brata wiadomość, że odnalazł i uratował zaginioną.

Każde z nich spędziło trochę czasu w łazience, by zmyć z siebie pot i sadzę, ale ubrania i włosy wciąż mieli przesiąknięte zapachem dymu.

Tessy piła herbatę. Ashton był jej wielkim amatorem i widocznie to zamiłowanie przejął po nim starszy syn. W domu było sporo podstawowych rodzajów, między innymi english breakfast i parę herbatek ziołowych. Tessy wybrała rumianek. Shaw był pewien, że nie wypił ani jednego kubka herbaty od pięciu czy sześciu lat.

Młoda kobieta opowiadała, co się stało, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem. Jak domyślili się Shaw i Russell, porwali ją mężczyźni z szarego minivana.

– Czy jakiś udział miał w tym Roman?

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Tak, to on za tym stał. Był na mnie wściekły, kiedy mu powiedziałam, że nie będziemy się spotykać, dopóki nie przestanie brać. Nie chciałam z nim być, ale pomyślałam, że może z tym skończy i stanie się kimś lepszym. To jednak po prostu jest psychopata. Lubi krzywdzić innych.

– Sam był zaangażowany w handel ludźmi?

– Na pewno. On i ten właściciel, Dante, kumplowali się ze sobą.

Shaw domyślał się, że w Stalowni znajdą się jakieś informacje o Romanie, aby jednak mieć pewność, że wiadomość o nim trafi do właściwych organów, zamierzał spytać Tessy o jego pełne dane osobowe i przesłać do swojego przyjaciela Toma Peppera, byłego agenta FBI, a on z kolei przekazałby te informacje policji San Francisco i tutejszemu biurze terenowemu federalnych. Dzięki temu młoda kobieta mogła zachować anonimowość i nie obawiać się zainteresowania ze strony służb imigracyjnych.

– Dziękuję za to, co pan zrobił... To było straszne. Naprawdę straszne. Przychodzili mnie oglądać jacyś faceci, jak gdyby kupowali bydło albo tuczniki na targu. Wolałabym umrzeć.

Skinął głową. Coltera zawsze krępowała ludzka wdzięczność. Nie umniejszał swojej roli, ale uważał, że w większości zleceń po prostu przywraca światu status quo.

Po chwili milczenia Tessy spytała:

– Ma pan dziewczynę?

Mam?, pomyślał. Skinął głową. Dobry sposób, by powstrzymać coś, co być może snuło jej się po głowie.

– To dobrze. Cieszę się, że jest pan szczęśliwy.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Shaw podszedł do domofonu, przywitał się z Marią Vasquez i wpuścił ją do budynku.

Kobieta zarzuciła córce ręce na szyję.

– Oj, ale czuć dym.

– Uratował mnie, mamó. Ci ludzie mnie porwali.

– To było w tym klubie? Który pokazywali w telewizji?

Shaw przytaknął.

– Były jakieś ofiary? – spytał. – Nie widziałem wiadomości.

– Paru rannych. Nikt nie zginął. Policja aresztowała właściciela i kogoś jeszcze. Handel ludźmi. Narkotyki. – Zaczęła szlochać. Córka mocno ją przytuliła.

Gdy Shaw dzwonił pod 911, wspomniiał, że w biurze w głębi klubu widział jakiegoś człowieka. „Chyba był związany. Nie wiem, co się tam stało”. Miał nadzieję, że wśród aresztowanych znajdzie się syn Mladicia.

– Szybko ją stamtąd zabrałem – powiedział Marii. – Nie rozmawialiśmy z policją. Nie znają waszego nazwiska.

Nie dodał, że podobnie jak im, jemu też nie zależało na zainteresowaniu policji.

– Nie mam przy sobie tych pieniędzy.

– Proszę je zatrzymać – odparł. – Zapłaci pani, kiedy przyjdą lepsze czasy.

– Niech cię Bóg błogosławi. – Objęła go. Tessy też uścisnęła go na pożegnanie.

Po ich wyjściu jak zwykle wziął gorący, a potem zimny prysznic, a gdy się przebrał, wypił całą butelkę wody mineralnej, po czym otworzył piwo.

Poczuł zapach spalenizny unoszący się ze sterty brudnych ubrań. Do śmieci. Nie miał czasu na pralnię.

Wziął ze stołu telefon z Androidem i otworzył przeglądarkę. Na stronie internetowej musiał przejrzeć dziesiątki numerów, zanim znalazł ten, który mógł się okazać ważny. Zadzwoił i mimo późnej pory odebrała sympatyczna kobieta. Podał jej nazwisko osoby, z którą chciał rozmawiać, a potem własne.

Połączono go po upływie najwyżej dziesięciu sekund.

CZEŚĆ III

26 CZERWCA

CZŁOWIEK, KTÓRY CHCIAŁ BYĆ KRÓLEM

Czas pozostały do śmierci rodziny:
osiem godzin

Woda mieniła się jak kameleon.

Colter Shaw wrócił do Embarcadero i patrzył na zatokę. Z zamierzchłych czasów, kiedy tu mieszkał, to jedno pamiętał na pewno: barwa rozkołysanych fal zmieniała się z dnia na dzień. Czasem była to przykuwająca odcień błękitu głębokiego jak szafir carycy. Innym razem matowa szarość. Kiedy indziej tropikalna zieleń.

Dziś, znowu pod zachmurzonym niebem, zatoka była bura, miała kolor – nie mógł się oprzeć temu wrażeniu – świeżo wykopanego grobu na cmentarzu, gdzie ziemia jest ciężka od gliny.

Miał na oku ulicę. Wprawdzie Russell nie widział zielonej hondy ani blondynki za kierownicą, Shaw uznał jednak, że jest zbyt uparta, by miała dać za wygraną.

Podejrzewał też, że skoro ją zdemaskował, to wypożyczyła nowy samochód. Na jej miejscu na pewno by tak właśnie zrobił.

Wypatrywał jednak nie tylko tego pojazdu. Interesował go jeszcze jeden.

Akurat zatrzymał się niedaleko przy krawężniku.

Nad zatoką rzadko widywało się rolls-royce'y. Oczywiście ludzie mieli dość pieniędzy, by kupić sobie wszystko, od tesli po ferrari i bugatti, wyglądało jednak na to, że Rolls-Royce – i jego siostrzana marka Bentley – nie podbiły serc towarzystwa z Doliny Krzemowej. Być może ostatnie modele, które z daleka nie różniły się zbytnio od dodge'ów, były za mało charakterystyczne czy ostentacyjne, a może bardziej pasowały do starych pieniędzy, którymi zdecydowanie nie były majątki powstałe dzięki takim firmom, jak Google, Facebook czy YouTube.

Shaw zarzucił plecak na ramię, wstał i podszedł do ciemnoczerwonego pojazdu.

Kierowca, który wysiadł z samochodu, był tym samym człowiekiem, którego bracia Shawowie widzieli w Tenderloin na spotkaniu w sprawie programu PRU i w domu przy Alvarez Street. Nosił na biodrze wielkiego colta 1911.

Colter podszedł do drzwi po stronie pasażera.

– Panie Shaw – odezwał się kierowca. – Mam na sobie urządzenie rejestrujące, które będzie włączone podczas całej rozmowy. – Mówił czystą, pozbawioną obcego akcentu angielszczyzną.

– Tak?

– Nagranie będzie świadczyło, że nie doszło do żadnego wymuszenia. Zapraszam pana do środka. Może pan z tego skorzystać albo nie.

Dziwne, skoro to sam Shaw zaaranżował to spotkanie. Może w przeszłości niektórych „zachęcano”, by wsiedli do samochodu Devereux, choć nie mieli na to szczególnej ochoty.

– W porządku. Jeżeli ustalamy reguły, to właśnie wysłałem swojej współpracownicy zdjęcie waszego samochodu i jego numerów rejestracyjnych. Gdybym nie odezwał się do niej w ciągu trzydziestu minut, zawiadomi policję, że doszło do porwania.

Usłyszał dobiegający z wnętrza wysoki chichot. Kierowca zajrzał do tyłu i chyba dostał pozwolenie, bo otworzył drzwi.

Z tyłu, za fotelem kierowcy, siedziała olśniewająca blondynka z natapirowanymi i ujarzmionymi lakierem włosami. Bez wątpienia była piękna, ale jej uroda zyskałaby jeszcze większy blask, gdyby nie ostry makijaż, w którym dominowały błękity i fioleto. To nie była ta sama kobieta, która towarzyszyła Devereux przy Alvarez Street, choć miała podobny strój – krótką spódniczkę i bluzkę z głębokim dekoltem.

Devereux sięgnął do kieszeni i wyjął kilka studolarowych banknotów.

– Kup sobie jakąś kawę albo lampkę wina. Zjedz lunch. Bądź grzeczną dziewczynką. – Nawet nie maskował protekcyjnego tonu.

– Dziewczynką. – Nadąsała się, ale wzięła pieniądze. – Nie mogę zostać?

– Proszę cię, Cassie.

– Jestem Carrie.

– Wybacz mi, proszę, nieuważnie słuchołem. – Prześliznął się wzrokiem po jej figurze.

Facetom naprawdę coś takiego uchodzi na sucho?, pomyślał Shaw.

Uśmiechnęła się sztucznie do niego, wysiadła i oddaliła się, stukając obcasami.

– Jak będziesz zamawiać lunch, pamiętaj, bez czosnku! – zawołał za nią Devereux.

Shaw pochylił się i spojrział na niego.

– A Droon i Braxton? Albo ktoś inny z BlackBridge?

– W ogóle nie wiedzą, że tu jestem. To pan dyktuje warunki, panie Shaw, a ja na nie przystałem.

Colter usiadł na miejscu, które przed chwilą zajmowała Carrie. Spowiała go chmura jej perfum. Położył plecak na szerokiej podłodze przed sobą. Rozejrzał się. Klonowe drewno, luksusowy dywanik, lśniący chrom. To naprawdę był wspaniały wóz. Na drzwiach zainstalowano jakieś pokrętko, chyba do sterowania masażerem pleców.

Rolls ruszył, gładko i bezszelestnie sunąc przez miasto. Zawieszenie musiało być pierwszorzędnej jakości; w Embarcadero było sporo ulic wybrukowanych kocimi łbami.

Przedtem Shaw widział Devereux z daleka, w Tenderloin i na ekranie laptopa Russella, na obrazie zarejestrowanym przez kamerę zainstalowaną w domu przy Alvarez Street. Obserwując go z bliska, doszedł do wniosku, że ten człowiek wygląda na ambasadora. Na jego szarym garniturze odznaczały się ciemniejsze prążki; może sądził, że pionowe linie optycznie go wyszczuplają. Dzisiejsza przypominająca pióropusz poszetka miała odcień

jasnego błękitu. Shawowi mignęła metka Ferragamo na podszewce marynarki. Nie zapinał jej, żeby pokazać to nazwisko? O ile by się jeszcze wzbogacił, gdyby jego korporacja zaczęła sprawować urzędy we władzach stanowych? Podejrzewał, że po pewnej liczbie zer człowiek przestaje myśleć o złocie, a zaczyna o władzy.

– Panie Shaw, jak się pan domyśla, zaskoczyła mnie wiadomość od pana.

Zanim jednak przeszli do rzeczy, zadzwonił telefon Devereux. Biznesmen spojrział na ekran.

– Tak? – Słuchając rozmówcy, którego głos nie docierał do uszu Coltera, Devereux znieruchomiał, a jego rysy stężały. – To się przecież nie uda, prawda? – Na twarzy malował się niezmacony spokój, ale w głosie brzmiał lodowaty ton. – *Mais, no.* – Nagle przeszedł na najczystsza francuszczyznę. Shaw znał wielojęzycznych Brytyjczyków. Bilet z Londynu do egzotycznych miejsc świata można było kupić przez BudgetAir za pięćdziesiąt dolarów. W dalekiej Ameryce wyglądało to inaczej.

Po pięciu minutach wrócił do angielskiego, najwyraźniej zwracając się do pierwszego rozmówcy. Otarł chustką czoło i lśniąca łysinę.

– Lepiej to zrobić.

Rozłączył się i ponownie odwrócił się do Shawa, który podejrzewał, że Devereux wcale nie musiał odbierać tego telefonu, ale podobnie jak w przypadku znaku firmowego na marynarce, miał ochotę zademonstrować swoją władzę. Poza tym lubił, żeby na niego czekano; do Embarcadero przyjechał piętnaście minut po umówionej godzinie.

– Wobec tego oddaję panu głos.

– Mam coś, na czym panu zależy. Chcę wynegocjować układ. Dlatego zadzwoniłem do pana, nie do Droona ani Braxton. Nie ufam im. Te ich metody silnej ręki nie przynoszą nic dobrego.

Devereux milczał przez chwilę, choć na jego twarzy wyraźnie dało się dostrzec zadowolenie.

– Zawsze dobrze jest wyeliminować pośrednika, jeśli to możliwe. Na dłuższą metę jest taniej, a w większości wypadków bezpieczniej – dodał.

– Pan i pańscy ludzie z BlackBridge – ciągnął Shaw – włamaliście się do domu mojego ojca przy Alvarez Street.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne.

Devereux uspokoił go lekkim ruchem głowy.

– To nie jest precyzyjne stwierdzenie. Oni już byli na miejscu. Nie mam pojęcia, jak się tam dostali. Zaprosili mnie. Nie wiedziałem, do kogo należy ten dom. – Przebierał nerwowo palcami. To nie było jednak mimowolne drżenie, potrafił nad tym zapanować. – W każdym razie wtedy nie wiedziałem.

– Mojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo.

Devereux skinął głową.

– Rozumiem. Słyszał pan naszą rozmowę. Założył pan podsłuch w domu.

– Nie sądzę, żeby we własnym domu można to było nazwać podsłuchem.

– Słusznie. Proszę mówić.

– Moja matka i siostra są bezpieczne – oznajmił Shaw. – Ale chcę mieć pewność, że nadal tak będzie. Dam panu to, czego pan chce, a pan odwoła Droona i Braxton.

– Intryguje mnie pan. Czyli to jednak było w torbie kurierskiej Gahla.

– Zgadza się.

– I oczywiście chce pan za to gwarancji bezpieczeństwa dla swojej rodziny. Ale może pan mieć z tego coś więcej. A wie pan, panie Shaw, można postawić tezę, że pieniądze pochodzą sprzed ponad czterdziestu tysięcy lat, z górnego paleolitu. Pojawiły się w formie barteru, ale proszę spojrzeć na to w ten sposób: niewątpliwie żyli wówczas ludzie, którzy nie potrzebowali krzemiennych grotów strzał, więc wymieniali je na kolby kukurydzy. W ten sposób grot strzały stał się czymś w rodzaju waluty. Można powiedzieć, że kamienną dwupensówką. Weźmy mezopotamski szekel. Mam taki okaz sprzed pięciu tysięcy lat. Jedna z pierwszych monet. Mennice zaczęto budować w ciągu pierwszego tysiąclecia przed naszą erą. Były złote i srebrne monety dla Lidyjczyków i Jonów, żeby mieli czym płacić za wojsko.

– To pańskie hobby?

– Ma się rozumieć, do cholery! – huknął Devereux. Wydawał się zachwycony. – Wróćmy do interesów. Dostanę to, czego chcę, i wypiszę panu czek – choć pewnie będzie pan wolał przelew – na całkiem okazałą kwotę. Będzie pan mógł zabrać rodzinę, dokąd pan sobie zażyczy. Do całkowicie bezpiecznego miejsca. Jak może pan udowodnić, że pan to ma?

– Mogę po prostu pokazać – odparł Shaw. Wziął plecak na kolana.

Palce przestały się poruszać, ręce już nie wymachiwały. W oczach biznesmena odbiło się zaskoczenie – wydawało się, że ten stan jest mu zupełnie obcy – a potem pojawił się błysk zachłanności i zniecierpliwienia.

Shaw rozpiął plecak i podał mu gruby plastikowy segregator.

Devereux wziął go i wysypał sobie na kolana jego zawartość. Z zapalem zabrał się do przeglądania papierów.

– To oczywiście kopie – uprzedził go Shaw. – Oryginały są u mnie.

Devereux skończył i podejrzliwie zmarszczył brwi.

– Co to jest?

Shaw zawahał się zdziwiony.

– To, czego pan szuka.

– Nie. Nie wiem, co to jest.

– Amos Gahl wykradł te dokumenty z BlackBridge. Były w torbie kurierskiej. Potwierdzają istnienie Planu Reformy Urbanistycznej. To są dowody dla policji.

Devereux pokręcił głową.

– Gdzie wyniki głosowania?

– Co to takiego?

Przyjrzał się badawczo Shawowi.

– Orzeczenie sądu z tysiąc dziewięćset szóstego. Pojedyncza kartka z podpisem sędziego. Shaw spojrział na papiery w rękach Devereux.

– Tylko to było w torbie. To znaczy jeszcze jakieś czasopisma i gazety, kilka notatek, ale wszystko pochodziło z ostatnich dziesięciu lat. Obejrzałem każdą kartkę. Nie było nic starszego. – Colter znowu skorzystał ze swojej wiedzy na temat mowy ciała, lecz tym razem, by ukryć swoje kłamstwo. Starał się nie zmieniać mimiki ani gestów, zachowywał się identycznie jak chwilę wcześniej, gdy mówił prawdę. – Sądziłem, że o to panu chodzi, że chce pan zniszczyć dowody na istnienie programu PRU.

Devereux westchnął. Jego dłonie znowu zaczęły drgać.

– Nie wiem, co to jest PRU.

– Naprawdę?

– Tak – mruknął.

– Plan Reformy Urbanistycznej realizowany przez BlackBridge. Rozprowadzanie narkotyków w dzielnicach w celu zbitcia cen nieruchomości, żeby tacy ludzie jak pan mogli kupić taniej ziemię.

Twarz biznesmena zaróżowiła się jeszcze bardziej, ale nie było w tym nic radosnego. Zaciśnął szczęki.

– Absolutnie nic mi o tym nie wiadomo. Owszem, korzystam z usług BlackBridge, żeby wskazali mi nieruchomości, w które warto zainwestować, ale nic nie wiem o żadnych narkotykach. Co za przerażający pomysł.

– To prawda. Ale to nie moja sprawa. Nie mam zamiaru organizować krucjaty, jeżeli mam przez to narazić na niebezpieczeństwo rodzinę.

Devereux zastanawiał się zapewne, czy Shaw niczego nie zataja. Może w torbie kurierskiej rzeczywiście nie było orzeczenia o wynikach referendum? Ale jeśli tak, to gdzie się podziało? W jego oczach pojawił się chłód, kopie dokumentów o PRU w jego drobnych palcach zdrząły. Jeszcze raz je przejrzał.

– W swoim czasie miałem do czynienia z wieloma radcami i adwokatami, panie Shaw, więc wiem, że to nie są żadne dowody.

Na moment zapadło milczenie, a rolls-royce wspinał się po California Street i gwałtownym łukiem wyminął tramwaj linowy, zapchany zachwyconymi turystami.

– Chyba panu nie wierzę, panie Shaw. Bawi się pan ze mną w kotka i myszkę. Zakładam, że znalazł pan orzeczenie o wynikach głosowania. Ukrył je pan gdzieś. I chce pan zażądać więcej.

Colter udał zirytowanie, starał się jednak nie przeciągać struny.

– Jakiego głosowania? Dlaczego to takie ważne?

– Po prostu ważne. – Devereux był coraz bardziej rozdrażniony. Po chwili udało mu się opanować. – Za to orzeczenie byłbym gotów zapłacić panu siedmiocyfrową kwotę. Nigdy niczego panu nie zabraknie.

Dziwne, nieco anachroniczne wyrażenie. I nietrafiony pomysł – Colterowi Shawowi od dawna niczego nie brakowało, może nawet od urodzenia, a pieniądze nie miały tu nic do rzeczy.

– W torbie kurierskiej nie było żadnego orzeczenia. Do czego to panu potrzebne?

Człowiek, który chciał być królem...

Devereux nie odpowiedział. Spojrzał przez okno. Shaw przypuszczała, że bardzo niewiele osób sprawiło zawód Jonathanowi Stuartowi Devereux, a jeszcze mniej nie spełniało jego życzeń.

Gdyby to był Ebbitt Droon, Colter z pewnością byłby już w drodze do jakiegoś magazynu w opuszczonej części miasta. Może po drugiej stronie mostu Bay Bridge w Oakland, mieście, gdzie jest znacznie więcej przemysłowych dzielnic, które świetnie nadają się na miejsce tortur i łatwiej tam jest pozbyć się ciała.

Opalarnia...

Kiedy spotkali się wcześniej, Droon usiłował wyciągnąć z niego informacje, grożąc mu pistoletem kaliber .40 i zapowiadając, że wpakuje mu paskudne, wielkie pociski w stawy, co zmieniłoby je na zawsze. Dziś najwidoczniej wrócił do noża, którym kłuł Amosa Gahla i wiercił mu dziury w ciele.

Devereux odwrócił się od okna.

– No dobrze. Stawiam ośmiocyfrową kwotę.

Shaw był ciekaw, które miejsce na skali ma na myśli, jeśli przyjąć przedział od dziesięciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu milionów. Podejrzewał, że łapówka byłaby znacznie bliższa dolnej sumy.

– Wyższa kwota nie wyczaruje w cudowny sposób dokumentu, którego nie miałem jeszcze dwie minuty temu. Wystarczy, że w zamian za bezpieczeństwo mojej rodziny dam panu dowody na istnienie Planu Reformy Urbanistycznej, bez względu na to, czy pan wie, co to jest, czy nie. – Wzruszył ramionami. – Jeżeli to nie wystarczy prokuratorowi, to może przynajmniej... naprowadzi policję na właściwy trop.

– Wątpię, czy ten trud okaże się owocny, panie Shaw – mruknął z ponurą miną Devereux.

Dotarli do miejsca, w którym Colter wsiadł do samochodu, a Carrie ani widu, ani słychu.

Prezes Banyan Tree rozglądał się za nią.

Może dał jej o jednego prztyczka za dużo.

Devereux wzruszył ramionami.

– Zdarza się. Ech, te dziewczyny...

Brawo, Carrie, pomyślał Shaw.

Devereux stuknął kierowcę w ramię. Mężczyzna wyłączył nagrywanie. Taśma zapewne zostanie niebawem skasowana.

Westchnienie.

– Byłoby mi przykro, gdybym musiał oddać tę sprawę z powrotem w ręce Iana Helmsa i Ireny Braxton. Są tak... mało subtelni. Proponuję, żeby jeszcze raz przejrzał pan zawartość

torby kurierskiej. I porozmawiał o tym ze swoim brodatym przyjacielem. Ośmiocyfrowa kwota to jednak nie było co.

Oddał kopie Shawowi, który schował je do plecaka.

Kierowca wysiadł i otworzył mu drzwi. Shaw stanął na chodniku.

Usłyszał głos Devereux:

– Na pana miejscu bardzo uważnie szukałbym tego orzeczenia, panie Shaw. Dla dobra wszystkich.

Co u was? – spytał Shaw.

– Mamy się na baczności – powiedziała Victoria Lesston przez głośnik jego telefonu z Androidem. – Nie rozstajemy się z pistoletami. Ludzie twojego przyjaciela przywieźli karabin maszynowy.

– Mary Dove już mi mówiła.

– A ty co porabiasz?

Wrócił do kryjówki w Pacific Heights i siedział przy otwartym oknie, wpuszczając do mieszkania przyjemny wietrzyk.

– Właśnie miałem spotkanie z rozpustnym miliarderem.

– Ty to zawsze masz fajnie.

Patrzył na zawieszony na ścianie swój szkic Echo Ridge w ramach ze sklepu Davis & Sons. Mimo że rysunek był oprawiony w tani plastik, prezentował się całkiem nieźle.

– Twoja matka opowiadała mi o Ashu – ciągnęła Victoria. – Przykro mi, że nie miałam okazji go poznać.

– Co to był za człowiek... Skomplikowany, trudny, pełen współczucia. Nie ma takiego drugiego na świecie. Był bojownikiem.

– A to twoje znalezisko? Myślisz, że jest prawdziwe?

– Tak, prawdziwe – odparł. – Autentyczne orzeczenie o wyniku głosowania w tysiąc dziewięćset szóstym. Gdyby wiadomość o nim wyciekła, to zmieniliby... hm, zmieniliby się wszystko.

– Ten dokument jest bezpieczny?

– Ukryłem go w ramach na obrazek.

– W widocznym miejscu?

– Niezupełnie. Jest odwrócony do ściany.

– Oprawiona pusta kartka – czy to się nie za bardzo rzuca w oczy?

– Na odwrocie zrobiłem rysunek. Pejzaż.

– Ale nie tego szukał twój ojciec?

– Orzeczenia o głosowaniu? Nie. W ogóle nie wiedział o jego istnieniu. – W głosie Coltera zabrzmiał szorstki ton. – Szukał dowodów, które miały zniszczyć BlackBridge i doprowadzić do aresztowania prezesa, Helmsa. Ale nigdy nie było żadnych dowodów. Tylko te wyniki głosowania. No i składanka na kasecie.

– Co takiego?

– Opowiem ci, kiedy się zobaczymy. – Żałował, że nie może z nią dłużej porozmawiać, ale to nie było odpowiednie miejsce ani czas po temu.

Chwila ciszy.

– Kiedy to będzie?

Chciał odpowiedzieć, że najszybciej, jak się da. Tęsknił za nią. Odparł jednak:

– Za kilka dni. Muszę dokończyć parę spraw.

Otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Russell.

– Przyszedł mój brat. Chyba powinienem kończyć.

– Pozdrów ode mnie tego tajemniczego człowieka.

Shawowi podobał się melodyjny ton w jej głosie.

Rozłączyli się.

– Jak poszło z Devereux? – zapytał Russell.

– Wydawało mu się, że znaleźliśmy orzeczenie. Ale nie był pewien. Może myśli, że Gahl ukrył je w innym miejscu. Zaoferował nam za nie trochę pieniędzy.

– Trochę? Wymienił sześciocyfrową kwotę?

Cisza.

– Siedmiocyfrową?

– Większą.

– Hmm. – Firmowa odpowiedź Russella. Towarzysząca jej mina oznaczała: łatwo przyszło, łatwo poszło.

– Zasugerował, że Braxton i Droon znowu wyjdą na ring.

– Porównał to do boku?

– Nie, to inwencja własna. Devereux zbiera pieniądze.

– A kto nie zbiera?

– Chodzi mi o to, że jest prawdziwym kolekcjonerem. Historyczne monety, banknoty. Starożytne. Czy to znaczy, że można go uznać za numizmatyka?

– Skąd mam to wiedzieć? – Russell podszedł do ramki i przyjrzał się rysunkowi brata.

Dopiero teraz Shaw zdał sobie sprawę, że mógłby go zatytułować *Widok z Echo Ridge*. Czyli z miejsca, gdzie, jak wcześniej sądził, jego brat zamordował Ashtona. Co go podświadomie skłoniło, by narysować akurat ten pejzaż?

Brat przyglądał się badawczo szkicowi.

Wygłosi jakąś uwagę o wyborze krajobrazu?

– Nie widać maszynopisu z drugiej strony – brzmiał jedyny komentarz. Russell się odwrócił.

– Używano wtedy grubego papieru.

Shaw chciał coś dodać, ale zeszywniał i przechylił głowę.

– Colt?

Shaw uniósł palec. Wstał i podszedł do drzwi. Wyjrzał przez wizjer.

Wyszedł na korytarz z dłonią na kaburze. Ujrzał kobietę w stroju pokojówki, która odwrócona do niego plecami, układała ręczniki na wózku. Po chwili wrócił i zamknął drzwi.

– Pokojówka.

W tym momencie pokój wypełnił oślepiający biały błysk z zewnątrz, a ułamek sekundy później oknami wstrząsnęło staccato eksplozji. Rozjazgotały się alarmy samochodowe.

Bracia wyciągnęli broń i wyjrzel na zewnątrz.

Dwaj mężczyźni w kominiarkach i czarnych strojach taktycznych wysadzili drzwi samochodu Russella. Pojazd miał najwidoczniej dodatkowe wzmocnienie i wybuch nie do końca naruszył karoserię. Jeden z napastników szarpał klamkę, usiłując otworzyć drzwi na oścież.

– Podejdiesz z flanki, od uliczki – mruknął Russell.

Shaw skinął głową.

Brat nie bawił się w subtelne podchody. Wybrał frontalny atak. Wyszedł przez okno i przez chwilę balansował na parapecie. Ocenił odległość, a następnie skoczył na dach parterowego budynku w dole.

Colter ukrył pistolet pod kurtką, żeby nie przestraszyć mieszkańców budynku i nie sprowokować ich do wezwania policji, po czym zamknął okno, przez które właśnie wydostał się jego brat, i wyszedł na pusty już korytarz. Mimo że się spieszył, dokładnie zamknął drzwi na dwa zamki. I podbiegł do schodów prowadzących do suterenu.

Na ulicy zorientowali się, że nie dojdzie do strzelaniny.

Dwaj mężczyźni w czerni zniknęli.

Shaw podszedł do Russella oglądającego uszkodzenia samochodu, które okazały się poważne. W drzwiach obok zamka wyrwało dziurę szerokości około piętnastu centymetrów. Wydawało się, że to skuteczny, choć mało wyrafinowany sposób, by dostać się do samochodu, napastnicy nie wiedzieli jednak o dodatkowych stalowych płytach. Drzwi wytrzymały.

– Co się stało? – spytał Shaw.

– Zobaczyli mnie z bronią i postanowili się wycofać. Kawalek dalej czekał na nich van.

– BlackBridge? Może któryś z klientów z twojej operacji w Oakland? – Shaw miał na myśli ukryte pomieszczenie w domu przy Alvarez Street i mapy portu po drugiej stronie zatoki, które zdecydowanie miały związek z jakąś akcją bojową.

– BlackBridge albo Devereux. A jeśli chodzi o tamten projekt, to nikt już nie jest zagrożeniem.

– Jak nas znaleźli? – zapytał Shaw.

– Mam parę przypuszczeń.

Nie wyjaśnił jednak swojej teorii. Przechylił głowę, nasłuchując.

Z oddali dobiegł odgłos syren.

– Będę musiał pogadać z glinami. – Russell był ucieleśnieniem spokoju.

- Masz w środku broń?
- Z tym nie będzie problemu.
- Na kogo jest zarejestrowany wóz? – Gryzący dym drażnił oczy Coltera. W ładunku, którym usiłowano wysadzić drzwi lincolna, musiał być mangan albo fosfor.
- Na firmę. Zagraniczną. Już to przerabiałem. Wracaj na górę.

Shaw skinął głową.

Odwrócił się i ruszył w stronę głównego wejścia do budynku. Tylne drzwi, przez które go opuścił, zatrzaśkiwały się samoczynnie. I choć potrafiłyby je podważyć i otworzyć, to nie było takiej potrzeby. Wszedł po schodach. Surwiwalowcy raczej unikają wind. Po pierwsze, pamiętał zasadę ojca:

Nigdy nie marnuj okazji, żeby na co dzień wzmacniać nogi.

Po drugie, w windzie człowiek staje się zależny od kogoś innego.

Na pierwszym piętrze skręcił do ich kryjówki i otworzył obydwie zamki.

Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Już metr za progiem spojrzął na miejsce, w którym powiesił ramkę ze sklepu Davis & Sons z całkiem przyzwoicie naszkicowanym surowym krajobrazem Echo Ridge.

Ściana była pusta.

56

Podrzuciono mu lokalizator.

W ten sposób Droon i Braxton namierzyli ich nową kryjówkę.

Znaleźli ten lokalizator.

– Na plecach kurtki. – Russell skanował tę część garderoby ręcznym urządzeniem przypominającym termometr bezdotykowy. Na ekranie wyświetliły się małe żółte kropki.

– Jak?

– Gdzie byłeś, kiedy spotkałeś się z Devereux?

– Na tylnym siedzeniu rolls-royce’a.

– Powlekli je warstwą pyłu. To RFID.

Identyfikacja radiowa.

W Posiadłości, gdzie nie było żadnej zaawansowanej technologii, troje dzieci nie miało kontaktu nawet z internetem, nie mówiąc już o całym wszechświecie cyfrowej wiedzy tajemnej. Odkąd Shaw jako łowca nagród miał bliski kontakt z rzeczywistością, korzystał z wielu elektronicznych wynalazków i słyszał o lokalizatorach RFID typu pyłowego. Tę technikę stosowało wojsko i służby bezpieczeństwa – w krajach z rozbudowanym SIGINT, czyli wywiadem elektronicznym, oraz sporym budżetem. Systemy śledzenia oparte na identyfikacji radiowej były skomplikowane i wymagały najnowocześniejszego sprzętu. Między innymi wykorzystania satelitów i dronów.

Osoba z takim lokalizatorem mogłaby zostać namierzona, nawet gdyby zniknęła z pola widzenia i poruszała się podziemnymi korytarzami. Algorytmy porównywały systemy informacji geograficznej, by przewidzieć, gdzie pojawi się poszukiwany, a wtedy sygnał przejmował inny czujnik, po czym przekazywał go dalej.

Naprawdę niezwykle.

– Przedemną na tym samym miejscu siedziała pasażerka, jedna z przyjaciółek Devereux.

– Też pewnie ma lokalizatory na ubraniu. Może zabrał ją ze sobą, żebyś niczego nie podejrzewał – dodał Russell.

– Będziesz musiał wyrzucić kurtkę i dzinsy. W pralni ich nie unieszkodliwią. Buty możesz zostawić.

Czyli Devereux kłamał. Braxton i Droon wiedzieli o spotkaniu i przygotowali się, zastawili na niego pułapkę.

Trzeba jednak przyznać, że w rozmowie z miliarderem Shaw też nie był wzorem szczerości.

Poszedł do sypialni, rozebrał się i wrzucił rzeczy do worka na śmieci – w ciągu dwudziestu czterech godzin już drugi raz pozbywał się ubrania. Włożył nowe dżinsy i czarną koszulkę polo, której nie wsunął do spodni, aby zasłaniała głocka.

Zastał brata przy telefonie. Russell wskazał głową miejsce przy drzwiach i Shaw położył tam worek. Jego brat rozłączył się i oznajmił:

– Jadę wymienić wóz. Mamy specjalny punkt na południu San Francisco. Zajmę się tym. – Wziął worek. – Dam ci znać, jeżeli Karin znajdzie coś o Blondynie. – I wyszedł z mieszkania.

Shaw nawet nie dzwonił do administracji apartamentowca w Pacific Heights. Był pewien, że w tym budynku i o tej porze dnia nikt nie sprząta pokoi. Kobieta w korytarzu nie była pokojówką, lecz pracownicą BlackBridge.

Bracia mogliby już wrócić do domu przy Alvarez Street. Co za różnica? Nic im nie groziło, skoro Devereux, Ian Helms i Braxton mieli dokument w plastikowych ramkach.

Co się teraz działo z orzeczeniem o wynikach referendum?

Colter przypuszczał, że jest już w drodze do Sacramento, prawdopodobnie na pokładzie prywatnego helikoptera albo odrzutowca. Komisja legislacyjna zgromadzenia stanowego będzie się zastanawiać, co począć z problemem, z jakim jeszcze nikt z nich nie musiał się mierzyć w ciągu wieloletniego zasiadania w organie ustawodawczym – z pochodzącą sprzed ponad wieku poprawką do konstytucji stanowej, która pozwalała korporacjom sprawować urzędy publiczne. Trzeba będzie potwierdzić autentyczność dokumentu, zaczną się gorące rozmowy kularowe. Shaw nie miał wątpliwości, że Devereux pociąga za sznurki i hojną ręką wspomaga kluczowych graczy we władzach ustawodawczej i sądowniczej. Zręcznie posługuje się też groźbą. Żeby zdobyć poparcie dla poprawki, BlackBridge zapewne sięgnie po metody szantażu i wymuszeń, które były specjalnością tej firmy.

Shaw usiadł do laptopa. Nie musiał długo szperać w internecie, by ustalić, że Devereux, gubernator i przewodniczący stanowego sądu najwyższego regularnie grywają razem w golfa, a Banyan Tree zatrudnia jedną z największych firm lobbingowych w stanie.

Ciekawe, jakie będą reakcje, pomyślał, w Kalifornii, w Stanach Zjednoczonych, na całym świecie.

Zabrzącał domofon. Policja, która chodzi po domach w związku z eksplozją na ulicy? Może wczoraj wieczorem ktoś go wyśledził, gdy wracał z klubu Stalownia?

– Tak?

– Pan Shaw?

– Kto mówi?

– Connie... Consuela Ramirez. Moją bliską przyjaciółką jest Maria Vasquez. Jestem matką chrzestną Tessy. Przepraszam, że przeszkadzam. Mogłabym zająć panu kilka minut? To nie potrwa długo.

Wcisnął guzik otwierający drzwi wejściowe, po czym narzucił marynarkę i podciągnął polo, by odsłonić rękojeść pistoletu. Dzięki temu mógł wyciągnąć go szybciej, jednym ruchem, zamiast wykonywać dwa, czyli jedną ręką unieść koszulkę, a drugą chwycić broń. Czasem liczyły się ułamki sekund.

Nie miał jednak powodów do niepokoju. BlackBridge i Devereux zdobyli upragniony dokument. Po co mieliby zostawiać trupy i zwracać na siebie uwagę? Poza tym kobieta wspomniała o Tessy i jej matce.

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, Shaw wyjrzał przez wizjer i zobaczył atrakcyjną brunetkę tuż po trzydziestce. Miała na sobie ładnie skrojony kostium. Shaw przez kilka długich sekund obserwował jej ciemne oczy. Gdyby ktoś był z nią za drzwiami, na pewno zerknęłaby w bok. Tak się jednak nie stało.

Wreszcie ją wpuścił, z powrotem zasłaniając głoćka koszulką.

– Jestem Colter.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Może pani usiądzie?

Wybrała kanapę, więc on zajął fotel obok. Wyczuł od niej nieokreślony kwiatowy zapach, nie jaśminu, nie bzu, nie róży. Ale bardzo przyjemny.

– Zabiorę panu tylko chwilę.

– Proszę bardzo.

– Maria powiedziała mi, co pan zrobił. Uratował pan Tessy życie. – Głos jej się łamał. – Nie wiem, co byśmy zrobiły... gdyby... – Słumiła szloch i otarła oczy, które wezbrały łzami. Spojrzała na torebkę.

Gdy Shaw spytał, czy podać jej chusteczkę, skinęła głową. Przyniósł jej z kuchni serwetkę.

Przyłożyła ją do oczu, usiłując zetrzeć rozmazany tusz, bardzo podobnie jak Vasquez w swoim mieszkaniu w Tenderloin.

– Maria mówiła, że jest pan dobrym człowiekiem. Że nie chciał pan przyjąć pieniędzy, tej nagrody.

– Powiedziała mi, w jakiej jest sytuacji, że ją zwolniono. Nagroda nie jest mi potrzebna. Czasem z niej rezygnuję.

Znacznie częściej, niż życzyłyby sobie tego Velma Bruin.

– Nie mam więcej pieniędzy niż ona, ale mam to. – Otworzyła torebkę i podała mu woreczek z czarnego aksamitu. – To był prezent od mojej matki. Brylant i złoto.

Shaw zajrzał do środka i wytrząsnął naszyjnik. Płatek kwiatu, chyba róży, z osadzonym w środku brylantem.

– Nie mogę tego przyjąć.

Przez jej twarz przemknął zdecydowany uśmiech.

– Panie Shaw, na świecie jest niewiele dobra. Dobra przez duże D. Moim zdaniem trzeba je wynagradzać. Nie mogłabym zasnąć, gdyby pan tego nie przyjął. Ocalił pan życie mojej

chrześnicy.

W nagrodę za odnalezienie zaginionych zamiast gotówki dostawał już akcje i obligacje. Nawet dzieła sztuki. Nigdy jednak nie wręczono mu biżuterii.

Wahał się.

– W takim razie dziękuję. Przyjmę. – Włożył naszyjnik z powrotem do woreczka, który wsunął do kieszeni marynarki.

Odprowadził kobietę do drzwi.

Odwróciła się.

– Zrobi pan coś dla mnie? Maria ma swoją dumę. Poczulaby się skrepowana, gdyby dowiedziała się, co zrobiłam.

– Oczywiście, to będzie tajemnica.

Ujęła jego dłoń w obie ręce.

– Dobrze – przez duże D.

Colter Shaw wrócił do Hunters Point.

Aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że zegar odlicza godziny pozostałe do morderstwa rodziny SP, i nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Kevin Miller, gangster z Hudson Kings, mówił im, że do tej części Hunters Point zapuszczają się ekipy z Salinas.

Przez dwie godziny wypytywał ludzi na brudnych ulicach, pokazując wyretuszowane zdjęcie Blondyna i pytając, czy ktoś go przypadkiem nie zna.

Chciał wierzyć, że gdzieś w tej dzielnicy odnajdzie trop, który pozwoli mu zidentyfikować rodzinę skazaną na śmierć przez BlackBridge.

Ta wiara uparcie jednak nie chciała się ziścić.

Kiedy wracał do yamały przypiętej do słupa latarni na dużym, pustym parkingu, dostrzegł paru robotników budowlanych w dżinsach, T-shirtach, szarych i beżowych kurtkach. Właśnie skończyli zabijać deskami budynek na północnym końcu parkingu, od strony, gdzie zaczynało się właściwe miasto. Z wyblakłej farby na bocznej ścianie trudno było się domyślić, jaką funkcję pełniła kiedyś parterowa budowla. Litery układały się w napis ŚWIEŻE JAJA, chociaż wydawało się to po prostu dziwne.

Pomachał robotnikom i ruszył w ich kierunku, idąc wzdłuż brzegu. Zauważył, że woda tuż przy nim jest gęsta od smarów i zapewne toksycznych substancji spływających ze starej stoczni. W oddali widział jak na dłoni potężną suwnicę, która kiedyś unosiła wieżyczki z okrętów, i nawet z tej odległości jej sylwetka robiła wrażenie, jak pomnik na cześć pomysłowości, potęgi i przemysłu.

Budynek, gdzie kiedyś można było znaleźć świeże jaja, został perfekcyjnie zasłonięty. Użyto do tego płyt z grubej sklejki i wielu solidnych wkrętów. Może urządzili tu sobie melinę amatorzy mety czy cracku i właściciel chciał go na stałe zabezpieczyć.

Shaw podszedł do grupki budowlanców, uśmiechnął się i skinął głową.

Sześciu mężczyzn, trzech białych i trzech Latynosów, spojrzęło na niego przelotnie, ale zaraz wbiło wzrok w asfalt.

– Zwykle pracujecie w tej okolicy?

– W Point, Bayview – odezwał się jeden z nich. Reszta wołała się nie wychylać. Gliniarz? Funkcjonariusz służb imigracyjnych?

– Nie widzieliście przypadkiem tego faceta? Był moim kumplem w wojsku. Zaginął.

Shaw pokazał im telefon, ciągnąc swoją opowieść.

– Wpakował się w jakąś historię z narkotykami i wylądował gdzieś w Hunters Point. Chcę go znaleźć, załatwić mu jakąś pomoc.

Chyba dali się nabrać. Wszyscy obejrzeni zdjęcie, potem popatrzyli po sobie, ale na koniec pokręcili głowami. Shaw wyczuł, że są wobec niego szczerzy.

Podziękował im, a budowlańcy wsiedli do samochodów i odjechali, zostawiając go na pustym parkingu.

Szanse były niewielkie. Wracając do motocykla, myślał: kim jesteś, SP? I kim są dzieci? Ile ich jest? Synowie? Córki? Czy może jedno i drugie? Jaką rolę odegrały w tym gangi z Hunters Point, że wydano na was wyrok śmierci?

Pytania, pytania, pytania...

Ogarnęła go złość, że nie potrafi znaleźć ani jednej odpowiedzi.

Włożył kask, odpalił silnik, wbił bieg i ruszył. Przyspieszył, a gdy od wyjazdu dzieliło go około trzydziestu metrów, pomiędzy dwóch opuszczonych magazynów wystrzelił nagle szary, zdezelowany pick-up i pyrkocząc głośno, skręcił w jego stronę.

Ford rozpędzał się do pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, siedemdziesięciu na godzinę. Shaw nie miał innego wyjścia, jak tylko zahamować i skręcić kierownicę. Pick-up minął go pół metra od przedniego błotnika.

Colter próbował wpaść w kontrolowany poślizg, ale powierzchnię parkingu pokrywał piasek i kawałki pokruszonego asfaltu. Yamaha przewróciła się razem z nim, przygniatając mu prawą nogę i rękę prawie setką kilogramów metalu. Nie był to wielki ciężar, ale on nie mógł się podeprzeć, by wstać czy sięgnąć po broń.

A zorientował się, że jest potrzebna.

Kierowca i pasażer wysiedli z forda i szli w jego stronę.

Rozpoznał tych ludzi.

Gangsterzy z Bahala Na, których wczoraj w Tenderloin on i Russell pozbawili narkotyków, pieniędzy i pistoletów.

Filipińczycy sięgnęli pod luźne koszulki, wyjęli nową broń i zbliżyli się do motocykla.

Ang *malaking tao* – mruknął Czerwony T-shirt.

Biały parsknął śmiechem.

– *Hindi ganoon kalaki ngayon.*

Byli dziesięć metrów od niego. Shaw usiłował poruszyć motocyklem, ale ten drgnął tylko o dwa centymetry.

Pięć centymetrów.

Chudzi Azjaci pokonali następne dwa metry.

– Ej, gnoju! Gdzie, co ukradłeś? – Obcy akcent był tak twardy, że słowa brzmiały prawie niezrozumiale.

– Aha, gdzie?

Jeszcze mały ruch i mógłby dosięgnąć glocka. Był załadowany, nie trzeba go było odbezpieczać. Wystarczyło wycelować i strzelić – dumne dziedzictwo marki.

Shaw jeszcze odrobinę zepchnął z siebie cielsko yamaha. Następne pięć centymetrów.

Mocniej, jeszcze trochę, mocniej...

Byli pięć metrów od niego.

Dotknął rękojeści pistoletu.

Jednym palcem.

Mężczyźni przystanęli. Szeptali coś do siebie. Znowu ryknęli śmiechem.

Już dotykał broni dwoma palcami.

Biały T-shirt wyjął z kieszeni nóż. Trzasnęła sprężyna i wyskoczyło czarne ostrze.

Shaw pomyślał: cios, obrót...

– Nie mam tych prochów. Mogę przynieść – powiedział, grając na czas.

Palce zamknęły się na rękojeści glocka.

– Gdzie?

– Są tam. – Pokazał na budynek, który przed chwilą zabito deskami.

Kiedy spojrzeli w tę stronę, pchnął motocykl ramieniem i stanął na ugiętych nogach. Filipińczycy odwrócili się i unieśli broń. Shaw też. Położy przynajmniej jednego, tylko w co trafi ten drugi, żeby go zranić. Może tylko zranić. Chyba naprawdę zależało im na odzyskaniu narkotyków.

Broń w górze, palce na spustach...

W tym momencie coś przeraźliwie ryknęło.

Silnik samochodu. Wóz nadjeżdżał z boku, zza zabitego deskami budynku.

Uśmiechy zniknęły z twarzy gangsterów, którzy błyskawicznie obrócili się na pięcie, trzymając broń w pogotowiu.

Ale za późno.

Biały chevrolet impala uderzył w nich z impetem. Jeden z Filipińczyków rozpląszczył się na murze, drugi odbił się od maski. Leżeli nieruchomo na asfalcie z zamkniętymi oczami, ale oddychali.

Samochód zahamował z piskiem opon.

Shaw zerknął na wysiadającego kierowcę – jasnowłosą kobietę w ciemnych okularach i bejsbolowej czapce. Czyli jednak zamieniła zieloną hondę na inny wóz.

Zdjęła okulary i popatrzyła na Shawa.

Przymrużył oczy.

– To ty?!

Wiedział tylko, że ma na imię Adelle.

A bardziej oficjalnie – czeladnik Adelle.

– Nic ci się nie stało?

Shaw zignorował zadrapaną kolano. Krwawiło. Nie za mocno.

Skinął głową, rozglądając się w poszukiwaniu innych przeciwników. Nikogo nie zauważył. Zdjął kask. Podeszedł do Filipińczyków i zabrał im broń. Włożył ją do torby jednego z nich i postawił obok yamahy. Przyjrzał się obu mężczyznom. Żaden poważnie nie krwawił.

Niespełna trzydziestoletnia kobieta obrzuciła leżących gangsterów przelotnym spojrzeniem. Chłodnym. Obojętnym.

Wcześniej była wyznawczynią i pracownicą sekty w stanie Waszyngton, gdzie Shaw poznał Victorię Lesston. Opowiadał bratu o charyzmatycznym i narcystycznym przywódcy, który poddał ją i innych wyznawców praniu mózgu. Uwierzyła, że jeśli popełni samobójstwo, to spotka się w przyszłym życiu ze swoją małą córeczką, która zmarła dwa lata wcześniej.

W pobliżu nie było nikogo, kto widziałby incydent na parkingu. Trzeba tu jednak było szybko posprzątać. Shaw wysłał do Russella wiadomość z prośbą, by pilnie tu przyjechał. Podał współrzędne GPS i zakończył:

Déjà vu z zaułka przy bibliotece dwa dni temu. Tym razem dwóch rannych.

Potrzebna Karin/Ty z samochodem.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

OK.

Colter schował telefon.

– Dziękuję – powiedział do Adelle.

Kiwnęła głową, wciąż obojętna wobec tego, co właśnie zrobiła. Nie zdziwiła go taka reakcja ani fakt, że zaatakowała samochodem Filipińczyków. Gdy w zeszłym tygodniu

zobaczył ją po raz pierwszy, bez cienia emocji obserwowała brutalne pobicie dziennikarza przez sadystycznego szefa ochrony w sekcie. Shaw wciąż miał przed oczami trzy krople krwi reportera na jej bluzce.

Podeszła do brzegu i spojrzała w wodę zatoki. Stał obok niej. Oczywiście miał do niej mnóstwo pytań, ale przez moment milczał. Wreszcie stwierdził:

– Pozbyłaś się hondy.

Przytaknęła.

– Zauważyłeś mnie. Musiałam.

– Aha... Jak się znalazłaś w San Francisco?

– Jeszcze w obozie – odpowiedziała po chwili – rozmawiałam z czeladnikiem Frederickiem. Dowiedziałam się, kim naprawdę jesteś, że chodziło ci o nagrodę za czeladnika Adama, którego poszukiwano z powodu jakiegoś przestępstwa. I że byłeś przy nim, kiedy dokonał przejścia.

Tym ponurym eufemizmem określano w sekcie samobójstwo.

– Powiedział mi, że masz notatnik Adama i zamierzasz go przekazać jego ojcu, panu Harperowi. Pojechałam do jego firmy przewozowej w Gig Harbor i czekałam na ciebie.

Shaw nie mógł nie docenić jej skrzętnej i pomysłowej pracy detektywistycznej. A jeśli chodziło o wytropienie go w San Francisco, to nie było chyba nic prostszego pod słońcem, skoro poszukiwany poruszał się dziesięciometrowym wozem kempingowym.

– Zamierzałam cię zabić. Nie miałam wprawdzie pistoletu, ale miałam samochód. Chciałam cię rozjechać na drodze. Byłam przekonana, że zrujnowałeś mi życie. Zniszczyłeś. Wierzyłam w to wszystko, czego nas uczył o powrocie. Naprawdę wierzyłam. – Westchnęła.

– Pamiętam jej twarz, jej śmiech, jej paluszki. Jamie, mojej córeczki... Myślałam tylko o tym, że odebrałeś mi szansę, by ją znowu zobaczyć. Chciałam, żebyś zginął. Zbierałam się na odwagę. Dwa razy prawie mi się udało.

– Eli tylko cię okłamywał, wszystkich zwodził. Zależało mu na pieniądzach, na seksie, na władzy. Próbował sprzedawać nieśmiertelność. To były same bzdury.

– Teraz już wiem. Zresztą może wiedziałam od początku. – Smutny uśmiech. – Eli był spryciarzem. Przecież nie można udowodnić, że wszystko, czego uczył, nigdy się nie spełni.

To prawda. Aby się przekonać, czy istnieje życie po życiu, trzeba było umrzeć, a nikt nie przesyłał stamtąd fotek do mediów społecznościowych, żeby potwierdzić jego teorie.

– Te gwoździe, które rozrzucałaś na ulicy... Nauczyłaś się tego od czeladnika Hugh? – Tak miał na imię szef ochrony w sekcie.

– Wychodził z założenia, że musimy wiedzieć, jak zatrzymać wrogów, kiedy nas ścigają.

– Jak to się stało, że zmieniłaś zdanie, Adelle?

Drgnęła zaskoczona, być może na dźwięk swojego imienia niepoprzedzonego żadnym tytułem. Kiedy członkowie sekty zwracali się do siebie, zawsze używali służbowego stopnia – każdy był na początku „nowicjuszem”, potem „uczniem” i wreszcie uzyskiwał upragniony tytuł „czeladnika”.

Shaw nie miał pojęcia, jak Adelle się nazywa. Ukrywanie nazwisk przed wyznawcami sekty było dla przywódcy sposobem kontrolowania swojej trzódki.

– Właściwie sama nie wiem. Może... urok Elego przestał działać?

Znowu zawahała się, zanim wymówiła imię przywódcy. Jeśli ktoś nazywał go inaczej niż „mistrz Eli”, dopuszczał się poważnego złamania regulaminu.

Zwróciła na niego oczy.

– Cały czas myślałam, że musisz umrzeć... Ale nie umiałam zapomnieć, że pomogłeś tylu ludziom. Uratowałeś im życie. Hugh i Eli otruliby wszystkich. Sam o mały włos nie zginął... Dlatego nie mogłam cię skrzywdzić. Nie powinnam.

Od strony autostrady dobiegł jakiś hałas. Po chwili pojawił się lincoln navigator, przyhamował i podjechał do Adelle i Shawa. Z samochodu wysiadł Russell.

– To jest Adelle.

Przywitali się skinieniem głowy, po czym Russell przyjrzał się Filipińczykom.

– Jak cię znaleźli?

– Wypytywałem w okolicy o Blondyna. Może ktoś im powiedział.

Nadjechał ten sam biały van, którego Shaw pamiętał sprzed dwóch dni, i wysiedli z niego Karin i Ty. Pozostałych członków grupy nie było. Ty otaksował jednego z rannych gangsterów i zaaplikował mu zastrzyk.

Shaw drgnął.

– To tylko środek uspokajający – zapewnił go Russell.

Drugiej ofierze też udzielono pomocy.

– Podrzucimy ich do szpitala, sfotografujemy ich prawa jazdy i poprosimy, żeby dostali amnezji.

– Trzeba stąd zabrać Adelle – powiedział Shaw. – Musi się przenieść w jakieś bezpieczne miejsce. Masz dokąd pojechać?

– Moja siostra mieszka w Vegas.

– Zapakujemy cię do samolotu – zaproponował Russell. – I to jak najszybciej.

Skinęła głową.

– Odwiozę cię na lotnisko. – Wskazał głową jej chevroleta. – Zgłoś w wypożyczalni, że go skradziono.

– Ale...

– Zgłoś, że ktoś go ukradł.

– Dobrze.

W ciągu dnia wóz zostanie pokrojony w drobną kostkę, a jutro trafi na złomowisko.

– Masz gdzieś rzeczy? – spytał Russell. – W hotelu?

– W Motelu 6. Niedaleko lotniska.

Karin odebrała telefon, słuchała przez chwilę, po czym się rozłączyła.

– Jest informacja o Blondynie. Prawdopodobne rozpoznanie przez grupę specjalną do spraw przestępczości zorganizowanej z San Leandro. Weryfikują to teraz w innych źródłach.

Niedługo powinni się odezwać.

Bracia popatrzyli po sobie. Gdyby udało się go zidentyfikować, to może by to wystarczyło, żeby złamać szyfr gangu z Hunters Point, co pozwoliłoby ustalić, kim jest rodzina SP, i uniemożliwić jej zabójstwo.

Shaw obejrzał motocykl – tylko parę drobnych uszkodzeń.

– Wiesz, poznasz kogoś, będziesz miała dzieci – powiedział do Adelle. – Nigdy nie zapomnisz Jamie. Ale twoje życie może toczyć się dalej. Nie w sekcie. W prawdziwym świecie. Czasem to, co nas spotyka, podcina nam skrzydła, ale zawsze możemy znaleźć inne źródło szczęścia.

Profesja łowcy nagród czasem wymagała od Coltera, by wchodził w rolę pocieszyciela osób w żałobie. Nie wszystkie zlecenia kończyły się szczęśliwie.

W sekcie witano się i żegnano regulaminowym gestem, kładąc otwartą dłoń na przeciwległym ramieniu. Adelle odruchowo zaczęła go wykonywać, ale kiedy się zreflektowała, posłała Colterowi lekki uśmiech i mocno go ucisnęła.

Zatrzymawszy się po drodze, żeby coś kupić, Shaw wrócił do Pacific Heights z zamiarem spakowania rzeczy. Bracia mogli się z powrotem przenieść na Alvarez Street, skoro byli bezpieczni. Mary Dove, a także Dorie z rodziną też już nic nie groziło. Atak na nie nie miałby sensu, mimo to Colter przezornie wysłał im wiadomość, by na razie trzymały się planu A i planu B.

Zaparzył sobie następny kubek kawy, gwatemalskiej. Wyśmienite ziarna pochodziły od plantatora, który jego zdaniem od lat był niedoceniany. Dobrze się ze sobą znali. Kiedyś Gwatemalczyk zaproponował mu, żeby przeniósł się do Ameryki Środkowej, gdzie porwania były na porządku dziennym.

– Panie Colter – powiedział – zdaje mi się, że może pan dużo zarobić na nagrodach.

A ten wyjaśnił mu, że dobrze zna schemat latynoskich porwań. Można je było podzielić na dwie kategorie. Uprawdza się ludzi z szefostwa korporacji. Sprawcy wrzucają do vana prezesa albo dyrektora generalnego, żądają za niego ćwierć miliona i wypuszczają ofiarę, gdy dostają pieniądze. Firma i rodzina porwanej osoby nigdy nie wyznaczają nagrody za jej odnalezienie; kupują sobie ubezpieczenie od porwań i w dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków ofiara wraca do domu cała i zdrowa.

Drugą przyczyną porwań w tej części świata są interesy karteli, ale wówczas ofiary tracą życie pięć minut po zaginięciu i żaden ratunek nie wchodzi w grę.

Ta myśl znowu przypomniła mu o SP i jego lub jej rodzinie.

Potwierdzenie od załogi z Hunters Point.

26/6, g. 19.00 SP i rodzina. Wszyscy ↓

Czy SP miał jakiś związek z orzeczeniem o wyniku głosowania w referendum? Jeśli tak, to zlecenie zabójstwa mogło zostać odwołane, skoro dokument znalazł się w posiadaniu Devereux. Shaw i Russell nie mogli jednak przyjąć takiego założenia. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że skoro w sprawę angażują się gangi z Hunters Point, to SP wiedział coś – albo wiedziała – o Planie Reformy Urbanistycznej. Może odkrył źródło pochodzenia opioidów i innych narkotyków rozprowadzanych po mieście przez BlackBridge i wynajęte przez firmę gangi.

Gdy unosił kubek do ust, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Niski męski głos z nutą groźby oznajmił:

– Policja! Mamy nakaz. Otwierać!

61

Colter stał pochylony, z rękami opartymi o pomalowaną na przyjemny odcień żółci ścianę salonu. Miał szeroko rozstawione stopy. Jego dłonie znalazły się mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie wisiała ramka ze sklepu Davis & Sons Rare Books, zanim ją skradziono. Patrzył na pusty gwóźdź sterczący dwadzieścia centymetrów od jego twarzy.

– Nie ruszać się – polecił głos. Należał do mocno zbudowanego czarnoskórego funkcjonariusza w mundurze policji San Francisco.

– Nie zamierzam.

– Nie odwracać się.

– Nie zamierzam.

Shaw znał procedurę. Był już kiedyś aresztowany. Na własnej skórze przekonał się też, co to jest zatrzymanie, czyli aresztowanie w wersji light. Nigdy dotąd nie został skazany, co nie oznaczało, że kiedyś nie nastąpi ten pierwszy raz.

– Jestem uzbrojony. – Zawsze dobrze było uprzedzić o tym stróżów prawa podczas aresztowania czy zatrzymania. W niektórych jurysdykcjach taki był wręcz obowiązek.

– Okej.

Policjanci zawsze to powtarzali.

Ten uniósł mu koszulkę polo i z kabury Blackhawk wyjął glocka 42. W jego dłoni broń zapewne wydawała się maleńka. Mężczyzna był potężny.

Gliniarz nosił glocka 17, duży model z dwurzędowym magazynkiem, który dawał mu do dyspozycji siedemnaście sztuk amunicji. Kaliber dziewięć milimetrów. Broń Shawa miała kaliber 0,380 cala, a magazynek mieścił tylko sześć naboí.

Nigdy nie chodzi o to, ile masz sztuk amunicji; chodzi o to, gdzie ją posyłasz.

Pistolet, nóż i woreczek z czarnego aksamitu powędrowały na stolik.

Drugi policjant – niższy, biały, o podobnie krótko ostrzyżonych włosach, tyle że blond – przeglądał portfel Shawa.

– Ma zezwolenie na noszenie ukrytej broni. Ważne w Kalifornii. I aktualne.

– Okej. – Dowodził wyższy gliniarz, Q. Barnes, jak wynikało z naszywki na mundurze. Z pokrowca u pasa wyjął kajdanki i podszedł bliżej. Shaw wiedział, że to nastąpi.

– Skuję panu ręce dla własnego i pańskiego bezpieczeństwa.

Mniej więcej to samo Shaw powiedział do Earnesta La Fleura w Sausalito.

– Proszę założyć ręce do tyłu.

Uprzejmy.

Shaw zrobił to i poczuł, jak metalowe obręcze zatrząskują się na jego przegubach. Barnes znał się na rzeczy. Były na tyle ciasne, żeby nie mógł się uwolnić, a jednocześnie nie czuł bólu.

– Na razie nie jest pan aresztowany.

No, raczej nie zrobiłem niczego, za co groziłoby mi aresztowanie. Shaw nie wygłosił jednak tej uwagi.

– Okej – powiedział tylko.

Policjant go obrócił.

Wtedy Colter ją zobaczył.

Consuelę Ramirez.

Młoda kobieta wchodziła do apartamentu w towarzystwie skupionej policjantki z rudymi włosami ściągniętymi w kucyk. Kobieta w mundurze była nieumalowana, jeśli nie liczyć odrobiny niebieskiego cienia do powiek. Mimo drobnej budowy trzymała się prosto jak struna, choć musiał jej ciążyć pas z całym rynsztunkiem służbowym: pistoletem, magazynkami, paralizatorem, kajdankami, gazem pieprzowym. Aby dbać o publiczne bezpieczeństwo, trzeba być w dobrej formie. Sama kamizelka ważyła jakieś pięć kilogramów.

– Consuela – powiedział Shaw. – O co chodzi?

Przechyliła głowę, lekko marszcząc brwi, ale nie odezwała się ani słowem.

– To jest ten człowiek, o którym nam pani mówiła?

– Consuela... – powtórzył Shaw.

– Tak, to ten.

– Okej. Proszę się nie obawiać. Nic złego pani nie grozi. Nie robi pani krzywdy.

– Krzywdy? – Shaw spojrział na nią zdumiony. – O co chodzi? Co ona wam powiedziała?

– Pani Ramirez złożyła pisemne oświadczenie, że widziała u pana znaczną ilość narkotyków. Ma w rodzinie osobę, która przedawkowała, i spełnia swój obywatelski obowiązek, żeby pomóc usunąć je z ulicy. Pan też może sobie pomóc, współpracując z nami. Proszę mi wierzyć, wyjdzie to panu na dobre.

– Nie wiem, o co chodzi. Nigdy nie brałem narkotyków, a tym bardziej nie sprzedawałem.

– Współpracujemy? – przypomniał mu Barnes, wracając do swojego tematu przewodniego.

– Tak, oczywiście.

Mina Barnesy świadczyła o tym, że trochę się uspokoił.

– No więc co z tymi narkotykami? – spytał.

Shaw mocno zmarszczył czoło.

– Nic nie wiem o żadnych narkotykach. Przypuszczam, że sprawdziliście moje nazwisko w bazie NCIC. Nic tam nie ma, prawda? – Wpatrywał się nieruchomo w oczy młodej kobiety, które spoglądały na niego wyzywająco. Była naprawdę piękna.

– Skąd się państwo znają? – spytał Barnes.

Shaw ubiegł ją, zanim zdążyła się odezwać:

– Właściwie jej nie znam. Mamy wspólną znajomą.

– Proszę mi powiedzieć o tych narkotykach – zwrócił się do niego policjant.

– Nie ma żadnych narkotyków.

– Pani Ramirez twierdzi co innego. – Barnes westchnął, jak gdyby odruchowo reagując na coś, co słyszał już tysiące razy. Wrócił do swojego ulubionego tematu: – Powinien pan bardziej współpracować.

– Bardziej już nie mogę współpracować. Mówię prawdę.

– W porządku.

Inna wersja „okej”.

Shaw wzruszył ramionami. Brzęknęły kajdanki.

– Gdzie? – spytał Connie Barnes.

Wskazała szafkę obok kanapy, na której siedziała podczas swojej wizyty.

– W szufladzie.

Barnes dał znak koledze, funkcjonariuszowi niższemu rangą, mężczyźnie z ogoloną głową, o karnacji wskazującej na mieszane pochodzenie etniczne. Jego wygląd pasował do rysopisu Romana, byłego chłopaka Tessy, który ją prześladował. Policjant wysunął szufladę.

– Mam coś. – Włożył niebieskie lateksowe rękawiczki, wyjął torebkę i położył na stoliku obok akcesoriów Shawa.

Kobieta wyraźnie triumfowała, zadowolona, że jej oskarżenie się potwierdziło.

– Jakies dwieście gramów, Quentin – odezwała się policjantka, przypatrując się torebce. – Grubo ponad granicę, za którą robi się poważnie.

Barnes zmierzył Shawa surowym wzrokiem, jakby potępiał go nie tyle za przestępstwo posiadania dużej ilości narkotyku, ile za odmowę współpracy. Skinął głową policjantowi, który znalazł torebkę. Ten wyjął składany nóż i zrobił małe nacięcie w folii. Z jednej z licznych kieszeni służbowej kamizelki wydobyl niewielką buteleczkę. Wlał do środka płyn z kapsułki, po czym dodał odrobinę białego proszku. Potrząsnął. Kolor się nie zmienił.

– Więcej – polecił Barnes.

Młody funkcjonariusz dosypał proszku. Płyn nadal nie stał się niebieski, zielony ani czerwony, co oznaczałoby pozytywny wynik.

– Co? – wyszeptala Connie. Mina kobiety świadczyła o tym, że jej niepokój osiągnął parę stopni w skali Richtera.

– To nie są narkotyki – oznajmił Shaw.

– Nie? – spytał Barnes. – A co?

– Magnezja. Uprawiam wspinaczkę. To po prostu nieporozumienie. Rozumiem troskę pani Ramirez. Narkotyki są okropne. – Spojrzał w jej śliczne oczy. – I oczywiście nie dziwię się, że od razu pani o nich pomyślała, ale nigdy nie chciałbym mieć z nimi do czynienia.

Barnes wziął nóż i powąchał. Oddał go policjantowi i spojrzal na swoich podkomendnych.

– Przeszukać cały apartament – rozkazał.

Pozostali – w sumie czterech gliniarzy – zabrali się do pracy. Działali sprawnie. Zbadano każde miejsce, w którym można było ukryć torebkę kokainy.

Po jadalni sprawdzono kuchnię, potem dwie sypialnie, salon. Wszystkie szafy, których było niemało i miały spore rozmiary. Jak na kryjówkę znaną w ostatniej chwili, ta oferowała parę naprawdę miłych udogodnień.

Barnesa ogarnęła frustracja.

– Pies – rzucił do policjanta, który sprawdzał portfel Shawa.

Po chwili ukazało się wyszkolone stworzenie ze swoim przewodnikiem, młodym Latynosem. To był zwinny, skupiony malinois, przedstawiciel jednej z czterech ras belgijskich psów pasterskich, obok tervuerena, laekenoisa i groenendaela. Malinoisy były drobniejsze i bardziej muskularne od owczarków niemieckich, od których przejęły większość obowiązków w organach ścigania w całym kraju.

Pies, który wabił się Beau albo Bo, śmigał po pokojach tam i z powrotem. Unosił nos, opuszczał, szybko omijał przeszkody, wpychając długi pysk pod poduszki i w szpary między szafkami. Wszędzie.

Nigdzie jednak nie usiadł. Siadanie to sygnał, którego uczy się służbowy pies policyjny, by poinformować, że znalazł to, czego szukał: narkotyki, materiał wybuchowy, zwłoki. Nie wystawia, nie szczeka i nigdy nie łapie odnalezionego skarbu w silne szczęki, żeby usłudnie przynieść go opiekunowi.

Siada.

Ale Beau czy Bo nie usiadł.

Barnes już nie był spokojny. I zdecydowanie nie był też zadowolony.

Przewodnik podał psu przysmak z suszonego mięsa. Potwierdzenie, że apartament jest czysty, opłaciło się muskularnemu zwierzęciu tak samo, jak gdyby znalazł tu pół tony hery.

– Panie Barnes? – odezwał się Shaw.

Gliniarz wciąż rozglądał się po apartamencie, lecz w końcu skierował wzrok na Coltera. Jego szeroka, okrągła twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji.

– Tak?

– Z pana doświadczenia – ile osób z zezwoleniem UB ma na koncie działalność przestępczą?

By zdobyć zezwolenie na noszenie ukrytej broni, trzeba się liczyć z drobiazgowym prześwietleniem życiorysu. Każdy, kto ma na koncie kolizję z prawem, zostaje natychmiast zdyskwalifikowany. Jeżeli ktoś ma pozwolenie, by legalnie nosić pistolet, zwłaszcza w Kalifornii, gdzie wymogi są najostrejsze ze wszystkich stanów, oznacza to, że przeszedł najbardziej szczegółowe prześwietlenie, jakiemu można poddać cywila.

Barnes spojrział na Connie.

– Pani Ramirez?

– Przepraszam. Widziałam torebkę. Pomyślałam po prostu...

Policjant oddalił się, by nadać komunikat przez radio. Shaw i Connie zostali w salonie, stojąc obok siebie. Rudowłosa policjantka była w pobliżu, mając ich na oku, nie mogła jednak słyszeć ich rozmowy.

– Kimkolwiek jesteś, proponuję ci układ – szepnął Shaw. – Wrócisz tu później. Sama. Jeżeli nie, dam temu gliniarzowi nagranie wideo, na którym podrzucasz prawdziwe prochy do szuflady, gdy idę do kuchni, żeby przynieść ci chusteczkę. Widziałem, jak wycierałaś odciski palców, ale są na niej ślady twojego DNA. Zgarną cię za posiadanie znacznej ilości.

Wprawdzie jej łzy podczas poprzedniej wizyty były prawdziwe, ale nie musiały być spowodowane odczuwanym smutkiem. Podobnie realistyczny efekt można było uzyskać dzięki odrobinie tabasco na palcach.

– Rozumiesz?

Cisza. Zadrżała jej warga. Wreszcie Connie skinęła głową.

Barnes i reszta wrócili. Jasnowłosy policjant zdjął Shawowi kajdanki.

– Magnezja – mruknął pod nosem zwalisty gliniarz. Gdy mundurowi opuścili apartament, dodał: – Pani też powinna już iść, pani Ramirez.

– Przepraszam – bąknęła. – Zaniepokoiłam się. Te wszystkie narkotyki... Zrobiłam to dla dzieci.

Shaw pomyślał, że to miły akcent na koniec.

Colter wybrał butelkę IPA Altamount Beer Works i wypił wielki łyk piwa.

Do oferty Marii Vasquez jak zwykle podchodził ostrożnie.

Gdy Teddy Bruin zaczął rozmowę od „zbiegu okoliczności”, a Mack McKenzie oceniła, że obie kobiety są „prawdopodobnie czyste”, pozostał nieufny. W okolicach San Francisco nie brakowało ludzi – od pewnego potentata na rynku gier komputerowych po BlackBridge – którzy nie byli zachwyceni jego pobytom w tych stronach.

Zawsze ze sceptycyzmem podchodził do ogłoszeń o wyznaczeniu nagrody i na ogół poświęcał długie godziny, czasem nawet dni, by sprawdzić oferenta. Zdarzało się na przykład, że morderca wyznaczał nagrodę za odnalezienie „bliskiej osoby”, którą sam wyekspediował na tamten świat, a później próbował udowodnić, że jest niewinny. W przypadku Tessy Shaw był nie mniej ostrożny niż przy innych zleceniach, ale nie mógł sobie pozwolić na luksus dogłębnych badań. Jeśli jej matka mówiła prawdę, to córce mogło grozić poważne niebezpieczeństwo ze strony agresywnego byłego chłopaka, Romana.

Zniknięcie dziewczyny i nagroda za jej znalezienie okazały się w stu procentach autentyczne. Skąd jednak wyskoczyła ta „bliska przyjaciółka”? Nie wierzył w taki scenariusz. Maria nie podała mu przecież jej nazwiska, wymieniając osoby, z którymi Tessy mogła się kontaktować, dlatego zignorował prośbę kobiety, by sprawa została między nimi, i zadzwonił do Marii, pytając o matkę chrzestną Tessy.

– *Dios mio!* – krzyknęła przestraszona Vasquez. – Coś się stało w Guadalajarze?

W ten sposób dostał odpowiedź na swoje pytanie.

Zaczął się dopytywać, czy ktoś dzwonił i pytał ją o nagrodę. Tak, jakaś kobieta zobaczyła ofertę, zadzwoniła i powiedziała, że jej syn też zaginął. Spytała, czy ktoś odpowiedział na ogłoszenie.

Owszem, niejaki Colter Shaw, odpowiedziała jej Maria. Podała jej numer telefonu i adres.

– Przepraszam, nie powinnam... Pomyślałam, że może ma więcej pieniędzy niż ja, żeby panu zapłacić.

– Nic się nie stało.

– Ma pan jakieś kłopoty przez tę osobę?

– Poradzę sobie. To prawdopodobnie nic poważnego, ale radziłbym pani, żebyście kilka dni spędziły poza domem.

– Tak, oczywiście. Wyjedziemy jak najszybciej. Niech pana Bóg błogosławi, panie Shaw!

Natychmiast po zakończeniu rozmowy Colter obejrzał nagranie z kamery monitoringu i zobaczył, jak „Connie” podrzuca narkotyki. Aby nie zostawić odcisków palców, wziął kokę przez foliową torebkę i przełożył razem z naszyjnikiem do innej torby, którą ukrył kilka ulic dalej na pustej działce. Wracając z Hunters Point, zatrzymał się w sklepie sportowym i kupił paczkę magnezji. Przyjechał do apartamentu w Pacific Heights i czekał na policję. Był pewien, że gliniarze złożą mu wizytę. Nie wiedział tylko, o co chodzi tej kobiecie.

Pijąc następny łyk piwa, usłyszał domofon.

– Tak?

– To ja – padła ponura odpowiedź.

Kiedy stanęła przed drzwiami, znowu z ręką na glocku obserwował przez wizjer, jak poruszają się jej oczy.

Tym razem też była sama.

Wpuścił ją i kazał się jej zatrzymać.

– Ręce – rzucił ostrym tonem.

– Daj spokój – jęknęła.

– W górę.

Niechętnie uniosła ramiona, by ją obszukał. Była czysta.

– Siadaj. – Wskazał kanapę.

Posłusznie zajęła miejsce, a on przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Naprawdę myślałaś, że nie zadzwonię do Marii?

– Obiecałeś, że nie zadzwonisz. – Jak gdyby oszukał ją w grze w warcaby.

– Często to robisz? Jako dodatek do numerku? Podrucasz klientom prochy, żeby przymknęła ich policja?

Podejrzewał, że to call girl.

Próbowała zrobić obrażoną minę, ale bez powodzenia, co potwierdziło jego przypuszczenia. Zawsze z rozbawieniem obserwował, jak winny udaje oburzonego, gdy zostaje przyłapany.

Otworzył jej torebkę i wysypał zawartość. Gaz pieprzowy odsunął na bezpieczną odległość. Innej broni nie miała.

Przejrzał trzy prawa jazdy z tym samym zdjęciem, ale z różnymi nazwiskami. Jedno z nich brzmiało „Consuela Ramirez”.

– Które jest prawdziwe?

– Sophia Ionescu.

– Rumuńskie?

Skinęła głową.

– *¿Y si te hubiera preguntado algo en español?* – spytał.

– Hiszpański też znam.

Zrobił zdjęcie prawa jazdy Sophii i wysłał do Mack. Niecałe pół minuty później:

To ona. Dwa razy aresztowana za prostytutkę w Kalifornii. Raz na Florydzie.

– Nie odpowiedział mi na pytanie. Często to robisz? Bawisz się w dystrybucję francyzową?

– Jeden facet chciał, żeby cię przymknęli. Żebyś miał kartotekę. To on wpadł na ten pomysł. Wiedział, czym się zajmujesz, więc poszukał ludzi, którzy wyznaczyli nagrody za znalezienie zaginionych dzieci czy żon. Dał mi listę numerów i dzwoniłam. Maria Vasquez powiedziała, że uratowałeś życie jej córce. Byłeś taki miły, że nawet nie wzięłaś od niej pieniędzy. Ten facet kazał mi udawać matkę chrestną dziewczyny. Czasem trochę gram. – Sophia poinformowała o tym nie bez dumy.

– Aha, za tę kreację należałby się Oscar. Kto cię wynajął?

– Facet, z którym mam randki.

W tym wyrażeniu domyślił się szczególnego określenia.

– To tylko połowa odpowiedzi – zauważył.

– Ian. Ian Helm. Albo Helms. Może z „s” na końcu, nie wiem. Bogaty, mówi, że ma jakąś firmę konsultingową.

Ciekawa, choć wcale nie tak zaskakująca wiadomość.

– Ile zapłacił?

– Dziesięć tysięcy.

– Dobrze się wam układa? Z Helmssem?

– Pieprzymy się.

– Byłabyś gotowa zeznawać przeciwko niemu?

Sophia zaśmiała się z jego naiwności.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, uznał jednak, że to nie jest najlepsze wyjście. Gdyby nawet kobieta zdecydowała się na współpracę, to za co można by przymknąć Helmsa? Nie mieli na niego nic poważnego. Shaw nie zamierzał atakować pojedynczych ludzi. Chciał raz na zawsze zniszczyć BlackBridge i wysłać Helmsa za kratki na kilkadziesiąt lat.

Nachylił się bliżej. Zobaczył w jej oczach cień niepokoju. Postanowił skorzystać z metody Russella.

– Czy Marii albo Tessy coś grozi?

– Nie, nie. Chcieliśmy od nich tylko informacji.

– Bo jeżeli tak... – Stuknął palcem w jej autentyczne prawo jazdy.

– Nie, przysięgam. Powiedziałam Ianowi, że nie pomogę mu, gdyby komuś miało się stać coś złego. Nie mieszam się do takich spraw. Biorę trzy tysiące za noc.

To ostatnie miało chyba świadczyć o jej kręgosłupie moralnym.

– Podaj mi swój numer. Prawdziwy. I nie pozbywaj się tego telefonu. Być może będę chciał się z tobą skontaktować. Jeżeli okaże się, że jest nieaktywny, mój przyjaciel złoży ci wizytę przy Sumner Street osiem pięć cztery. Albo tam, dokąd się przeprowadzisz. Znajdę cię. Mamy cię już w systemie.

To nic nie oznaczało, ale pogrożki brzmiały dobrze i z pewnością ją zdenerwowały.

– Jezu...

Colter uniósł brew.

Z zaciśniętymi ustami skinęła głową, wciąż z miną ofiary. Wyrecytowała swój numer, który Shaw zapamiętał.

– Ile kosztował ten naszyjnik?

Wzruszyła ramionami.

– Pięćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. To nie jest prawdziwy brylant.

Spojrzała na gaz pieprzowy.

Shaw parsknął śmiechem i odprowadził ją do drzwi.

Znowu w domu przy Alvarez Street.

Karin i Ty zajmowali się sprzątaniami. Pick-up i broń filipińskich gangsterów zniknęły bez śladu. Ranni mężczyźni, złożony śluby milczenia, leżeli w szpitalu. Adelle była w drodze do Las Vegas. A gdzieś w Oakland całkiem sprawny, choć nieco zakrwawiony chevrolet impala miał się niebawem zmienić w dwutonowy blok złomu.

Colter zastanawiał się, czy Karin z pomocą grupy specjalnej z San Leandro udało się w końcu potwierdzić tożsamość Blondyna.

Kiedy już będą wiedzieć, kto to był, dogłębnie go sprawdzą. Trzeba ustalić, gdzie ostatnio bywał, z kim się zadawał, gdzie mieszkał, w jakim oddziale BlackBridge pracował, z którym gangiem w Hunters Point miał powiązania.

I kim był SP. I dlaczego wydano na niego (lub na nią) wyrok śmierci.

Kiedy te niewiadome uda się wyjaśnić, będą mieli szansę uratować rodzinę.

Była trzynasta dziesięć. Zlecenie zabójstwa miało zostać wykonane za niecałe sześć godzin.

Zabrzączał telefon i Shaw przeczytał SMS-a od profesora Stevena Fielda.

Jest w wiadomościach.

Włączył aplikację telewizyjną i odwrócił telefon poziomo.

Spokojna i opanowana prezenterka wiadomości sprawnie czytała słowa przewijające się na teleprompterze, ale Shaw widział, że ma problem ze zrozumieniem istoty podawanych przez siebie informacji. Zresztą któż by nie miał?

– ...w San Francisco odkryto urzędowy dokument sprzed ponad stu lat. Jest to orzeczenie sądu o wyniku głosowania po ponownym przeliczeniu głosów w stanowym referendum z tysiąc dziewięćset szóstego roku, w którym obywatele stanu głosowali za propozycją, by pozwolić... – teatralna pauza – ...korporacjom ubiegać się o urzędy publiczne. Według urzędników orzeczenie przypadło wraz z setkami tysięcy dokumentów zaginionych po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło wówczas trzy czwarte miasta. Uważa się, że sędzia, który podpisał orzeczenie po ponownym przeliczeniu głosów, zginął w tamtej katastrofie i dlatego nikt wtedy nie poznał prawdziwego wyniku referendum.

No tak, nie trzeba było długo czekać. Shaw stwierdził, że to żadna niespodzianka. Devereux czekał długie lata, by odnaleźć ten magiczny dokument. Teraz chciał jak najszybciej przejść do działania, by zdobyć pierścień władzy.

– Jest z nami wykładowca prawa gospodarczego z Uniwersytetu Utah, doktor C. Edward Hobbs. Witamy, panie doktorze. Proszę nam wyjaśnić, jak poprawka do konstytucji stanowej sprzed ponad stu lat może się stać obowiązującym prawem.

– Dzień dobry. Dziękuję za zaproszenie. W przypadku uprawomocnienia się przyjętych w głosowaniu poprawek do konstytucji nie ma żadnych ograniczeń czasowych. Można powiedzieć, że nie ma tu zastosowania zasada przedawnienia. Propozycja dokonania nowelizacji konstytucji stanowej nie wymaga podpisu gubernatora; nie traktuje się jej jak ustawy. Gdy większość obywateli opowie się za poprawką, automatycznie staje się prawem.

– Czyli to prawda. Czy ta poprawka umożliwi korporacjom ubieganie się o urzędy publiczne?

– Tak. Powinniśmy tu zaznaczyć, że nie mówimy tylko o starcie w wyborach. Będzie także możliwe mianowanie korporacji na stanowiska publiczne. Sędziów, szeryfów, przewodniczących organów nadzorczych.

– Czy ten przepis zostanie zaskarżony?

– Niewątpliwie tak. Należy potwierdzić autentyczność samego orzeczenia. Eksperti z pewnością już nad tym pracują. Musimy jednak pamiętać, że ostatnio poszerzenie praw korporacji cieszy się coraz większym poparciem. Wźmy sprawę Citizens United – wyrok z dwa tysiące dziesiątego roku rozszerzył na korporacje prawo do wolności słowa wynikające z Pierwszej Poprawki.

Popiera to większość Amerykanów. Wielu naukowców i polityków, z którymi rozmawiam, wyraża pogląd, że to dobry ruch – dobry dla kraju, dobry dla demokracji. Jeżeli urząd będzie sprawować korporacja, nastąpi decentralizacja władzy. Automatycznie zadziała mechanizm wzajemnej kontroli, utworzony przez akcjonariuszy, zarząd i prezesa. Proszę pamiętać, że najistotniejsze innowacje w minionym wieku powstały dzięki badaniom prowadzonym przez korporacje. To one dysponują najlepszymi trustami mózgów na świecie.

Sojusznik Devereux – oczywiście opłacany przez niego – nie wspomniał o niepokojących pomysłach politycznych swojego mocodawcy, opisanych w dokumentach, które Shaw i Russell znaleźli w torbie kurierskiej. Wszystkie poważnie naruszały prawa człowieka.

– Czyli Facebook, Apple albo Amazon mogą pewnego dnia zostać gubernatorem Kalifornii.

– Teoretycznie tak.

– Ale korporacja nie może startować w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

– Nie, konstytucja USA wyraźnie o tym mówi. Poprawka nie ma zastosowania do wyborów federalnych ani mianowań na funkcje publiczne w instytucjach krajowych.

Dotyczy tylko władz stanowych i lokalnych. Ale to ważny precedens. Mówi się, że jeśli chodzi o prawo, to Kalifornia przeciera szlak całemu państwu...

Shaw wyłączył program. Rozejrzał się po domu. W pozbawionym okien kącie stał brązowy fotel obity sztuczną skórą, odwrócony w stronę wykuszowego okna, które wychodziło na ulicę. Pewnie tak siadywał ojciec – nigdy nie zwracał się plecami do drzwi ani okien. Obok fotela stał odrapany i rozchwiany stolik. Colter podszedł do fotela i usiadł w nim. Przesunął dłoń po sfatygowanym, postrzępionym oparciu. Tuż przed powrotem do Posiadłości i krótko przed śmiercią ojciec był w San Francisco. Być może właśnie tu siedział i gromadził wskazówki, które miały skłonić kogoś – okazało się, że jego syna – do kontynuowania misji przeciwko BlackBridge Corporate Solutions, gdyby sam nie mógł jej dokończyć.

Może w tym fotelu napisał list i zaznaczył osiemnaście magicznych miejsc na mapie, którą ukrył na Echo Ridge.

W tym momencie zabrzączał telefon, sygnalizując nadejście wiadomości od Russella.

Karin: brak potwierdzenia tożsamości Blondyna z San Leandro. Jeżeli niczego nie znajdziemy w ciągu kilku godzin, rodzina zginie.

64

O trzeciej po południu zadzwonił iPhone Shawa. Odebrał.

– Halo?

– Colter Shaw? – Kobięcy głos był niski i rzeczowy.

– Zgadza się.

– Właśnie rozmawiałam z twoim bratem, Russellem. Nazywam się Julia Callahan. Pracuję w Systems Support w Bayshore Heights. Russell dzwonił do mnie wcześniej w sprawie analizy starej kasety audio.

– Byłem przy tej rozmowie. Pracujesz z Russellem? Nie mówił mi dokładnie.

– Moja firma wykonuje zlecenia od jego organizacji. Kazał mi jak najszybciej do ciebie zadzwonić.

– Mówił mi, że miałś przeprowadzić głębszą analizę. Znalazłaś na taśmie coś jeszcze?

– Tak. Ten, kto ją nagrał, był sprytny. Za pierwszym razem analizator pokazał tylko utwory muzyczne. Ale im dłużej słuchałam, tym bardziej odnosiłam wrażenie, że jest jakaś regularność w szumie między utworami. – W jej głosie wyraźnie brzmiał ton podniecenia.

– W szumie?

– Okazało się, że to wcale nie szum. Wyizolowałam go i odtworzyłam w zwolnionym tempie. Bardzo zwolnionym.

– Co to było?

– Męski głos, który podawał numery kont i kody zagranicznych korporacji i banków, mówił o przelewach na indywidualne rachunki. Ten człowiek wyraźnie zaznaczył, że w transferach chodzi o uniknięcie podatków. Niektóre płatności trafiały do zewnętrznych kontrahentów. Wynikało z tego, że przez kontrahentów rozumiał...

– Płatnych zabójców?

– Takie miałam wrażenie. Specjalizuję się tylko w analizie dźwięku, ale pracujemy dla firm, które zajmują się doradztwem w sprawach bezpieczeństwa, więc mam pewne doświadczenia w tej dziedzinie. Wymienił też kilka nazwisk. Braxton, Droon – to chyba nazwisko. I nazwę firmy, w której pracują, BlackBridge. Kilka razy wspomniął skrót PRU. Wskazywał źródła zaopatrzenia w „produkt”.

– Narkotyki.

– Tak pomyślałam.

– Czyli wyodrębniłaś z taśmy to, co mówił ten głos? – spytał Shaw.

- Tak, jest na oddzielnym nagraniu. W pliku MP3.
 - To dobrze. Będzie mi potrzebna kopia. Może wykorzystam ją jako argument w operacji, którą prowadzimy z Russellem.
 - Podaj mi adres mailowy, to wyślę.
 - Nie – odparł Shaw. – Nie powinniśmy używać do tego internetu. Możesz mi przekazać fizyczną kopię? Na przykład na pendrivie?
 - Mogę.
 - Mamy tylko kilka godzin. Bayshore jest na południe od centrum?
 - Zgadza się.
 - Znasz park stanowy San Bruno?
 - Pewnie. Czasem tam biegam.
 - Jest tam jakieś puste miejsce, gdzie moglibyśmy się spotkać? – zapytał Shaw.
 - Przy południowym wejściu, od McGuire Road. Nikt z niego nie korzysta.
 - Za pół godziny?
 - Okej.
 - Przyjadę motocyklem. Będę w czarnej skórzanej kurtce.
 - Ja mam toyotę camry. Niebieską.
 - Przywiozę oryginalną taśmę.
 - To dobrze. Zrobię jeszcze dokładniejszą analizę.
- Shaw umilkł na chwilę.
- Dowody przeciwko nim... – szepnął. – Czyli Ashton miał jednak rację.
 - Słucham?
 - Och, nic. Po prostu głośno myślę. Do zobaczenia.

Wiele lat temu San Bruno na południe od San Francisco było wioską Ohlone.

W przedkolonialnej Ameryce rdzenny lud Ohlone zamieszkiwał dziesiątki osad ciągnących się od San Francisco aż po Big Sur. Dziesiątki tysięcy członków tych plemion zajmowały się łowiectwem, rybołówstwem i zbieractwem, a także uprawą ziemi. Jako pierwsi ludzie w Ameryce nauczyli się przygotowywać jedzenie z gorzkich żołądzi. Ohlone praktykowali religię kuksu, której liczne obrzędy i rytuały zwykle odbywały się w tajnych podziemnych salach.

Wiedli spokojne życie, dopóki nie pojawili się konkwistadorzy i wraz z franciszkanami nie rozpoczęli wśród plemion „działalności misjonarskiej”, co polegało na wypędzeniu Indian z ich własnej ziemi i zmuszeniu do przyjęcia chrześcijaństwa. Z powodu europejskich chorób, na które Ohlone nie byli odporni, ich populacja zmniejszyła się o trzy czwarte. Ostatecznym ciosem nie były jednak misje, Hiszpanie ani zamorskie bakterie, lecz działalność w stanie Kalifornia, którego pierwszy gubernator, Peter Burnett, w przemówieniu na zgromadzeniu stanowym w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku zapowiedział, że będzie prowadził wojnę eksterminacyjną z rdzenną ludnością, „dopóki rasa indiańska nie wymrze”. Konsekwentnie realizował tę politykę z ponurym skutkiem, mimo to na środkowym wybrzeżu Kalifornii do dziś istniało kilka plemion Ohlone.

Shaw wiedział o tym, ponieważ w jego żyłach płynęła odrobina krwi Ohlone, odziedziczonej po Mary Dove, która opowiadała mu o odległych przodkach. Park San Bruno, leżący w sercu ich terytorium, obrazował, jak mogła wyglądać ich ojczyzna mniej więcej dwieście pięćdziesiąt lat temu, przed gorączką złota, srebra i krzemu: bujna, soczysta i zielona, pokryta łagodnymi pagórkami.

Colter wjechał yamahą na niewielki parking. Pokonał gładki asfalt i zatrzymał się na środku. Z ukłuciem zazdrości spojrział na biegnące niedaleko piesze szlaki, na których mógłby sobie urządzić emocjonującą przejażdżkę motocrossową.

Ta przyjemność oczywiście musiała zaczekać.

Park był pustawy. Po jednej stronie parkingu stała furgonetka jakiejś firmy hydraulicznej. Kierowca w kombinezonie jadł kanapkę, popijając ją napojem z wielkiego kubka. Po drugiej pick-up straży Kalifornijskich Parków Stanowych, którego kierowca w za dużym kapeluszu rozmawiał przez telefon i patrzył w kartkę na podkładce. Nie było biegaczy ani turystów

wędrujących po ścieżkach. Szare niebo otulało ziemię lekką mgiełką i mamiło ją zapowiedzią deszczu.

Na parking skręciła niebieska toyota, wolno podjechała do niego i stanęła. Otworzyły się drzwi.

Shaw skinął głową kobiecie w czarnych legginsach, czarnym swetrze i granatowej wiatrówce.

– Julia?

– Colter?

Podszedł do niej.

– Nikt za tobą nie jechał?

– Nie. Na pewno nie. A za tobą?

– Mam urządzenie antyśledzące.

Zmarszczyła brwi.

– Co to takiego?

Wskazał głową yamahe.

– W motocyklu? – spytała.

– Nie, mam na myśli sam motocykl. Wystarczy jechać linią między pasami ruchu dziesięć kilometrów ponad ograniczenie prędkości i nikt cię nie będzie śledził.

– Muszę kiedyś spróbować.

– Jeździsz na motorze?

– Nie, ale zawsze chciałam. Ktoś musiałby mnie nauczyć. Trzeba zdać jakiś egzamin, prawda? Żeby dostać prawo jazdy.

– Bułka z masłem. Zdasz śpiewająco.

Ściągnęła usta.

– Dlaczego mówi się „śpiewająco”, a nie na przykład „tańcząco”?

Shaw odparł, że nie wie.

Zdjęła z nadgarstka gumkę i związała splątane ciemne włosy w wysoki kucyk.

– Gdzie Russell?

– W naszej kryjówce. Bada inne tropy, które pojawiły się w tej operacji. – Przyjrzał się jej z zaniepokojoną miną. – Nie jesteś uzbrojona, prawda?

– Ja? – Parsknęła śmiechem, jak gdyby sama myśl wydała jej się absurdalna. – Pracuję w firmie technologicznej. Nie nosimy broni. Czemu pytasz?

Shaw wskazał głową pick-upa straży parku.

– To teren stanowy. Wnoszenie broni jest zakazane.

– A ty jesteś uzbrojony?

Wzruszył ramionami.

– Jestem, ale mam duże doświadczenie, jak ją nosić, żeby nikt nie widział.

Zawarczał silnik parkowego pick-upa, a kiedy wóz ich mijał, ponury kierowca dotknął ronda kapelusza. Shaw odpowiedział skinieniem głowy. Samochód zniknął na gruntowej

drodze prowadzącej w głąb parku.

– Mam pendrive – powiedziała – ale przepuściłam nagranie przez program do transkrypcji. Wyszło jakieś sto stron wydruków. – Wzięła z przedniego siedzenia toyoty grubą białą kopertę.

– Świetnie.

– Może z oryginału uda się odczytać więcej. Przy zgranych kopiach zawsze jest jakieś przekłamanie... – Głos jej zamarł i po chwili wstrzymała oddech, patrząc ponad ramieniem Shawa.

Otworzyły się przednie drzwi furgonetki firmy hydraulicznej i wysiadł z niej kierowca. Błady, z włosami w takim samym odcieniu jak Blondyn, który zginął w zaułku. Był potężnie zbudowany, ubrany w czarny strój taktyczny i miał w ręce pistolet.

Po chwili odsunęły się boczne drzwi i z samochodu wyłoniły się dwie następne osoby: Ebbitt Droon, też uzbrojony, a także przypominająca pod każdym względem dobrotliwą babcie Irena Braxton.

Kiedy stanęli na asfalcie, pojawiła się jeszcze jedna postać i dołączyła do pozostałych.

Szef BlackBridge, Ian Helms, spojrział w jego stronę i głębokim, donośnym barytonem, jakiego można się spodziewać po tak przystojnym mężczyźnie, w dodatku odgrywającym tu główną rolę, powiedział:

– Proszę, a oto i Colter Shaw.

66

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się badawczo Shawowi, Helms rzekł:

– Gdybyś nie przechytrył mojej przyjaciółki, na pewno wyszłoby ci to na dobre.

Shaw przypuszczał, że ma na myśli Sophie/Connie i jego wybieg w Pacific Heights, by uniknąć aresztowania.

„Zaniepokoiłam się. Te wszystkie narkotyki... Zrobiłam to dla dzieci...”

Przynajmniej nie czekałby go los, który zaplanowali teraz dla niego w parku.

Pałeczkę przejął Droon.

– No, Shaw, podciągnij koszulkę. Powoli, co nie?

– Spokojnie, Droon.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Cii, panno Julio – skarcił ją łagodnie Droon.

– Skąd... – urwała.

– Nie ruszaj się. Za chwilę się tobą zajmę, ślicznotko. – Odwrócił się do Shawa. – No, panie Praworęczny, weź tego babskiego glocka lewą ręką i rzuć tam w krzaki. Chcę zobaczyć rozczapierzone paluszki, jakbyś pił herbatkę z maleńkiej filiżanki.

– Jeżeli to zrobię, broń może wystrzelić i w kogoś trafić.

– Spoko, spoko, dobrze wiesz, że nie. Austriacy są za mądrzy, żeby dochodziło do wypadków. Bądź grzecznym chłopczykiem i zachowuj się. Panna Julia wygląda, jakby miała mdłości. Lepiej jej nie denerwować. Będzie smutek i żal. No, już, już.

– O co chodzi? – powtórzyła drżącym głosem.

– Pistolet, synu – warknął do Shawa Droon.

Shaw spełnił polecenie i podciągnął koszulkę, ukazując rękojeść broni.

– Popatrzcie na ten kaloryfer. Pewnie ćwiczysz, dopóki nie opadniesz z sił.

Glock wylądował na ziemi.

– Podciągnij jeszcze z łaski swojej nogawki dżinsów. Wyglądasz mi na takiego, co to lubi nosić kaburę na kostce.

Shaw to zrobił.

– Pięknie. Panno Julio, możesz zostać w ubraniu, chociaż jestem srodze zawiedziony, co nie? Słyszałem, że nie nosisz broni.

– Słyszał pan?

Colter zerknął na furgonetkę.

– Podśluchiwali nas. Wiedzą o kasecie. I analizie. – Spojrzał na Braxton. – Myślałem, że o nas zapomnicie, skoro ukradliście orzeczenie o wynikach referendum.

– Nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

– Jest pan naszym ulubionym łowcą nagród, panie Colterze Shaw – wtrącił Droon. Zachichotał. – Nie moglibyśmy tego przeboleć, gdybyśmy się nie pożegnali.

Helms machnął ręką, by uciszyć te irytujące perory, i zrobił krok naprzód.

– Chciałem spotkać się z tobą osobiście, Shaw. – Obejrzał go od stóp do głów i na jego twarzy odbiło się głębokie rozczarowanie. To wrażenie było odwzajemnione. – Rodzina Shawów... Mam przez was same zmartwienia.

– Zmartwienia? – Colter zaśmiał się gorzko. – Przez ciebie moja matka jest wdową.

Westchnął.

– Ty znowu o tym samym. To nie miało się tak skończyć. Przypuszczaliśmy, że Ashton znalazł orzeczenie o wyniku referendum. Nasz człowiek miał mu tylko zapłacić za nie sporo pieniędzy.

– Wasz wysłannik na te, cytuję, „negocjacje” wtargnął na naszą ziemię o trzeciej rano, uzbrojony, i tropił mojego ojca w lesie. Chciałeś powiedzieć, że miał go torturować, dopóki nie wyciągnąłby z Ashtona informacji, gdzie ukrył dokument, a potem go zabić. Jesteś nudny, Helms.

– Nudny? – Przystojna twarz pociemniała. To słowo było dla niego obrazą. Shaw uświadomił sobie, kogo ten człowiek mu przypomina – młodego Warrena Beatty’ego. – W jego głosie zabrzmiała tęskna nuta. – Przełomowa Sankcja. Całkowicie odmieni ten kraj.

– Stalin zasadniczo odmienił Rosję. Nie przypuszczam, żebyś chciał reklamować podobne standardy.

– BlackBridge nie głosował za Propozycją Zero Sześć. Pan Devereux też za nią nie głosował. Zlecono nam odnalezienie dokumentu, który został prawidłowo przyjęty przez obywateli stanu w legalnym głosowaniu. Umożliwiamy tylko zrealizowanie woli narodu.

Zabrzmiało to jak słowa rzecznika na konferencji prasowej.

– Zastanów się, Shaw – ciągnął Helms. – Poprawka daje każdej korporacji prawo ubiegania się o urząd. Szlachetnej organizacji non profit.

– Nie powiedziałbym, że niesiesz pochodnię wrażliwości społecznej, Helms. Niszczysz dzielnice swoim Planem Reformy Urbanistycznej.

Prezes wzruszył ramionami.

– Nikomu nie przystawiam pistoletu do głowy i nie mówię: bierz te narkotyki, bo pożąkujesz.

Rosły mężczyzna o bladej twarzy, kierowca furgonetki, w milczeniu przyglądał się całej scenie. Może był płatnym zabójcą, który zastąpił Blondyna. Człowieka, który miał się zająć rodziną SP.

Irena Braxton zaczęła się niecierpliwić.

– Wiedzieliśmy, że Gahl znalazł orzeczenie o wynikach referendum i je ukrył. – Zerknęła na białą kopertę. – Nie wiedzieliśmy, że zbiera na nas dowody.

– Magnetofon stał w naszym domu, kiedy się tam włamaliście – zauważył Shaw. – Mieliście wtedy okazję go zabrać.

– Lepiej późno... – mruknął Helms.

Skinął głową Droonowi, który powiedział:

– Panno Julio, zrobimy tak: dasz nam tę kopertę i swoją torebkę – albo portfel, jeżeli „torebusia” brzmi zbyt seksistowsko. Przepraszam, jeżeli uraziłem. Zerknę na twoje dane, dowiem się, gdzie mieszkasz i gdzie mieszka twoja rodzina albo, jeżeli wolisz, twoi bliscy.

– Błagam, nie!

– Błagam, tak! – odparł kpiąco. – Potem wrócisz do biura i nadpiszesz cyfrową kopię tej kasety do ostatniego bajta. Powtórzę kluczowe słowo: „nadpiszesz”. Pamiętaj, niczego nie można tak naprawdę skasować, dopóki się tego nie nadpisze, o czym zapewne wiesz, skoro pracujesz w tej branży.

– Żadnych telefonów na policję – uprzedziła Braxton. – Bo moi współpracownicy pojedą prosto do twojego domu.

– Nie! – wykrztusiła. – Mam dzieci! – Nerwowo mięła kopertę w dłoni.

– Uspokój się, ślicznotko. Wystarczy, że wszystko zniknie i obiecasz, że nie powiesz o tym ani słowa, a twoim milusińskim i mężusiowi włos nie spadnie z głowy.

– Jak mógłbyś to zrobić?! – krzyknęła z wściekłością.

Droon zmarszczył czoło, jak gdyby nie zrozumiał pytania. Odwrócił się do Shawa.

– Chcę też dostać oryginalną kasetę, co nie? Gdzie jest? I nie próbuj żadnych sztuczek. Nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Twarz Shawa pociemniała.

– W porządku. – Uniósł prawą rękę, żeby go uspokoić, i lewą sięgnął do kieszeni kurtki, by wyciągnąć kasetę.

– Coś takiego? Jakież to proste i bezbolesne, prawda? Rzuć ją tutaj.

Shaw zrobił to, a Droon podniósł ją z ziemi.

Tym samym beztróskim, drażniącym głosem zwrócił się do Julii:

– W porządku, panno Julio, im prędzej pozełgujesz do biura, tym prędzej...

– Chwileczkę. – Wypowiedziane stanowczym tonem słowo padło z ust Braxton. Miała przechyloną głowę i przymrużone oczy. – Chwileczkę.

Helms zmarszczył brwi, a Droon odwrócił się w jej stronę.

– Kiedy odebrał telefon od Julii, skanowałeś jego dom, prawda? – spytała.

– No, tak – odparł Droon. Spojrzał niepewnie na upudrowaną twarz szefowej, na której malował się niepokój.

– Który telefon odebrał? Jaki to był numer?

– No... – Droon się zastanawiał. – Zaczynał się od osiem cztery pięć albo osiem cztery coś tam. Mogę sprawdzić...

– Jezu Chryste! – zagrzmiała Braxton. – To jego iPhone!

Musiała wiedzieć, że Shaw korzysta z zaszyfrowanego telefonu z Androidem, odkąd przyjechał do San Francisco, ponieważ zdawał sobie sprawę, że BlackBridge może podsłuchiwać rozmowy przez iPhone'a, który nie był chroniony.

Jeżeli Shaw mówił o kasecie przez telefon Apple'a, to musiało oznaczać, że chciał, by usłyszeli tę rozmowę.

– To pułapka! Na taśmie nic nie ma. Te informacje ukryte w szumie to bzdura. On tu ma swoich ludzi.

Blady drągał i Droon stanęli w niskiej szerokiej postawie i rozejrzeli się czujnie dookoła, unosząc broń.

Shawa ogarnęło rozczarowanie. Miał nadzieję, że uda się grać tę komedię trochę dłużej, by wyciągnąć z przeciwników więcej informacji, a także by przyznali się do innych grzechów.

– Wracaj do wozu, Ian – szepnęła do Helmsa Braxton. – Szybko!

Colter Shaw skinął głową.

Spomiędzy drzew odezwał się „funkcjonariusz straży parkowej”, którym w rzeczywistości był Ty, współpracownik Russella z grupy:

– Hej, wy z BlackBridge, ręce do góry i trzymać je na widoku! Rzucić broń. Położyć się twarzą do ziemi! Jeżeli zobaczą broń albo inne zagrożenie, otworzymy do was ogień! – Wypuścił na postrach serię z pistoletu maszynowego H&K z tłumikiem. Pociski rozpruły ziemię trzy metry przed bandą z BlackBridge. – No już!

Blady agent posłusznie spełnił polecenie i rzucił pistolet, jakby parzył mu dłoń. Braxton z grymasem niezadowolenia zdjęła z ramienia swoją hipisowską plecioną torebkę i cisnęła na ziemię. Powoli uklękła, po czym ostrożnie rozciągnęła się na brzuchu. Ian Helms poszedł w jej ślady.

Ebbitt Droon zaczął robić to samo, ostentacyjnym ruchem wyciągając przed siebie rękę, by ostrożnie położyć pistolet na ziemi, nagle jednak rzucił się do tyłu i schował się przed groźną bronią Ty'a za furgonetką. Spojrzał prosto na Shawa bezlitosnym i równocześnie rozbawionym wzrokiem.

– Co to to nie!

Uniósł broń, mierząc w niego. Shaw instynktownie przypadł do ziemi i w obronnym geście wyciągnął przed siebie rękę.

W tym momencie stojąca obok niego kobieta – nie Julia, ekspertka od analizy dźwięku, lecz przyjaciółka Shawa Victoria Lesston – nacisnęła spust colta pythona kaliber .357, który spoczywał w białej kopercie. Nie mogła wycelować, więc duży pocisk śmignął parę centymetrów od Droona i roztrzaskał boczne lusterko furgonetki. Facet zatoczył się do tyłu i upadł, a pistolet wyleciał mu z dłoni i wylądował w zaroślach. Ebbitt zerwał się z ziemi i pognął w głąb parku.

Victoria podała Shawowi colta, który do niego należał, on jednak powiedział:

– Nie, pilnuj ich. – Ruchem głowy wskazał ekipę z BlackBridge. Nie tracił czasu na szukanie glocka. Skręcił na mocno wydeptaną ścieżkę, którą przed chwilą uciekł Droon, i sprintem rzucił się w pościg.

Shaw dogonił muskularnego bandytę już po pięćdziesięciu metrach.

Zdyszany Droon odwrócił się i z pochwy przy pasku wyjął nóż SOG.

– Okej, amatorze nagród. Mam już ciebie serdecznie dosyć.

Nie zważając na jego słowa, Shaw rozejrzał się w terenie. Płaska, porośnięta trawą polanka. Na takim polu walki mieli równe szanse.

Nigdy nie walcz z niższej pozycji niż przeciwnik.

Droon poruszał się szybko niczym tancerz, tam i z powrotem, a prawa dłoń z nożem nie zatrzymywała się nawet na moment.

Shaw spróbował tylko raz.

– To koniec, Droon. Przecież wiesz. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

– Ha, ha, zabawne rzeczy opowiadasz. – Zrobił wypad i zakreślił nożem łuk. Colter bez trudu się uchylił. – Zastanawialiśmy się, czy cię nie załatwić w kamperze w Tacomie. Ja byłem za, ale Irena powiedziała, że może będziesz miał dla nas coś jeszcze. Coś ważnego. – Znowu świsnęło ostrze. – I niech cię diabli, miała rację. Znalazłeś to orzeczenie. Ojej, ależ jej sprawiłeś radość.

Shaw nie zwracał uwagi na jego paplaninę. Niech mówi, niech zużywa tlen. Tymczasem uważnie obserwował ręce Droona, zawsze należy to robić podczas walki na noże. Sam trzymał ręce przed sobą i odskakiwał od przeciwnika, zmuszając drobnego mężczyznę, żeby na przemian cofał się i nacierał.

Instynktownie przypomniał sobie zasady walki nożem.

Zasada pierwsza: jeżeli zaatakuje cię napastnik z nożem, a ty jesteś nieuzbrojony, uciekaj.

Ta możliwość nie wchodziła w grę.

Droon, śmiejąc się jak odurzony, z błyszczącymi oczami, wciąż podbiegał i odsuwał się, wymachując nożem w przestrzeni między nimi. Shaw cofnął się, ale natychmiast wrócił, uniósł ręce – z otwartymi dłońmi, żeby nie złamać palca – i uderzył nimi w prawe ramię Ebbitta, by odtrącić je na bok. Gdy tylko ostrze znalazło się z tyłu, Colter boleśnie trzasnął go w twarz. I błyskawicznie się cofnął.

To zagranie doprowadziło Droona do szału, a rozwścieczona mina podkreśliła jego szczerze rysy.

W pewnym momencie Colter, przekonany, że teren za nim jest płaski, potknął się o korzeń, którego nie zauważył. Nie upadł, lecz na moment stracił równowagę. Droon skoczył naprzód jak sprężyna i Shaw poczuł ból, gdy ostrze smagnęło wierzch jego dłoni.

Zasada druga: podczas walki dosięgną cię ciosy noża. Pogódź się z tym i staraj się nie odsłaniać najważniejszych dla życia części ciała.

Colter kontynuował taniec i wycofywał się, ilekroć Droon atakował. Nadal uderzał przeciwnika w twarz, gdy nadarzyła się okazja.

Nie sięgał po nóż.

Zasada trzecia: nie próbuj odebrać napastnikowi noża. Łączy go z nim religijna więź i żadna sztuka walki nie skłoni go, by wypuścić z ręki broń.

Droon już się nie uśmiechał. Shaw nie grał fair, pływając wokół niego i tłukąc go w uszy i oczy. Następne cięcie w przedramię. Tym razem ucierpiała kurtka.

Facet rzucał się na niego, a Shaw odskakiwał, lecz za każdym razem jego prawa lub lewa dłoń trafiała w twarz chudzielca, która w wielu miejscach była już czerwona i sączyła się z niej krew. To był jedyny cel Shawa. Szybkie wejście, szybkie odejście.

– Chciałbyś... – Droon głęboko zaczerpnął tchu – ...oślepnąć, synu? Co ty na to? Pasowałoby to do twojego trybu życia? – Wykonał wypad jak szermierz. Shaw przewidział ten ruch i ogłuszył przeciwnika uderzeniem w ucho. Przy odpowiedniej sile taki cios może pozbawić człowieka przytomności. Ten nie odniósł zamierzonego skutku, ale zdeorientował Droona.

– Nudzisz mnie, Shaw. Skończmy z tym już.

Zasada czwarta: kiedy napastnik się cofnie, kontratakuj, celując w oczy i szyję.

Droon skoczył naprzód i ostrze minęło pierś Shawa o kilka centymetrów. W momencie, gdy chudzielec lekko się odwrócił i cofnął dłoń z nożem, Colter rzucił się na niego, zacisnął lewą dłoń na nadgarstku ręki trzymającej nóż, a palce prawej wbił mu w oczy. Droon zawył z bólu.

Aby wykorzystać przewagę, Shaw, nie zwalniając uścisku na ręce z nożem, chwycił go za nogę pod prawym kolaniem, uniósł w powietrze całe ciało przeciwnika i rzucił nim o twardą, najeżoną kamieniami ziemię. Z płuc zbira uszło powietrze.

Nóż wypadł mu z ręki.

– Nie, synu, nie. – Ebbitt uniósł ręce, jak gdyby błagał o litość, lecz nagle chwycił Coltera za gardło. Choć był drobny, to ścisnął go z ogromną siłą.

Shawowi pociemniało w oczach, ale namacał nóż i trzymając go mocno w prawej ręce, wbił ostrze w szyję Droona.

– Nie, zaraz, nie... – Tamten wydawał się zaskoczony. Może uważał, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu przeciwnik nie ma prawa albo nie może zaatakować go jego własną bronią.

Palce wciąż zaciskały się na szyi Coltera.

Pomyślał o ojcu.

W głowie brzmiało mu tylko jedno słowo.

„Przeżyć...”

Przekreślił ostrze i poszerzył ranę w szyi. Chlusnęła krew.

– Co ty... nie...

Ręce opadły.

W ciągu dziesięciu sekund Droon zwiotczał.

Shaw zsunął się z niego, ciężko dysząc, wstał i oddalił się o parę metrów. Nadal ścisnął w dłoni nóż.

Nigdy nie zakładaj, że powalony na ziemię przeciwnik nie jest już zagrożeniem...

Droon kaszlnął. A potem przestał oddychać. Colter patrzył na jego zastygłe ciało i oczy wpatrujące się nieruchomo w górę. Były utkwione w wiszącym nad nimi konarze dębu, którego kontur ostro rysował się na tle szarego nieba. Gałąź była ciężka od kiści niedojrzałych żołądzi w ładnym, głębokim odcieniu zieleni.

Całkiem ładny widok jak na ostatnie chwile spędzone na tym świecie, pomyślał Shaw.

68

Mam nagranie – powiedział do Shawa Ty. – Posłuchaj.

Agent, już bez kapelusza strażnika parkowego, odtwarzał zapis podsłuchanej rozmowy między członkami ekipy BlackBridge, która odbyła się w zaparkowanej furgonetce.

BRAXTON: Nie możemy nic zrobić, dopóki ten cholerny strażnik tu siedzi.

DROON: Miejmy nadzieję, że odjedzie. A jeżeli nie... Wypadki chodzą po ludziach, co nie?

BRAXTON: Nie. Zaczekamy, aż sobie pójdzie. Chcę, żeby było czysto.

DROON: Ostatecznie będziemy mieli dwa ciała. Jedno więcej nie schrzani nam roboty.

HELMS: Nie ruszać strażnika.

Kolejny głos należał do bladego mężczyzny, niejakiego George'a Stone'a, jak się okazało, pracownika BlackBridge. Ty ustalił, że był kiedyś najemnikiem w Afryce i na Bałkanach.

STONE: Zabijemy Shawa od razu?

DROON: Pomyśl logicznie. Nie sądzisz, że lepiej będzie poczekać, aż dziewczyna przyjedzie z biura, a potem stuknąć oboje?

HELMS: Dobrze, dobrze... Może postarajmy się, żeby to wyglądało na rozszerzone samobójstwo.

DROON: Mam chyba niezły pomysł.

HELMS: Gahl. Sukinsyn. Skąd on w ogóle wiedział o praniu pieniędzy? Przecież był tylko analitykiem.

STONE: Musiał coś podsłuchać. Siedział w starym budynku. Wtedy nikt nie pracował oddzielnie.

BRAXTON: Racja. To było lata temu.

HELMS: Przynajmniej połowa infrastruktury finansowej została nietknięta. Korzystamy w większości z tych samych banków. A kontrahenci? Może wiedział o zlikwidowaniu tego radnego. Może został jakiś mail, notatka. Jezu, ta informacja mogłaby nas zrównać z ziemią.

DROON: *Tak, ten radny. Todd Zaleski. Zupełnie o tym zapomniałem. Poszło jak po maśle.*

HELMS: *Chryste, Droon. Nie oceniamy walorów artystycznych.*

DROON: *Jasne, szefie, przepraszam. O, popatrzcie. To ta kobieta, Julia. Zaraz wychodzimy.*

Ty wyłączył odtwarzacz.

– To na początek powinno wystarczyć FBI – ocenił Shaw.

– Też tak myślę. Współdział w przygotowaniu zabójstwa, wymuszenie. Przyznanie się do zabójstwa – to jest szczególnie smakowite, śmierć tego radnego.

Shaw powiedział mu, że to właśnie śmierć Zaleskiego, protegowanego ojca, naprowadziła przed laty Ashtona na trop BlackBridge.

– Macie nakaz na ten podsłuch? – warknął Helms. Tak jak pozostali, miał ręce skrępowane za plecami plastikową opaską.

Ty obrzucił go przelotnym spojrzeniem, tak jak patrzy się na brzęczącą muchę.

– Korzystaliście z nielegalnego podsłuchu, dokonaliście wymuszenia na obecnych tu panu Shaw i pani Lesston, grożąc im użyciem siły, a wasz wspólnik usiłował zabić dwie osoby i podczas próby zabójstwa sam zginął. To oznacza, że jesteście winni zabójstwa. Nie wspominałem nawet o spisku. Nawiasem mówiąc, nie zakładaliśmy żadnego podsłuchu w waszym pojeździe. Okno wozu było otwarte, a ja mam bardzo czuły mikrofon. Czyli nie ma mowy o żadnym nakazie.

Shaw spojrzał na Braxton. Satysfakcję sprawiał mu fakt, że kobieta, która była odpowiedzialna za śmierć jego ojca, jest w szoku. Mimo mocnego makijażu było widać napięcie na jej twarzy. Nie przypominała już pocziwej babci, raczej upiora.

– Żądam adwokata – mruknął Helms.

– To na pewno da się załatwić – odparł Ty dziwnie oficjalnym tonem.

Operacja zatrzymania była improwizowana i przeprowadzona w dużym pośpiechu. Nie miało to jednak znaczenia, ważne, że się udało. Mieli już wszystko, czego potrzebowali, żeby dobrać się do BlackBridge. Shaw wysłał wiadomość do Russella, a potem podszedł do Victorii, która masowała sobie ramię – to, które ucierpiało w zeszlotygodniowym wypadku.

– Wszystko w porządku?

– Tylko trochę boli.

Otworzyła szerzej oczy na widok zakrwawionej rany na jego dłoni.

– To nic takiego. – Podszedł do motocykla, uniósł siodełko i wyjął butelkę alkoholu. Połał nim rozcięcie i syknął z bólu, który przeszył mu całe ramię aż po szczękę. Victoria rozerwała opakowanie z opatrunkiem, który też wyciągnął, a gdy płyn odparował, przycisnęła go do skóry i wygładziła brzegi.

– Droon? – Wskazała na park.

Shaw pokręcił głową.

– Chciałam powiedzieć, że przykro mi, że go nie trafiłam, ale chyba lepiej, że tak wyszło, prawda? – spytała cichym głosem.

Tak, ten facet należał do niego. To nie mogło się inaczej skończyć.

Chciał ją właśnie o coś zapytać, gdy nagle zdał sobie sprawę, że nastąpiła jakaś zmiana w otoczeniu.

Parking wypełniał jednostajny szum dobiegający z graniczących z parkiem San Bruno autostrad 101 i 280, wielopasmowych arterii Doliny Krzemowej, na których natężenie ruchu nie malało przez całą dobę.

Shaw miał w uszach ten monotony hałas. Miał w uszach basowy pomruk samolotu schodzącego do lądowania albo startującego z lotniska San Francisco lub San Jose. Miał w uszach szmer wiatru w sosnach i klonach, dobiegające z oddali skomlenie psów.

Nagle jednak przez te dźwięki przebił się warkot silnika i brzmiał coraz głośniej.

Natarczywie.

Shaw znalazł w zaroślach glocka. Uświadomił sobie, że w chaosie, jaki zapanował, gdy Braxton zorientowała się, że to pułapka, ona, Helms i Stone mieli telefony. Mogła mieć specjalny przycisk alarmowy i wysłała komunikat POTRZEBNE WSPARCIE albo ZAGROŻENIE.

Zespół Shawa miał dobrą pozycję obronną.

Czarny cadillac escalade niespodziewanie pojawił się na ścieżce dla pieszych.

– Ty! – zawołał Shaw. – Przeciwnik!

Przysadzista mężczyzna skinął głową i odbezpieczył H&K.

Shaw zerknął na colta, którego ścisnęła w dłoni Victoria, sięgnął do kieszeni i podał jej dziesięć nabojów luzem. Załadowała bębenek rewolweru, resztę amunicji schowała do kieszeni, po czym przyczała się, patrząc w stronę zbliżającego się SUV-a.

Z okna cadillaca wyfrunął granat dymny i zasnuł cały teren gęstą, szarą zasłoną. Colterowi wydawało się, że z samochodu wyskoczyło co najmniej dwóch mężczyzn i zaczęło pruć seriami z broni automatycznej bez tłumików. On i Victoria padli na ziemię, chowając się za powalone drzewo. Ty znalazł osłonę w postaci niskiego wału ziemnego.

Shaw i jego towarzyszka opuścili broń. Nie widzieli celu. Oboje usiłowali przebić wzrokiem chmurę gryzącego dymu.

– Oskrzydlamy? – spytała.

Skinął głową. Ruszył w lewo, ona w prawo.

Pokonali może około metra, gdy powietrze i ziemię wokół nich rozdarł ogień z automatów, wzbijając w górę kawałki darni, kamienie i gałęzie. Grad pocisków sypnął się przede wszystkim w jej stronę.

– Victoria! – krzyknął Shaw, widząc, jak kobieta pada.

69

Za gęsty ogień, za dużo dymu, by wykryć cel.

Wściekłe krzyki napastników:

– Szybciej, szybciej!

Victoria i Ty zniknęli za zasłoną dymu.

– Victoria!

Żadnej odpowiedzi. Serce Coltera łomotało.

Próbował znaleźć cel, ale w zawieszonym, lepkim obłoku nie sposób było niczego wyraźnie zobaczyć.

Domyślił się, że napastnicy wsiedli do samochodu, bo nagle przerwali ogień z automatów. Nie słyszał trzasku zamykanych drzwi – kanonada częściowo go ogłuszyła – widział jednak, że cadillac szybko odjeżdża innym wąskim szlakiem.

Patrzył w tę stronę, lecz schował glocka do kabury.

Nigdy nie oddawaj strzału, jeżeli cel nie jest wyraźnie widoczny...

Odwrócił się do tyłu.

– Victoria!

Nadal żadnej odpowiedzi.

Jezu...

To on ją w to wciągnął.

Kaszląc i spluwając obrzydliwą zawiesiną w powietrzu, szedł przez gryzącą chmurę w stronę miejsca, gdzie upadła.

– Victoria!

Wciąż cisza.

Odezwij się, odezwij, proszę...

Przedzierał się przez dym.

Nie widział ciała, nie widział śladów krwi.

Została ranna, a potem porwana przez jednego z napastników?

Nagle... Czyżby usłyszał głos?

Znowu.

– Tutaj.

– Victoria!

Atak kaszlu.

– Tutaj!

Zobaczył ją klęczącą w kępie turzycy. Podbiegł do niej i pomógł jej wstać. Trzymała się za pierś. Opuścił jej ręce. Nie dostrzegł krwi ani ran po kulach. Widocznie upadła na ziemię i pod wpływem uderzenia powietrze uszło jej z płuc.

Obejmując Victorię ramieniem, wyprowadził ją z gryzącej mgły. Oboje kasłali i ocierali łzy wyciśnięte przez dym, inny niż ten, jaki wydziela się podczas spalania drewna czy papieru; granaty wyrzucają żrące chemiczne opary powstałe podczas spalania chloranu potasu albo heksachloroetanu i cynku. Ich zadaniem nie jest obezwładnienie przeciwnika, ale gęsta chmura piecze i dusi.

– Ty! – krzyknął Shaw.

Barczysty mężczyzna wyszedł na chwiejnych nogach zza wału ziemi, za którym się ukrył. On też kaszłał i splotał.

Gdy wiatr powoli rozwiewał dym, zobaczyli cadillaca, który toczył się po ścieżce w odległości około stu metrów od nich i lada moment miał im zniknąć z oczu.

– Dasz radę gonić ich ze mną?

Skinęła głową. Shaw spojrział na Ty'a, który odpowiedział tym samym gestem.

Wyszli w trójkę z rzędnącego obłoku.

Nagle cadillakiem gwałtownie szarpnęło w lewo, o mały włos nie uderzył w drzewo przed nim. Coś wyleciało spod prawego przedniego koła.

Przez polanę przetoczył się stłumiony huk. Shaw zdawał sobie sprawę, że słyszałby go wyraźniej, gdyby nie miał przytępionego słuchu. Po chwili rozsypała się na kawałki przednia szyba samochodu. I znowu rozległ się huk.

Cadillac zatrzymał się w miejscu. Łoskot powtórzył się jeszcze kilka razy, wóz znowu się zakołysał.

– Już po silniku – stwierdził Shaw.

Nie można zniszczyć silnika, strzelając w niego zwykłą amunicją. Ale wystarczy dobrze wymierzony strzał, by unieszkodliwić delikatną elektronikę pod maską, dzięki której współczesne samochody są tak cudownym środkiem transportu – i tak bezbronnym wobec hakerów.

Ty, Victoria i Colter wolno ruszyli naprzód, kryjąc się za drzewami.

– Wszyscy wysiadać z wozu! – krzyknął Shaw.

– Ostatnie ostrzeżenie! – dołączył Ty. – Rzucić broń na ziemię. Odsunąć się z podniesionymi rękami!

Upłynęła chwila.

Rozległ się głośny brzęk, gdy następny pocisk karabinowy trafił w dolną część drzwi po stronie kierowcy i zarył się w siedzenie.

Kiedy ucichło echo wystrzału, wszystkie drzwi cadillaca otworzyły się równocześnie i wyleciała z nich broń. Po chwili pasażerowie i kierowca znaleźli się na ziemi.

– Zwiążmy ich.

Victoria ubezpieczała ich coltem, a Shaw i Ty przeszukali całą ekipę: latynoskiego kierowcę, jeszcze jednego agenta BlackBridge, muskularnego rudzielca, który wyglądał na byłego żołnierza, oraz Braxton, Helmsa i George'a Stone'a. Nowym skrupowano ręce plastikowymi opaskami. Pozostała trójka była już związana.

Znowu usłyszeli warkot silnika i ścieżką nadszedł drugi SUV. Tym razem lincoln.

Pojawienie się nowego samochodu bynajmniej nie zaniepokoiło Shawa. Ani nie zaskoczyło.

Kierowca wysiadł i podszedł do nich, zostawiając w wozie karabin snajperski McMillan TAC-338, którym ubezpieczał zatrzymanie grupy w cadillacu. Miał teraz w ręce pistolet. Kiedy zobaczył, że przeciwnicy leżą na ziemi, schował broń.

Shaw przedstawił Victorii brata.

Dwie godziny wcześniej, gdy siedząc na brązowym fotelu ojca, Colter dowiedział się, że trop z San Leandro nie doprowadzi ich do ustalenia tożsamości rodziny SP, rozejrzał się po domu i zatrzymał wzrok na magnetofonie.

Do zapowiedzianego zabójstwa rodziny zostało niewiele czasu, ułożył więc plan, by złapać Braxton i Droona w pułapkę i zmusić ich do odwołania wykonania wyroku.

Potrzebna mu była zaufana osoba, kobieta, która nie boi się walki. Karin, pomysłowa współpracowniczka Russella, nie była operatorką oddziału szturmowego, grupa zresztą nie miała do dyspozycji takiego zespołu, dlatego Shaw zadzwonił do Victorii Lesston i spytał, czy nie pomogłaby mu w zaplanowanej akcji.

– Na świecie są dwa rodzaje ludzi, Colter – odparła.

Zaśmiał się.

– Wsiądę do najbliższego samolotu – zaproponowała.

– Nie ma czasu. Organizacja mojego brata przyśle po ciebie helikopter.

– Organizacja. Jaka?

– Nie wiem. Russell nie puszcza pary z ust.

– Muszę przyznać, że bez ciebie trochę się tu denerwuję. Nie bardzo umiem tak długo tkwić w jednym miejscu.

Niespokojna...

Wyjaśnił jej, na czym polega jego pomysł. Miała zagrać Julię, analityczkę dźwięku, do której Russell zadzwonił z baru przy Quigley Square. Poprosił Victorię, by zadzwoniła pod numer jego iPhone'a, który mógł być na podsłuchu. Braxton miała się dowiedzieć o obciążających BlackBridge dowodach na kasecie i potajemnym spotkaniu Shawa i „Julii” w parku San Bruno, a przy okazji o tym, że Russell jest zajęty czymś innym – Colterowi zależało na stworzeniu pozorów, że nie będzie tam nikogo prócz Shawa i ekspertki od dźwięku.

A „dowody”? Żadna z technicznych informacji, które Victoria wymyśliła na poczekaniu, nie była prawdziwa. Nie istniało nic takiego jak ukrywanie głosów w szumie.

Shaw doszedł do wniosku – słusznego, jak się okazało – że Ian Helms, Braxton i Droon są gotowi na wszystko, by ponure szczegóły działalności BlackBridge nie wyszły na jaw; musieli założyć, że dowody są prawdziwe, a w związku z tym należy je zniszczyć, po czym zabić analityczkę dźwięku i Coltera.

Wahał się, czy zaangażować w to organa ścigania, nadal jednak nie znał zasięgu wpływów BlackBridge i Devereux. Jeszcze raz zadzwonił do Toma Peppera i podzielił się z nim swoimi obawami. Były agent nie znał nikogo w biurze terenowym FBI w San Francisco, nie mógł więc ręczyć za tutejszy personel. Miał jednak paru zaprzyjaźnionych agentów w Denver. Montowano już zespół. Należało jednak działać szybko, by złapać Braxton i Droona, zanim zostanie zaatakowana rodzina SP, dlatego Shaw, Russell i Victoria sami zorganizowali operację zatrzymania.

– Można to nazwać aresztowaniem obywatelskim – powiedział do brata Shaw.

– Hmm – brzmiała odpowiedź. Uzupełniona zaraz opinią: – To niezły plan, Colt.

Po raz pierwszy, odkąd przebywali w swoim towarzystwie, posępny wyraz twarzy Russella ustąpił miejsca minie, którą można było uznać za oznakę entuzjazmu.

Russell wciągnął do planu Ty'a, który miał zagrać rolę strażnika parkowego; nie mógł budzić niczyich podejrzeń, patrolując park i rozmawiając przez telefon podłączony do skomplikowanego sprzętu rejestrującego, którego zadaniem było zapisanie rozmowy ludzi z BlackBridge. Przypuszczali, że na spotkanie z Shawem i Victorią przyjedzie Braxton z Droonem, może ktoś jeszcze. Colter nie spodziewał się jednak, że przy okazji trafi im się taka gruba ryba jak Ian Helms.

Russell, który miał ich ubezpieczać podczas akcji, zajął stanowisko z karabinem snajperskim na dwójnogu. Zaskoczył ich drugi samochód, który zjawił się jako wsparcie, zwłaszcza że nadjechał osłoniętym przez drzewa szlakiem dla pieszych; Russell musiał szybko zmienić pozycję, by mieć cadillaca w polu rażenia i unieszkodliwić wóz.

Oddział z FBI, który miał przybyć za godzinę, mógł aresztować całą ekipę z BlackBridge i przejąć nagranie oraz odebrać zeznania od Shawa, Russella, Victorii i Ty'a.

– Chodźmy się potargować – zwrócił się Shaw do brata.

Russell się rozejrzył.

– Mamy zero straży na granicy strefy. – Spojrzał na Ty'a i Victorię. – Obstawilibym zachód i południe.

– Robi się. – Victoria chwyciła jeden z karabinków, sprawdziła i ruszyła poszukać dobrego stanowiska na zachodzie. Ty skręcił na południe.

Shaw z bratem podeszli do Braxton i Helmsa, którzy siedzieli na ziemi z rękami skrępowanymi z tyłu i z wyprostowanymi nogami. Braxton, ku zaskoczeniu Shawa, powiedziała łamiącym się, pełnym urazy głosem:

– Nie musiałeś go zabijać. Sam by się poddał.

Nic na to nie odpowiedział. Dyskusja byłaby jałowa, ponieważ Droon nie poddałby się za nic w świecie. Za pierwszym razem zabrakło mu sekundy, by zastrzelić Shawa, a za drugim omal nie wbił mu noża w serce. Na koniec starał się go udusić.

Kobieta była wyraźnie wstrząśnięta śmiercią chudzielca. Wydawało się to zupełnie nie w stylu kogoś, kto zleca tortury albo wykonanie nie wiadomo ilu egzekucji. Może łączyło tych dwoje coś więcej. Shaw musiał przyznać, że myśl o romansie pomiędzy nimi budziła

w nim niezbyt przyjemne odczucia, ale z drugiej strony kimże był, aby wydawać wyroki w sprawach sercowych? On sam, jako ten niespokojny w rodzinie, w sferze uczuciowej nie miał imponujących osiągnięć.

Russell stał, jak gdyby pełnił wartę, a Shaw kucnął przed Braxton i Helmssem, który oznajmił:

- Nie powiem już nic bez adwokata.
- Nie jesteście policją. Już was nie nagrywamy. Poza tym nie chodzi o dowody.
- Więc o co? – mruknęła Braxton.
- Zakładamy, że wykonanie wyroku na SP zostało odwołane. Możecie to potwierdzić?

Chwila ciszy.

– Co? – zdziwiła się.

Shaw przeniósł wzrok na Helmsa.

– Jeżeli ta rodzina zginie, wina spadnie na was. Postaramy się o to. Za zabicie świadka – bo zakładam, że chodzi o usunięcie świadka – w Kalifornii grozi kara śmierci.

Helms był wyraźnie skonsternowany.

– Podajcie nam nazwisko – zażądał Russell.

Shaw, znowu grający rolę dobrego gliny, powiedział:

– Powiemy prokuratorowi, że postanowiliście współpracować. To zadziała na waszą korzyść.

– Kto to jest SP, do cholery? – mruknął Helms. Odwrócił się do Braxton, która pokręciła głową. Ona też była zaskoczona tym pytaniem.

Shaw zerknął na Russella.

– Pokaż im.

Russell wyjął telefon i wyświetlił zdjęcie notatki, którą Karin znalazła przy zwłokach Blondyna.

Potwierdzenie od załogi z Hunters Point.

26/6, g. 19.00 SP i rodzina. Wszyscy ↓

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – burknął Helms.

Braxton jeszcze raz pokręciła głową.

– Biblioteka dwa dni temu? – naprowadzał ich Russell. – Facet, który był z Droonem? Miał to zlecenie w kieszeni.

– To był znajomy Ebbitta – odrzekła Braxton. – Umówił się z nim w bibliotece, żeby coś mu przekazać. Nie wiem, co to może być, ale nie ma nic wspólnego z naszymi projektami.

– Nie pracował w BlackBridge?

– Nie – odparł Helms.

Ich zaprzeczenia i tembr głosu podniosły czujność Shawa z dziesięciu do dziewięćdziesięciu procent. Był w stanie najwyższej gotowości.

– Kto to jest? – zwrócił się do Braxton.

– Ochroniarz. Pracował w jednej ze spółek Banyan Tree.

– Nazwisko. Podaj mi nazwisko.

Russell kucnął obok i nachylił się bardzo blisko niej. Wolał taką metodą uzyskiwać informacje.

– Nazywa się... – Kobieta zastanawiała się przez moment. – Chyba Richard Hogan.

Russell podniósł się i powiedział do brata:

– Myliliśmy się. To Devereux chce zabić SP, nie BlackBridge.

– Czyli zlecenie nie zostało odwołane. – Shaw spojrział na swój telefon.

Rodzinie zostały trzy godziny życia.

Bracia niemal równocześnie zdobyli adres Richarda Hogana.

Shaw wysłał prośbę do Mack, Russell do Karin.

Telefon Coltera zabrzączał pierwszy, Russell dostał wiadomość zaledwie dziesięć sekund później.

Zabójca mieszkał w domu z żółtą wiktoriańską fasadą w pobliżu Coit Tower na Telegraph Hill. W drogiej dzielnicy. Z początku ten fakt wydał im się dziwny, jeśli wziąć pod uwagę profesję Hogana, goryla i wykonawcy zabójstw na zlecenie, ale prawdopodobnie Jonathan Stuart Devereux dobrze płacił.

Russell zaparkował na stromym wzniesieniu ulicy i skręcił kierownicę, by zaklinować koło o krawężnik. Zalecały to znaki. Shaw przypuszczał, że prawdopodobieństwo, by wóz z automatyczną skrzynią biegów stoczył się ze wzniesienia, było minimalne, ale czemu się nie zabezpieczyć? Nachylenie wynosiło co najmniej dwadzieścia procent.

Kiedy wysiedli, Shaw nagle się pochylił, bo nad głową śmignęły mu dwie papugi, szmaragdolotki krasnolice. Dostrzegł też kilka innych, które niespokojnie obserwowały ulicę z gałęzi klonu. W pobliżu siedziały jeszcze dwa ptaki tego gatunku. Zawłaszczyły całą dzielnicę.

Przeszli z Russellem przez ulicę i powoli podeszli pod dom w szyku taktycznym, nie zbliżając się do okien ani drzwi. Hogan nie żył, a według informacji Karin był samotny, mógł jednak mieć współlokatorów, też zatrudnionych przez Devereux. Albo kochankę czy kochanka, uprawiających tę samą krwawą profesję, co on.

Byli tylko we dwójkę. Ty i Victoria zostali, by pilnować Helmsa, Braxton i reszty do przyjazdu agentów z Denver.

Shaw z bratem szybko zajrzeli przez okna. Dom wyglądał na pusty.

– Nie umiem otworzyć tych drzwi.

Russell też obejrzał dwa zamki zasuwkowe. Wskazał na swoje ramię, a Shaw skinął głową. Cofnęli się o metr, na moment przystanęli i rozejrzeli się po ulicy. Nikogo nie było.

Starszy z braci rzucił się naprzód i uderzył ciałem w drewnianą powierzchnię. Masywna płyta wpadła do środka, jak gdyby zamki były z tandetnej blaszki.

Rozbiegli się w przeciwne strony i z bronią w pogotowiu sprawdzili skąpo umeblowane wnętrza. Owszem, mebli było niewiele, dom natomiast był pełen broni, amunicji,

komputerów, sprzętu bojowego, telefonów – komórkowych i satelitarnych – ubrań i kamizelek kuloodpornych.

Russell znalazł identyfikator ze zdjęciem Hogana. Spółka z rodziny Banyan Tree, w której pracował, nazywała się Sequoia Pest Removal.

Komputery były chronione hasłem, podobnie jak telefony. Shaw przypuszczał, że taka jednostka jak grupa Russella poradziłaby sobie z ich złamaniem, ale rodzinie SP pozostało niewiele czasu. Grzebanie w elektronice trwałoby za długo.

– Zlecenie zabójstwa było napisane odręcznie – Shaw myślał na głos. – Poszukajmy w papierach.

Zaczęli przerzucać sterty dokumentów leżących na kuchennym stole i rozchwianym stoliku do gry w karty, który służył za prowizoryczne biurko.

Colterowi trafiły się głównie paragony, mapy, instrukcje do nowo kupionej broni, notatki z firmy, które nie miały nic wspólnego ze zleceniem zabójstwa, książeczki czekowe i wyciągi z rachunków z odnotowanymi przelewami do banków na Karaibach.

– Mam coś – rzucił Russell. Shaw stanął obok niego i pochylił się nad rozłożoną na blacie kartką.

Poinformowano mnie, że sygnalista SP odkrył cel naszego programu zagospodarowania odpadów. Po przeszukaniu jego osobistego komputera znaleziono w nim następującą notatkę:

„Banyan Tree zleca spółce zależnej wybieranie toksycznych odpadów. Następnie pracownicy przewożą je nieoznakowanymi pojazdami do obiektów konkurencji i zrzucają, jak gdyby to konkurencji byli winni zanieczyszczenia środowiska. W wyniku tej działalności przedsiębiorstwa te są pozywane do sądu i karane grzywnami, często bankrutują albo tracą tyle pieniędzy, że przestają się liczyć na rynku. Plan jest sprytny. Spółka Banyan analizuje działalność konkurencji i określa, jaki rodzaj niebezpiecznych materiałów generuje każda z tych firm. Następnie inżynierowie wyodrębniają z odpadów tylko te substancje chemiczne i podrzucają konkurencji, w ten sposób uwiarygodniając ich winę”.

Obecnie SP nadal zbiera informacje i stara się uzyskać dowód, że prowadzimy taki program. Przewiduje się, że w ciągu kilku najbliższych tygodni będzie znał wystarczająco dużo faktów, by upublicznić sprawę.

Otrzymasz dalsze instrukcje.

– A więc o to chodzi – rzekł Russell.

Shaw przypomniał sobie, co mówił La Fleur: prezes jednej z firm konkurujących z Banyan popełnił samobójstwo, gdy jego przedsiębiorstwo zbankrutowało – po doniesieniu złożonym przez Devereux służbom federalnym. La Fleur nie powiedział im, jakiego rodzaju przepisy

zostały złamane, teraz jednak było jasne, że chodziło o sprawy dotyczące ochrony środowiska.

Przekopali resztę dokumentów i przeszukali ubrania Hogana, starając się znaleźć więcej informacji o SP.

Na próżno.

– Sygnalista – powiedział Shaw. – Czyli ma jakiś związek z tą spółką zależną, może jest kontrahentem, może pracownikiem.

Russell otworzył internet i sprawdził Banyan Tree. Przez lata w wiadomościach wiele razy wymieniano nazwę firmy i nazwiska setek pracowników, nie było jednak filtra, który pozwoliłby im szybko znaleźć osoby o inicjałach SP. A ponieważ przedsiębiorstwo było prywatne, to nie mieli dostępu do niczych danych.

– Karin? – zasugerował Shaw.

– Gdybyśmy mieli tydzień czy dwa, pewnie udałoby się umieścić tam naszego kreta, ale nie w dwie godziny.

Shaw się zamyślił.

– Wybieranie. Odpady.

Przypomniało mu się coś, tak nagle, jak gdyby wymierzono mu cios w plecy. Parsknął śmiechem.

Russell spojrział na brata.

– Myliliśmy się – oświadczył Colter.

Znowu Hunters Point.

Smród, śmieci, rozpadające się budynki, szkielety przedsiębiorstw, które pozostały po kapitalistycznych marzeniach sprzed wielu lat. Mewy kłócące się o najmniejszą odrobinę odpadków. Szczury buszujące bezszelestnie, ale nawet niestarające się zachować ostrożności.

Dzielnica przypominała porzucony w lesie zniszczony samochód, którego nawet nie warto rozbierać na złom.

Wśród tych ruin błyszcząca jedna budowla. Biało-zielony, niedawno odmalowany parterowy budynek. Stał nad brzegiem zatoki, otoczony parkingiem wypełnionym różnymi skromnymi pojazdami.

BAYPOINT ENVIRO-SURE SOLUTIONS SPÓŁKA BANYAN TREE

Kiedy wjeżdżali na parking samochodem Russella, Shaw dostrzegł dziesięciometrowe łodzie transportowe, które widzieli już wcześniej: odpływały z wyspy, która kiedyś była częścią stoczni Hunters Point, głęboko zanurzone pod ciężarem dwustulitrowych beczek. Przybijały do szerokiego pirsu za budynkiem, gdzie robotnicy wyładowywali beczki i wózkami widłowymi przenosili na ciężarówki z platformami.

Puste łodzie wracały do zlikwidowanej stoczni po następny ładunek. Shaw był ciekaw, dokąd trafią odpady, na które właśnie patrzył – którego konkurenta Devereux obrał sobie za cel? Ilu zatraje się pracowników i mieszkańców okolic? Ile zwierząt? Jaki obszar zostanie skażony na dziesiątki lat? Zastanawiał się też, czy pomysłodawcą wykorzystania odpadów jako broni był sam prezes Banyan Tree, czy może, jak w przypadku Planu Reformy Urbanistycznej, projekt wyszedł od Iana Helmsa.

Russell zatrzymał SUV-a niedaleko biura i obaj wysiedli.

Wrócili na nabrzeże, ponieważ Shaw skojarzył informację o „wybieraniu” odpadów z łodziami, które tu wcześniej widzieli. Oznaczało to, że słowo „załoga” w notatce ze zleceniem zabójstwa prawdopodobnie nie oznaczało członków gangu, choć rościło się od nich w dzielnicy. Chodziło o prawdziwą załogę, zespół ludzi obsługujących jednostkę pływającą.

Potwierdzenie od załogi z Hunters Point.

26/6, g. 19.00 SP i rodzina. Wszyscy ↓

Przeszli przez przykryty czarnym, świeżo wylanym asfaltem parking i stanęli przed biurem. Shaw zwrócił uwagę, że na boku jednej z ciężarówek prócz nazwy firmy wymalowano slogan:

DZIĘKI NAM ŚWIAT JEST LEPSZYM MIEJSCEM...

Ciekawy był wielokropek na końcu. Taki znak interpunkcyjny może sugerować zachętę: śmiało, możecie teraz żyć w czystszyim świecie! Ale wielokropka używa się także jako znaku sugerującego, że zdanie zawiera jakieś niedopowiedzenie: „Dzięki nam świat jest lepszym miejscem... dla naszej firmy, naszych udziałowców i naszego znakomitego prezesa”.

Zajrzeli przez okno do środka, gdzie za biurkiem siedziała kobieta, a obok niej stała grupka mężczyzn w szarych uniformach i pomarańczowych kamizelkach, popijając kawę z kubków. Na pirsie pracowało sześciu robotników.

– Tam. – Russell patrzył w stronę mężczyzny w granatowej wiatrówce, spodniach tego samego koloru z lampasami i w rzadko widywanym nakryciu głowy – prawdziwej kapitańskiej czapce, jakie czasem noszą szczupłe, opalone w solarium kobiety w kusych niebieskich spódnickach i obcisłych białych bluzkach, uwieszone u ramion bogatych biznesmenów.

Mężczyzna znajdował się w miejscu niewidocznym z biura i z pirsu, po drugiej stronie wielkiego, zardzewiałego zbiornika na paliwo, gdzie stały cztery puste ciężarówki z platformami. Skanował tabletem ich numery rejestracyjne, a potem wstukiwał jakieś informacje. Na piersi miał identyfikator BayPoint Enviro-Solutions.

Ominęli biuro i upewniając się, że nikt nie patrzy w ich stronę, przekroczyli pomalowany szarą farbą łańcuch, po czym ruszyli wzdłuż kamiennego nabrzeża w kierunku mężczyzny. W powietrzu unosił się zapach nafty, spalin z diesla, oceanu i jakiejś bliżej nieokreślonej, ale mocno cuchnącej substancji chemicznej. Rozkołysaną wodę przy brzegu pokrywały niebiesko-fioletowo-czerwone koncentryczne kręgi ropy.

Siwowłosa mężczyzna w kapitańskiej czapce powiedział coś przez walkie-talkie, po czym podszedł do następnej ciężarówki. Obejrzał się na braci i zmierzył ich wzrokiem.

– To prywatny teren – warknął.

Shaw i Russell szli dalej i zatrzymali się około pięciu metrów od niego.

Ogorzałą twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

– Jeżeli nie słyszeliście, to powtarzam: teren prywatny. Spierniczać stąd!

– Mamy parę pytań – odezwał się Russell.

– Jazda stąd! Nie macie pojęcia, co wam grozi. Rozprawiałem się z somalijskimi piratami, tłumilem bunt. Jednemu złodziejowi samochodów dałem takiego łupnia, że musieli mu rekonstruować szczękę. No już! – Głowa w szykowej czapce zwróciła się w stronę wyjścia.

Russell nie dawał za wygraną.

– Chodzi o waszego pracownika...

– Co to za broda? Jesteś jakimś amiszem? – Mina mężczyzny zdradzała coraz większą wściekłość. – A może muzułmaninem?

– Pracownika BayPoint Enviro-Sure – ciągnął Russell. – Jego...

– Nie będę powtarzać. – Policzki mężczyzny poczerwieniały; temperatura musiała mu podskoczyć o kilka stopni, zaczynał dosłownie sinieć.

– ...inicjały to SP. Ma jakiś związek z tym nabrzeżem. Musimy znać jego nazwisko i adres. To ważne. Zapłacimy panu. Tysiąc.

– Wiecie co, mnie nie obchodzi, co musicie, a czego nie. Gównno na haczyku. Zjeżdżać mi stąd.

„Gównno na haczyku”. Shaw nie znał tego wyrażenia. Nawet mu się spodobało.

– Za dwa splunięcia wezwę ochronę – dorzucił.

Język stawał się coraz ciekawszy.

– W porządku. Sami się prosicie. – Uniósł radio. Najwyraźniej wilk morski nie rozprawiał się z piratami bez wsparcia.

Zanim jednak zdążył nadać komunikat, Russell płynnym ruchem wyciągnął pistolet z tłumikiem i posłał do wieczności ryjącego w śmieciach szczura.

Colter nie sięgnąłby po taką metodę.

W ciągu kilku minionych dni przekonał się, że często rozwiązują z bratem problemy w odmienny sposób.

73

Za piętnaście siódma, kwadrans przed wyznaczonym zabójstwem rodziny, Colter Shaw siedział sam na przednim siedzeniu lincolna navigatora. Patrzył na dom Samuela Prescottta, sygnalisty z BayPoint Enviro-Sure Solutions. Przyglądał się, jak zamyka się brama garażu i zasłania czerwone volvo rodziny.

Trevor Little, buńczuczny pseudokapitan z nabrzeża Hunters Point, zerknął ze zgrozą na broń Russella i szybko podał braciom nazwisko Prescottta. Podobno pracownik z całą rodziną wyjechał z miasta na pogrzeb, ale miał jeszcze dzisiaj wrócić.

Taki zapewne był powód wyznaczenia daty i godziny zabójstwa: morderca miał czekać na przyjazd rodziny z lotniska. Karin sprawdziła listy pasażerów i rozkład lotów. Prescottowie mieli przylecieć o szesnastej trzydzieści i wrócić do domu mniej więcej pięćdziesiąt minut później – tyle czasu mogło potrwać odebranie bagażu i podróż z lotniska do Forest Hill, przedmieścia San Francisco.

Shaw, Russell i Ty przyjechali odebrać rodzinę z lotniska.

Prescott, koordynator transportu w BayPoint Enviro-Sure Solutions, był czterdziestokilkuletnim krępy i opalonym mężczyzną z jasnorudymi włosami. Jego żona, Bette, była smukłą blondynką. Syn i córka, dwunastoletnie bliźnięta, mieli bladą cerę i jasne włosy matki oraz piegowate buzie.

Na lotnisku Ty pokazał legitymację, na którą Shaw zdążył rzucić okiem. Zobaczył litery US i okrągłe logo podobne do tego, jakie ma Departament Sprawiedliwości. Zastanawiał się, czy to prawdziwy dokument. W każdym razie Prescott nie dał się długo przekonywać i uwierzył, że jemu i jego rodzinie grozi niebezpieczeństwo.

Zdziwił się, że Devereux dowiedział się o jego szpiegowskiej działalności. Starł się dobrze ukryć owoce swoich zabiegów w komputerze, stosując skomplikowane szyfrowanie. Nie był jednak zaskoczony wiadomością, że prezes wydał zlecenie zabójstwa.

– Ten człowiek morduje ludzi toksycznymi odpadami, dlaczego nie miałyby kogoś potraktować kulką?

Prescott wyjaśnił braciom, jak odkrył projekt Devereux:

– Liczby, zawsze im ufam. Nigdy nie kłamią. Jestem koordynatorem transportu, prawda? Pilnuję każdego przewozu co do godziny, co do minuty. Zauważyłem, że coś jest nie tak z czasem przejazdu niektórych ciężarówek. Pory wyjazdu i powrotu nie zgadzały się

z harmonogramem. Wiedziałem, jak daleko jest do składowisk – tych legalnych – a wracały na nabrzeże za wcześnie.

Różnica czasu nie była zbyt duża, ale podejrzana. Pewnego dnia zadzwoniłem do firmy, zgłosiłem chorobę i postanowiłem śledzić jedną z tych ciężarówek. Nie pojechała do składowiska, ale na niezabudowaną działkę w Oakland. Odpady zostały wpompowane do nieoznakowanej cysterny. Pojechałem za nią do fabryki jednego z konkurentów Devereux. Ci ludzie wysiedli, ubrani na czarno jak oddział specjalny, i zrzucili odpady do strumyka przy fabryce. Zrobiłem zdjęcia, pobrałem próbki. W tym tygodniu miałem zamiar iść z tym do Agencji Ochrony Środowiska i prokuratury federalnej. Chciałem wcześniej znaleźć więcej takich miejsc.

Shaw przyjrzał się ulicy, przy której mieszkali Prescottowie, cichej alei w Forest Hill, od której domy były oddzielone niewielkimi trawnikami albo ogródkami. Była to jedna z najrzadziej zaludnionych części miasta, a także – jak wskazywała jej nazwa – bardziej zadrzewiona niż inne. Dom wyglądał skromnie, mimo że Prescott dobrze zarabiał, a Bette była księgową w sieci ośrodków pomocy doraźnej. Mimo podwójnej pensji na nic więcej nie było ich stać. Ceny domów nad zatoką były zawrotne.

Chociaż żaluzje w oknach były opuszczone, Shaw dostrzegł migoczący blask ekranu telewizora w salonie.

Jeszcze raz sprawdził ulicę, nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Patrzył też na dachy po wschodniej stronie, szukając odbłyску światła w lufach karabinów albo celownikach optycznych.

Russell i Ty siedzieli w samochodzie tego drugiego za domem i obserwowali Hawk Hill Park, gdzie mógłby się zainstalować snajper, by mieć widok na dom Prescottów. Wcześniej przeskanowali budynek w poszukiwaniu ładunków i nie znaleźli śladów materiałów wybuchowych. Ostrzelanie z jadącego samochodu też nie wchodziło w grę. By zabić całą rodzinę, napastnicy musieliby się dostać do środka. Dwaj profesjonalści w tej branży, Russell i Ty, uważali, że dojdzie do dynamicznego wejścia: dwaj czy czterej ludzie wyważą drzwi i otworzą ogień w domu. Prawdopodobnie przy wsparciu snajpera.

Colter zastanawiał się, dlaczego zlecenie zabójstwa objęło całą rodzinę.

Może to dowód skrupulatności. Może Devereux obawiał się, że Prescott opowiedział o swoich odkryciach żonie, a dzieci coś usłyszały.

Może chciał wysłać czytelny sygnał pozostałym tysiącom pracowników BayPoint Enviro-Sure Solutions i Banyan Tree, by im przypomnieć, komu są winni lojalność.

Siedemnasta pięćdziesiąt sześć.

Zadzwonił do brata i spytał cicho:

– Co na tyłach? U mnie nic.

– Zdawało mi się, że widziałem przeciwnika, ale ktoś wyszedł tylko pobiegać. Zero zagrożenia.

– Okej. – Rozłączyli się.

Napastnicy podjadą SUV-em? Dwoma dżipami? Wątpił, by użyli helikoptera, ale przy środkach, jakimi dysponował Devereux, nie można było tego wykluczyć.

Shaw był uzbrojony w Glocka i Colta Pythona, a na tylnym siedzeniu leżał jego Enfield kaliber .303 – karabin brytyjskiej armii z pierwszej wojny światowej, stary i sfatygowany, ale piekielnie celny. Miał nadzieję, że nie będzie musiał używać żadnej broni; uczestniczył już w zbyt wielu incydentach w tym mieście. Na jakimś etapie do sprawy z pewnością włączy się policja i nawet gdyby strzał był uzasadniony, to nie miał ochoty pakować się w tego rodzaju kłopoty.

Poza tym chciał mieć zabójcę żywego. Potrzebował świadków, by zeznawali przeciwko Devereux. Sam Prescott miał dowody, które mogłyby pogrążyć BayPoint Enviro-Sure Solutions i szefostwo firmy, ale spółka matka – i Devereux – była chroniona przed odpowiedzialnością. Wynajęty zabójca, nawet gdyby pracował dla jednej z wielu zależnych spółek, mógł mieć dowody prowadzące bezpośrednio do aroganckiego prezesa.

Ulicą przejechał młody Azjata na skuterze. Pojazd zniknął, skręcił w przecznicę. Potem zza wzniesienia ukazał się SUV z kobietą w średnim wieku za kierownicą, ale też się oddalił. Minęła go rowerzystka w stroju sportowym w jaskrawe kwiaty, po czym zaczęła się wspinać po stromej ulicy, pedałując zawzięcie na niskim biegu.

Dziesięć po siódmej zabrzączał jego telefon.

Shaw odebrał.

– Spóźniają się – powiedział do brata. Dodał, że widział kilka pojazdów. Ani kierowcy, ani rowerzystka nie byli zainteresowani domem Prescottów. – Co ze snajperem? Od frontu nikogo nie widać.

– Z tyłu nikt się nie pokazał, a każdy snajper i jego obserwator potrzebowaliby trochę czasu, żeby się zainstalować, wziąć poprawkę na wiatr i wilgotność. Już byśmy ich zauważyli.

– Może mają dobry kamuflaż?

– Nie. Mam na oku wszystkie dobre miejsca na gniazdo. Parę nadaje się idealnie... Hm. Powinni wiedzieć, że Prescottowie wylądowali półtorej godziny temu.

– Może po zniknięciu Hogana wolą być ostrożni – zasugerował Shaw.

– Myślisz, że odwołali?

– Dziesięć procent szans. Najwyżej.

– Zgoda.

Rozłączyli się.

Dziewiętnasta piętnaście.

Shaw zauważył, że światło w salonie Prescottów zmieniło się, gdy w telewizji pojawiła się reklama.

Ponownie sprawdził godzinę na ekranie telefonu – była już dziewiętnasta piętnaście – kiedy nagle samochodem zakolysała potężna eksplozja, którą poczuł w brzuchu. Gdy znowu spojrzął na dom, ze wszystkich rozbitych okien buchały płomienie. Wysiadł z samochodu

i podbiegł w stronę budynku. Nie mógł podejść bliżej niż na dziesięć, piętnaście metrów. Cały dom stał już w ogniu.

Pułapka – z użyciem nie wiadomo jakiego ładunku – została doskonale przygotowana. Nikt nie mógł się z niej wydostać żywy.

Colter wraz z bratem jechali w milczeniu do domu przy Alvarez Street.

Obaj dotkliwie przeżyli swoje niepowodzenie.

– Niech to szlag – mruknął z goryczą Shaw.

Co za strata...

Spodziewali się ataku. Spodziewali się użycia C-4 lub bomby z azotanem amonu w składzie. Nie byli przygotowani na inny ładunek, zaimprovizowany szczególnie pomysłowo. Nowy zespół zabójców wynajęty przez Devereux wprowadził do domu przewód gazowy udający rurę wodociągową i około dziewiętnastej system zaopatrzonej w mechanizm zegarowy zaczął wypełniać dom gazem ziemnym, ale czystym, bez substancji zapachowej o woni zgniłych jajek, którą dodaje się do niego, by wyczuć wyższe stężenie w przypadku nieszczelności instalacji. Nikt nie mógł się zorientować.

Po półgodzinie uruchomił się zapalnik zegarowy. Wybuch zniszczył cały dom.

Gdyby nikt nie wiedział, że celem zamachu była rodzina, zdarzenie zostałoby uznane za wypadek. W pożarze i wysokiej temperaturze większość elementów pułapki uległaby stopieniu. Śledczy przyjęliby założenie, że doszło do rozszczelnienia rury z gazem w prawdziwej instalacji, która też uległaby zniszczeniu.

Shaw z bratem wyjaśnili jednak komendantowi straży pożarnej, że w eksplozji miał zginąć sygnalista wraz z rodziną.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedzieliście, do cholery? – spytał ostro komendant.

Bo nie przyszło mi do głowy, że ludzie Devereux spróbują dokonać czegoś takiego.

A także dlatego, że Shaw i Russell odziedziczyli po ojcu na tyle paranoiczne podejście do świata, by nie ufać przedstawicielom służb miejskich, w każdym razie kiedy w grę wchodził BlackBridge.

Russell zaparkował przed domem na Alvarez. Doskonale radził sobie za kierownicą każdego pojazdu, jak wszystkie dzieci z rodziny Shawów. Edukacja domowa nie dawała możliwości uczestnictwa w regularnych kursach na prawo jazdy, ale Ashton od ukończenia przez Russella, Coltera i Dorion dwunastu lat uczył ich umiejętności potrzebnych do prowadzenia wszelkich pojazdów – motocykli, samochodów osobowych i ciężarówek. Ciekawe, że Russell w porównaniu z bratem jeździł stosunkowo zachowawczo. W pracy to on był bardziej żywiołowy i bezceremonialny, podczas gdy Colter podchodził do swojego

zajęcia w znacznie bardziej ostrożny sposób, mimo że jego yamaha nieraz pionowo wzbijała się w powietrze i wracała na ziemię poziomo.

Bracia weszli do jasnoniebieskiego domu, gdzie w holu stał już kontyngent FBI z Denver. Shaw skinął głową agentom i się przedstawił. Russell zrobił to samo. Następnie Colter skręcił do salonu i stanął przed czworgiem ludzi siedzących sztywno na kanapie.

– Myliliśmy się – powiedział do rodziny Sama Prescottta. – Nie było nikogo z bronią. To była bomba zapalająca. Wasz dom, samochód – wszystko spłonęło. Przykro mi.

Ich porażka polegała na tym, że nie mieli szansy schwycić ani jednego członka zespołu szturmowego – kogoś, kto byłby skłonny zeznawać przeciwko Devereux.

Oczywiście powrót rodziny do domu z lotniska w ogóle nie wchodził w grę; Russell, Shaw i Ty odwieźli całą czwórkę prosto do domu przy Alvarez Street, a potem pognali do Forest Hill, by założyć przynętę i przygotować się do zatrzymania napastników.

Russell przyjechał samochodem Prescottów i wstawił go do garażu, żeby ewentualni obserwatorzy przypuszczali, że rodzina jest w domu. Ty zaparkował swój samochód za budynkiem. Sprawdzili, czy w domu są materiały wybuchowe. Kiedy skończyli, włączyli telewizor i zapalili światła, by upozorować obecność domowników, po czym wyszli tylnymi drzwiami i czekali na atak.

Dom został zniszczony, a oni nie mieli ani jednego podejrzanego, który chciałby obciążyć w zeznaniach Jonathana Stuarta Devereux.

Co za strata...

Shaw i Russell zrobili wszystko, co mogli, a teraz sprawa trafiła w ręce FBI. Wymuskany i ponury agent z biura w Denver nazywał się Darrel Gardiner. Razem ze swoim zespołem zajmował się tą sprawą tylko tymczasowo; agenci mieli skontrolować papiery BlackBridge i przesłuchać podejrzanych, by sprawdzić, czy ktoś z personelu FBI w San Francisco nie przeszedł na drugą stronę. Jeśli nie, to Gardiner miał przekazać sprawę do miejscowego biura terenowego.

Colter siedział przy stole w kuchni z Victorią Lesston u boku, a agent FBI kończył go przesłuchiwać. Wcześniej rozmawiał już z Victorią, Russellem i Ty'em.

Karin wydawała się niewidzialna. Jej imię nie padło ani razu, a Shaw nie zamierzał sam z siebie podawać żadnych informacji na jej temat.

Patrząc w notatki, agent specjalny Gardiner pokręcił głową zwieńczoną starannie ułożoną blond fryzurą biznesmena.

– Wymuszenie, zabójstwo, przygotowanie i usiłowanie zabójstwa, włamanie, hakerstwo, podsłuchy... no.

Shaw odniósł wrażenie, że mężczyzna wolałby użyć innego, mocniejszego słowa, ale nie mógł się na to zdobyć. Może z powodów religijnych. Albo rygorystycznych standardów na służbie.

– Plan Reformy Urbanistycznej? – Znowu pokręcił głową. – Przez parę lat musieli rzucić na ulice tysiące kilogramów narkotyków.

– To wierzchołek góry lodowej – odparł Shaw. – BlackBridge ma klientów na całym świecie. PRU był tylko jednym z ich projektów.

Firmę właśnie zamykano, a wszystkie należące do niej obiekty zajęto i przeszukiwano. Następne nakazy były kwestią czasu. Dwoje kongresmenów z Kalifornii badało już zarzuty oszustw wyborczych w związku z manipulacjami przy wyznaczaniu okręgów wyborczych w wyniku prowadzonego programu PRU. Jedno z nich wydało oświadczenie potępiające takie nieuczciwe praktyki i wezwało do śledztwa przeciwko politykom, którzy skorzystali na zmianie granic okręgów.

Pozostawał jednak poważny problem: wyliczone przez Gardinera przestępstwa popełnili Helms, Braxton i ich ludzie z BlackBridge; ani jeden dowód nie świadczył o winie Jonathana Stuarta Devereux ani holdingu Banyan Tree.

– W życiu nie spotkałem się z lepszą ochroną – oznajmił Gardiner Shawowi i Victorii. – Wiem, że to dopiero wstępna faza, ale na razie firma Banyan Tree jest czysta jak łąka.

Shaw zapytał agenta o BayPoint Enviro-Sure Solutions, którego biura też przeszukiwano.

– Odpowie za to szefostwo i personel, ale nie ma żadnych dowodów, że spółka matka albo sam Devereux w ogóle wiedzieli o zrzucaniu toksycznych odpadów na terenie konkurencji. Żadnych maili, notatek. Mamy billingi, ale to tylko informacja, kto do kogo dzwonił i kiedy. Nie znamy treści rozmów.

– Przecież zlecił to Devereux, prawda? – spytała Victoria i ze złością zacisnęła usta.

– Oczywiście – przytaknął Gardiner. – Ale szef Enviro bierze całą winę na siebie. Twierdzi, że wszystko działa się bez wiedzy zwierzchnika.

Agent zamknął notes i wyłączył dyktafon. Schował obydwie przedmioty, po czym wręczył Shawowi i Victorii swoje wizytówki.

Dwoje innych agentów, Latynosów, pomagało rodzinie Prescottów zebrać bagaże. Mieli trafić do bezpiecznego domu FBI i zostać tam na czas trwania śledztwa w sprawie BayPoint Enviro-Sure Solutions. Shaw zastanawiał się, czy skorzystają z programu ochrony świadków. Jeżeli Devereux pozostanie na wolności, trzeba będzie zapewnić im bezpieczeństwo.

Rodzina nadal wyglądała na oszołomioną tym, co ją spotkało.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie Shaw – rzekł Sam Prescott. – Żyjemy dzięki panu. A to, co zrobili z naszym domem... Boże, nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdybyśmy byli w środku, kiedy to wybuchło.

– Powodzenia – odrzekł Shaw. Znowu czuł się niezręcznie, przyjmując wyrazy wdzięczności.

– Proszę podziękować bratu.

Russell był w domu, ale nie towarzyszył rodzinie Prescottów. Montował sprzęt monitorujący, który umieścił tu po powrocie.

– Podziękuję – obiecał Shaw.

Prescott i jego rodzina wyszli z domu pod czujnym okiem agentów.

Pojawił się Ty.

– Muszę lecieć, Colter. Mam trochę papierów do ogarnięcia. A, dzwoniли do mnie z policji. Dostali skargę z Hunters Point. Od kogoś, kto twierdzi, że jakiś amisz islamista z kumplem grozili mu bronią, a potem przywiązali go plastikową opaską do grzejnika w starym magazynie. Mówił, że dał łupnia piratom i jeżeli będzie miał okazję, to z tymi dwoma też się porachuje. Tylko uprzedzam.

– Będę miał oczy otwarte – powiedział z uśmiechem Shaw.

– Tworzycie z bratem zgraną parę. Pracowaliście już kiedyś razem?

– Tylko ćwiczyliśmy, lata temu, ale razem pracować zdarzyło nam się po raz pierwszy.

– Wygląda na to, że wszystko się wam przypomniało. Russ mówił, że wspinasz się w górach.

– To prawda.

– Dla przyjemności?

– Powinieneś kiedyś spróbować.

– Jezu... – Ty uściskał mu rękę.

– Aha, jeszcze jedno. – Shaw przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie przed domem na Alvarez Street. Barczysty mężczyzna dźwignął torbę ze sprzętem, która ważyła co najmniej dwadzieścia kilo, jakby to była puchowa poduszka, i spojrzał na Shawa. – Uważaj z tymi nożami.

CZĘŚĆ IV

27 CZERWCA

PŁOMIEŃ

Jest bezpiecznie.

– To ty tak twierdzisz. Łatwo powiedzieć, że jest bezpiecznie. Każdy może powiedzieć, że jest bezpiecznie. Mnie łatwo powiedzieć, że potrafię szybować jak mewa, ale nie potrafię.

Colter Shaw stał przed werandą i mówił w stronę półmroku za uchylonymi drzwiami domu Earnesta La Fleura w Sausalito. Tym razem w jego stronę nie poleciały strzały, choć gospodarz miał Shawa jak na dłoni, gdyby chciał zrobić mu krzywdę. Posłuchał za to rady Russella i usunął sprzed domu barykady z beczek.

– Droon nie żyje – powiedział Shaw. – Braxton i Helms pójda siedzieć, a FBI i policja stanowa zamyka wszystkie biura BlackBridge. Podobno interesuje się nimi także agencja antynarkotykowa i komisja papierów wartościowych.

– Dobra, dobra – odparł La Fleur tytułem repliki. – A co z naczelnym mąciwodą, Devereux?

Czoło Shawa przecięła zmarszczka.

– Na razie nic na niego nie ma.

– Mówiłem. Facet jest nieuchwytny jak kropla rtęci. I tak samo toksyczny.

– Earnest – rzekł Shaw, przeciągając sylaby oryginalnego imienia. – Wpuść mnie. Mógłbyś celować tą strzałą gdzie indziej?

– Skąd wiedziałeś, że jestem zwarty i gotowy?

Colter głośno westchnął, ale nie chciało mu się tłumaczyć, że słyszał skrzypnięcie łuku, ani poprawiać go, że „zwarty” może być tylko szyk albo grupa, a nie jeden człowiek.

– W porządku. Wejdz.

Wkroczył do zagraconego domu, gdzie nadal unosił się zapach oceanu i trawki.

Wychudzony pustelnik, ściskając w rękach łuk i zdjętą z cięciwy strzałę, minął Shawa i wybiegł do ogródka przed wejściem. Stał tam przez chwilę, po czym dał nura w gęstwinę nieznanym Colterowi roślin. Za nimi rozciągało się jednak poletko jasnozielonych rozłożystych liści przypominających rozczapierzone dłonie. Te rośliny Shaw dobrze znał.

La Fleur wrócił i oznajmił:

– Ktoś mógł cię śledzić. Chyba jest czysto. Ale mówię ci, nigdy nie zakładaj, że jesteś bezpieczny.

Shaw omal się nie uśmiechnął. Prawie dokładnie tak samo brzmiała ostatnia linijka listu, który jego ojciec ukrył na Echo Ridge.

Earnest starannie pozamykał drzwi, na łańcuch, najmniej solidne zabezpieczenie, ale nie tylko. Wejścia strzegły także blokowany zatrzask z gałką, masywna zasuwa, poprzeczna sztaba, która bardziej pasowałaby do średniowiecznego zamku, a także żelazny pręt nachylony w pionie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, sięgający od podłogi do drzwi. Shaw zastanawiał się, czy gospodarz ma gdzieś drabinkę sznurową, by w sytuacji awaryjnej mógł się ewakuować od strony klifu. I rzeczywiście miał: pod oknem leżał zwój sznura, a koniec był przywiązany do kaloryfera.

– Chcesz kawy albo czegoś innego? – La Fleur popijał coś z odrapanego, pancernego kubka, podobnego do tych, w jakich podawano napoje w barze, gdzie Colter z bratem wypatroszyli torbę kurierską i znaleźli w niej kasetę ze składanką przebojów oraz stary dokument, który mógł na zawsze zmienić oblicze amerykańskiej polityki.

Shaw podziękował.

– Przyniosłem ci prezent. – Podał mu jedną z kopert, które z Russellem odebrali filipińskim gangsterom po spotkaniu w sprawie Planu Reformy Urbanistycznej w Tenderloin. – Dziesięć tysięcy. Wyprane, nieoznakowane. Matka Amosa Gahla też dostała taką kopertę. – Zajrzał do środka i wyciągnął banknoty.

– Dobra, dobra. Nie powiem, że nie skorzystam. – La Fleur podszedł do obrazu przedstawiającego żaglowiec z dawnych czasów i zdjął go, odsłaniając sejf. Odwrócił się tyłem, by Shaw nie widział kodu, otworzył drzwiczki i włożył pieniądze do środka. Zamknął, kilka razy obrócił pokrętło i powiesił obraz na swoim miejscu.

– Dzięki. – Na jego twarzy odmalował się niepokój. – Czyli ten sukinsyn Devereux mimo wszystko dostał to, czego chciał. Korporacje na urzędy. Po co mu więcej władzy i pieniędzy? Ma firmę wartą parę bilionów dolarów.

– Tylko jeden i dwie dziesiąte.

– To nie jest zabawne, Shaw. Więcej niż produkt krajowy brutto Hiszpanii. Banyan Tree będzie się ubiegał o urząd, a potem cały świat zjebie się od jego pomysłów, o których mi mówiłeś: rozpieprzy ochronę środowiska, prawa obywatelskie, imigrację. Jezu Chryste, właśnie sobie pomyślałem, że Devereux może zakładać własne szkoły. Będą uczyć, czego zechcą. Indoktrynować dzieciaki. Hitler to robił. „Przyszłość należy do mnie”.

– *Człowiek, który chciał być królem.*

La Fleur lekko przechylił głowę.

– Nieżyły film. Była w nim sprawiedliwość. Pamiętasz, jak się skończył? Ale z Devereux to zupełnie inna historia. Cholera, jeżeli zbierze odpowiednie poparcie, to będzie mógł zmienić konstytucję amerykańską, żeby firma mogła zostać prezydentem.

– Sądysz, że mogłoby do tego dojść?

Przez twarz Earnesta przemknął smutny, a jednocześnie tajemniczy uśmiech.

– Nie trzeba za bardzo się wgłębiać w politykę krajową, żeby wiedzieć, jakie pokręcone rzeczy mogą się zdarzyć. – Uchylił jedną z metalowych rolet i wyjrzał na zewnątrz. Panorama miasta była naprawdę malownicza. Na horyzoncie w oczy rzucał się masywny

biurowiec, gdzie mieściła się siedziba Banyan Tree. – Mam wrażenie, jakby odpalono rakiety. Cieszę się ostatnim widokiem kraju, zanim eksplodują głowice. – Spojrzał na Shawa, który patrzył na to samo, co on.

La Fleur prześliznął po nim badawczym wzrokiem.

– Wyglądasz... Jakie słowo najlepiej by to opisało? Wyglądasz na zupełnie niezaangażowanego. Jakby ta katastrofa wcale cię nie obchodziła. – Przymrużył oczy. – Aha. Teraz widzę. Nie-zaangażowanie. Dlaczego? Nie obchodzi cię to?

– Włączmy telewizor. Może będziesz chciał coś obejrzeć.

Earnest wskazał głową na wiekowy aparat.

– Bezpieczna telewizja. Naziemna. Nigdy nie miałem innej. Kiedy ktoś pracuje w BlackBridge, dobrze wie, jak elektrony mogą rozpieprzyć człowiekowi życie.

Ashton Shaw z pewnością uznałby Earnesta za przyjaciela.

Colter włączył telewizor. Zanim pojawił się obraz, urządzenie musiało się rozgrzać.

Na pasku u dołu ekranu przesuwiał się napis Z OSTATNIEJ CHWILI...

Prowadząca wiadomości brunetka w jasnoczerwonej sukience patrzyła na niewidzialną publiczność.

– *Przypominamy najważniejszą informację tego popołudnia. Trzech niezależnych biegłych doszło do wniosku, że niedawno odkryte orzeczenie sądowe o wyniku głosowania w referendum nad zmianami w konstytucji Kalifornii, które miały zezwolić korporacjom na pełnienie urzędów publicznych w instytucjach stanowych, jest falsyfikatem. Dokument nosił datę siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset szóstego roku, eksperci natomiast stwierdzili, że papier i tusz pochodziły z lat dwudziestych ubiegłego wieku.*

Oto, co powiedział nam profesor Anthony Rice z Uniwersytetu Kalifornijskiego...

Nadano wywiad nagrany wcześniej w gabinecie. W kadrze pojawił się korpulentny, błądy mężczyzna w granatowym garniturze i białej koszuli. Jego siwe, kręcone włosy były mocno przerzedzone.

– *Witamy, panie profesorze.*

Poprawił okragłe okulary na długim nosie i skinął głową do kamery.

– *Dzień dobry.*

– *Proszę nam coś powiedzieć o tym orzeczeniu.*

Rice jeszcze raz przedstawił konsekwencje Propozycji Zero Sześć, po czym dodał:

– *Przez lata to orzeczenie o wynikach głosowania było czymś w rodzaju Świętego Graala dla wielkich korporacji, które bardzo chętnie obsadziłyby urzędy w naszym stanie.*

– *Eksperci twierdzą jednak, że dokument nie jest autentyczny.*

– *Przypuszczam, że jakiś biznesmen w latach dwudziestych wynajął kogoś, by go podrobił, i ukrył falsyfikat w urzędowym archiwum razem z dokumentami z tysiąc dziewięćset szóstego roku. Prawdopodobnie zamierzał dokonać „cudownego” odkrycia. Dlaczego tego nie zrobił? Jednym z powodów mógł być zły moment. Być może*

zbankrutował podczas Wielkiego Kryzysu, jego firma ogłosiła upadłość, a on sam rozplynął się w mrokach historii.

– Sądzi pan, że gdzieś istnieje oryginalny egzemplarz orzeczenia o wynikach głosowania?

– Nie, nie. Z pewnością nie istnieje. To była jedynie prawnicza legenda. Taki dokument nie mógłby istnieć. Głosy ponownie przeliczono wiele lat temu, ale to przecież był już dwudziesty wiek. Gdyby tylko sędzia złożył podpis, wiadomość o tym musiałaby się rozejść... Były telefony, telegrafy, wychodziła codzienna prasa, na jednego mieszkańca przypadała podobna liczba dziennikarzy jak dziś. Gdyby po ponownym przeliczeniu głosów okazało się, że propozycję przyjęto, wiadomość pojawiłaby się na pierwszych stronach. Nie, obywatele odrzucili w głosowaniu tę poprawkę.

– Panie profesorze, czy kiedykolwiek w historii korporacja ubiegała się o urząd publiczny?

– Kilka z nich próbowało, przede wszystkim dla rozgłosu medialnego, ale niewiele osiągnęły. Wszyscy znani mi badacze prawa i historycy zajmujący się polityką uważają, że skutki dla demokracji byłyby katastrofalne.

– Dziękuję, panie profesorze. Pozostałe wiadomości...

Shaw wyłączył telewizor. Ekran z trzaskiem pociemniał.

– No – odezwał się La Fleur. – Co za historia... Myślisz, że to prawda? O tym fałszerstwie?

– Prawda.

– Mówisz, jakbyś nie miał żadnych wątpliwości.

– Nie mam. Bo to ja jestem fałszerzem.

Posłuchajcie, jako Amerykanie i zwolennicy demokracji powinniście rozpalić ognisko i wrzucić do niego ten przeklęty papier...”

Tuż po tym, jak razem z Russellem wyszli z domu profesora Stevena Fielda w Berkeley, rozumiejąc, jakie znaczenie ma Propozycja Zero Sześć, Shaw podjął decyzję. Zastanawiał się nad radą naukowca, aby ukryć albo zniszczyć orzeczenie o wyniku referendum, doszedł jednak do wniosku, że żadne z tych rozwiązań nie przyniosłoby pożądanych skutków. BlackBridge na polecenie Devereux prowadziłyby dalsze poszukiwania i niewątpliwie znalazłyby swój ślad kolejnymi ofiarami. Biznesmen od lat szukał orzeczenia o wynikach głosowania. Dlaczego miałby to nagle przerwać? Gdyby jednak okazało się, że orzeczenie nigdy nie istniało, a pogłoskom dał początek fałszyfikat, to może przez pewien czas lizałby rany, ale później zapomniał o sprawie.

Shaw postanowił sam podrobić dokument. Zamierzał sprowokować Braxton i Droona, by skradli go z apartamentu w Pacific Heights. Devereux przesłałby go wówczas do Sacramento, by przedstawić orzeczenie zgromadzeniu stanowemu, a rzeczoznawcy rozstrzygnęliby, że to fałszywka.

Był przekonany, że sobie poradzi. W pracy od czasu do czasu musiał szukać dokumentów, za które ludzie wyznaczali nagrody. Zwykle były to testamenty, umowy sprzedaży udziałów w spółkach, dokumenty adopcyjne. Dzięki tym zleceniom wkraczał czasem w sam środek ezoterycznego świata analizy i fałszerstwa dokumentów.

Potrzebował jednak pomocy, by porządnie wykonać to zadanie, i wiedział, do kogo się z tym zwrócić. Ekspert wykwalifikowany w wykrywaniu fałszerstw musiał mieć też specjalistyczną wiedzę na temat procesu podrabiania dokumentów. Shaw zadzwonił do przyjaciela. Parker Kincaid zajmował się kiedyś analizą dokumentów w FBI. Mieszkał pod Waszyngtonem i pracował jako niezależny konsultant.

– Parker?

– Colt, co słyhać?

Wymienili się najświeższymi wiadomościami o sobie. Syn Kincaida, Robby, został zawodnikiem sztuk walki i właśnie wygrał ważne zawody.

– Gratuluję.

– Czym mogę ci służyć?

– Powiedzmy, że starałem się odnaleźć materiały, z których mogła korzystać osoba podrabiająca pewien dokument. Mówię o San Francisco.

– Okej.

O, znowu ulubione słówko gliniarzy. W końcu kiedyś Kincaid był jednym z nich.

– Mówię o hipotetycznej sytuacji.

– Hipotetycznej.

Shawa rozbawiła odpowiedź Kincaida. Powtórzenie świadczyło o tym, że coś podejrzewa. Z drugiej strony Kincaid doskonale wiedział, na czym polega praca Shawa, ilu ocalił ludzi i ilu zatrzymał przestępców. Jeżeli Colter nie chciał ujawniać szczegółów, musiał mieć uzasadniony powód. Mimo to Parker musiał spytać:

– Zakładam, że mój były pracodawca w Waszyngtonie nie będzie miał powodów, żeby się martwić dokumentem sfalszowanym przez tę osobę?

– Absolutnie żadnych.

– To dobrze. Mówimy o współczesnych czasach?

– Nie. O latach dwudziestych ubiegłego wieku.

– Chodzi o pióro i atrament?

– I maszynę do pisania.

Kincaid nie wahał się ani chwili.

– W rejonie zatoki jest tylko jedno miejsce, gdzie fałszerz może się zaopatrzyć w takie materiały. Davis & Sons Rare Books and Antiquities.

– Dzięki, Parker. Bardzo cenna informacja.

– Dostajesz czasem zlecenia w północnej Wirginii?

– Jeszcze nie dostałem. Moja siostra mieszka w Marylandzie. Zamierzam ją niebawem odwiedzić. Zadzwoń.

– Życz tej osobie powodzenia.

Kiedy się rozłączyli, Shaw ruszył do antykwariatu w North Beach.

Zapłacił tam za oprawienie oryginału orzeczenia o wyniku referendum, ze swoim szkicem na odwrocie, w tanie plastikowe ramki.

Kupił też kilka innych rzeczy – z gabloty, której zawartość oglądał zaraz po wejściu do sklepu.

Wśród zakupów znalazła się dziewięćdziesięcioletnia maszyna do pisania Underwood 5, najpowszechniej używana w tamtych czasach. Uznany, klasyczny model, codzienne narzędzie pracy sekretarek i dziennikarzy przez całą pierwszą połowę dwudziestego wieku. Wybrał jeszcze notatnik pochodzący z lat dwudziestych, z czystymi stronami podobnego koloru i ciężaru co papier, na którym napisano oryginał orzeczenia, a także stalówki z obsadkami. Najważniejsze, że udało mu się nabyć buteleczkę prawdziwego atramentu pochodzącego sprzed niemal stu lat. O to najbardziej się martwił. Ze zdziwieniem dowiedział się jednak, że wśród kolekcjonerów jest spory popyt na fabrycznie zamknięte butelki atramentu z dawnych czasów.

O pasjach i hobby się nie dyskutuje...

Po powrocie do kryjówki nasączył taśmę starym atramentem, wkręcił w maszynę kartkę wyciętą z notatnika i napisał orzeczenie o wyniku referendum identyczne z oryginałem.

Przyjrzał się uważnie swojemu dziełu. Nie. Nie wyszło, litery nie były jednakowo ciemne jak w oryginale. Jeszcze raz przygotował maszynę. Drugie podejście okazało się lepsze, ale wciąż nie był zadowolony. Czerń liter nie budziła już zastrzeżeń, była jednak zbyt głęboka jak na dokument sprzed tylu lat.

Za trzecim razem trafił w dziesiątkę. Czekając, aż maszynopis wyschnie, zamocował stalówkę w obsadce, by poćwiczyć podpis sędziego Selmera P. Clarke'a. Robił to samo, co profesjonalni fałszerze podczas podrabiania podpisów: nie starał się skopiować oryginalnego autografu, lecz odwrócił kartkę górami do dołu i próbował „narysować” podpis, jak gdyby szkicował pejzaż czy portret.

Po kilkunastu próbach czuł się już na tyle pewnie, by złożyć na fałszywym orzeczeniu sędziowski podpis.

Włożył dokument na parę chwil do piekarnika, by osuszyć atrament i sztucznie postarzyć dokument, nadać mu patyny.

Rozmontował ramki, wyjął autentyczne orzeczenie i ukrył w podszewce plecaka. Na odwrocie falsyfikatu zrobił nowy szkic i włożył w ramki, pejzażem na zewnątrz. Spreparowana kartka powędrowała na ścianę.

Następnie Shaw zadzwonił do Devereux i spotkał się z nim, by mu zaproponować „dowody” przeciwko BlackBridge i Banyan Tree w zamian za bezpieczeństwo swojej rodziny. Umówił się z nim, by dać Droonowi lub komuś innemu szansę umieszczenia lokalizatora w swoim motocyklu (nie przypuszczał, że wykorzystają bardziej wyrafinowany sposób w postaci odbiorników RFID w formie pyłu), by namierzyli ich w Pacific Heights. W apartamencie celowo zostawił otwarte okno, wiedząc, że podsłuchuje go zespół obserwatorów z BlackBridge. Odbył umówioną wcześniej rozmowę z Victorią Lesston i specjalnie usiadł w pobliżu otwartego okna, gdzie poinformował ją, że orzeczenie o wynikach referendum jest ukryte w ramce na ścianie. Był niemal pewien, że kobieta w korytarzu, przebrana za pokojówkę, otrzymała zadanie kradzieży dokumentu, podczas gdy jej partnerzy odwrócili uwagę braci Shawów, próbując wysadzić drzwi w samochodzie Russella.

Colter wiedział, że eksperci w Sacramento odkryją fałszerstwo, potrzebował jednak jakiegoś zabezpieczenia. Skontaktował się z profesorem Stevenem Fieldem i zdradził mu swój plan.

Profesor wybuchnął śmiechem.

– Doprawdy, jesteście synami swojego ojca.

– Kiedy fałszerstwo wyjdzie na jaw, chciałbym, żeby gwóźdź do tej trumny wbił jakiś ekspert i powiedział, że orzeczenie o referendum to była po prostu mrzonka. I że to prawie niemożliwe, by taki dokument kiedykolwiek istniał.

Field wiedział, do kogo zadzwonić. Skontaktował się z kolegą, profesorem Anthonym Rice'em, który też znał Ashtona. Bardzo chętnie zgodził się wesprzeć tę wersję swoim autorytetem. Zamieścił tweeta na ten temat, deklarując, że jest niemal na sto procent pewien, iż autentyczne orzeczenie nigdy nie istniało. Media podchwyciły jego opinię i poprosiły elokwentnego naukowca o wywiad.

Do całego świata miał dotrzeć przekaz, że orzeczenie o wynikach referendum to mit.

– Mówiłeś nam, że kiedy Amos dowiedział się, że orzeczenie jest autentyczne, zamierzał je zniszczyć – powiedział do La Fleura Shaw.

Tamten skinął głową.

– Wiem, że to byłoby dla niego trudne. Był historykiem. Niszczenie oryginalnego dokumentu kłóciło się z jego wykształceniem.

Nigdy nie podważaj historii...

Jedna z zasad Ashtona.

Shaw powtórzył ją La Fleurowi.

– Dobra rada.

– Teksty Hitlera, Goebbelsa i Himmlera są podłe, ale ich nie palimy. Ten dokument to oczywiście nie to samo, co ustawy norymberskie z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, które odbierały Żydom obywatelstwo nazistowskich Niemiec i uzasadniały powstanie obozów śmierci, ale co by było, gdyby wtedy doszło do podobnego sporu o wynik głosowania? Prawo przyjęto, ale zaginęło orzeczenie o liczbie głosów, a ty je odnajdujesz. Mógłbyś je oddać władzom i wtedy ustawa stałaby się prawomocnym aktem albo mógłbyś je spalić. Jaki masz moralny obowiązek?

– Nie mam grama wątpliwości.

– Właśnie dlatego tu jestem.

La Fleur zmarszczył brwi. Zabębnił palcami.

Shaw sięgnął do plecaka i wyjął oryginał orzeczenia. Podał kartkę La Fleurowi, który jej się przyjrzał.

– Ha, krótkie. Z bliska nie wydaje się wcale takie straszne. – Uniósł wzrok. – Czytałeś kiedyś *Władcę Pierścieni*?

Shaw przytaknął.

– To jest pierścień władzy – rzekł z zadumaną miną La Fleur. Zapalił swoją fajkę wodną, zaciągnął się, a potem parsknął śmiechem, wydmuchując dym. – Jestem stary, do cholery, mogę sobie pozwolić na melodramatyczny ton.

Colter wstał i podszedł do kominka. Otworzył drzwiczki paleniska. Włożył do środka orzeczenie.

– Chcesz czynić honory? – spytał, biorąc zapalniczkę i podając gospodarzowi.

– Ja?

– BlackBridge zabił za to twojego przyjaciela, a wcześniej go torturował.

Earnest zastanawiał się przez chwilę.

– I zabił twojego ojca. Zróbmy to razem. – Wyjął drugą zapalniczkę.

Shaw się zawahał. Wydawało się to sentymentalne, niezgodne z jego teorią kierowania się w życiu analizą i chłodną kalkulacją, ale wrócił pamięcią do dnia, w którym jako chłopak uratował kobietę z lawiny, a ojciec wręczył swoim dzieciom trzy statuetki.

Nigdy nie podważajcie mocy rytuałów...

Mężczyźni kucnęli przed kominkiem, czując ostrą woń spalenizny. Pstryknęły zapalniczki i obaj przytknęli płomień do przeciwległych rogów kartki. Potem odchyłili się i patrzyli, jak dokument zapala się i zwija w jasnopomarańczowym ogniu, a rozżarzone drobiny popiołu strzelają w górę przewodu kominowego jak owady, na które jasny blask działał odstraszająco, zamiast przyciągać je do siebie w ten spokojny letni wieczór.

Choć w San Francisco jest ponad czterdzieści naturalnych wzniesień terenu, to największą sławę, jak w Rzymie, zyskało siedem wzgórz: Telegraph Hill, Russian Hill, Rincon Hill, Twin Peaks, Mount Davidson, Lone Mountain i najbardziej luksusowe – Nob Hill.

Nazwa tego ostatniego pochodzi od słowa *nabob*, czyli nabab, zamożny i zwracający na siebie uwagę biznesmen, a nadano ją tej dzielnicy, ponieważ miała tu swoje rezydencje Wielka Czwórka – magnaci, którzy stworzyli Centralną Kolej Pacyficzną: Leland Stanford, Collis Potter Huntington, Mark Hopkins oraz Charles Crocker. Sami skromnie nazywali się „wspólnikami”.

Colter Shaw korzystał właśnie ze słońca i chłodnego powietrza w tej wyniosłej dzielnicy, siedząc w barze na dachu budynku. Rozciągał się stąd fantastyczny widok. Gdy przychodziła czerwcową szaruga albo jesień przynosiła trwające całymi tygodniami ulewy, San Francisco bywało nieznośnie ponure, ale w takie dni jak ten, gdy słońce niepowstrzymanie roztaczało swój blask, miasto, w którym według piosenki zostawia się serce, potrafiło zmienić mruka w poetę bitnika, a muzycznego analfabetę w wybitnego śpiewaka.

Popijał anchor steam, sztandarowe piwo San Francisco. W swoich podróżach, które prowadziły go daleko w głąb kraju, zawsze starał się wybierać lokalne marki, a ta należała do jego ulubionych.

Większość dnia musiał poświęcić na przesłuchania prowadzone przez agentów FBI z San Francisco, którzy przejęli sprawę BlackBridge. Prześwietlono cały personel biura z rejonu zatoki i wszyscy przeszli test pomyślnie. Obawy Ashtona okazały się nieco przesadzone i choć dochodziło do przypadków korupcji w policji, to spośród tysiąca funkcjonariuszy tylko pięć osób z dowództwa i służby patrolowej było opłacanych przez BlackBridge.

Shaw sączył piwo i z czystej ciekawości studiował menu, w którym przeważały dania dla turystów, choć w stylu Nob Hill: ser manchego, szynka serrano, bruschetta, kanapki z homarem. Menu dla dzieci dowodziło, że pociechy bogaczy nie mają bardziej wybrednego podniebienia niż ich gorzej sytuowani koledzy: paluszki serowe, pizza, frytki i krążki cebulowe, które czekał chrupki koniec we wrzącym oleju.

Nie przyszedł tu jednak jeść. Miał się później spotkać z Victorią i ruszyć na poszukiwania do jakiejś bocznej uliczki w Chinatown. Liczył na to, że uda mu się znaleźć jeden z lokali, gdzie przed laty Ashton Shaw spotykał się z miejscowymi chińskimi biznesmenami, marszandami i profesorami. Czasem zabierał ze sobą dzieci. Towarzyszyła mu nawet

Dorion, która wówczas nie miała jeszcze trzech lat. Jego siostra jadła makaron rękami, po jednej nitce. Mały Colter był zafascynowany cichymi i uważnymi Chińczykami, którzy okazali Ashtonowi szacunek i uznanie, gdy dyskutował z nimi o azjatyckiej filozofii i polityce i posługiwał się pałeczkami, jak gdyby w wieku kilku lat, tuż po pożegnaniu z butelką, od razu wręczono mu sztucce z lakierowanego bambusa.

Otrząsnął się ze wspomnień i przy trzecim łyku anchor steam zorientował się, że jest obserwowany.

Mocno zbudowany biały mężczyzna w ciemnym garniturze i nieco jaśniejszej koszuli stał nieruchomo przy stanowisku kelnerki na zewnątrz i tkwił tam od dłuższego czasu, niż powinien w zwykłych okolicznościach. Było sporo wolnych stolików, on jednak po prostu stał w jednym miejscu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Przypatrywał się przez ciemne okulary całemu tarasowi, ale przede wszystkim miał oko na Coltera.

Shaw powoli odstawił piwo i od niechcenia przesunął prawą dłoń na leżącą na kolanach serwetkę, a potem na rękojeść glocka 42 w kaburze, przypiętej do paska czarnych dżinsów i zasłoniętej koszulą w kolorze zbliżonym do stroju olbrzyma pełniącego straż przy stanowisku kelnerki.

Oto i ochroniarz.

A gdzie ochraniiany?

Chwilę później dostał odpowiedź.

– To niepotrzebne – odezwał się zza jego pleców męski głos. Brzmiał w nim delikatny angielski akcent.

Shaw się odwrócił.

Przy stoliku obok Jonathan Stuart Devereux uniósł w jego stronę kieliszek wina. Najwidoczniej obserwował, jak Shaw delektuje się wspaniałym widokiem miasta, a potem przygląda się zwałistemu ochroniarzowi.

– Jest niegroźny.

Jakby mówił o psie.

A po chwili:

– Zapraszam do siebie, zapraszam.

Shaw rzucił menu na blat. Obrócił krzesło, którego metalowe nogi zgrzytnęły na betonowej podłodze. Bez trudu uniósł ciężki mebel i postawił naprzeciwko Devereux. Biznesmen był dziś we wściekle błękitnym garniturze – bez prążków – i w różowej koszuli. Uzupełnienie stroju stanowiła poszetka przypominająca kremową ośmiornicę. Buty lśniły jak czarne lusterka.

– Śledził mnie pan – powiedział Shaw. – Niełatwo nie zauważyć rolls-royce’a.

Devereux przyjrzał się gościowi zza dużych, prostokątnych jak ekrany telewizyjne okularów. Dzisiaj wybrał jasnoniebieskie oprawki.

– Ale dlaczego akurat tutaj, panie Shaw? Doprawdy...

– Widok. Piwo.

– Bez względu na pańskie preferencje, niech pan broń Boże nie zamawia zupy. Uprzedzam lojalnie. Wodnista, a cebule wyrosły w puszkach.

Rozejrzał się, gestykulując zawzięcie: zginał palce, prostował, odwracał dłonie wnętrzem do góry i do dołu. Poprawiał fantazyjną chustkę. Skąd taki styl? Jakie wrażenie chciał sprawić? Na myśl przychodziło słowo „dandys”.

– Przeżyłeś w tym mieście niezgorszą przygodę, prawda, Shaw? – rzekł melodyjnym głosem z wytworną modulacją zza Atlantyku. – Urodziłeś się tutaj.

To nie było pytanie.

– Ściśle rzecz biorąc, w Berkeley.

– Cal. Tak nazywa się Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. Tak. Berkeley to miasto, a Cal to szkoła. Twoja matka uczyła medycyny, ale urodziłeś się poza kampusem. Nie w centrum medycznym. Dużo dobrego zrobiła jako koordynatorka badań na uniwersytecie, prawda?

To też były informacje, do których dotarł i które zachował jak żołędzie zebrane przez pyzate wiewiórki pod koniec lata. Oczywiście Devereux próbował go w ten sposób zastraszyć.

– Niezgorsza przygoda – powtórzył, zniżając głos do złowrogiego szeptu.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Devereux?

Jego dłonie znowu się ożywiły.

– Miałem taki wspaniały plan – mruknął ze złością. – Taki prosty. Wystarczyło odnaleźć orzeczenie o wyniku referendum, a moje firmy mogłyby ubiegać się o urząd, oczywiście wygralibyśmy w cuglach. A potem... Trzask-prask! – Uderzył dłonią w blat stolika, zwracając na siebie uwagę. – Otworzyłby się nowy świat.

Shaw przypomniał sobie demonstrację w Berkeley.

NIE KORPORACYJNYM ZAPRZEDAŃCOM!

Devereux wypił łyk złotego wina.

– Chardonnay leżakowane w dębowych beczkach. Człowieka aż wstrząsa. Winiarze w Kalifornii muszą nad tym popracować. Ale nie mają tu nic lepszego.

Prezes Banyan Tree był typem klienta, który z pewnością zamawiał dania z prawej, droższej części menu.

– Jeżeli mnie nie śledziłeś – rzekł beznamiętnie Shaw – to mogłeś wybrać sobie lokal z lepszą kartą win.

Wzrok Devereux powędrował w stronę stolika obok. Siedziały tam dwie kobiety w biznesowych strojach – biały kostium, jasnozielona sukienka, mocno dopasowane do sylwetki. Poprawił szkła na nosie, by lepiej im się przyjrzeć. I robił to przez dłuższą chwilę.

– Widziałem twoje plany polityczne, które zamierzałeś zrealizować, gdyby Banyan Tree zdobyło władzę – powiedział Shaw. – Znalazłem w torbie Amosa Gahla. Motywem przewodnim była deregulacja. Ochrona środowiska, bankowość, opieka medyczna, ubezpieczenia. Plan okrojenia programów społecznych do kości. Prywatna policja. Wyczułem zagrożenie praw człowieka.

Devereux przerwał obmacywanie wzrokiem kobiet przy stoliku.

– Moglibyśmy dyskutować o tym do rana. Odpowiedziałbym, że deregulacja prowadzi do sukcesu korporacji, który z kolei prowadzi do większego zatrudnienia i poprawy stanu gospodarki. Można też stwierdzić, że korporacje są znacznie skuteczniejsze i bardziej etyczne od zwykłego śmiertelnego polityka – nikt nie przyłapie firmy z rozpiętym rozporkiem. Mógłbyś tu wysunąć kontrargument, a ja zbiłbym go kontrkontrargumentem. Dyskusja stałaby się potwornie nużąca... – Znowu wypił łyk wina, które wbrew sobie chciał chyba skończyć. – Mógłby to być szlachetny eksperyment, ale nie spierajmy się o szczegóły. Jeździsz tramwajami linowymi?

– Jeździłem.

– Wiesz, jak nazywa się tramwajarza?

– Szczękowy – odparł Shaw.

Devereux wydawał się rozczarowany, że znał odpowiedź.

– Co trzy dni konieczna jest wymiana. Szczęk, nie ludzi. – Zachichotał.

Shaw pociągnął łyk piwa. Przechylając powoli butelkę i zaglądając w oczy Devereux, chciał mu też dać do zrozumienia, że jest zniecierpliwiony.

Twarz miliardera poczerwieniała ze złości. Nachylił się nad stolikiem.

– Coś tu poszło nie tak, Shaw. Nie wiem dokładnie, co się stało i jak, ale to ty odegrałeś w tym główną rolę.

Teraz scena należała do Devereux. Shaw mógł tylko słuchać.

– Nie ma śladu informacji o żadnym przemysłowcu ani finansście z lat dwudziestych, którego interesowałoby orzeczenie o wyniku referendum w sprawie Poprawki Zero Sześć.

– Naprawdę? – Shaw w zdziwieniu zmarszczył czoło.

– Och, tak. – Ręce śmigały to tu, to tam. – Z tego, co słyszałem, fałszerstwo było niezbyt staranne. Nie w sensie technicznym ani kaligraficznym. Podpis sędziego wyszedł doskonale.

– To też sprawdziłeś?

– Mówię o niestaranności pod względem materiałów. Można by się spodziewać, że milioner w latach dwudziestych wynajął fałszerza, który użyłby papieru i atramentu pochodzących z tysiąc dziewięćset szóstego. Wtedy nietrudno było je zdobyć.

– Można by się tego spodziewać.

Devereux wyjął chustkę z monogramem i otarł łysę czoło.

– Oczywiście nie będziemy nad tym debatować. Prawdę znają tylko ludzie, którzy brali w tym udział wiele lat temu. – Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać z sardonicznym uśmiechem: – Jeżeli w ogóle istnieli.

Shaw milczał.

– Ogłoszono, że to fałszerstwo, i ta łyżka dziegciu rozlała się na całą beczkę miodu. Armia ludzi w Sacramento, których poparcie udało mi się zdobyć – naprawdę liczna – wystarczyłaby mi, żeby powstrzymać próby zaskarżenia poprawki do sądu, ale teraz tchórz ich obleciał. Odezwali się ci wszyscy liberalni eksperci od praw człowieka i profesorowie przeklinający kapitalizm... Tak, gdybyśmy przeprowadzili błyskawiczny atak, przepchnęlibyśmy to i mielibyśmy nowe prawo. Ale tak się nie stało. – Ręce zatrzepotały w powietrzu. Kelnerka pomyślała, że ją wzywa. – Nie, nie, nie – rzucił ponuro i kobieta szybko się wycofała. – No więc skończyło się tak, jak się skończyło. – Sztuczny uśmiech zniknął z jego twarzy. – BlackBridge już nie ma. Ale jestem prezesem jednej z najbogatszych korporacji na tym świecie, prawda?

– Pewnie tak. Chociaż dowiedziałem się o tobie zaledwie parę dni temu.

Jego palce na moment zastygły w bezruchu. Z uśmiechem na okrągłym jak księżyc obliczu powiedział:

– Orzeczenie o wynikach referendum, BayPoint Enviro-Sure Solutions... Pomieszalesz mi szyki, Shaw. A to oznacza, że pomieszala mi je też twoja rodzina. Tak nie wolno.

– Chyba już czas się pożegnać, Devereux.

– Och, może z twojego punktu widzenia. Ja mam inne zdanie.

Colter wstał, położył obok pustej butelki dwadzieścia dolarów.

Devereux przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem skierował wzrok na menu i zaczął je studiować.

– Co tu wybrać, co wybrać...

Colter zszedł z restauracji na dachu do holu w jaskrawych kolorach i znalazł się na ulicy, gdzie schował telefon, przez który przed chwilą rozmawiał z dwiema osobami.

Czekał przed hotelem w cieniu ciemnoczerwonej, łukowej markizy, patrząc na surrealistyczny blask, jakim słońce zalało odkrytą część ulicy. Po dziesięciu minutach vespą nadjechał ciemnoskóry mężczyzna, a gdy dostrzegł Shawa, zahamował. Colter podszedł do niego.

– Od Mack.

Shaw wziął niewielką, cienką kopertę i kurier błyskawicznie zniknął.

Nie więcej niż pięć minut później przyjechała taksówka i portier w uniformie szybkim krokiem ruszył, by otworzyć drzwi drugiej osobie, do której Colter zadzwonił po spotkaniu z Devereux.

Sophia Ionescu vel Consuela Ramirez vel Ksenia Vlanova była naprawdę atrakcyjną kobietą.

Jej okulary przeciwsłoneczne przypominały kształtem szkła Devereux. I też były drogie – widniało na nich logo Chanel. Była ubrana w krótką białą spódniczkę, niebieską jedwabną bluzkę, biały żakiet i chyba niewiele więcej. Na ramieniu miała czarną torebkę na łańcuszku, też Chanel.

W końcu brała trzy tysiące za noc.

Miała przygnębioną minę, która w niczym jednak nie umniejszała jej urody.

– Mówiłeś, że czas spłacić dług – mruknęła.

Skinął głową

– Jeżeli to zrobisz, wyrzucę narkotyki, które próbowałaś mi podrzucić. I skasuję nagranie.

– Co mam zrobić?

– Ten człowiek właśnie je lunch na tarasie. – Pokazał jej zdjęcie Jonathana Stuarta Devereux. – Pójdiesz tam, zagadniesz go, a potem zabierzesz do hotelu Sherry-Nelson Arms. Niedaleko stąd, na tej ulicy.

– Wiem, gdzie to jest. – Wzruszyła ramionami. – Wygląda jak czarnoksiężnik z Krainy Oz. Skąd mam wiedzieć, czy będzie chciał mnie poderwać?

– Będzie chciał. – Shaw nie był pewien, czy cały plan się powiedzie, ale nie miał wątpliwości, że tę przynętę Devereux na pewno łyknie. Po jednym czy drugim drinku, gdy podlana winem rozmowa przerodzi się we flirt, Devereux na pewno złoży jej propozycję.

- A jeżeli będzie chciał zabrać mnie do siebie?
- Jest żonaty.
- Świnia. – Powiedziała to jednak takim tonem, jakby chodziło o określenie gatunku, nie obelgę.

Colter otworzył kopertę, którą wręczył mu kurier od Mack. Wyjął plastikową torebkę z kartą przypominającą zwykłą kartę kredytową, tyle że odrobinę grubszą. Z jednej strony była wydrukowana nazwa linii lotniczych, a pod spodem napis „Prestige Club” i nic nieznaczący numer konta. Podał jej kartę.

– Rozegrasz to tak. Zaprowadzisz go do pokoju. Gdy będziecie w środku, zdejmiesz mu marynarkę i go pocałujesz.

- Muszę?
- Tak – odparł Shaw. – A potem powiesz mu, żeby poszedł umyć zęby.
- Aha, to dlatego.

Shaw poprosił ją, żeby przywiozła ze sobą szczoteczkę i pastę.

– Gdy będzie w łazience, wsuń mu to do portfela. Nosi go w kieszeni marynarki.

- I co dalej?
- Wyjdiesz. Rozmyśliłaś się.
- To wszystko?
- Wszystko.
- Okej.
- Kiedy się dowiem, że to zrobiłaś, wyrzucę nagranie i narkotyki.
- Skąd będę wiedziała, że to zrobiłaś?

Shaw pokręcił głową i uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

Zerknęła na kartę Prestige Club.

- To nie jest bomba, trucizna czy coś w tym rodzaju?
- Nie.

Popatrzyła na hotel.

– Co ten facet ci zrobił? Żeby na to zasłużyć?

Shaw zatrzymał dla siebie informację, że jego ojciec, Todd Zaleski, koledzy Ashtona i Amos Gahl zginęli, ponieważ Jonathan Stuart Devereux poszukiwał Świętej Poprawki.

– Opowiem ci innym razem – skwitował tylko.

Dziewczyna, która brała trzy tysiące za noc, ruszyła w stronę wejścia do budynku i posłała zniecierpliwione spojrzenie portierowi, który w ciągu pięciu minut zdążył się w niej zakochać i z uwielbieniem w oczach otworzył i przytrzymał przed nią ciężkie drzwi.

80

Ciągle mamy na głowie Devereux. – Shaw właśnie wszedł do domu przy Alvarez Street. – Mary Dove i Dorie... – mówił do Russella. – Ciągle grozi im niebezpieczeństwo. Nam też.

– No tak, przecież wysadziliśmy w powietrze jego Świętego Graala.

Colter usiadł przy stoliku i otworzył swój laptop.

– Namierzam go.

– Podrzuciłeś mu lokalizator?

– Zgadza się.

Wiadomość chyba zrobiła na Russellu wrażenie.

– Nie może prowadzić Planu Reformy Urbanistycznej bez pomocy innej grupy w rodzaju BlackBridge – ciągnął Shaw. – Mam nadzieję, że znajdzie jakichś speców od brudnych sztuczek. Dam znać naszym kontaktom z FBI. Miejmy nadzieję, że się potknie.

– Hm. – Russell obserwował na ekranie świecąca kropkę oznaczającą rolls-royce'a, który wyjechał z Nob Hill i zmierzał na południe.

– Jak długo będzie działać?

– Cztery, pięć dni.

– Wiesz, że to mało na ustalenie miejsca spotkania, zidentyfikowanie mocodawców.

– Wiem, ale liczę na to, że uda się znaleźć następny punkt odbioru towaru w ramach PRU, a wtedy biuro zdąży wysłać na miejsce oczy i uszy.

– Jakiego systemu używasz?

– MicroTrace.

– Niezły. Też z niego korzystamy. Wyślij mi numer urzędnika. Przekażę Karin, żeby też miała je na oku.

Colter wysłał wiadomość pod numer Russella.

Obaj obserwowali kropkę.

Po chwili Shaw zauważył, że przy schodach leży worek i plecak brata.

Dlaczego akurat Oakland A?

– Wpadnij do Posiadłości. Jadę tam z Victorią. Dopóki nie znajdę dowodów na Devereux, chcę mieć na oku Mary Dove. Może poproszę Dorie, żeby też przyjechała.

– Nie mogę. Mamy ten problem na Alasce. Mówiłem ci o nim.

– Chyba nie jesteś jedynym gościem z brodą i sig sauerem za pasem – odparł Shaw.

Sądził, że to może wreszcie wywoła uśmiech na twarzy brata, ale nie, Russell pokręcił głową.

– Mary Dove byłaby szczęśliwa. – Po chwili wahania dodał: – Minęły całe wieki.

Znowu cisza.

– Po prostu nie mogę.

– Jasne.

„Tworzycie zgraną parę...”

Po trudnych początkach współpraca rzeczywiście dobrze im się układała. Przypomniał sobie entuzjazm, z jakim Russell przyjął plan brata, by ostatecznie dopaść BlackBridge w parku San Bruno, dlatego nagłe rozstanie wydało mu się jeszcze bolesniejsze. Patrzył w podłogę. Dostrzegł czarną rysę w kształcie półksiężyca. Zostawił ją jego but czy Russella? Może Droona albo jednego z członków zespołu, którzy włamali się do domu w poszukiwaniu dokumentu o wynikach referendum. A może ślad pozostawił sam Ashton i potem znak przetrwał liczne froterowania.

– Lepiej już pójść.

W przypadku brata Colter nie miał żadnej mapy, nawet skrawka drogowskazu, który nakierowałby go na słowa, jakie chciałby mu powiedzieć. Nigdy nie rozmawiał z nim na poważne tematy. Mówili o tym, jak najlepiej uwędzić szczupaka, żeby można go było dłużej przechowywać, albo jaki kaliber amunicji najlepiej nadaje się na pumę, a jaki na intruzów rodzaju ludzkiego, uzbrojonych, którzy zakradają się na ich teren z zamiarem popełnienia przestępstwa. Nigdy jednak nie mówili o sobie.

Dla Coltera było to nie do przyjęcia, zwłaszcza po tym wszystkim, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni.

– Zaczekaj.

Brat się odwrócił.

– Dlaczego... Dlaczego tak zniknąłeś? Tyle lat cię nie było. Jesteśmy rodziną, mam prawo wiedzieć.

Upłynęła długa chwila ciszy.

– Chodziło o to, czego nas uczył Ash – żeby przeżyć.

Shaw tylko pokręcił głową.

– Żebyś przeżył ty i reszta rodziny. Wiesz już mniej więcej, na czym polega moja praca. Nie robię dobrych rzeczy. Bałem się, że narażę wszystkich na niebezpieczeństwo. Niektórzy wyznaczyli cenę za moją głowę, można powiedzieć, że coś w rodzaju nagrody.

Zaledwie w zeszłym tygodniu, w sekcie w stanie Waszyngton, jeden z tamtejszych guru prowadzących terapię powiedział Shawowi mniej więcej to samo.

„Wydaje mi się, że nie chciał zniknąć. Uważał, że nie ma innego wyboru. Jeżeli nie przestaniesz go szukać i znajdziesz, będzie dalej uciekał... Zdarza się, że obrońca zostawia tych, którzy są pod jego opieką, bo to najlepsza forma obrony. Jak ptaki odciągają od piskląt drapieżnika”.

– Russell, wszyscy wiemy, jak sobie radzić z zagrożeniem. Tego nas uczył Ashton. Od pierwszego dnia w Posiadłości.

– W porządku. – Brat dwa razy zaczerpnął tchu i dopiero wtedy kontynuował. – Ja też chciałem przeżyć. – Cisza huczała jak śmiertelnie niebezpieczna fala. – Naprawdę myślałeś, że zrobiłem krzywdę Ashowi?

A więc jednak o tym mówimy. Nareszcie.

– Wziąłem pod uwagę fakty: pokłóciliście się o Dorie, w ruch poszedł nóż, potem kłamałeś, że byłeś w Los Angeles, kiedy zginął, podczas gdy byłeś blisko Posiadłości.

– To było jedno z moich pierwszych zadań. Operacja niedaleko Fresno. Wyznaczyli mnie, bo dobrze znałem teren. Nikt nie mógł o tym wiedzieć. Jasne, Ashton uczył nas, żebyśmy skupiali się na faktach. *Nigdy nie podejmujcie decyzji pod wpływem emocji.* Ale to, kim ktoś jest, to też fakt, nie? Te twoje podejrzenia, oskarżenia... Trudno to było znieść. Łatwiej było uciec.

– Myliłem się.

Czy taki grzech mogą zmyć przeprosiny? Colter po prostu nie wiedział.

Wzrok Russella zatrzymał się na figurce szybującego bielika.

– Pamiętasz to? – Shaw ruchem głowy wskazał rzeźbę. – Masz jeszcze swojego niedźwiedzia?

– Nie.

Wyrzucił go, bo Ashton przyznał pierwszą nagrodę Colterowi? Russell dostał wtedy statuetkę za rolę drugoplanową.

Brat jednak go zaskoczył, mówiąc:

– Chciałem ją odesłać, ale jakoś nigdy się nie złożyło.

Shaw zastanowił się nad tym.

– Ty go przywiozłeś, nie Ash?

– Wziąłem go po pogrzebie.

– Dlaczego?

Russell przez chwilę milczał.

– Sam nie wiem.

– Zostaw go sobie – powiedział Shaw.

– Nie, jest twój.

W ciszy, która znowu wypełniła dom, przyszła mu do głowy myśl: słowa, które tak długo sobie układał, w końcu zostały wypowiedziane, ale nie zasypały przepaści między nimi.

– Okej. Muszę zabrać zespół na północ. Cieszę się, że układa ci się ten biznes z nagrodami. Pasuje do ciebie. W końcu jesteś tym niespokojnym.

– Miałeś rację. Sprawa z BlackBridge nie przypominała tego, co zwykle robię. Byłeś mi potrzebny.

Skinął głową. Nawet nie pomyślał o podaniu ręki, a tym bardziej o uścisku. Z plecakiem na ramieniu i workiem w garści jego starszy brat otworzył drzwi i wyszedł.

81

O dziesiątej wieczorem Shaw i Victoria wracali na Alvarez Street z wyśmienitej włoskiej kolacji, którą zjedli w Embarcadero. Po deszczowym dniu ulice były śliskie, więc wzięli wypożyczony przez nią samochód, którym przyjechała na akcję w parku San Bruno. Oboje byli ciekawi, co Avis pomyśli o dziurze po kuli w błotniku. Wprawdzie wykupiła ubezpieczenie od uszkodzeń, więc wypożyczalnia nie powinna jej obciążyć kosztami naprawy, ale Shaw nie był pewien, czy warunki polisy obejmują szkody powstałe w wyniku strzelaniny.

Przystanęli przed domem.

– Jest coś? – spytała Victoria.

Shaw patrzył na aplikację monitoringu w telefonie. Russell zostawił w domu kilka kamer. Nadal nie było wiadomo, czego spodziewać się po Devereux, a ponieważ wiedział, gdzie jest ich baza, woleli zachować ostrożność, choć Shaw przypuszczał, że biznesmen jest długodystansowcem. Na razie nic złego nie powinno stać się ani jemu, ani jego rodzinie. Byłoby to zbyt podejrzane. Potomek ściętego angielskiego arystokraty był wprawdzie groźnym, chciwym człowiekiem i miał skłonności narcystyczne, ale nie był głupi.

– Czysto. – Schował telefon.

Weszli do środka, przełączyli system monitoringu na tryb domowy i otworzyli wino i piwo.

– Myślisz, że kominek działa? – zapytała Victoria.

– Sprawdzalem. Szczelnie zamknięty. Mój ojciec i jego koledzy nie chcieli, żeby wpadła tędy paczka niespodzianka.

– Rozmawiałam o nim z twoją matką. Uchodził za paranoika.

– Zgadza się.

– Ale po tym wszystkim sądzę, że po prostu był ostrożny.

– Russell twierdził, że niektóre jego obawy były urojone. To prawda. Ale kim naprawdę był? Przede wszystkim survivalowcem. I tak o nim teraz myślę.

Wypił łyk piwa i otworzył w laptopie aplikację śledzącą lokalizator. Czerwona kropka, która oznaczała Devereux, pulsowała, ale tkwiła w jednym miejscu. Shaw zrobił zbliżenie mapy – biznesmen znajdował się na zabudowanym terenie w pobliżu autostrady numer jeden, na południe od miasta. Prawdopodobnie zatrzymał się, żeby coś zjeść w jednej z licznych restauracji przy krętej drodze, które specjalizowały się w owocach morza. Może był w drodze do Carmel, magicznego królestwa na półwyspie Monterey – w takiej okolicy

mógł mieć jedną ze swoich rezydencji. A jeśli tak, to czy towarzyszyła mu jakaś wysoka, urodziwa kobieta?

W tym momencie usłyszał zaniepokojony głos Victorii:

– No...

Patrzyła w ekran telefonu.

– Masz kanał wiadomości?

– Który? – spytał Shaw.

– Wszystko jedno.

Wybrał jeden na chybił trafił. I przeczytał.

Biznesmen i miliarder Jonathan Stuart Devereux, prezes holdingu Banyan Tree, został dziś wieczorem śmiertelnie postrzelony w Half Moon Bay na południe od San Francisco.

Kiedy pan Devereux opuszczał teren ekskluzywnego klubu golfowego, został trafiony kulą z karabinu snajperskiego, wystrzeloną z autostrady. Wychodził z restauracji w towarzystwie szefów Abernath Consulting z Santa Cruz oraz ochroniarza. Nikt inny nie odniósł obrażeń.

„San Francisco Daily Herald” informuje, że redakcja odebrała anonimowy telefon z wiadomością, że za zabójstwo odpowiada miejscowy gang, ponieważ pan Devereux był zamieszany w nielegalne operacje narkotykowe na wybrzeżu zatoki. Rzecznik prasowy biura szeryfa hrabstwa San Mateo poinformował, że śledztwo jest w toku.

– Boże – szepnęła Victoria. – Sprawa PRU.

Shaw miał jednak wątpliwości.

– Był chroniony od odpowiedzialności. To była działka BlackBridge. Nikt nie wiedział, że to on jest prawdziwym klientem, bardzo się pilnował.

Groźny, chciwy, ze skłonnościami narcystycznymi, ale nie głupi...

Shaw usłyszał sygnał SMS-a i przeczytał krótką wiadomość, którą wysłano z nieznanego numeru.

Usuń apkę śledzącą.

Przez chwilę wpatrywał się w trzy słowa, wreszcie dotarł do niego ich sens. Jezu... Wykonał polecenie i odpisał:

Gotowe.

Minęła chwila. Po krótkim wahaniu wysłał jeszcze jedną wiadomość.

Uważaj na siebie...

Zastanawiał się, czy dostanie odpowiedź. Po paru sekundach telefon znowu zawibrował.

Numer, z którym chcesz się połączyć, jest nieaktywny.

CZEŚĆ V

3 LIPCA

ASH

To było jedno z tych jasnych popołudni bez skazy, gdy wilgotność, temperatura i przejrzystość powietrza do spółki z popisami słońca tworzą idealną scenerię dnia.

Colter Shaw zaparkował winnebago niedaleko chaty, wysiadł, przeciągnął się po ponad siedmiu godzinach jazdy z północy i przyjrzał się ostrym i wyniosłym szczytom na zachodnich krańcach ich ziemi, a także gęstemu dywanowi sosen i dębów na wschodzie i południu. Promienie słońca tańczyły na powierzchni stawu, w którym godzinami łowili kiedyś z Russellem ryby.

Spędził parę dni w San Francisco, gdzie musiał odpowiadać na kolejne pytania – a było ich sporo – dotyczące strzelaniny w parku San Bruno, śmierci Droona, eksplozji w domu Prescottów, Planu Reformy Urbanistycznej, BlackBridge. Różne służby i instytucje przygotowały długą listę. Niestety, Shaw nie mógł przekazać żadnych szczegółowych informacji na temat tragicznej śmierci Devereux, wyraził jednak przekonanie, że motyw narkotykowy wydaje się wiarygodny, ponieważ wiedział z całą pewnością, że miliarder był jednym z głównych beneficjentów programu PRU.

Poświęcił cały dzień, by zabezpieczyć i zamknąć dom przy Alvarez Street, i jeszcze dotkliwiej odczuwał nieobecność brata niż za pierwszym razem, gdy Russell zniknął po uratowaniu mu życia w akcji pod biblioteką. Wspominał swoje zaskoczenie i radość, kiedy brat wrócił i oznajmił, że pomoże Shawowi zidentyfikować potencjalne ofiary zlecenia zabójstwa.

„Tu nie chodzi o nagrodę, Colt. Nie możesz pakować się w to sam”.

Odłożył na bok te uczucia i dokończył pakować plecak. Potem wskoczył na yamahe i ruszył na parking dla kamperów, gdzie zostawił winnebago.

Odjeżdżając z miejsca postoju, nie skierował się na południe w stronę Sierra Nevada, dlatego, że nie podróżował kamperem samotnie. Obok niego na miejscu pasażera siedziała Victoria Lesston. Okazało się, że pomysł wakacji jest jej równie obcy jak jemu, mimo to postanowili rzucić się na głęboką wodę i przez kilka dni odpoczywać w niedalekiej krainie wina.

Znaleźli uroczy pensjonat przycupnięty na skraju bujnej winnicy. Mieli pod dostatkiem pięknych widoków i smacznych, wyrafinowanych dań. Nie brakowało im też kraciastych obrusów ani obrazków z kaczuszkami i gąskami w czepkach, których w ich domu na szczęście nie było.

Po raz pierwszy od bardzo dawna spędził wiele dni i nocy – w domu przy Alvarez, a potem w dolinie Napa – w towarzystwie kobiety. Z początku miał opory przed tą wyprawą, naprawdę poważne opory, wkrótce jednak przekonał się, że nie ma się czego bać; we wszystkich winnicach, które odwiedzili, oferowano też nieźle piwo.

Spędzili ze sobą dokładnie tyle czasu, ile potrzebowali. Niemal dokładnie w tym samym momencie zapadło między nimi milczenie, jak gdyby nagle pojawił się duch wywołany podczas seansu spirytystycznego. Cisza była łagodna i przyjemna, lecz mimo to cisza, więc uśmiechnęli się do siebie, równocześnie dochodząc do wniosku, że pora wracać do rzeczywistości.

Gdy po przyjeździe do Posiadłości Victoria wysiadła z kampera, też się przeciągnęła, choć trochę ostrożniej niż Shaw, zważywszy na to, że niedawno spadła z trzydziestu metrów do wody, a parę dni temu rzuciła się na ziemię w parku San Bruno, by schronić się przed ogniem. Ruszyli razem w stronę domu, widząc wracającą z pola Mary Dove, która dźwigała ciężki kosz warzyw.

Z uśmiechem skinęła im głową, po czym wskazała na dom, dając znak, że dołączy do nich, gdy tylko zanieśie prowiant do kuchni.

Victoria zdjęła sweter – w Napie i Sonomie było znacznie chłodniej i wilgotniej niż tutaj. Pod spodem miała szarą jedwabną bluzkę, a pod nią jasnoniebieski, koronkowy drobiazg, w tym momencie niewidoczny, choć Shaw znał już na pamięć jego krój i zapięcia.

Oboje byli w dżinsach. Colter miał na sobie czarny T-shirt i skórzaną kurtkę, która wciąż nosiła ślady wszystkich potyczek, jakie stoczył w ciągu ostatnich dni. W oczy rzucały się zwłaszcza cięcia zrobione nożem Droona. Obejrzał wcześniej te uszkodzenia i uznał, że je zostawi. Nie miał pojęcia, jak naprawiać tego rodzaju garderobę.

Zanieśli bagaże do swoich pokoi. Shaw rozebrał się i wziął najpierw piekielnie gorący, a potem lodowaty prysznic. Wytarł się, po czym przebrał się w czyste dżinsy i koszulę. Grzebiąc w plecaku, wydobył figurkę bielika i postawił na półce, z której Russell zabrał przed laty tę statuetkę. Zastanawiał się, czy nie zostawić jej w kamperze, ale wydawało się, że dom będzie stosowniejszym miejscem.

Wyszedł do Victorii na werandę. Mary Dove przyniosła trzy kubki kawy oraz cukier i mleko. Postawiła wszystko na stole.

Usiedli we troje, przygotowali napój każde zgodnie z własnym gustem i zaczęli popijać.

Victoria drzemała przez część drogi, ale najwyraźniej słyszała kilka rozmów Shawa przez telefon. Wspomniała o nich i zapytała:

– I jak to wygląda?

– Wszystkim odmówiono kaucji.

– Zauważyłam te cięcia – powiedziała Mary Dove, wskazując na jego kurtkę. – To też. – Tym razem patrzyła na jego dłoń, na której wciąż tkwił opatrunek po ciosie zadany nożem Droona. – Mam nadzieję, że kiedy trzeba, nakładasz kamizelkę kuloodporną. – Powiedziała

to takim tonem, jakim inni rodzice przypominają dzieciom: „Włóż płaszcz i kalosze, zbiera się na ulewę”.

– FBI zgarnęło wszystkich szefów BayPoint Enviro-Sure Solutions i część ludzi BlackBridge w Los Angeles, Miami i Nowym Jorku – powiedział Shaw. – Firma już nie istnieje.

Doszło do tego w gruncie rzeczy dzięki misji Ashtona Shawa. Gdyby przed laty nie postawił sobie za cel doprowadzenia tej firmy do upadku, wciąż działałaby na pełnych obrotach, produkowała nowych narkomanów, majstrowała przy wyborach i windowała na stanowiska polityczne takie przedsiębiorstwa jak holding Devereux.

– Tak naprawdę to by się nie mogło udać, prawda? – spytała Mary Dove. – Pełnienie urzędów przez korporacje?

– Nie sądzę, ale kto wie? – Shaw zrelacjonował jej, co powiedział profesor Field.

– Ashton chętnie przestudiowałby ten problem – odparła matka. – I pewnie dyskutowałby o nim do bladego świtu. – Spojrzała na Victorię. – Był z niego zapalony historyk i politolog.

– Wiem, Colt mi mówił. Żałuję, że go nie poznałam.

– Spodobałabyś mu się – zapewniła ją Mary Dove. – Lubił zjeżdżać po linie w towarzystwie. – Obrzuciła Victorię uważnym spojrzeniem. – Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. W przyszłym tygodniu organizuję zjazd na temat zdrowia kobiet. Parę ciekawych osób.

– Za dzień czy dwa muszę wyjechać. Mam rozmowę o pracę na Wschodnim Wybrzeżu.

Rozmawiali o tym w drodze. Ściśle rzecz biorąc, nie była to rozmowa w sprawie pracy, ale podobnie jak w przypadku Russella, profesja Victorii wymagała od niej używania pewnych eufemizmów.

Patrząc na Shawa, dodała:

– Ale bardzo chętnie wrócę.

– Zawsze jesteś mile widziana. – Mary Dove uścisnęła jej rękę.

Spojrzenie Coltera wsparło jej gest.

– Opowiesz mi o nim? – spytała Mary Dove.

Wiedział, że ma na myśli Russella.

– Tajemniczy, niewiele mówi, sprytny jak lis. Wygląda dokładnie tak samo jak dawniej, poza brodą. Zapuścił jeszcze dłuższą. Włosy też. Nadal nie wiem, gdzie pracuje. To jakaś głęboko zakamuflowana agencja rządowa.

– Ma albo miał jakieś związki z Pentagonem – wtrąciła Victoria. – Z Departamentem Obrony.

– Dlaczego tak myślisz?

– Po tej strzelaninie w San Bruno powiedział, że mamy „zero wsparcia”. To wyrażenie z wojska. Mówiliśmy tak w Delcie.

Tak jest, pomyślał Shaw, Ashton byłby zachwycony tą kobietą.

Mary Dove uśmiechnęła się lekko, ukazując delikatne zmarszczki wokół oczu i ust.

– Wspominał coś o rodzinie?

– Mówił, że nikogo nie ma.

Zapadła cisza, w której matka zatrzymała wzrok na oświetlonym słońcem szczycie w oddali.

– Pytałeś go, czy nas odwiedzi?

W rodzinie Shawów nie było mowy o wymigiwaniu się od odpowiedzi, a tym bardziej o kłamstwie.

– Pytałem. Powiedział, że nie może. Ma zadanie. Ważne.

– To jego praca i jego życie.

– Trudno go rozszyfrować, ale widziałem, że jest zadowolony.

Płynął stąd następny niewypowiedziany wniosek: Mary Dove i Ash podjęli właściwą decyzję, kiedy nakreślali i realizowali najtrudniejsze zadanie na świecie – plan wychowania swoich dzieci.

– Muszę się zająć kolacją – oznajmiła matka. – Sarnina w jeżynowej glazurze. Marynuje się już cały dzień.

Zwykle zanurzała mięso w maślanec, która eliminowała posmak dziczyzny.

Shaw kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nad łąką śmigał lelczyk, zataczając nieregularne kręgi. Ten gatunek ma najbardziej skomplikowane upierzenie spośród wszystkich ptaków – kamuflaż sprawia, że lelczyki za dnia są niemal niewidoczne, ale teraz, przed zmierzchem, bez trudu można było zobaczyć, jak polują na owady. Łatwo je też usłyszeć; w locie wydają monotonne, ochryple „kri-kri”. Kiedyś Colter został zaatakowany przez lelczyka, gdy bezwiednie podszedł za blisko gniazda, na szczęście i człowiek, i ptak wyszli z tego starcia bez szwanku.

Odrywając wzrok od energicznego stworzenia, rzekł:

– Mam pomysł. Co powiecie, byśmy jutro wszyscy troje wybrali się na Echo Ridge?

– Przednia myśl – odparła Mary Dove.

– Mnie też się podoba – dołączyła Victoria. Po chwili lekko odwróciła głowę i przymrużyła oczy. – Ale chyba będzie nas czworo.

Shaw zorientował się, że ona patrzy ponad jego ramieniem. Odwrócili się oboje z matką.

Z gruntowej drogi na podjazd skręciła jakaś postać. Mężczyzna był ubrany na czarno i miał wełnianą czapkę. W jednej ręce niośł wojskowy worek, na prawym ramieniu plecak. Przystanął, patrząc na dom, a widząc ich troje na werandzie, musnął wierzchem dłoni długą brodę i wolnym krokiem ruszył w ich stronę.

– Ojej – szepnęła Mary Dove z nietypową dla siebie nutą emocji w głosie. Zeszła z drewnianej werandy na trawę, by powitać najstarszego syna.

PODZIĘKOWANIA

Powieści nie są owocem samodzielnej pracy. Aby powstały i trafiły do rąk i serc czytelników, konieczny jest wysiłek zespołu ludzi, a mam wielkie szczęście współpracować z najwspanialszą grupą na świecie. Należą do niej: Sophie Baker, Felicity Blunt, Berit Böhm, Dominika Bojanowska, Penelope Burns, Annie Chen, Sophie Churcher, Francesca Cinelli, Isabel Coburn, Luisa Collichio, Jane Davis, Liz Dawson, Julie Reece Deaver, Danielle Dieterich, Jenna Dolan, Mira Droumeva, Jodi Fabbri, Cathy Gleason, Alice Gomer, Iven Held, Ashley Hewlett, Sally Kim, Hamish Macaskill, Cristina Marino, Ashley McClay, Emily Mlynek, Nishtha Patel, Seba Pezzani, Rosie Pierce, Abbie Salter, Roberto Santachiara, Deborah Schneider, Sarah Shea, Mark Tavani, Madelyn Warcholik, Claire Ward, Alexis Welby, Sue i Jackie Yang. Jesteście najlepsi!

Spis treści

STALOWNIA

CZĘŚĆ I. MISJA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

STALOWNIA

CZĘŚĆ II. WIELKIE TRZĘSIENIE ZIEMI

25

26

27

28

29

30

31

32

33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53

CZĘŚĆ III. CZŁOWIEK, KTÓRY CHCIAŁ BYĆ KRÓLEM

54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70

71

72

73

74

75

CZĘŚĆ IV. PŁOMIEŃ

76

77

78

79

80

81

CZĘŚĆ V. ASH

82

PODZIĘKOWANIA